

PHANTOM PRESS

KARL E. WAGNER KANE

My war with



PHANTOM PRESS

KARL WAGNER

**Pierścień
z krwawnikiem**

(Przełożył: Juliusz Garztecki)

*Dla Johna F. Mayera-
Kolegi i przyjaciela,
Brata w infamii...*

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

PROLOG

I. ŚMIERĆ PRZY OGNISKU

II. WIEŻA NAD OTCHŁANIĄ CZASU

III. DYPLOMACJA W SELONARI

IV. OBCY PRZYNOSI DARY

V. GNIJĄCY KRAJ

VI. GDY BUDZĄ SIĘ STARSI BOGOWIE

VII. KAPŁAN PRZYBYWA DO BREIMEN

VIII. ŚMIERĆ WE MGLE

IX. GROMADZĄ SIĘ ORŁY WOJNY

X. OBCY POWRACA

XI. BURZOWE CHMURY WOJNY

XII. TROFEA ZWYCIĘSTWA

XIII. KŁY WILCZYCY

XIV. UCIECZKA W KOSZMAR

XV. PAN KRWAWNKA

XVI. GDY ŚMIERĆ ZOSTAJE ZDEMASKOWANA

XVII. JAKI RODZAJ CZŁOWIEKA...

XVIII. WILK UKŁADA PLANY

XIX. SNY W ARELLARTI

XX. NOC KRWAWNKA

XXI. NIE BYŁO ŁEZ W SELONARŁ

XXII. PODZIEMIA ŚWIĄTYNI

XXIII. GIGANCI NA CIEMNYM NIEBIE

XXIV. SPADA OSTATNIA MASKA

XXV. GDY UMIERAJĄ SZALEŃCZE SNY

EPILOG

PROLOG

Na bezkresnych przestrzeniach ciągnął się pierwotny bór. Olbrzymie drzewa wyciągały konary ku niebu, walcząc o dostęp do blasku słonecznego i świeżego powietrza. Pod ich gęstym listowiem egzystował świat odmienny od świata pod wysokim niebem – dziedzina przyziemnego półmroku. Tu chłodny cień tylko od czasu do czasu rozjaśniały słupy słonecznego światła, spływające z górnego piętra lasu na grube pokłady zbutwiałych liści i sosnowych igieł zaścielających ziemię. Puszcza nie miała podszycia z wyjątkiem miejsc, gdzie padł jeden z leśnych gigantów, zostawiając wyłom w drzewnym sklepieniu, przez który strumieniem wpadało żółte światło słońca. Wtedy przez niedługi czas dywan podszycia mógł krzewić się bujnie na bogatej próchnicy przy gnijącym pniu, póki w górze inne gałęzie nie wypełniły luki i nie odcięły życiodajnych promieni.

Ale leśne przyziemie bynajmniej nie było martwą pustynią. Niezliczone mnóstwo przedstawicieli wielkiego i małego życia zwierzęcego roiło się w puszczy. Szeleściły w leśnym dywanie lub wspinały się po pniach owady. Po ziemi ślizgały się węże w poszukiwaniu gryzoni, żyjących w norach wygrzebanych w gąszczu korzeni. Różne puszyste zwierzątka przeciskały się przez korytarze i jamy wśród porośniętych brodatym mchem resztek opadłych gałęzi i latami zrzucanych na leśną podłogę liści. A wysoko nad nimi świergotały gromadki ptaków, niekiedy zaś dobiegał oburzony głos wiewiórki, protestującej przeciw jakiemuś niewiadomemu afrontowi. Niekiedy w oddali nerwowo zakrakał kruk, by zaraz zamilknąć.

Jego niezdecydowany, ostrzegawczy krzyk usłyszała łania i zamarła w cieniu, z przytulonym do jej boku długonogim jelonkiem. Rzucając wkoło zaniepokojone spojrzenie wielkich oczu, nastawionymi bystro uszami łowiła zwiastujące niebezpieczeństwo dźwięki. Ostrożnie wciągnęła czułymi nozdrzami powietrze w poszukiwaniu zapachu wilka, niedźwiedzia czy innego drapieżnika. Stała nieruchomo przez kilka minut, badając otoczenie, szukając oznak niebezpieczeństwa. Nie pojawiło się żadne, a wabił widok porośniętej koniczyną łączki. Łania zrobiła pierwszy krok, wychodząc z cienia drzew, tuż za nią postępował jelonek.

Na udeptanej, gliniastej ścieżce zdołała pozostawić tylko kilka śladów swych ostrych kopytek, gdy świsnęła strzała wbijając się jej między żebra. Chwyając z bólu pyskiem powietrze, łania zachwiała się, a potem w ślepej panice pognęła ścieżką z powrotem. Zdumiony jelonek zatrzymał się w miejscu ledwie na moment, a potem instynktowny strach ogarnął go, zmuszając do ucieczki. Jego cienkie jak szczudła nóżki poniosły go z łomotem za matką. Do stada kruków doleciał zapach krwi i przerażenia. Zakrakało w chrapliwym proteście.

Z ukrycia przy ścieżce wyskoczył łowca z następną strzałą w gotowości na naciągniętej cięciwie. Zwróciwszy doświadczony wzrok na wydeptany przez zwierzynę szlak, dostrzegł krwawy trop i uśmiechnął się radośnie.

– Przynajmniej płuco... może nawet serce, sądząc z krwi! Biegnij, póki możesz, suko, nie dojdiesz daleko!

Wyciągnął długi nóż i bez wahania podążył za połyskującym posoką tropem.

Siady kopyt łani wkrótce znikły ze ścieżki, ale jej drogę łatwo było rozpoznać po purpurowych plamach na leśnej ziemi. Jak przypuszczał myśliwy, nie ubiegła nawet stu jardów, gdy dosięgła ją agonia. Leżała w zagłębieniu ziemi – jamie wyrwanej w glebie przed kilku laty korzeniami padającego drzewa. Oddychała z jękiem przez skrwawione nozdrza, jej oczy zamglila nadchodząca śmierć.

Myśliwy ostrożnie zsunął się do wykrotu i poderżnął jej gardło. Ocierając nóż o jej bok, rozejrzał się za jelonkiem. Nie było po nim śladu. Zapewne do rana jakiś zwierz go pochwyti, więc

przynajmniej nie zginie z głodu. Myśliwy poczuł przelotne wyrzuty sumienia z powodu zabicia łani z małym, ale miał za sobą długi dzień, a w Breimen rodzinę na utrzymaniu. A poza tym płacono mu za dostarczanie jeleni na targowisko, nie za przyglądanie się leśnym idylmom.

Pomimo zmęczenia oparł się plecami o skarpę jamy z pomrukiem zadowolenia, wytarł twarz w brudny rękaw i rozejrzał wokoło. Chwila odpoczynku – a potem trzeba będzie ją wypatroszyć, zmajstrować coś w rodzaju sanek i zaciągnąć tuszę zwierzęcą do Breimen. I to powinno wystarczyć na resztę popołudnia.

Wykrot, w którym spoczywał łowca, miał wiele jardów średnicy, bo obalone drzewo było pradawne i ogromnej wysokości. Ciągle jeszcze dno stanowiła naga ziemia, choć rośliny zaczęły już porastać zbocza. Na samym zaś dnie coś błyszczało. Padający z góry promień słońca rozświetlił coś połyskującego, białego w humus – jakiś przedmiot, rzucający prosto w oczy srebrne refleksy. Trochę zaintrygowany myśliwy wstał, by obejrzeć rzecz z bliska. To, co dostrzegł, wywołało u niego pomruk zdziwienia. Przykucnął, by lepiej zbadać znalezisko.

Był to wbity w ziemię pierścień. Wokół niego gliniastą glebę przecinały pasma białej, kruchej substancji, wyglądającej jak spróchniałe kości. Czerwonawe pasy obok nich mogły pochodzić od resztek zżartego rdzą żelaza. Odmiatając luźną ziemię, zauważył też parę pozieleniałych grudek, które musiały być skorodowaną miedzią lub mosiądzem. Zapewne ciało jakiegoś starożytnego wojownika – choć łowca nie potrafił sobie wyobrazić, jak długo gniło tutaj, pod podłogą lasu. Dość długo, by rozpadły się kości i uzbrojenie – a drzewo, które na nim wyrosło, liczyło wiele wieków.

Niepewną dłonią myśliwy wyciągnął pierścień z podłoża zabarwionej gliny i oczyścił z przylepionych grudek. Popluł, a potem wytarł go o skórzaną nogawicę, by wreszcie podnieść do oczu i z bliska ocenić. Metal był srebrzysty z wyglądu, ale znacznie twardszy – a tak stare srebro musiałoby poczernieć. Osadzony był w nim olbrzymi kaboszon z krwawnika – wspaniały, ciemnozielony kamień z czerwonymi żyłkami w głębi. Był to, jak ocenił myśliwy uniósłszy klejnot do światła, kosztowny przedstawiciel tego gatunku drogich kamieni. Bo barwy miał intensywniejsze niż inne okazy krwawników i zdawał się prześwitywać, co odróżniało go bardzo od zwykle nieprzezroczystych klejnotów. Kamień był ogromny – jak na pierścień wręcz nienormalnie wielki – i zręcznie połączony z oprawą. Myśliwy starannie odskrobał parę ostatnich grudek gliny przemieszanej z prochem kości i przyłożył pierścień do palca. Ktokolwiek przed wiekami go nosił, musiał być olbrzymem, bo obrączka była o kilka numerów za duża na jakikolwiek palec zwykłego człowieka.

Z niepokojem przypomniał sobie myśliwy opowiadane przez Selonaryjczyków legendy o gigantach i demonach grasujących po lasach, zanim ten lud tu się osiedlił. A i w jego własnym plemienu krążyły opowieści o dzikich Rillytich, którzy jakoby nigdy nie oddalali się poza muliste ostępy ich bagien.

Ale łowca miał trzeźwy, praktyczny umysł. Wzniósłszy do Ommema modlitwę o opiekę, a do ducha spróchniałego szkieletu o przebaczenie, wrzucił pierścień do sakiewki. Mechanicznymi ruchami wypatroszył zdobycz, przez cały czas oddając się miłym myślom o tym, jaką cenę uzyska znalezisko na targu jubilerów w Breimen.

I. ŚMIERĆ PRZY OGNISKU

Potężny mężczyzna siedział otulony płaszczem jak złowieszczy, czarny cień w chwiejnym blasku ogniska i ponuro sączył wino z glinianego kubka, który ginął w jego ogromnej dłoni. Nosił obcisłą koszulę i spodnie z ciemnej skóry ze świeżymi plamami potu i krwi. Prawy rękaw miał podwinięty; węzłaste od mięśni przedramię otaczał bandaż pokryty szkarłatnymi smugami. Przez masywną pierś miał na ukos przerzucony pełen srebrnych guzów pas, przytrzymujący za jego potężnym barkiem pustą pochwę miecza. Miecz zaś trzymał przed sobą, wbity ostrzem w krzywy korzeń drzewa. Wodząc w roztargnieniu palcem po krótkiej, rudej brodzie, okalającej jego nieco brutalne oblicze, rozmyślał o wielu szczerbach i czerwono-brązowych smugach, które szpeciły klingę, a w migoczącym świetle przypominały minioną walkę. Zdawało się, że człowiek ten zapomniał o obecności innych, chciwym wzrokiem wpatrzonych w rozpostarte łupy, które mieli rozdzielić między siebie.

Łańcuch gór Ocalidad, strzegący północnego skraju puszczy, zwanej obecnie Wollendad, miał już haniebną sławę z powodu zamieszkujących go bandytów na długo wcześniej, nim jasnowłosi żeglarze, dążąc znad morza, przekroczyli jego przełęcz, by wyrąbać miejsca dla swych miast w wielkich borach południa. Ciemnowłosi leśni ludzie, którzy opornie ustępowali ich zakutemu w żelazo pochodowi, korzystali z niezliczonych jaskiń i niezdobytych fortec górskich na długo przedtem, nim najeźdźcy wylądowali na ich wybrzeżach. Za pamięci tych, którzy posiadali ziemię, nigdy karawany nie mogły bezpiecznie przekraczać gór Ocalidad. Ale towary musiały płynąć szlakami od wybrzeża po wewnątrz kraju i z powrotem, bo zyski z handlu z bajecznymi miastami za morzem czyniły ryzyko wartym wysiłku. Dlatego ludzie wiozący bogactwa przekraczali góry, a tam inni ludzie z mieczami w dłoniach czekali, by kupców ich pozbawić. Dzieje stosowanych przez obie strony środków i przeciwsrodków były zarówno długie i barwne, jak krwawe.

Tego dnia o poranku banda zaatakowała małą karawanę, podążającą z południa pod strażą niewielkiego oddziału zbrojnych. Wynikła bitwa przyniosła nieznaczną przewagę bandytom, którzy utracili niemało swych ludzi, nim pozostali przy życiu uczestnicy karawany wyrwali się z zasadzki i zbiegli w bezpieczne miejsce. Ale w ucieczce kupcy porzucili pewną liczbę pakunków z towarem, rozbójników zaś zadowolono zdobycie tego łupu i nie podjęli dalszych wysiłków, by ich dogonić. Zaskoczeni zachodem słońca wycofali się do swego obozowiska, a teraz pogrążeni byli w trudnym i niebezpiecznym zadaniu podziału zdobyczy.

– Piękna partia biżuterii w tym oto pakunku – zauważył ich przywódca, olbrzym z pociętą bliznami twarzą, nazwiskiem Hechon. – Ktoś tu wyłożył kupę pieniędzy. Ciekawe, na ile to wszystko było cenione. Hej... a może prawdziwe są te wszystkie pogłoski, że Malchion wynajmuje jeszcze więcej wojska, by zaatakować Selonari.

– To stara historia, powtarzana w tych górach w takiej czy innej formie od tak dawna, jak sięgam pamięcią – zadrwił któryś.

Zawartość torby handlarza biżuterią starannie wysypano na koc. Tu, pod chciwym spojrzeniem wielu oczu, sypnęła iskrami blasku w świetle ognia. Tuzin par rąk wyciągnęło się pożądliwie, by pochwycić te skarby, ale bandytów powstrzymywał widok Hechona z namysłem obmacującego łup. Do niego należało ostatnie słowo, jak wszystko zostanie rozdzielone między bandę.

– Cholera! Tu mamy coś ciekawego! – huknął Hechon.

Trójpalczasta dłoń sięgnęła i wyciągnęła na światło pierścień. Doświadczonym spojrzeniem ocenił przedmiot. – Zaraz sobie pomyślałem, że to dziwnie wygląda! Pierścień jest o wiele za duży dla większości ludzi i nie potrafię rozpoznać tego metalu. Nie wygląda na srebro; zbyt twardy. Myślę, czy to czasem nie platyna, taki drogi metal, twardy jak żelazo. Słyszałem, że obrabiają ją na

północy czy gdzieś tam. A o kamieniu myślałem na początku, że to krwawnik. Ale nie przypomina żadnego, jaki widziałem, Popatrzcie, jak światło zdaje się zagłębiać do środka... Można prawie widzieć, jak żyły czerwieni idą w głąb.

– Daj mi obejrzeć ten pierścień. – Potężny mężczyzna siedzący na uboczu odezwał się wreszcie; odkrycie Hechona wyrwało go z pełnego rezerwy zamyślenia.

Na dźwięk niskiego głosu zwróciły się w jego stronę wszystkie spojrzenia. Hechon popatrzył na mężczyznę, kalkulując coś sprytnie i po chwili cisnął mu pierścień z krwawnikiem.

– Oczywiście, Kane. Popatrz sobie, jeśli jesteś zbyt zmęczony, by przyjść i stanąć tutaj ze wszystkimi.

Kane chwycił przedmiot lewą dłonią i podniósł do oczu. W milczeniu przyglądał się pierścieniowi, obracając go do światła, jakby zauważył wyryty na nim napis. Przez dłuższy czas pogrążony był w rozmyślaniach, a potem odezwał się nagle:

– Chcę tego pierścienia jako części mego udziału w łupie.

Hechon wzdrygnął się na jego ton. Miał duże wątpliwości, czy należy przyjąć Kane'a, gdy ten rudowłosy nieznajomy zgłosił się do niego przed dwoma miesiącami. Przyprowadził wówczas z sobą garść innych – wszystkich, którzy przeżyli, gdy ich bandę banitów zaskoczył oddział najemników, wysłany przez nadbrzeżne miasta dla zapewnienia bezpieczeństwa handlowym szlakiem przez górskie przełęcze. Hechon ani nie wiedział, ani dbał o to, skąd Kane przybył jeszcze wcześniej. Natomiast herszt bandytów dobrze znał morderczą zręczność Kane'a w bitwie, bo przeraźliwa moc ręki trzymającej miecz wkrótce uczyniła imię obcego powszechnie respektowanym w górach Ocalidad. I choć Hechon natychmiast pojął, że Kane stanowi zagrożenie dla jego przywództwa, uznał jednak swą pozycję wśród własnych ludzi za zbyt mocną, aby tamten odważył się rzucić mu otwarte wyzwanie... a podczas napadu Kane był wart tuzina mniejszych zabijaków.

Ale śmiały zabór przez Kane'a dziwnego pierścienia wywołał w nieufnym umyśle Hechona nagły przypływ niechęci. Lepiej natychmiast pokazać, kto tu rozkazuje – zdecydował – nim pozostali zaczęli przyjmować zachcianki Kane'a jako prawo także w innych sprawach.

– To ja decyduję, jak dzieli się zdobycz – warknął herszt. – A poza tym to jest cenny pierścień i mnie samemu się spodobał.

Kane lekko zmarszczył brwi, nie przestając uważnie przyglądać się pierścieniowi.

– Krwawnik trudno uważać za kamień szlachetny, a wartość pierścienia wynika jedynie z jego osobliwości – zauważył rozsądnie. – Niemniej uważam go za nieco intrygujący, wygląda przy tym, jakby nie był nazbyt duży na moją rękę. Więc być może jest to tylko kaprys, ale chcę go mieć. A jeśli idzie o jego wątpliwą wartość pieniężną, jestem gotów pójść na wielkie ryzyko i przyjąć ten pierścień w zamian za całą resztę mego udziału w łupie. To pozostawia wam wszystkim do podziału dodatkową część niewątpliwej wartości.

– Nie byłbyś aż tak głupi, by puszczać się na takie ryzyko, gdybyś nie był innego zdania na temat jego wartości – wytknął mu Hechon, teraz już naprawdę pełen podejrzeń. – I, jak powiedziałem, ja jestem tu szefem i ja decyduję, co kto dostaje. Więc oddaj ten cholerny pierścień, Kane, a my zajmiemy się innymi sprawami. Dostaniesz to, co ja postanowię, i mówię ci prosto w oczy, że ten pierścień będzie mój. – Głos herszta groźnie zazgrzytał.

Hechon utkwiał w Kane pełne groźby spojrzenie. Pozostali złoczyńcy patrzyli w nerwowym milczeniu, niemal niedostrzegalnie cofając się od nich coraz dalej. Kościsty zastępca Hechona, Abelin, czekając na jakiś sygnał przekazany wyrazem twarzy przywódcy, wytarł dłonie o biodra i schował je tak, by Kane ich nie widział. Hechon zdecydował, że jego ludzie go poprą.

W napiętym milczeniu nawet głosy nocnych stworzeń zdawały się przyciszone i odległe. W

migającym świetle ogniska oczy Kane'a płonęły błękitnym ogniem, a z ich głębi wyglądała, śmiejąc się szyderczo, zimna twarz śmierci. Hechona zawsze przechodziły dreszcze, gdy spoglądał w te oczy, oczy urodzonego mordercy. Z niepokojem przypominał sobie, jak błyszczały szaleństwem w chwili, gdy Kane stał spryskany krwią wylaną w boju nad tymi, którzy padli od jego ostrza. Złowieszczy blask krwawnika, trzymanego przez Kane'a w lewej dłoni tuż przy twarzy, płonął jak jego niesamowite spojrzenie. Nawet w słabym świetle ogniska czerwone żyłki kamienia zdawały się fosforyzować.

A Hechon wiedział, że Kane nie odda pierścienia. Przeszedł go zimny dreszcz na myśl, że w tej chwili nie ma już żadnego wyboru. Jeśli się zgodzi, straci na rzecz Kane'a twarz wobec własnych ludzi i wkrótce dowództwo przejdzie w ręce tamtego. Na wyzwanie Kane'a musi odpowiedzieć natychmiast i zamknąć sprawę na zawsze.

Kane zdawał się nieruchomy, ale Hechon znał morderczą szybkość, z jaką człowiek ten potrafił uderzyć. Miecz trzymał przed sobą w zasięgu ręki, zatknięty w korzeń drzewa. Hechon nie spuszczał wzroku z lewej ręki Kane'a – tej, w której zwykł był trzymać miecz – ale Kane nadal pocierał policzek pierścieniem. Herszt bandytów wzruszył ramionami.

– No cóż, jeśli tak bardzo chce ci się tego cholernego pierścienia, uważam, że możesz go zatrzymać jako swoją część łupu. – Wyglądało, że Hechon się odprężył, uśmiechając się do pozostałych. Ale równocześnie na znaczącą chwilę popatrzył w oczy Abelinowi, rozkładając ręce w oczywistym geście bezradności.

– Bo przecież, Kane – kontynuował – zachowanie ciebie ma dla mnie większą wartość...

Dłoń Abelina nagle podskoczyła do jego karku i błyskawicznie odskoczyła, dobywając z pochwy zawieszanej między łopatkami noża o długim ostrzu. Nie przerywając płynnego ruchu, długie ramię zastępcy bandyty wyprostowało się, by wypuścić ostrze prosto w pierś Kane'a.

Ale Kane nie dał się zwieść rzekomą ugodością Hechona. Znając podstępność herszta, Kane nie spuszczał wzroku z jego oczu i dostrzegł w nich niemy wyrok śmierci, przekazany Abelinowi do wykonania. I choć Kane był leworęczny, lata ćwiczeń uczyniły jego prawicę niemal tak sprawną jak lewicę.

W tym samym ułamku sekundy, potrzebnym Abelinowi, by cisnąć błyskawicznie ostrze w serce Kane'a, ten rzucił w bok swe potężne ciało. Gdy jednym skokiem wyprostował się ze skulonej pozycji, prawa dłoń, już wcześniej skierowana ku jego prawemu butowi, błysnęła ukrytym tam nożem. Uderzając jak zwinięty wąż, Kane cisnął swój sztylet przez ognisko niczym strzałę światła. Koło niego syknęło lecące ostrze Abelina i z hukiem wbiło się w pień drzewa. Jeszcze pochylony siłą zamachu bandyta zakaszlał w nagłym bólu – klinga Kane'a zatopiła swe ostrze prosto w jego sercu.

W tej samej chwili, gdy rzucał sztylet, Kane stał już wyprostowany. Gdy pod umierającym zastępcą herszta ugięły się kolana, Kane chwycił lewą dłonią miecz, cisnął pierścień na ziemię, a butem kopnął ognisko. Oślepiająca, paląca fontanna rozżarzonych węgli uderzyła w ogłupiałych bandytów, zmuszając ich do ucieczki w bólu i zamieszaniu.

W chwili, gdy Abelin wyciągał nóż, Hechon sięgnął po rękojeść swego miecza. Wyrzuciwszy drugie ramię w powietrze, by odegnąć płonąca chmurę ognia i popiołu, herszt z szaleńczym pośpiechem wyszarpnął klingę. Ledwie wystarczyło mu czasu, by podnieść gardę przed ciosem Kane'a.

Kane skoczył przez ognisko, tnąc mieczem jak płonąca żagwią. Uniknąwszy oddanego przez Hechona ciosu, uderzył ponownie, zadając tak potężne uderzenie, że drętwiejące palce bandyty omal nie wypuściły rękojeści. Zmuszony do przejścia do obrony, Hechon zaczął się wycofywać,

desperacko próbując powstrzymać atak do chwili, gdy jego ludzie otrząsną się z zaskoczenia i przyjdą mu na pomoc – jeśli przyjdą. Kane nie dał im na to czasu. Gdy Hechon cofał się wśród rozrzuconych węgli, coś osunęło się pod jego butem, zmuszając go do machnięcia mieczem dla zachowania równowagi. W tym momencie, trwającym ledwie ułamek jednego skurczu serca, miecz Kane'a wyminął osłabioną gardę Hechona i ciał bandytę w bark.

Odrzucony impetem uderzenia do tyłu, Hechon nie potrafił już zablokować następnego ciosu Kane'a. W sekundę później rozrąbane ciało herszta padło na ziemię. Ostatnie, co ujrzał przed śmiercią, to widok strumienia czerwieni, zalewającego płonący złym blaskiem pierścień z zielonym kamieniem.

Błyskawicznym ruchem Kane podjął pierścień z krwawnikiem z pociemniałej ziemi i wyprostował się, by stawić czoło pozostałym bandytom. Z wyciągniętą bronią dreptali zmieszani w miejscu, niepewni, jak się zachować teraz, gdy ich przywódca został zabity.

– No i dobrze! – ryknął Kane, unosząc groźnie swój czerwony od krwi miecz. – Ten pierścień jest mój i zabiję każdego następnego cholernego głupca, który zechce spierać się o mój łup! Resztę zdobyczy podzielcie między siebie, i to zaraz! Dostałem, czego chciałem, i odjeżdżam! Kto chce szybko odbyć podróż do piekła, niech popróbuje mnie zatrzymać!

Nie podniosła się przeciw niemu ani jedna ręka. Chwyciwszy swój sztylet i garść złotych monet, Kane wsiadł na konia i z grzmotem kopyt runął w ciemność. Za jego plecami szakale zaczęły spierać się o to, co pozostawił.

II. WIEŻA NAD OTCHŁANIĄ CZASU

Pod kopytami jego konia kamienie stały się nieomal uspokajająco znajome i nagle Kane nie był już pewien, czy upłynęło pięćdziesiąt lat, czy tylko pięćdziesiąt dni od chwili, gdy ostatni raz jechał tą percią. Z potraskanych i wyrzeźbionych wiatrem skał wyrastały rzadkie i skarłowaciałe drzewa, rzucając dziwaczne cienie w świetle pomarańczowoczerwonego słońca na zachodzie. Wiatr, szarpiący jego włosami i trzepoczący płaszczem z wilczury u ramion, niósł z sobą chłodny zapach morza, widniejący jak niebieska wstęga na mglistym wschodnim horyzoncie. Cichy szept dalekich fal mieszał się ze świstem wiatru, a ostre krzyki szybujących ptaków rozlegały się niezgodnym dyszkantem. Te odległe, ciemne kształty, wiszące w miejscu lub krążące na wietrze – były to kruki, jastrzębie czy mewy? I czy w ogóle były ptakami? Kane zbyt był zajęty zadaniem utrzymywania się na nie uczęszczanej i ledwie widocznej ścieżce, by zwracać na nie baczniejszą uwagę.

Z wolna zaczęły się ukazywać ruiny niskiego muru, wyraźniej wyznaczające starożytny szlak, po którym dążył. Sterty zwalonych szarych kamieni przypominały zniszczone domy, a od czasu do czasu pojawiały się pozbawione dachów budowle, przytulone do grzbietu grani. W miarę przybliżania się do szczytu łańcucha górskiego Kane coraz lepiej dostrzegał znajome szczegóły jej wieży – majestatycznej, bazaltowej iglicy, sterczącej niebezpiecznie nad mierzącym tysiące stóp pionowym urwiskiem, opadającym na nadbrzeżne równiny, rozciągnięte daleko w dole. Zdawało się niewiarygodne, że wieża już wieki temu nie spadła do przepaści, ale Kane wiedział, że jej kruchość jest tylko iluzją. Bo miasto poniżej legło w gruzach o wiele dawniej, niż cofnął się wielki ocean, niegdyś przewalający się potężnymi falami u stóp górskiej ściany. A przecież wieża stała nie zmieniona.

Kierując wierzchowca ku szczytowi po ostatnich paruset jardach spękanej drogi, Kane zauważył, że w górnych oknach wieży zapalają się światła. Wrażenie, iż znalazł się w znajomym otoczeniu, było z każdą chwilą silniejsze, wywołując w nim dziwne uczucie jakby powrotu do domu. Niesamowita niezmiennosc jej świata była dla Kane'a tym dziwniejsza, że on sam odczuwał istnienie jako nieustanny, gorączkowy prąd wydarzeń. Wydawało mu się, jakby w wieży Dzhaniikesty znajdowało się ognisko pozczasowości, schronienie przed upływem czasu wśród nieustannie zmiennych form reszty wszechświata.

Gdy się przybliżył, rozwarły się bramy wieżycy, rzucając w półmrok otulający granie mgliste, żółtawe światło. Widma strażników, należących do dawno wygasłej rasy, oddały mu cześć ze szczękiem dziwacznych włóczni. Rumak Kane'a zaczął w przerażeniu toczyć wytrzeszczonymi oczami i rzeć nerwowo. Zmęczony długimi dniami ciężkiej jazdy, Kane zsunął się z siodła i zaprowadził parskającego wierzchowca do pozbawionej dachu zagrody, przytulonej do podstawy wieży. Uwiązując go tam zauważył, że z potraskanej podłogi wyrasta dosyć pokarmu, by zaspokoić zwierzę do chwili, gdy będzie mógł bardziej nim się zająć.

Strażnicy obojętnie spoglądali pionowymi źrenicami, jak Kane wchodzi we wrota wieży. Zamknęły się za jego plecami z lekkim tylko zgrzytem. Ciekaw był, kiedy po raz ostatni otwarły się, by wpuścić gościa. Gdy przeszedł przez hol wejściowy i zaczął się wspinać po kamiennych schodach, prowadzących na górne piętra, jego drogę oświetlały umieszczone wzdłuż ścian pochodnie.

U szczytu schodów stała Dzhaniikest, na wpół złożonymi skrzydłami zasłaniając szeroki korytarz. Gdy wyciągnęła do niego rękę, jej wąskie czerwone wargi odsłoniły ostre jak igły białe zęby.

– Kane! Widziałam z góry, jak przybywasz! Całe popołudnie tu się gramoliłeś. Myślałam, że

zgubiłeś drogę... a może przez te wszystkie lata zapomniałeś Džhaniikest! Zdaje się, że nie widziałam cię od stu lat!

– Jestem pewien, że nawet w przybliżeniu nie tak długo – zaprotestował Kane, przyklękając, by ucałować jej zwodniczo kruchą dłoń o długich palcach. – Prawdę powiedziawszy, podczas jazdy pod górę myślałem sobie, że od mej ostatniej wizyty upłynęło ledwie parę miesięcy.

Jej śmiech był niesamowitym, wysokim trylem.

– Kane... jako kochanek jesteś zupełnie nie do wytrzymania! Czy zawsze powtarzasz swoim paniom, że lata, które spędziłeś z dala od nich, przeleciały jak dni? – Jej wielkie, srebrzyste oczy badały go z nie ukrywaną ciekawością; czarne, pionowe źrenice w przyciemnionym pokoju rozszerzyły się prawie do okrągłości. – Kane, wyglądasz mi na zupełnie nie zmienionego – oceniła. – Ale z drugiej znów strony ty zawsze wyglądasz jednakowo, zupełnie jak moi widmowi służący. Chodź... usiądź przy mnie i opowiedz, co widziałeś. Już poleciłam podać wino i zakąski.

Z rąk smukłej pokojówki, której kości dawno rozpadły się w proch porwany wiatrem, Kane przyjął dzban wina. Z ustami mocno zaciśniętymi, uważnie balansując ciężką tacą o kruchej zawartości, zdawała się w pełni żywa; sądził nawet, że widzi szybki oddech pulsujący pod miękkim, brązowym futerkiem porastającym jej piersi. Czary Džhaniikesty były potężne, rozważał sącząc wino – wino demonów, wywołane zaklęciem z jakiejś nieodgadnionej piwnicy.

– Przywiozłem coś, co, jak przypuszczam, powinno ci się spodobać – oświadczył, wyciągając sakiewkę ukrytą pod kamizelą i koszulą. Grzebiąc przez chwilę w jej zawartości, wyciągnął maleńką, otuloną cienką skórką paczuszkę i podał gospodyni.

Džhaniikest schwyciła ją z łapczywą ciekawością i pogłaskała palcem, nim przecięła skórę ostrym pazurem. Odpakowała.

– Pierścionek! – zaśmiała się uradowana. – Kane... jukiz cudowny szafir! – Z niewyraźnym pomrukiem rozkoszy zaczęła obracać wspaniałą szafir gwiazdzisty do światła, przymierzać go na jednym palcu, potem na drugim, sycąc się wrażeniem.

Niesamowite stworzenie było z tej Džhaniikest. Wiecznie młoda potomkini kapłanki dawno zaginionej przedludzkiej rasy i skrzydlatego boga, którego czciła. Czarodziejka, kapłanka, półbogini – przez wieki żyła w tej wieży, niegdyś świątyni mieszkającej tu rasy. Swą magią zachowała wieżę bez zmian, podczas gdy resztki starożytnego miasta rozpadły się w ruiny, a z państwa śmierci wezwała cienie swego ludu, by jej tu służyły. Bogini bez własnego nieba. A może tu właśnie znajdowało się jej niebo, bo od wieków mieszkała w opuszczonej wieży, zajmując się tak niewyobrażalnymi planami i filozofiami, że tylko starsi bogowie byli w stanie je pojmować. Kane odkrył ją po części przez przypadek przed wielu laty.

Uklękła na swym łożu, podwijając długie nogi, z błoniastymi skrzydłami złożonymi, lecz drgającymi nieustannie, jakby poruszał je niewidoczny wiatr. Poza skrzydłami Džhaniikest nie różniła się wielce wyglądem od człowieka. Jej ciało wyglądało prawie tak, jakby była piętnastolatką, choć kończyny miała nieproporcjonalnie długie, przez co wzrostem sięgała nieco ponad sześć stóp. Jej klatka piersiowa wyglądała nienaturalnie mocno, z potężnymi muskularni, ciągnącymi się od postawy skrzydeł przez barki i boki aż do ostrego mostka. Zarys tej klatki łagodziły małe, jędrne piersi. Całe jej ciało pokrywało srebrzysto-białe futro – tak krótkie i miękkie jak na kocim pyszczku. Na głowie i karku włosy miała długie i faliste – wspaniałą grzywę, której pozazdrościłaby jej każda dworska piękność. Twarz miała wąską, rysy wyraziste, a uszy i podbródek zakończone ostro jak u psotnego alfa. Na srebrzystym futerku błyszczały klejnoty – jedyna jej odzież, nie licząc złotego wysadzanego drogimi kamieniami paska i powiewających jedwabnych szarf.

Najwspanialsze w Džhaniikest były jej skrzydła. Okryte srebrzystym futerkiem nietoperzowe

skrzydła, sięgające od ramienia do biodra, a rozpostarte o rozpiętości dwudziestu stóp. Zwinięte, wyglądały na jej plecach jak gronostajowy płaszcz. Rozciągnięte w locie, połyskiwały, opalizując w słońcu. Nadludzka siła jej zwięzłego, o pneumatycznych kościach ciała łatwo unosiła je w powietrze, gdzie Dżhaniikest mogła godzinami żeglować pod bezludnym niebem. Skrzydlata bogini szczełłego królestwa.

Szafir podobał się Dżhaniikest; zresztą Kane, świadom jej namiętności do błyszczących klejnotów, wiedział o tym z góry. Kamień, jeden z najpiękniejszych, jakie zebrał w ciągu kilku lat kariery bandyckiej, był przecież czymś, co mocą swej magii mogłaby łatwo prześcignąć. Ale w tych latach bogini rzadko składano ofiary i Kane przewidział, jak wielką przyjemność sprawi Dżhaniikest jego dar.

– Cóż tym razem sprowadza cię, Kane, do mego królestwa? – zapytała teraz Dżhaniikest. – Czy będziesz mi nadal wmawiał, że przyjechałeś z tak daleka tylko po to, by ofiarować mi biżuterię i wnieść nieco rozrywki do mego życia? To bardzo pochlebne, ale znam cię aż nazbyt dobrze. Motywy Kane'a nigdy nie są takie, na jakie powołuje się z uśmiechem.

Kane skrzywił się.

– Skromne to podziękowanie za moją rycerskość. Lecz tym razem to rzeczywiście pierścień przywiódł mnie do twej wieży. Pierścień, który wydał mi się znajomy, gdy tylko mu się przyjrzałem. Nie dlatego, bym go kiedykolwiek widział, lecz wydał mi się czymś, o czym już słyszałem lub czytałem kiedyś w przeszłości. Być może zachowałem się pochopnie, nabywając tę błyskotkę, ale jeśli moja pamięć nie zaczyna błędzić, ten pierścień jest bramą do świata, który istniał, nim nastał świt rasy ludzkiej!

W przeszłości, Dżhaniikest, zostawiłem u ciebie kilka rzeczy. Bezcenne przedmioty, które, jak sądziłem, uznasz za interesujące – i o których wiedziałem, że wkrótce je utracę. Pamiętasz, że było wśród nich nieco starych ksiąg – starożytnych dzieł o wiedzy czarnoksięskiej, jakie widziało niewielu z mej rasy. Wydaje mi się, że pamiętam, jak studiując kiedyś te bezbożne manuskrypty, znalazłem wiadomość o pierścieniu z krwawnikiem... a raczej kamieniem podobnym do krwawnika. Jechałem konno przez niemało dni, by odnaleźć ślad tego wspomnienia – choć od dawna planowałem przedostać się tutaj, by złożyć ci znów wizytę.

Dżhaniikest potrząsnęła głową i roześmiała się smutno. – Widzę, że twoja ambicja jak zwykle nie ma granic, Kane. No cóż, wepchnęłam gdzieś wszystkie twoje rzeczy. Te książki zapewne znajdują się na najwyższym piętrze, gdzie je ostatni raz widziałeś, i możesz je później przekartkować. Ale nim zmienisz się w uczonego, najpierw dostarcz mi rozrywki. Wiele czasu upłynęło od chwili, gdy miałam gościa ze świata innego niż mój, a moje tutejsze towarzystwo niewiele rzeczy zaskakująco nowych potrafi powiedzieć.

Później, tejże nocy, Kane podążył za Dżhaniikest na górne piętra wieży, do jednej z sal, w których gromadziła wiele przedmiotów, używanych w jej własnych, niezgłębionych pracach. Znalazłszy poszukiwaną kolekcję zwojów i dziwnie oprawionych kodeksów, Kane usiadł przy oświetlonym lampą stole i zaczął badać źródła, pomrukując pod nosem w miarę czytania.

Dżhaniikest rozwarła okno komnaty. Wdarł się przez nie powiew zimnego górskiego powietrza i rozdmuchał trzeszczące pochodnie do żółtego blasku. Skuliwszy się na gzymsie, kobieta wychyliła się nad przepaścią, nieustraszona na niebezpiecznej podporze. Światło księżycy błyszczało Nrebrem na jej grzywie, przeświecało przez na wpół rozciągnięte, cienkie jak pajęczyna skrzydła, zasłaniające otwór. Cicho zaczęła śpiewać monotony hymn, złożony z wysokich, dzwoniących sylab, zerkając spode łba, czy zwróci tym uwagę Kane'a i czy podejdzie on do niej. Ale siedział dalej z czołem

pofałdowanym niepokojem, skupiony nad rozpadającymi się kartami, pokrytymi tajemniczymi znakami postawionymi tu przez starożytne i niezwykle dłonie – chociaż dwukrotnie zwrócił niewidzący wzrok w stronę jej twarzy, gdy z roztargnieniem sięgał po kolejny tom. Nagle, gdy przeglądał pożółkły wolumin, jego skupienie pogłębiło się. Ostrożnie odłożył na bok *Księgę Starszych Alorri-Zrokrosa* i z zawieszzonego na szyi woreczka wyjął pierścień z krwawnikiem.

Zaśmiał się gardłowo. Śmiechem zuchwałym, triumfalnym, coraz głośniejszym. Śmiechem, który poruszył kurz zgromadzony na wieży przez lata milczenia.

Zaskoczona tym wybuchem Džhaniikest przysunęła się do jego boku i spojrzała nad jego szerokim ramieniem, by odnaleźć przyczynę śmiechu.

– Jest tutaj wszystko... wszystko... tak, jak pamiętałem! – Kane wskazał palcem pożółkłą ze starości kartę. – Moja pamięć nie stępieła przez te lata... chociaż trzeba też wiedzieć, że proza Alorri-Zrokrosa utrwała się w każdym umyśle! Czy potrafisz przeczytać ten charakter pisma? To podrzędnej jakości odpis. Popatrz, tu znajduje się historia pierścienia, opowieść o Ziemi zapomnianej od stuleci i o tych, co mieszkali pod gwiazdami nie znanymi człowiekowi! Tutaj... dzieje Krwawnika! Czy mam ci je odczytać? Czy chcesz usłyszeć o niewyobrażalnej potędze, którą można wyzwolić pierścieniem?

Załamującym się z emocji, ochrypłym głosem Kane przetłumaczył bazgroły księgi. Aż Džhaniikest przerwała mu ostrym okrzykiem zrozumienia.

– Kane! Nie próbuj tego! W tym szaleństwie widzę dla ciebie tylko śmierć! Niech ta starożytna wiedza pozostanie pogrzebana!

Ale Kane nie dał się powstrzymać.

Krwawnik błyszczał... płonął pod naciskiem ludzkiego spojrzenia. Ukryte w jego głębi okiełznane zło migotało, zbudzone nagłą obietnicą świtu.

III. DYPLMACJA W SELONARI

Stukanie zakłóciło rytm pulsowania w jego czaszce, u potem zdało się odpływać – uparte bębnienie, któremu zaczął towarzyszyć piskliwy śpiew. Aż wreszcie z ociąganiem rozpadły się nitki snu i Dribeck zrozumiał, że u drzwi jego komnaty słysząc wezwanie.

– Milordzie! Milordzie Dribeck! Dawno już minęła godzina, o której kazałeś mi siebie obudzić! – To jego szambelan zadawał mu te męki. – Milordzie! Zbliża się południe! Mówiłeś, że musisz wstać przed południem! Milordzie, czy się obudziłeś? Powiedz coś, abym miał pewność...

– Idź do diabła, Asbraln! – wycharczał Dribeck. – Już wstałem.. – Odrzucił futrzane okrycie przy cichnym stukaniu. Usiadł niepewnie i opuścił nogi na podłogę. Pod czaszką zatrzeszczały mu tuziny ostrych jak igły błyskawic. Przycisnął czoło do złożonych dłoni, pochyliwszy się do przodu z łokciami opartymi na kolanach. Ostrożnie zaczął masować głowę, wydając westchnienia zmieszane z przekleństwami i jękami, aż wreszcie ból zaczął ustępować. Pomyślał sobie, że tej nocy coś nieczystego musiało zdechnąć w jego ustach.

Na cycki Shenan! Ależ to była noc! Całe Selonari musiało trwać bezsennie przy takim hałasie! Większość jego szlachty i najemników zasiadła do bankietu. W ostatecznym stadium kociokwiku Dribeck pożałował nieopatrznie opróżnianych pucharów wina. Próba dorównania jego krzepkim wasalom w pijaństwie okazała się katastrofalna, ale znów potrzeba zachowania ich szacunku wymagała, by w ich oczach okazał się mężczyzną jak się patrzy mimo swego niepokaźnego wzrostu. Lecz Dribeck musiał przyznać, że tym razem roztropność nie skaziła pociągającego smaku wina.

Dribeck poczuł, jakby twarz miał umazaną tłuszczem. Odgarnął do tyłu swe sięgające ramion czarne włosy i wygładził skołtunione wąsy. Szczękę miał należycie szczeciniastą, choć ku jego zmartwieniu nawet w dwudziestym ósmym roku życia włosy rosły tu zbyt rzadko, by móc je ułożyć w godną uwagi brodę. To było haniebne – broda bowiem przydałaby jego dość zmizerowanym rysom znamienia siły i buńczuczności. Z pewnością nie były one słabe – kobiety uważały je za całkiem zadowalająco męskie, mężczyźni zaś określali wyraz jego twarzy jako “czujny”, “bystry” lub “chytry”. Było to oblicze wystarczająco mocne jak na władcę miasta-państwa, choć w tych czasach Dribeck wolałby bardziej przerażające.

Drżąc podniósł się na nogi i niepewnie przecisnął przez okalające łożę zasłony. Pentri zachrapała przez sen i potoczyła się w stronę opróżnionego przezeń miejsca. Nadal spała lub dobrze sen udawała – jej wyczerpanie sprawiło mu przyjemność, gdy przypomniał sobie jej drażniący śmiech podczas jego pijanych pieszczot. Spod zmiętych futer wystawało prawie w całości jej miękkie biodro, ale Dribeck powstrzymał odruch poprawienia przykrycia i odszedł od łoża, pozostawiając zasłonę uchyloną. Niech tam Pentri się zaziębi, a Asbraln zamartwi. Klnąc, gdy potknął się o porzuconą garderobę, Dribeck z trudem naciągnął szaty na swe chude ciało i powłócząc nogami podszedł do drzwi.

Asbraln, którego dostał w spadku po ojcu, jego nauczyciel władania bronią i kierowania nawa państwową za młodych lat, wślizgnął się do pokoju swego pana. Pod jego butem chrupnęło szkło, więc z uniesionymi brwiami popatrzył na rozsypane szczątki butelki po winie.

– Oświadczyłeś zeszłej nocy... – rozpoczął. Jego oczy rozszerzyły się na moment, gdy zajrzał za rozsuniętą zasłonę, więc szybko odwrócił wzrok od zakłócającego spokój widoku. – A... oznajmiłeś swój zamiar wczesnego wstania, by porozmawiać z Gerwein, zanim wrócisz do twych gości.

Dribeck skrzywił się kwaśno i zaczął rozcierać sobie kark. W komnacie już zaroilo się od służby, przeszukującej szczątki, by znaleźć dla pana świeżą odzież. Pentri sennym głosem zakłęła i zakopała się w futrach. Rzuciwszy jej zazdrosne spojrzenie, Dribeck poddał się zabiegom służących.

Przyszło mu na myśl, że istnieją lepsze lekarstwa kociokwik, niż pogrążanie się w zawikłanych subtelnościach dyplomacji Selonari.

– Wiesz coś na temat obecnego nastroju lub myśli Gerwein? – spytał szambelana.

Asbraln rozłożył ręce.

– Jest zła... zła i pełna podejrzeń. Ale to nienowa historia. Naszą arcykapłankę niepokoją narastające plotki, że masz zamiar pozbawić Świątynię Shenan zwolnień od podatków, z których korzystała wiele lat. A to ostatnie gromadzenie wojska interpretuje ona jako manifestację siły; wskazówkę, że masz zamiar wymusić opodatkowanie nietkniętych kas Shenan. Myślę, że spodziewa się masowego rabunku bogactw Świątyni... i pewne jest, że cichaczem powiększyła liczebność straży świątynnej.

– Ogromnie jej to pomoże, jeśli zamierza w tej sprawie stawić mi czoło! Ale powinna chyba dać wiarę memu naleganiu, że musimy umocnić nasze siły zbrojne przeciw Breimen. Pokój już od lat był tylko niezdarnym mydleniem oczu, a wszyscy wiedzą, że Malchion od zeszłego roku podwoił liczebność swych najemników.

– Gerwein jest tego świadoma, milordzie. Ale uważa to również za zagrożenie Świątyni. Rozumuje ona, że wydatki na kolejną wojnę z Breimen tylko zaostrzą ci apetyt na ograbienie Świątyni z jej skarbów.

– Uderza mnie, że w jej podejrzaniach zawarta jest pewna sprzeczność – zadumał się Dribeck. – Cóż, porozmawiam z nią, postaram się ułagodzić. Mam się z nią spotkać w Świątyni, co powinna uznać za pewne ustępstwo wobec jej prestiżu. A uspokajając, mogę zacząć jej podrzucać parę myśli na temat konsekwencji agresji Malchiona.

Jej Świątynia ucierpi nie tylko od zniewag sekciarzy, jeśli kapłani Ommema uchwycą władzę w Selonari. Przypuszczam, że jej uchylanie się od opodatkowania będzie mniej zdecydowane, gdy zaczniesz myśleć o tej sprawie jako o świętej wojnie.

Jakoś tam więc uspokoję sprzeciwy lodowatej Gerwein... przynajmniej do chwili, gdy sprowokuje ją kolejna wymyślona obraza. A wracając do mych gości... dzisiejszy program rozgrywek oddaję pod twoje kierownictwo. Zamierzam pożegnać się z Gerwein dość wcześnie, by zdążyć na zawody dzisiejszego popołudnia. Nazbyt wiele razy oskarżano mnie, że jestem naukowcem, abym ryzykował jakiegokolwiek podejrzenie, iż sztuki wojenne nie stanowią istoty mego życia i zainteresowań. Jest coś jeszcze na tyle ważnego, bym musiał wiedzieć o tym dzisiaj?

Nim Asbraln odpowiedział, zawahał się przez chwilę.

– Milordzie, jest człowiek, który prosi o audiencję u ciebie, cudzoziemiec imieniem Kane. Twierdzi, że ma sprawę nader pilną i ważną, którą chciałby z tobą omówić.

Dribeck starannie poprawił wygląd przewiązek przy swej koszuli.

– Omówić ze mną? Zakładam, iż w twojej ocenie sprawa ta nie powinna okazać się dla mnie całkowitą stratą czasu. Oczywiście jest, że musi on na tyle ufać swej zdolności zajęcia mej uwagi, by opłaciło mu się dawać łapówki na wszystkich kolejnych szczeblach, aż do mego szambelana. A więc w twojej ocenie, co to za człowiek i co zamyśla?

Z miną zranionej godności Asbraln wyjaśnił:

– To dziwny człowiek... olbrzym o dzikim wyglądzie, wojownik, ale równocześnie człowiek w oczywisty sposób wykształcony i kulturalny. Nie potrafię określić jego pochodzenia; mówi, że pochodzi z miejsc odleglejszych niż Krainy Południowe. Wątpię, by był z Wollendanu, choć jego rude włosy i błękitne oczy przypominają tamtejszych ludzi. Z wyglądu miałby około czterdziestu lat. Robi wrażenie kogoś niezwykle zdolnego – i niebezpiecznego. Sądziłbym, że jest oficerem najemników – na poziomie o kilka stopni wyższym od przeciętnego – który szuka zatrudnienia.

Wreszcie jedyne, co mi zechciał powiedzieć na temat swej sprawy, było to, że pragnie pokazać ci sposób powiększenia twojej siły zbrojnej ponad twe najbardziej nieokiełznane ambicje.

– Intrygujące – orzekł Dribeck. – Jeśli jego przechwałki oparte są na prawdzie, pojawia się w stosownym momencie. Ale bardziej prawdopodobne, że albo brak mu piątej klepki, albo jest oszustem – albo wreszcie mordercą nasłanym przez Malchiona... czy może Gerwein? Ale pomijając te możliwości, mogę poświęcić kilka minut, by go posłuchać. Z tego, co powiedziałaś, może się okazać, że jego miecz jest wart nabycia, jeśli nie będzie żądał zbyt wysokiej ceny za swoje usługi. Załatw, by tego Kane'a przyprowadzono do mnie podczas zawodów. Człowiekowi jego stanu nie muszę udzielać formalnej audiencji. I postaraj się, aby w mej obecności był pod ścisłym nadzorem. Jeśli to morderca, musi mieć świadomość, że jego zadanie równa się samobójstwu.

Z dużymi wątpliwościami co do stanu swego żołądka Dribeck zmusił się do spróbowania śniadania, z nadzieją zastawionego przez służących.

IV. OBCY PRZYNOŚI DARY

Rytmicznym staccato strzały wbijały się w drewniane cele. Każdemu wystrzałowi głuchym echem towarzyszyły okrzyki zarówno widzów jak łuczników, nieskładny chór wiwatów, przekleństw, kocięj muzyki i dobrych rad. Nastrój panował pogodny, a kwaśny odór piwa powodował, że chłodne powietrze nad polem marsowym Selonari szło do głowy jak napitek. Gdy Lord Dribeck powrócił ze Świątyni Shenan, zakłady w turnieju doszły już do poważnych wysokości.

Rozmowa z arcykapłanką przebiegła nieco łatwiej, niż się spodziewał, choć Dribeck nie łudził się, by Gerwein opuściły podejrzenia czy ambicje. Niemniej każdy kolejny dzień odwlekający ich konfrontację był krokiem ku zwycięstwu Dribecka i jego popleczników. Poczawszy się pewniej, pozdrowił swych gości z odpowiednią do sytuacji niedbałą szorstkością i wlał w siebie puchar pienistego piwa, by ulżyć gardłu, wyschniętemu wskutek nudnego spotkania z Gerwein. Jego żołądek zaburczał, protestując, nim się uspokoił, bo Dribeck nienawidził smaku piwa. Lecz alkohol nieco złagodził jego uporczywy kociokwik i Dribecka zaczął ogarniać świąteczny nastrój popołudnia. W otoczeniu paru swych najbliższych popleczników wmieszał się w tłum gości, wymieniając głośne pozdrowienia i przyjmując brawurowe zakłady. Nawet zaczął interesować się wynikami zawodów łuczniczych, ale zbliżył się Asbraln, by mu przypomnieć o prawie zapomnianym ter-I minie spotkania.

Gdy Asbraln przedstawił cudzoziemca, Dribeck zwrócił ku niemu twarz z miną uprzejmego zainteresowania, równocześnie w myśli oceniając wartość tego człowieka. Potężną postacią był ten Kane o ciężkiej, mocarnej budowie, z którą ostro kontrastowała dzika gracia jego ruchów. Nader brutalne rysy jego twarzy mimo wszystko potrafiły wyrazić wysoki stopień inteligencji, uchwytny dla spojrzenia dość wnikliwego, by ją dostrzec pod powłoką barbarzyństwa. Oczywiście... było coś mrozącego w ich błysku, jakieś odbicie zimnej bezwzględności, jeszcze umacniającej wrażenie odniesione przez Dribecka. Kane był zaciekłym wojownikiem, który wyrąbał sobie drogę wśród wielu bitew i trudów, a jego postawa wskazywała, że częściej rozkazywał, niż słuchał. W jakimkolwiek kraju walczył ostatnio, opuścił go nie bez majątku: nosił odzież z czerwonej wełny i czarnej skóry nabijanej srebrnymi guzikami. Choć nienowa, nie była jednak przyodziewkiem zwykłego najemnika; nie był też taki jego miecz, którego rękojeść – niewątpliwie robota carsultyalska – wystająca nad jego prawym barkiem, zdradzała klingę dobrej jakości.

Pod wpływem nagłego impulsu Dribeck wyciągnął rękę. Nadgarstek, którego dotknęły jego palce, był gruby od ścięgien i mięśni, podczas gdy kiść samego lorda zamknięta została w uchwycie długich palców z umiarkowaną siłą. Dribeck pomyślał bez przyjemności, jak mocno ten uchwyt może zacisnąć się w złości. Cofnął dłoń i gestem polecił służącemu podać nowo przybyłemu piwo.

– Kane przybywa, przynosząc dary – wtrącił dwuznacznie Asbraln. Ważąc z obawą w rękę tom oprawiony w popękana skórę, zastanawiał się, czy poplamiona oprawa może skrywać jakiś nieprawdopodobny plan morderstwa. – Tę księgę – wyjaśnił niezręcznie, podając ją swemu panu. W roztargnieniu wytarł dłonie o swe krępe biodra, pozostawiając na żółtej wełnie niewyraźne szarawe smugi.

Pod badawczym spojrzeniem Kane'a Dribeck otworzył tom i skupił uwagę na znakach obcego alfabetu. Jego chudą twarz rozjaśnił pełen entuzjazmu uśmiech zrozumienia.

– Popatrz, Asbraln! To *Podstawy suwerenności* Laharby-na, i to w oryginalnej wersji carsultyalskiej! Sądząc z charakteru pisma, wczesna kopia!

– Pomyślałem, że możesz uznać pracę Laharbyna za interesującą – wtrącił swobodnym tonem Kane. – Znane jest twoje zainteresowanie wyższymi sztukami, przypuściłem więc, że na przywitanie książka ta może ci sprawić przyjemność. Szczególnie, że prace z epoki chwały Carsultyalu rzadko

docierają aż tak daleko na zachód. Laharbyn zanotował parę interesujących uwag na temat konsolidacji władzy państwowej... Widzę, że potrafisz czytać po carsultyalsku.

– Kulawo – przyznał Lord Dribeck. – Uczyłem się sześciu wielkich języków. Jestem ci wdzięczny, Kane – to nieoczekiwany skarb! Laharbyna znam głównie z plagiatorskiego *O władaniu Ak-Commena*. Będzie to pożyteczny nabytek do mej biblioteki.

Przypomniawszy sobie, że trwają zawody, Dribeck opamiętał się i polecił Asbralnowi, by księgę umieszczono w jego komnatach. W takim otoczeniu goście niechętnie widzieliby jakikolwiek objaw innych zainteresowań. Dawszy Kane'owi znak, by mu towarzyszył, zaczął znowu przepychać się przez tłum zgromadzony wokół pola. Jego myśli pochłaniała osoba cudzoziemca. Był to dziwny prezent, gdy pochodził od człowieka profesji Kane'a. Być może jest on osobnikiem wyjątkowej bystrości i smaku – nie wszyscy wędrowni najemnicy byli niepiśmiennymi barbarzyńcami. Ale biorąc pod uwagę sytuację polityczną, w jakiej się znalazł w Selonari, Dribeck uznał ofiarowanie klasycznego traktatu na temat *Realpolitik* za aluzję o głębszym znaczeniu. Popołudnie zapowiadało się bardziej interesująco, niż sobie wyobrażał.

– Intrygujesz mnie, Kane – przyznał Dribeck. Idący przy nim krok w krok cudzoziemiec kiwnął głową z ironicznym uśmiechem. – Oczywiście jest, że dołożyłeś wysiłków, aby to spotkanie doszło do skutku, i zastanawiam się czemu. Każdy z moich oficerów zapłaciłby dobrze za twój miecz, choć wątpię, by twoje ambicje były aż tak prostolinijne. Asbraln powiedział mi, że napomknąłeś o jakimś sposobie wzmocnienia mojej armii.

– Nie przesadzano, mówiąc o twej przenikliwości – zauważył Kane. Wypowiadał się w miejscowym języku Krain Południowych bez śladu obcego akcentu, choć jego precyzyjna, niemal pedantyczna frazeologia wskazywała, że nie jest to jego język ojczysty. – Niech mi będzie wolno odwzajemnić się stwierdzeniem, że intryguje mnie Selonari i jego władca. Żyję z mego miecza – i mego rozumu. W tej chwili jestem sam sobie zwierchnikiem, ale zbliżam się do wyczerpania zysków z mej ostatniej imprezy, choć w przeszłości walczyłem pod sztandarami największych władców – a także raz czy dwa pod własnym.

Na moje usługi wyznaczam wysoką cenę, bo oceniam ich wartość na podstawie wielu lat i wielu kampanii – a takie doświadczenie pozwala wygrać bitwy w polu i w pałacu. Kocham grę i starannie wybieram, komu zaofiarować mój miecz. Krótko mówiąc, poszukuje takich bitew, w których przygoda ściga się o pierwsze miejsce z nagrodą. Przygoda, by rozproszyć moją nudę, nagroda zaś, by nasycić moją ambicję... Władcy, który zdolny jest zaspokoić te motywacje, ślubuję mój miecz i mądrość wyniesioną z niezliczonych walk, które zahartowały jego ostrze. I pewien jestem, że rozmawiam w tej chwili z takim właśnie władcą.

W kołach, w których się obracam, dobrze wiadomo, że Lord Dribeck z Selonari pragnie pomnożyć liczbę wojowników swej armii, jakoby dla zabezpieczenia przed inwazją przez północną granicę ze strony Breimen. Motyw nader rozsądny, ponieważ Lord Malchion z Breimen również dobrze płaci za najemne miecze i nie jest żadną tajemnicą, że ludzie z Wollendanu pragną rozciągnąć swe władanie na bułę Krainy Południowe i w głąb Zimnego Lasu. Ale niektórzy znów mówią, że Selonari musi najpierw podbić Selonari, zanim mogłoby zwrócić wzrok w stronę Breimen. Władca Selonari jest młody – wstąpił na tron swego brata, mim osiągnął pełnoletniość. A pod regencją, która nastąpiła po przedwczesnej śmierci brata, chwiejne fundamenty władzy centralnej stały się jeszcze bardziej niepewne w tym mieście-państwie. Szlachta Selonari jest potężna, a Świątynia Shenan tęskni do odzyskania roli centrum władzy. Tak mniej więcej rozmyślają ludzie w tawernach i koszarach w całych Krainach Południowych.

Krótko mówiąc, ludzie sądzą, że sytuacja Lorda Dribecka jest beznadziejna, pozycja może nie

do utrzymania – szczególnie od czasu, gdy krążyła plotki, jakoby chciał ustanowić się władcą absolutnym w Selonari pomimo przeciwnych życzeń pewnych potężnych rodów oraz Świątyni Shenan.

– Jeśli oceniasz moją sytuację jako beznadziejną, czemu przybyłeś tutaj? – spytał z nutą gniewu Dribeck.

– Ależ nie oceniam – pośpieszył z odpowiedzią Kane. – Powtarzam tylko pogłoski, które musiały dojść i do ciebie. Bardziej podziwiam człowieka umiejącego rządzić raczej siłą rozumu niż swych żołnierzy. I lubię hazard. Walka po stronie władcy, którego zwycięstwo jest niemal pewne od samego początku, nie jest żadną przygodą – i nie przynosi zysku. Władca, którego władza jest zagrożona... dobrze płaci za siłę, której potrzebuje, by przechylić szalę na swoją korzyść. Czyżbyś więc kwestionował tę logikę, która przywiodła mnie do Selonari?

– Nie będę przeczył, że wiele z tego, co zauważyłeś, odpowiada prawdzie – powiedział Dribeck po krótkiej, milczącej przechadzce. – Ale wydaje się, Kane, że wyznaczasz bardzo wysoką cenę za swe usługi. Twoje imię nie jest mi znane; przybywasz bez innych listów uwierzytelniających niż dumne czoło i gładki język. I ciągle jeszcze nie jestem świadom, co proponujesz dokonać i za jaką cenę.

Dribeck przeszkodził Kane'owi odpowiedzieć, zatrzymując się, by obejrzeć łuczników. Zawody zbliżały się do finału. Cele – sylwetki ludzkie naturalnej wielkości namalowane na deskach – cofnięto o ponad sto jardów i tylko niewielu z początkowej liczby zawodników pozostało na placu. Ocena zasadała się na tradycyjnych wartościach, przypisywanych poszczególnym częściom ciała; wyższa punktacja dotyczyła okolic stanowiących o życiu i śmierci, najwyższa serca i oczu. Ponieważ stawać mógł każdy, zawody rozpoczęła wielka liczba łuczników – w większości biorących udział tylko dla rozrywki i niewielkich zakładów między sobą. Ale w miarę, jak trwały eliminacje, pozostali tylko najsprawniejsi strzelcy wyborowi, by współzawodniczyć o hojną nagrodę, a zakłady rosły podniecająco.

– Czy jesteś łucznikiem, Kane? – zapytał nagle Dribeck.

– Potrafię się obronić – odparł niedbałym tonem.

– Tam stoi mój kuzyn Crempra – ten trzeci od lewej, w brązowym ubraniu i wysokich butach. – Dribeck wskazał szczupłego młodzieńca, nie zdradzającego podobieństwa rodzinnego. Crempra, który musiał być nieco starszy, niż wyglądał, schodził z linii zde gustowany. – Ta ostatnia strzała kuzyna kosztowała mnie trochę pieniędzy. Byłem pewien, że znajdzie się w pierwszej piątce – powinienem był się zakładać o pierwszą dziesiątkę, ale Crempra powiedział mi, że jest w dobrej formie. Tak czy inaczej było to ponad jego możliwości, ale szansę całkiem wysokie. Słuchaj, czy możesz z tym łukiem lepiej dać sobie radę, Kane?

Kane odpowiedział ostrożnie, zastanawiając się, do czego to prowadzi.

– Z łukiem dobrze mi znanym mógłbym walczyć na tym polu. Ale z nieznanym...

– Broń Crempra jest doskonałej jakości – orzekł Dribeck i gestem przywołał kuzyna. – Możesz mieć parę próbnych strzałów, by się z nią zaznajomić. Jesteś tu nieznanymi, a to daje świetną okazję do dodatkowych zakładów... chyba że nie jesteś pewien, czy potrafisz...

– Do diabła, a czego ma dotyczyć zakład? – zapytał Kane, zrozumiawszy, że wycofanie się nie byłoby najlepszym wyborem.

– Że potrafisz dorównać w punktacji pięciu finalistom – serią dziesięciu strzał na pełny dystans. Bez stawiania do wszystkich kolejnych rozgrywek; z pewnością znajdziemy masę zakładających się, którzy postawią przeciw nam. Czy się nie boisz?

– Czemu by nie? – zgodził się Kane, gdy przyłączył się do nich Crempra. Kiedy Dribeck

wyjaśniał kuzynowi, w czym rzecz, Kane oglądał łuk. Był to, jak ocenił, doskonały sprzęt, ciężka broń średniej długości, typu ulubionego we wszystkich Krainach Południowych. Tu bowiem, w lasach, jego siła czyniła go użytecznym w polowaniu lub bitwie, choć był zbyt nieporęczny dla kawalerii.

Crempra nie ukrywał wątpliwości, ale przyjął rzecz obojętnie. Ponaglany przez Dribecka, wmieszał się wraz z Asbralnem w tłum przyjmujących zakłady, sam zaś lord wydał polecenia dotyczące rozgrywek. Dribeck nastawiony był entuzjastycznie – ryzykował w zakładach stosunkowo niewiele złota. Jeśli Kane wygra, Dribeck zyska na prestiżu jako popierający. Jeśli przegra, znajdzie się w trudniejszej sytuacji do targów z Dribeckiem.

Zadowolony z przygotowań Dribeck rozsiadł się, by śledzić rozwój wydarzeń, uniósłszy ufnie kanciastą szczękę, a puchar piwa trzymając swobodnie na wysokości pasa. Zawody łucznicze wreszcie dobiegły końca, dwaj finaliści wystrzelili już ostatnie strzały. Salwa oklasków powitała zwycięzcę – wollendańskiego kapitana w służbie Ovstała – ale już wieść o zakładzie Dribecka zwróciła ogólną uwagę na kolejną atrakcję. Wielu znajomych lorda oddzieliło się od tłumu rojącego się przy zwycięzcach, by wypytać Dribecka o nieznanego. Sędziowie szybko obliczyli minimalną punktację, wymaganą do wygrania zakładu; zawody były dobrze obsadzone i pięć najlepszych wyników było wysokich. W oczekiwaniu na kolejne rozgrywki zainteresowanie skupiło się na wniosku Dribecka.

Dobrze się zapowiadało. Dribeck, lekkomyślniej niż zwykle, pozwolił sobie dać się ponieść ogólnym nastrojom. Tajemniczymi aluzjami wymijał pytania o Kane'a i jakoś udało mu się równocześnie stworzyć wrażenie, że jego zakład był zarówno nagłym kaprysem, jak wykalkulowanym przedsięwzięciem. Nie był to dzień właściwy dla trzeźwych rozważań. Dribeck był namiętnym hazardzistą, to wiadome było od dawna. Coraz żywiej czyniono zakłady.

Zlekceważona początkowo myśl podpowiedziała lordowi, że na nie wypróbowane zdolności Kane'a postawiono więcej pieniędzy, niżby sam chciał, bo jakoś dał do zrozumienia, że wie o wiele więcej o cudzoziemcu, niż naprawdę wiedział. Ale nie o to już chodziło. Niemniej cień niepokoju zaczął ogarniać Dribecka, gdy oglądał próbne strzały Kane'a. Cudzoziemiec odłożył miecz, by mieć pełną swobodę ruchów. Postawę miał zdecydowaną; łuk Crempry giął się łatwo pod naciskiem jego masywnych ramion. Ale strzały padały z dużym rozrzutem, beładnie uderzały w cel, niektóre przelatwały obok lub nie donosiły.

Dribeck optymistycznie tłumaczył sobie, że Kane ustala punkt celowania, zaznajamiając się z łukiem. Wtem sędziowie ogłosili, że rozgrzywka się zaczyna, i Kane wybrał dziesięć strzał. Ludzie wlepili oczy w łuczника i jego cel, pośpiesznie kończąc zakłady.

Pierwsza strzała Kane'a trafiła sylwetkę w środek piersi. Dwie następne w serce. Czwarta sterczała z gardła. Dwie kolejne wbiły się w oboje oczu. Jeszcze jedna dokładnie między nimi. Nim wystrzeliła dziesiąta, jedynym tematem dyskusji było rozważanie, czy strzała została wymierzona krocze umyślnie, czy nie.

Wybuch ochryplych okrzyków powitał ostatni strzał. Niebywale objętości garście monet błyszczały i dzwoniły, opuszczając niechętnie mieszki, by trafić do chciwych rąk. Pełen przerażenia aplauz mieszał się z okrzykami protestu, starsi zaś widzowie spierali się o legendarne zawody, które jakoby przyciągały łuczników o większych umiejętnościach.

– To naprawdę doskonały łuk – orzekł Kane, zwracając broń Cremprze. – Gdybyś zdecydował się go sprzedać, byłbym zainteresowany rozmową na ten temat. – Crempra przyjął broń z gorzkim uśmiechem – stawiał przeciw Kane'owi.

– Znakomite strzelectwo! – pogratulował Dribeck, przyglądając się kątem oka, jak Asbraln

zgarńia dla niego rosnącą górę monet. – Zastanawiałem się, jak to się skończy, patrząc na twoją rozgrzewkę.

Nie miało sensu odstraszenie zakładających się – wyjaśnił Kane, co nie w pełni zgadzało się z prawdą.

Wraz z dalszymi rozgrywkami w kolejnych dyscyplinach wrzawa stopniowo cichła. Przystawiano cele do zawodów w rzucaniu nożami i oszczepami; gdzie indziej przygotowywano boiska dla zapasów. Nastąpiły też inne, nie planowane wcześniej walki, ale żadna nie skończyła się z poważną szkodą dla stawających. Było to wspaniałe popołudnie, a Dribeck poczuł, że w miarę opróżniania kolejnych pucharów piwa ogarnia go niezwykle rozbawienie. Do zmroku zaleje się w drobny mak, ale nie będzie sam, a to było cudowne popołudnie.

– A więc, Kane, jeśli masz inne talenty równie błyskotliwe jak celność strzałów, gotów jestem dobrze zapłacić, by je pozyskać – wykrzyknął między kolejnymi toastami. – Więc czego pragniesz? Oczywiście stanowiska dowódczego. Załatwione. Czy mam ci dać dowództwo kompanii? To łatwe – codziennie przybywają do Selonari nowe oddziały najemników, a ja potrzebuję doświadczonych oficerów. Jeśli okażesz się wart tyle, ile twoja własna rekomendacja, masz wszelkie szansę awansu. Poszukuję zdolnych ludzi do mego sztabu i przekonasz się, że potrafię równie szybko na tym się poznać, jak wynagrodzić.

– Twoja propozycja jest nader hojna – odrzekł łagodnie Kane, dając do zrozumienia swym zachowaniem, że przyjęcie jej będzie uważał za osobistą uprzejmość. – Ale, jak wspomniałem, mam nadzieję pomówić na tematy ważniejsze niż stopnie wojskowe – w sprawach o znacznie większym znaczeniu dla twojej władzy.

– O? – Dribeck zorientował się, że zainteresowania Kane'a były znacznie bardziej złożone, niż gdyby dotyczyły tylko zwykłych starań o urząd. – Wracamy do tajemniczych planów uczynienia mojej armii niepokonaną w bitwie? Sądziłem, że tylko próbujesz zaimponować Asbralnowi.

– Ta rzecz nie jest przeznaczona dla wszystkich uszu – oświadczył Kane, gestem obejmując otoczenie.

Dribeck odrzucił już myśl, że Kane może okazać się mordercą. Dał znak swym gwardzistom, by się usunęli. Wycofawszy się samemu z napierającego tłumu, oparł się o odwróconą beczkę po piwie i spojrział pytająco na cudzoziemca.

– Jestem człowiekiem nader uczonym – zaczął Kane.

– Owszem, robiłeś co tylko można, by wyrzucić na mnie takie wrażenie.

– Chciałem w ten sposób umocnić prawdopodobieństwo tego, co mam ci do zaproponowania – wyjaśnił Kane, lekko marszcząc brwi. – Jesteś inteligentnym... głośnym uczonym. Traciłbym tylko czas, gdybym cię nie przekonał, moje pomysły opierają się na głębokich studiach – na nauce, a nie ignoranckich przesądach.

Teraz już całkiem zdezorientowany co do intencji Kane'a, Dribeck wzruszył ramionami.

– Zgoda, przyznaję, że jesteś dobrze poinformowany. Ale do rzeczy.

– Spędziłem wiele czasu w Carsultalu – kontynuował Kane. – Jego dni chwały dawno przeminęły, to prawda, ale kraj ten był centrum badań starej wiedzy przez człowieka. Większość "odkryć", na których ludzkość zbudowała cywilizację po upadku Złotego Wieku, była w rzeczywistości ponownym odkrywaniem wiedzy obcych, zbieraniem resztek na śmietniskach zaginionej przedludzkiej cywilizacji.

– Ta prawda niemal zanikła w świadomości powszechnej – potwierdził Dribeck. – Człowiek wie, że pojawił się na Ziemi jako zupełnie dojrzały gatunek, ale w swej pysze zapomniał, z jakich przyczyn jego dzieciństwo było tak krótkie. Owszem, znam wielkie prace wykonane w Carsultalu.

Czytałem o fantastycznych odkryciach owych wczesnych ludzi – gigantów, którzy zgłębili tajemnice starszej Ziemi, by z dnia na dzień zbudować cywilizację na ruinach przedludzkich. Mam nawet w mej bibliotece dwa tomy Kethrida, włącznie z opisem wodowania *Yholsal-Monyr* i jego podróży dla zbadania starożytnej Ziemi. To tragedia, pełna relacja owej podróży badawczej pozostaje nie znana historii.

– Tragedia? Ależ Kethrida uwiodła poezja tajemnicy – zadumał się Kane.

Lecz porzucił tę nową ścieżkę myśli i kontynuował:

– Dobrze! A więc większość z tego, co mam zamiar ujawnić, nie jest ci obca. Czy znasz *Księgę Starszych Alorri-Zrokrosa*?

– Słyszałem o niej – przyznał Dribeck – choć nigdy nie widziałem żadnego egzemplarza ani nie rozmawiałem z nikim, kto by znał tego autora. Wielki zamysł Alorri-Zrokrosa ułożenia historii przedludzkiej Ziemi był genialną koncepcją. Zapal, z jakim prowadził swe badania – mówili jego współcześni – przyniósł bezbożne rezultaty. Wskutek tego niewiele poświęcono starań, by zachować te prace dla tych, którzy pragnęliby pójść jego śladem.

– Czytałem Alorri-Zrokrosa – oświadczył Kane. – Znam dobrze jego księgę i szanuję starożytną wiedzę, którą odkrywa na jej kartach. Wiedza jest narzędziem – czarna wiedza niebezpiecznym narzędziem, niemniej jednak źródłem potęgi dla tego, kto użyje jej ostrożnie.

Kane przerwał, pogrążywszy się w myślach. Dribeck wpatrywał się w niego z zainteresowaniem zmieszonym z lękiem. Przez myśl przelatywały mu tuziny szalonych domysłów. Nie wątpił w zapewnienia Kane'a. Cudzoziemiec dowiódł, że ma moc ujawniania spraw zdumiewających.

– Czytałem w *Księdze Starszych* o starszej rasie, zwanej Krelran – kontynuował Kane – i o jej zrujnowanym mieście, znanym człowiekowi pod nazwą Arellarti.

I nagle Dribeck poczuł, jakby z otaczającego ich popołudnia uleciało ciepło i znajome śmiechy. Nie była to zmiana fizyczna. Po prostu subtelny i duszący woal zdawał się oddzielać ich od światła słonecznego, od hulających ludzi, od radosnego, dobrego samopoczucia sprzed ledwie chwili. Poirytowany tym nagłym chłodem Dribeck bezskutecznie próbował go rozproszyć sceptycznymi myślami. Niespodzianie po raz pierwszy zwrócił uwagę na dziwaczny pierścień, luźno wsunięty przez Kane'a na palec lewej ręki – krwawnik, wielki nawet w porównaniu z jego potężną pięścią.

– A co mędrzec miał do powiedzenia na temat Arellarti? – spytał niespokojnie Dribeck.

– Bardzo wiele rzeczy, które cię interesują, biorąc pod uwagę, jak blisko jest z Selonari do ruin. Krelranie byli zagadką nawet dla tajemniczych, starszych ras przedludzkiej Ziemi. Alorri-Zrokros niewiele miał do powiedzenia na temat ich pochodzenia, cywilizacji, pozycji zajmowanej u zarania dziejów. Nie byli pochodzenia ziemskiego; jak inni w tej epoce, przybyli spoza gwiazd – skąd, jak i dlaczego, nie wiadomo. Niewielu było Krelran; zgodnie z tym, co ludziom udało się odkryć, zbudowali tylko jedno miasto: Arellarti. W owych czasach starożytne morze wcinało się głęboko w Ziemię Południową, Arellarti zaś stało na wyspie ogromnej zatoki śródlądowej. Alorri-Zrokros opisuje je jako zdumiewającą i imponującą fortecę, która istniała niedługo tylko czas, nim upadła.

Bo dla Krelran Ziemia okazała się wrogą planetą. Nawet pomimo swej izolacji zostali wciągnięci w wojny starszych ras. Dziwnym uzbrojeniem dobrze bronili swej stolicy; nieludzka wiedza, która doprowadziła ich tutaj spoza gwiazd, pozwoliła im opanować siły, przekraczające ludzkie wyobrażenie. Lecz jakakolwiek wielka była ich moc, ich wrogowie byli potężniejsi. Arellarti zostało zniszczone w pierwszym wieku swego istnienia – przez Scylredi, jak twierdzi Alorri-Zrokros. Krelranie nigdy nie podnieśli się z klęski; garść, której udało się przeżyć, zamieszkała pod osłoną lasów nadbrzeżnych. Starożytne morze cofało się, aż Arellarti stało się zagubioną wyspą

wśród wielkiego, słonego bagna, obecnie zwanego Kranor-Rill. Do dziś skrywają się wśród bagniska i wśród porośniętych pnączami ruin zdegenerowane resztki rasy krelrańskiej... zezwierzęcone, żyjące w mule antropoidy, które nazywacie Rillyti.

Dribeck zakołysał się do tyłu na beczce po piwie, ocierając dłonie o kolana.

– Nie wszystko, co mówisz, jest nowością dla nas tutaj, w Selonari – podkreślił. – Granice Kranor-Rill leżą o jeden długi dzień konnej jazdy od naszych murów, na południowej krawędzi naszych dziedzin. Choć mój lud nie jest biegły w legendach starszych ras, znamy Rillytich. Bestialskie potwory... wyższe wzrostem od człowieka, lecz ciała mają ziemnowodne, głowy ropusze. Są na wpół inteligentne; walczą kutymi narzędziami, mają coś w rodzaju języka. Niebezpieczne bestie, ale na szczęście rzadko się zdarzą, by któraś zawędrowała poza granicę ich moczarów. A w Kranor-Rill mogą sobie siedzieć! Tak, to najzdradliwsza płatanina mułu i błota, pnączy i cyprysów, owadów i robactwa, jaka kiedykolwiek plugawiła dobrą ziemię. Bagnisko jest praktycznie nie do przebycia, a niedaleko od jego południowego skraju zaczyna się Zimny Las. Nie ma więc dostatecznej przyczyny, by podróżować nawet wokół Keanor-Rill.

Co do Arellarti zaś, nasze legendy opowiadają różne historie o zaginionym mieście, leżącym w ruinie wewnątrz Kranor-Rill. I mówi się, że zostało ono dawno temu; zbudowane przez Rillytich i że do dziś używają jego rozwalisk jako świątyni dla swych plugawych obrzędów. Zdarza się, że niekiedy wypelzają stamtąd i porywają jakąś dziewczynę z pobliskich farm. Niewielu ludzi odważyło się stawić czoło bagnisku i jego wstrętnym mieszkańcom, by szukać zaginionego miasta Kranor-Rill; jeszcze mniej powróciło, by móc opisać swe przygody. Niektórzy twierdzili, że dostrzegli Arellarti; ich opowiadania są całkiem rozbieżne: jedni twierdzą, że jest to miasto błyszczące od złota, inni, że tylko leżący w uścisku pnączy chaos potrzaskanych kamieni.

Tak więc Kranor-Rill to śmierdzące siedlisko kurzawki i zarazy, którego unikają mądrzy ludzie. Rillyti są niebezpieczni, lecz rzadko ich się widuje, bo unikają suchych terenów leśnych. Niewarci nawet tego, by ich wytepić – gdyby to było możliwe. Wilki, pantery... oto prawdziwe niebezpieczeństwa grożące tym, którzy mieszkają za murami.

Cóż, twoja opowieść o zapomnianej przeszłości Arellarti jest ciekawa, Kane. Wobec tego jest być może coś z prawdy w ponurych i niepokojących legendach o Kranor-Rill. W każdym razie potrafisz tej cieszącej się złą sławą okolicy i jej mieszkańcom przydać aury starożytnej świetności. Ale jakie znaczenie do tego przywiązujesz? Jaki wpływ mają przedludzkie dzieje na moją obecną sytuację?

Kane, zajrzawszy do opróżnionego pucharu, odpowiedział zniżonym głosem:

– Być może bardzo wielki. Wiemy, że Arellarti było twierdzą wysoko rozwiniętej cywilizacji. Uzbrojenie Krelran było niszczące ponad ludzkie wyobrażenie. Więc przypuśćmy, że uzyskasz dostęp do takiej potęgi... wyobraź sobie, że broń Krelran mogłaby posłużyć twojej armii!

– Absurd! – ocenił Dribeck, choć jego twarz wyrażała zainteresowanie. – Jakimikolwiek broniami dysponowali Krelranie, od wieków już rozpadły się w kupy skorodowanego pyłu.

– Nie byłbym tego tak pewien – zauważył Kane. – Alorri-Zrokros daje do zrozumienia, że wiele z tego, co było wiedzą Krelran, leży zachowane w ruinach Arellarti, że ich najpotężniejsze uzbrojenie zachowało się po upadku miasta! Starsze rasy władały niezgłębionymi tajemnicami o nieobliczalnej potędze! Czyż wobec tego aż tak nieprawdopodobne jest, że niektóre z ich twórców mogły oprzeć się tchnieniu czasu... że istnieją do dziś nieliczne artefakty krelrańskiej nauki, którym brak tylko dotknięcia rozumu, by ożyły? Mówię ci, Lordzie Dribeck, że spędziłem lata na studiowaniu wielkich prac ludu Carsultyal i innych świątłych umysłów! Jestem nie tylko przekonany, że pewne bronie Krelran zachowały się w Arellarti, ale jestem też pewien, że potrafię odkryć

tajemnicę ich działania!

– Oba te zamysły mają straszliwie małe szansę powodzenia – zauważył Dribeck, teraz już wyraźnie zaintrygowany argumentacją Kane'a.

– Ale stawka jest znacznie większa, niż trzeba, by usprawiedliwić próbę. Jeśli uda mi się odkryć choćby kilka z ich broni... jeśli potrafię uruchomić ledwie maleńką cząstkę ich starożytnej mocy... pomyśl, jaką wartość miałyby to dla twojej armii. Prestiż, strach przed nieznaną siłą! To by ci zapewniło przywództwo w Selonari, a Malchion długo by się namyślał, nim zaryzykowałby rzucenie swych wojsk przeciw takiej potędze!

– W dzisiejszych czasach Arellarti jest dobrze strzeżone przed wtargnięciem – zwrócił uwagę Dribeck, równocześnie myśląc gorączkowo. Rozbrzmiewający w jego umyśle spokojny głos logiki został zlekceważony.

– Będzie to trudna... niebezpieczna misja, to przyznaję. Moja propozycja brzmi następująco... poprowadzę mały oddział dobranych ludzi, dobrze uzbrojonych do walki zarówno z bagnem, jak Rillytami, i wejdę z nimi w głąb Kranor-Rill. Alorri-Zrokros wspomina, że istnieje tam jakaś ścieżka. Już przeprowadzałem ludzi przez "nieprzebyte" moczary i toczyłem walki z podstępными krajowcami, uzbrojonymi w zatrute strzały i zdradliwe pułapki. Z punktu widzenia logistyki problem jest podobny i można mu przeciwstawić stosowne wojskowe rozwiązanie. Wejdziemy do Arellarti i odgrzebiemy tajemnice ukryte w jego ruinach.

Co znajdę, przyniosę do Selonari. I będziesz miał broń starszej Ziemi do dyspozycji.

– A co ty będziesz miał, Kane? Cudzoziemiec roześmiał się.

– Przygodę... to na pewno. I wierzę, że twoja wdzięczność i zaufanie skłonią cię do wynagrodzenia mnie wysokim stanowiskiem. Nie będę wiecznie młodym... Mam nadzieję, że lata spędzone na walce w cudzych wojnach przyniosą mi coś więcej niż wyszczerbiony miecz.

Jego głos pobrzmiwał drwiną, ale Dribeck doskonale zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z ambitnym człowiekiem.

– Pomyślę o tym bardzo poważnie – przyobiecał. – Oczywiście zorganizowanie i przeprowadzenie twojej wyprawy napotka niezliczone problemy, a nadal mam wątpliwości, czy mogę ją poprzeć. – Ale zarówno on, jak i Kane wiedzieli, że propozycja już opanowała jego wyobraźnię. Opierała się na małych szansach, być może nawet beznadziejnych, ale małe szansę dawały bardzo wysokie zyski w zamian za ryzyko minimalnych nakładów. Broń i wyposażenie były w ogromnej części własnością najemników... a śmierć najemnika nic nie kosztowała.

Zamyślony Dribeck z pomrukiem zsunął się z beczki, by zmieszać się z hulającym tłumem. Ale nie potrafił już wzbudzić w sobie nastroju beztroskiej zabawy.

V. GNIJĄCY KRAJ

Daleko na południe od Selonari ciągnął się majestatyczny las. Niebieskozielone morze olbrzymich drzew, splamionych coraz większymi łatami bieli, w miarę jak docierał do kamienistego brzegu – Zimny Las, gdzie ścieżki wiodące do Morza Lodowatego rzadko deptała stopa ludzka. Ale pochód puszczy nie odbywał się bez przeszkód. Tuż na południe od Selonari rozrastał się rak. Ropiejący wrzód niszczył dziesiątki mil Ziemi Południowych, połykał jasne, górskie rzeki karmiące jego chorobę, sączył się jak ropna przetoka w ranie przez góry Mniejszych Ocalidad aż do Morza Zachodniego. Gnijący kraj. Kranor-Rill.

Koło Kranor-Rill puszcza słabła. Dumne, strzeliste pnie ustępowały miejsca cherlawym karłom, w miarę jak grunt się obniżał. Aż wreszcie na prawie wyraźnej granicy kończyła się puszcza, zaczynało bagnisko. Teraz już największymi drzewami były cyprysniki o umęczonych korzeniach, ledwie oddychających w ciepłym szlamie, gdzie topiły się nawet wierzby i jawory. Być może w tej glebie zachowała się jeszcze skaza starożytnej soli morskiej, bo nawet żyzna mierzwa z rozłożonych roślin nie potrafiła podtrzymać życia roślinności, zwykle spotykanej na moczarach. Zamiast niej zatruty labirynt pokreconych pni, kolczastych krzaków, wijących się pnączy. Pnącza – te najlepiej czuły się na Kranor-Rill – cienkie jak wyciągnięte druty miedziane, szarpiące kolczastymi pocałunkami każdego, kto się o nie otarł. Olbrzymie liany oplatały drzewa, obrastając je w końcu tak grubo, że dusiły swych żywicieli, tworząc groteskowe sploty wolno stojących zwojów, podczas gdy ofiary gniły w ich uścisku. Pełzające, duszące, jadowite, pasożytnicze istoty – pnącza były wcieleniem ducha Kranor-Rill.

Było to zimne bagno, ale nie zdrowym chłodem Zimnego Lasu, z którymi graniczyło. Niezdrowe ciepło oceanu zgnilizny zamieniało rzeński chłód w trupi ziąb jak wyziewy głęboko pogrzebanej, zatłoczonej krypty. Z tej przyczyny wszędzie unosiła się gęsta, nieprzerwana mgła, płaszcz duszącego oparu, lepiącego się do moczarów, pochłaniającego bezładnie rozrzuconą roślinność, skrywającego bezdenne zapadliska kurzawki. Kranor-Rill było zatrutym labiryntem, którego jadowity oddech ukrywał śmiertelne niebezpieczeństwa.

Złotooki wąż o łuskach barwy żółtego błota wychynął ponad pokrytą zieloną pianą skorupę ciemnego stawu i pochwycił człowieka, który szedł zbyt blisko brzegu. Uderzywszy swą klinową głową, rozwarł straszliwą paszczę w jednym błysku głodnej bieli, zatapiając podwójny szereg kłów w udzie żołnierza. Rzucony siłą uderzenia w błoto, miał czas wydać tylko okrzyk bolesnego przerażenia, nim wąż ścisnął go splotami grubszymi niż jego ciężko dysząca pierś. Zbyt późno najemnik sięgnął po miecz – ramię miał już ciasno przyduszone do boku. Jego wolna ręka zdołała wydobyć sztylet. Dźgnął nim konwulsyjnie i bezskutecznie w miażdżące sploty, ciągnące go nieubłaganie do stawu. Ciemna woda skryła żółte zwoje, tłumiąc wrzask przerażenia i cichy chrzęst miażdżonych kości. Kozuch zielonej piany zamknął się jak zmięta kurtyna zapadająca po ostatniej scenie.

Wszystko trwało ledwie parę sekund. Zbyt późno zdumieni towarzysze ofiary otrząsnęli się z lodowatego strachu i pośpieszyli na brzeg stawu. Na jego smrodliwej powierzchni piana kipiała gorączkowo, świadcząc o śmiertelnej walce, toczącej się głębiej. Rozwścieczeni najemnicy w bezsilnym odwiecie kłuli staw mieczami i oszczepami, zapadając się po kolana w mule. Kilka ciosów natrafiło na opór, co wywołało soczyste przekleństwa, ale czarna woda dobrze kryła swą tajemnicę. Gdy wygładziła się kipiela, ujrzano ciemnopurpurowe nitki, deseniem wplecione w zieloną pianę. Lecz nigdy nie dowiedziano się, czyja krew zmieszała i mułem bagniska – zniknął wąż i jego ofiara.

Rozzłoszczony najnowszą porażką, Kane pognął swych ludzi dalej od zdradzieckiego stawu.

Musieli już wcześniej się zatrzymać, by wyciągnąć dwóch ludzi z niewidocznej lachy kurzawki, trzeciego zaś pochłoniął moczar, nim mogła go osiągnąć czyjkolwiek ręka. Dwóch żołnierzy tak szybko utraconych z oddziału! A, co gorsza, upłynęło pół dnia, a oni ciągle wlekli się przez smrodliwy muł, Kane zaś nie był pewien, jaką jeszcze odległość muszą przebyć, nim zapadnie ciemność. Noc w ruinach Arellarti będzie i tak ciężką próbą. Ale jeśli noc ich zaskoczy ciągle mżolących się nad przebyciem bagniska...

Kane zaklął i trzepnął się w ramię. Pierścień z krwawnikiem zakręcił się na jego śliskim od błota palcu, bliski zsunęcia się. Byłoby mądrzej trzymać klejnot bezpiecznie woreczku, ale z przyczyn znanych tylko sobie, Kane Uparcie wystawiał na pokaz tę zbyt wielką ozdobę dłoni, Plama krwi na jego ramieniu zaznaczyła miejsce przedśmiertnego posiłku wzdętego od ssania komara. Podobne stygmaty zdobiły jak dżumowe plamy każdy nie okryty fragment skóry idących. Z kwaśną miną Kane natarł mułem bagiennym swą opuchniętą twarz i ramiona, wątpiąc, czy ten zabieg w jakimkolwiek stopniu osłabi nieustanny atak rojących się insektów.

– Dwóch straconych, dwudziestu trzech zostało – skomentował brzuchaty Banlid, zastępca Kane'a. – Kane, ta smrodliwa ścieżka zaprowadzi nas gdzieś, nim zapadną ciemności, prawda? Mam nadzieję, że będzie to po drugiej stronie tego przeklętego błota!

– Zaprowadzi nas do Arellarti i to dobrze przed nocą – warknął Kane, demonstrując ufność znacznie głębszą niż ta, którą w głębi duszy odczuwał. Banlid towarzyszył mu na propozycję Dribecka i oczywiste było, że Selonaryjczyk reprezentuje tu swego pana. Kane oczekiwał takiego środka ostrożności i przyjął go bez niechęci. – Przegrupuj ludzi – rozkazał. – Tym razem będą może trzymać się szlaku i wykażą nieco więcej czujności. Rillyti potrafią wtapiać się w zarośla, skryci nie gorzej niż ten pyton bagienny, a ich uderzenie będzie równie niebezpieczne!

Kane zdawał sobie sprawę, że nie może się spodziewać, by ich wtargnięcie uszło uwagi Rillytich. Ale to ryzyko było nieuniknione, mógł więc tylko żywić nadzieję, iż bagienne istoty niechętnie zaatakują tak wielką grupę uzbrojonych mężczyzn – choć te przyćmione umysły mogły uznać, że wkroczenie na ich grunt jest dostateczną prowokacją. Selonaryjczycy znali parę ponurych opowieści o potyczkach między ludźmi i Rillytami. Nawet biorąc poprawkę na licencję poetycką legendy, opowiadania nie umacniały pewności siebie. I całkowicie logiczne było przewidywanie, że Rillyti będą w jakiś sposób trzymali straż nad jedynym bezpośrednim szlakiem w głąb ich domeny.

Niewątpliwie Rillyti znali dużo innych ścieżek przez Kranor-Rill. Ale Kane znał tylko jedną, dostępną dla istot o niezmiennowodnej naturze i zwyczajach – a miejscami zdawało się, że nawet posuwanie się tą jedną przekracza ludzkie możliwości. Alorri-Zrokros pisał o grobli, wybudowanej przez Krelran, by móc przekraczać morze wewnętrzne; moście między ich wyspą cytadelą i pobliskim lądem stałym. Była to grobla ziemna, wyznaczona czerwonym kamieniem dziwnej struktury. Pewna wskazówka co do jej budowy zawarta była w przypuszczeniu Alorri-Zrokrosa, że morze wewnętrzne nie było naturalną zatoką, lecz, wyrwanym potęgą Krelran z Ziemi Południowych zagłębieniem. Kane uważał, że geologia regionu dostarcza argumentów na rzecz tej hipotezy.

Ale grobla stała do dziś, przeżywszy wieki, które widziały, jak starożytne morze cofa się, ustępując miejsca labiryntowi moczarów. Opierając się na niejasnym opisie *Księgi Starszych*, Kane odnalazł skryte wśród pnączy wejście o zachodzie słońca ubiegłego dnia. Ze świtem ostrożnie wprowadził swój oddział najemników w głąb Kranor-Rill. Dwaj ludzie pozostali z tyłu przy koniach.

Bagno niemal opanowało groblę, podgryzając jej brzegi, podmywając fundamenty, zalewając jej powierzchnię. Tak więc każdy pokryty szlamem staw musiał być sondowany ustalenia jego głębokości. Często coś, co wyglądało na kałużę, okazywało się głęboką dziurą albo bezdenną

kurzawką. Trzeba je było starannie omijać, a w dwóch miejscach, gdzie bagno zniszczyło większe fragmenty drogi, przerzucić pnie, by przebyć wyrwę. Tylko w niewielu miejscach stąpali po pierwotnym bruku. Długie jego odcinki leżały pogrzebane pod grubą warstwą zgnilizny, gdzie indziej zaś uparte drzewa i czepliwe pnącza wypchnęły kamienie, tworząc zbitą masę bruku i roślin. Gdziekolwiek zaś ich korzenie mogły się utrzymać, tam rosły ostre jak łóż bagiennie trawy i elastyczne trzciny, sięgające człowiekowi do pasa, a nad nimi wisiały, szarpiące wszystko pazurami cierni, sploty twardych lian, na których tępiły się noże intruzów. Gdzie znajdowała się granica między bagniskiem i groblą, często trudno było odgadnąć, i tylko trzymanie się linii prostej, zgodnie z projektem budowy nakreślonym przez zmarłych od wieków Krelran, umożliwiało podejmowanie w miarę pewnych decyzji.

Posuwali się naprzód obrzydliwie wolno, a bezlitosne nękanie przez moskity i pijawki zmieniało marsz w torturę. Ale Kane dobrze dobrał swych ludzi. Ich przekleństwa, choć jadowite, nie były buntownicze, nawet gdy kolejnego z nich spotkało nieszczęście. Trafił mianowicie dłonią w sieć okazałego, brązowo-żółtego pająka, którego ugryzienie spowodowało, że jego prawa ręka boleśnie nabrzmiała szkarłatem.

Potem ofiara szczęk pająka krzyknęła coś niewyraźnie padła na kolana. Nieprzytomny od jadu żołnierz zaczął się rzucać na swych zaniepokojonych towarzyszy, kołysząc opuchniętą ręką i jęcząc w męczarniach. Pamiętając o zniżającym się słońcu, Kane pośpieszył do chorego. Próbowano już wyciągnąć truciznę, jak się okazało bez sukcesu, i Kane fachowym okiem ocenił szansę przeżycia żołnierza jako niewarte próby niesienia go przez innych. Pająk należał do nie znanego mu gatunku, ale w oczywisty sposób podzielał śmiertelną wrogość do ludzi, stanowiącą istotę natury Kranor-Rill. Uznawszy, że nie byłoby przezornie wyglądać w oczach swych ludzi na człowieka nieczułego, Kane zarządził krótki odpoczynek, życząc sobie w głębi duszy, by ofiara wyzionęła ducha, nim dźwiganie jej stanie się konieczne.

Przerwa była bardzo na czasie.

Jeden z ludzi, który zapędził się nieco do przodu, nagle wrzasnął: – Cholera! Tu jest jeden z uych parszywców! Schowany w tej kupie pnączy! – Oszczep przeleciał tuż koło jego piersi, więc wycofał się z krzykiem.

Wynurzywszy się z bagniska, banda Rillytich zagroziła! im z przodu – ponad tuzin ziemnowodnych stworzeń! Wyższe były o głowę od człowieka, z krępyim ciałem znacznie grubszym niż ludzki korpus. Długie, cienkie ręce i grube, pałakowate nogi kończyły się płaskimi łapami z błoną pływającą i czarnymi pazurami na końcach długich palców. Cętkowana skóra, pełna łusek i brodawek, barwy niezdrowej żółci, brązu i zieleni jak szlam bagienny okrywała ich nagie ciała. Chropowate, podobne do pancerzy płyty pokrywały ich zgarbione plecy i sklepione klatki piersiowe, zachodząc na wypukłe brzuchy płatanami obrzydliwej żółtości. Z szerokich ramion wyrastały ropusze głowy, fałdy skóry i obwisłe podgardla skrywające szyje – jeśli je miały. Oczy były bez powiek, z pionowymi źrenicami, ziejące jamy nosowe, ogromne bezwargie szczęki z szeregami żółtych stożkowatych kłów. Tak wyglądały obrzydliwe groteskowe stworzenia, których potężne, zniekształconej ciała odpowiadały morderczej złośliwości Kranor-Rill. Gdy powstały z ukrycia, czarna bagienna woda i kawałki piany zaczęły spływać z ich skór i worków szyjnych, błyszcząc groźnie na długich ostrzach z brązowego stopu, połyskujących w ich płetwiastych rękach.

Rillyti stali w miejscu, skrzywiwszy twarze w maski okrucieństwa, z żółtymi oczami przesłoniętymi drgającą błoną mrużną. Zza obnażonych kłów dobiegało niskie, zgrzytliwe dudnienie, a ich worki szyjne nadymały się i odprężyły nierówno. Niektórzy dzierżyli krótkie oszczepy do klucia, z przylepioną ohydnie brązową substancją na zębatych grotach. Wszyscy uzbrojeni byli w

dziwaczne miecze rillytiańskie – płynnie zakrzywione klingi tak długie, jak u dwuręcznego miecza, wykute z odpornego, zapomnianego obecnie stopu brązowego, jak pamiętał Kane, wydobywanego z krelrańskich ruin, o krawędzi ostrzejszej od stali – mordercze narzędzia w ich ogromnych rękach. Gumiastą substancją, przywierającą do ich oszczepów, była wyrabiana przez nich, powodująca natychmiastową śmierć trucizna; żrąca, inaczej bowiem smarowaliby nią także ostrza mieczy.

Kane uznał za wyjątkowo szczęśliwą okoliczność, że ziemnowodni nie mieli jeszcze innych skutecznych pocisków, które mogliby pokryć ową trucizną. Ich płetwiaste dłonie były zbyt wielkie i niezdarne, by dać sobie radę z łukiem, a ich kościste szczęki nie pozwalały na używanie dmuchawek. Ale gęsty, prawie nieprzebyty splot podszycia spowodował, że walka wręcz była jedynym możliwym sposobem ataku. Żołnierze nie mogli skutecznie użyć swych łuków – zbyt wiele było osłon dla nieprzyjaciela, zbyt wiele splątanych pnączy i gałęzi, by strzała doleciała bez przeszkód.

– Nie ruszają się z miejsca. Wygląda, jakby obchodziło ich tylko strzeżenie szlaku. Zmykajmy stąd, nim się na nas rzucą! – nalegał Banlid.

– Blokują drogę, bo prowadzi ona do Arellarti. Musimy już być blisko! – mruknął podniecony Kane. – Strzegą właśnie tego, po co tu przyszedłem, i wypruję flaki każdemu skurwysynowi, który by teraz zechciał się wycofać! Całkiem łatwo damy sobie radę z tymi szlamowatymi ropuchami! Chcą nas zablefować, bo inaczej już by zaatakowały pomimo nieudanej zasadzki! Spróbujmy teraz zwiewać, a runą z dziesięciokrotnie większą siłą, gdy tylko noc zaskoczy nas w drodze!

– Tylko podejdźcie, wy szczury bagienne! – ryknął, wywijając mieczem. – Pokażę wam, jak się wykańcza ropuchy!

Kane rzucił się naprzód i pierwszy napotkany Rillyti o mało go nie rozrąbał na pół. Błyskawiczny wypad grubych nóg rzucił stworzenie prosto przeciw szarzy Kane'a. Złocista klinga, odbijająca kolorem od otaczającego błota, zatoczyła dwunastostopowy łuk z góry na dół. Kane desperackim skrętem ciała na ślizgających się nogach uchylił się od ciosu. Jego klinga z carsultyalskiej stali zadrżała w starciu z brązem. Siła zderzenia sparaliżowała bark Kane'a, a zgrzyt miecza odbił się echem w jego zaciśniętych zębach. Ale potęga jego ramienia pozwoliła odbić napór wrogiego ostrza. Zahamowanie wypadu zachwiało Rillytim i nim odzyskał równowagę, miecz Kane'a, rąbiąc przez oczy wielkości ludzkiej pięści, odciął mu górną część czaszki.! Z dzikimi rykami najemnicy skoczyli naprzód obok drgającego cielska.

– Są śmiertelne jak wszyscy! – wrzasnął Kane. – Naprzód! – Z gardła wyrwał mu się dziki ryk śmiechu. Na grobli, wśród napierających bagien, rozgorzała chaotyczna, niehumanitarna bitwa.

Uchyliwszy się przed wymachującymi w agonii członkami pokonanego Rillytiego, Kane zwrócił się, by odparować następny atak. Żabiokształtny stwór, robiąc fintę mieczem, dźgnął w kierunku jego brzucha dzidą o szerokim ostrzu. Kane uchylił się zwinnie jak dzikie zwierzę, zablokował klingę własnym mieczem i chwycił dłonią drzewce. Chciał wyrwać broń przeciwnikowi, ale ku jego rozczarowaniu tego rodzaju podstęp przewidziano z góry. Drzewce nasmarowane było tłuszczem, a gdy Rillyti szarpnął się do tyłu, dłoń Kane'a zaczęła się ześlizgiwać w stronę zatrutego ostrza. Pośpiesznie cofnął rękę, ledwie uniknąwszy zetknięcia z haczykowatymi nacięciami grotu.

Ziemnowodny zdecydowanym ruchem ponownie pchnął dzidą i mieczem naraz. Kane rozpaczliwie sparował i równocześnie przysiadł, by uchylić się przed grotem. Wyprostował się natychmiast, a jego prawa ręka wystrzeliła jak trzaskający bicz, zatapiając aż po rękojeść wyciągnięty zza cholewy sztylet w oku przeciwnika. Zarechotawszy z bólu, Rillyti upuścił dzidę, próbując wyrwać ostrze z gałki ocznej. Konwulsyjnym gestem stworzenie rozorało sobie oczodół. Z rany trysnęła posoka. Widząc, że przeciwnik odniósł śmiertelną ranę, Kane odprężył się na moment i o mały włos zapłaciłby za to życiem. Waląc się w błoto, Rillyti ostatnim wysiłkiem gasnącej

świadomości ciał ostrzem. Kane odskoczył w bok, ale czubek miecza rozciął mu wierzch buta.

Płazy miały tak twarde życie jak ich ziemnowodni przodkowie. Kane ujrzał, jak inny Rillyti, potykając się o własne wyprute wnętrze, zdołał nadzieć na swą klingę kolejnego żołnierza. Była to wstrętna, ziejąca nienawiścią bitwa, równie mordercza jak otaczający walczących zgniły kraj. Nie toczyła się na otwartym polu, lecz w skrawkach miejsc wolnych od poplątanych pnączy i krzaków, na zdradliwym podłożu luźnych płyt bruku, kałuż mułu i pokrytej pianą wody. Niejeden najemnik skończył życie, popchnięty do rozlewiska szlamu lub kurzawki. Rillyti byli silniejsi od ludzi i walczyli na znanym sobie terenie. Ale mieszkańcy moczarów poruszali się niezdarnie, powłócząc nogami; ich płaskie, płetwiaste stopy i pałkowate nogi nie nadawały się do tanecznych manewrów, koniecznych w szermierce. Z drugiej znów strony śliskie błoto i chaotycznie rozrzucona roślinność nie pozwalały ludziom na pełne wykorzystanie przewagi, wynikającej z ich ruchliwości. Potężne ciosy ostrych jak brzytwy mieczy Rillytich były przerażające, gdy tylko stworzenia miały dość miejsca na zaumach. Jedynie przewaga liczebna najeźdźców pozwalała im kontynuować bitwę.

Czując, że do buta spływa mu coś lepkiego i ciepłego – wiedział, że nie jest to słonawa woda – Kane stanął do walki z kolejnym przeciwnikiem. Raz za razem szara stal zderzała się z wrogim brązem; klingi wyły jak kobieta w ekstazie. Dobrze zahartował klingę dawno zmarły carsultyański płatnerz, bo miecz Kane'a w zetknięciu z obcym stopem tyleż pozostawiał szczerb, ile sam otrzymywał. Wiele zaś innych stalowych ostrzy przysło od potężnych ciosów żaboludzi. Choć kolejny przeciwnik walczył tylko mieczem, Kane trzymał w prawej pięści wyciągnięty zza pasa nóż o długiej klindze.

Ale szybko przekonał się, że Rillyti dysponuje jeszcze Inną, nieoczekiwaną możliwością. Gdy Kane przyskoczył, by użyć noża, stwór bagienny rozwarł paszczę, wyrzucając z niej przerażająco długi, oślizgły język. Strumień lepkiej, smrodliwej śliny zalał twarz Kane'a. Na chwilę utracił oddech, odruchowo próbując otrzeć prawą ręką oczy z gryzącej plwociny. Wystarczyła sekunda nieuwagi, by brązowa klinga z sykiem prawie go dosięgła. W ostatnim momencie sparował cios, wiążąc broń przeciwnika ręką miecza. Jelec wytrzymał uderzenie, ale siła ciosu niemal wyrwała Kane'owi broń z odrętwiałej dłoni. To samo jednak spotkało Rillytiego, więc Kane spróbował wykończyć stworzenie szybkim pchnięciem noża. Płaz uniknął ostrza, które ledwie przecięło jego twardą skórę i płetwiastą dłoń wymierzył Kane'owi potężny cios.

Ostre pazury wbiły się w kolczugę człowieka. Utraciwszy równowagę na śliskim gruncie, Kane upadł w błoto. Daremnie próbował utrzymać się na nogach – miecz; zaplątał mu się w zwisającym pnączu, zdrętwiałe palce wypuściły ręką. Straciwszy oddech od uderzenia plecami o wystający kamień bruku, bezbronny Kane ujrzał, jak Rillyti unosi miecz do cięcia, którego nie mógłby sparować nożem. Nie było już czasu, by pochwycić wypuszczoną broń. Ale obok niego leżała... dzida! Potoczywszy się w ostatnim wysiłku po ziemi, chwycił w dłoń dzidę obcego. Żabolud już stał nad nim z rozwartym zębatym pyskiem, rycząc basowo w triumfie. Jego miecz zaczął się opuszczać. Wijąc się po ziemi, Kane cisnął dzidą prosto w żółtawe wole. Z jego wprost był to rozpaczliwy, niepewny rzut, wykonany z niewielką siłą. Ale stwór stał na wprost, chcąc rzucić się na człowieka...

Trzy rzeczy utrwaliły się w jego nadczułej świadomości. Zalany adrenaliną mózg notował wszystko jak w zwolnionym filmie... Włócznia uderzająca w pysk Rillytiego, wbijająca zatrute ostrze we wnętrze jego paszczy jak drugi język... Błyszczący miecz, opadający złocistą tęczą na człowieka, próbującego w ostatecznym wysiłku usunąć się przed ciosem... Pierścień z krwawnikiem, luźno siedzący na palcu, odfruwający w dal w chwili, gdy rzucał dzidą, lecący łukiem nad zdeptanym błotem...

Z nieskończoną powolnością obraży te zwały się w... Duszący się Rillyti, zapomniawszy o ataku szarpał za drzewce, próbował przełknąć, wił się w dziwnym tańcu śmierci, zwałił się w męce w błoto, znieruchomiał z niesamowitą szybkością... Brązowy miecz, zboczywszy ze swej drogi ku dołowi, musnął bark wijącego się Kane'a i wreszcie rozprysnął się w drzazgi, trafiwszy na kamień... Pierścień błyszczący w zachodzącym słońcu, spadający hakiem przez całą wieczność, wpadający w kałużę szlamu z głośnym pluskiem – każda kropelka widoczna, z wolna wypryskując opadając z powrotem – pogrążający się w ciemność.

Z wyciem szaleńca Kane zerwał się na nogi, nie spuszczać wzroku z miejsca, gdzie zniknął pierścień z krwawnikiem. Mijając swój miecz, zgarnął go odruchowo, ale nie zwracał już uwagi na toczącą się bitwę. Na brzegu kałuży, której znikł pierścień, padł plackiem i wbił ramiona w szlam. Jego zbielełe z wściekłości wargi miały bezgłośnie przekleństwa, dzikie spojrzenie błękitnych oczu pełne było skupienia. Z głębokiego cięcia na policzku, muśniętego odłamkiem rozprysniętego miecza, kapłała mu krew. Ale nie zwracał na to uwagi, choć smak krwi zwabił pełzającą horde głodnych pijawek. Z determinacją rozgarniał palcami śmierdzący gnój roślinny, wyciągając dłonie pełne kapiącego błota i piany za każdym razem, gdy wydało mu się, że natrafił na coś twardego. W tym miejscu rozlewisko miało ledwie parę stóp głębokości... Gdybyż tylko pierścień utonął w prostej linii od miejsca, w którym upadł...

– Kane! Jasny gwint! Czyś ty kompletnie dostał fioła! – wrzasnął mu do ucha Banlid i szarpał za ramiona, przerywając skupienie. – Kane! Pilnuj swej dupy, Kane! Otrząśnij się! Jesteśmy po uszy w bitwie!

Kane pełnym złości szturchańcem odepchnął żołnierza, wracając do swych poszukiwań. Jeśli gnijąca ziemia pochłonie pierścień, nigdy go nie odzyska.

Zaniepokojony, zmieszany Banlid odskoczył od swego dowódcy. Zastanowiwszy się pośpiesznie, doszedł do wniosku, że Kane prawdopodobnie dostał uderzenie w głowę... Jasne było, że do reszty oszalał!

Rzucił się na nich ranny Rillyti, brocząc krwią z głębokiego cięcia w piersi. Jeśli nawet jego rana była śmiertelna – a sądząc z miejsca, musiała być – stworowi niezbyt to przeszkadzało. Rechocząc ponuro, wypatrzył pochylonego człowieka i jednym ruchem uniósł miecz. Nie tracąc czasu na przekonywanie roztargnionego dowódcy, Banlid rzucił się do kontrataku na płaza. Prócz Kane'a niewielu ludzi wygrywało walkę sam na sam z Rillytim. Rzucenie się gromadą na błotnego olbrzyma było jedyną skuteczną taktyką; a Banlid był już prawie wyczerpany. Ale jego przeciwnik był ciężko ranny i najemnik broniąc się gorączkowo poczuł, że atak stwora nieznacznie słabnie. Lecz mimo wszystko był to ciężki pojedynek – Rillyti czując, że od skaleczeń opuszczają go siły, przestał zwracać jakkolwiek uwagę na ból i rany. W ostatecznym, wściekłym wysiłku odparował próbę kontruderzenia Banlida i skoczył, by go pochwycić. Najemnik chwiejnie usunął się przed jego wypadem, zadając głęboki cios w bok żabuluda. Rillyti padł na twarz, próbując jeszcze pełznąć przed siebie. Najemnik posiekał go na kawałki.

Chwytając z trudem powietrze rozejrzał się za następnym potworem. Żaden go nie atakował. Chwiejąc się na nogach, przyjrzał się dowódcy z miną ponurego zwątpienia na rozpalonej twarzy. Gdyby Banlid się nie wtrącił, szalencie pozwoliliby Rillytiemu rozciąć się na dwoje.

Kane wyciągnął się na całą długość ponad sadzawką, utrzymując na brzegu tylko nogami. Korpus, barki i twarz miał pogrążone w ciepławym gnoju. Uniósł twarz, by złapać oddech, nadal z oszołomioną miną, a potem znów zanurzył głowę, gorączkowo grzebiąc rękami w dennym szlamie. Banlid ze stoicyzmem czekał, aż wszystko się skończy.

Nagły plusk. Banlid myślał, że Kane całkiem dał nurka. Ale był to tylko odgłos taplania się w

błocie, gdy podniecony Kane wdrapywał się z powrotem na brzeg. Popatrzył na zastępcę z miną szaleńca. Szlam i błoto, zmieszane z ciągle płynącą krwią, pokrywały jego twarz i włosy; ze skraju brody zwisało mu kilka napęczniałych pijawek. W jego zimnych niebieskich oczach płonął obłęd. Wargi wykrzywił mu uśmiech triumfu.

– W porządku... Znalazłem go – oświadczył cichym, chrapliwym głosem. Starannie wytarł pierścień w swe brudne skórzane spodnie i wsunął z powrotem na środkowy palec lewej dłoni. Spokojnie otarł do czysta twarz jedną ręką i podjął swój miecz.

Obojętnym wzrokiem wpatrzył się w Banlida, jakby rzucając mu wyzwanie, by coś powiedział o dziwnym zachowaniu dowódcy.

– Cóż, popatrzmy, ilu zostało – oświadczył.

Banlid potwierdził skinieniem. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie nie pamiętać sceny, której przed chwilą był świadkiem. Kane wyglądał, jakby nigdy nic – jednej Shenan wiadomo, czy był przy zdrowych zmysłach! – a napięcie walki wywoływało w ludziach dziwne reakcje. Uwagę Banlida przyciągnął pierścień z krwawnikiem. Aż się zdziwił jego niezwykłym, ponurym blaskiem. Czy było złudzenie wywołane światłem, czy rzeczywiście kamień zdawał się rzucać silniejsze lśnienie niż poprzednio?

VI. GDY BUDZĄ SIĘ STARSI BOGOWIE

Gwałtowna bitwa, która szalała na zniszczonej przez bagno nawierzchni z czerwonego kamienia, zryła starożytną groble. Okaleczone ciała ludzi i Rillytich leżały rozrzucone w groteskowych stertach lub pływały w słonych sadzawkach. Niektórzy Rillyti jeszcze drgali na mokrej ziemi jak rozprute żaby, porzucone, by zdechły pod słońcem późnego popołudnia. Żabiokształtnych strażników wyrżnięto – jeden tylko, jak meldowano, uciekł w głąb moczaru – ale najemnicy Kane'a zapłacili srogą cenę. Ośmiu przeżyło atak; wszyscy prawie nietknięci, bo w takiej bitwie obezwładniająca rana równała się szybkiej śmierci. Wcześniejsza ofiara szczęk pająka leżała zapomniana tam, gdzie upadła, z dzidą Rillytiego sterczącą spomiędzy żeber. Kane'a zaintrygowało, czy jad pajęczy okazał się śmiertelny, nim padły otrzymał *coup de grace*.

– Gdybyśmy teraz zawrócili, może moglibyśmy...

– Nikt nie zawróci! – Kane przerwał Banlidowi. – Za chwilę ujrzymy Arellarti, więc wykonamy mój pierwotny plan! Wiedziałem, że przejście przez Kranor-Rill będziemy musieli sobie wywalczyć, a wam, ludzie, powiedziano, jakie mamy szansę, gdy was wybierałem. Być może nasze straty są większe, niż przypuszczałem, ale przebiliśmy się przez ich straż. Dopilnuję, by każdy z was otrzymał premię, gdy powrócimy.

– Kane, zabiliśmy tylko paru! Shenan tylko wie, ile setek tych potworów ukrywa się w tym przeklętym bagnie! – zaprotestował Banlid. – Nie mamy cienia szansy, dożyć następnego świtu, jeśli posuniemy się dalej!

– Chcesz próbować błąkania się po omacku przez te bagna po zapadnięciu nocy? To módl się, by Rillyti dogonili cię szybko. Śmierć z ich ręki będzie czystsza niż ta, którą szykuje ci Kranor-Rill! Prawda, że widzieliśmy tylko niewielu Rillytich... Są rozrzućeni po całym bagnistym kraju. Ale zapewne pobiliśmy jedyny zorganizowany oddział, jaki mieli w pobliżu: tych, którzy czatowali na grobli. Tym ropuchom zebranie się w dostatecznej sile, by nas zwyciężyć, zajmie pewien czas. A do tej pory będziemy już wracać do Selonari. W Arellarti zaś będzie dość miejsca, by użyć łuków. W ruinach będziemy mieć mur za plecami. To będzie reduta możliwa do obrony przez łuczników, jeśli Rillyti znów zdobędą się na odwagę. A jeśli legendy nie kłamią, możemy tam znaleźć broń, która da nam siłę wystarczającą, by zniszczyć całą armię!

Banlid zrozumiał, że dalsze protesty są daremne, może nawet niebezpieczne. Z posępną miną przyznał, że logika Kane'a wygląda na zdrową, choć rudowłosego kapitan tylko bardzo mgliście zarysował plan odwrotu z Arellarti, gdy już tam dotrą. Wyglądało, że ta ponura wyprawa może się okazać wycieczką bez powrotu. Z tym niemiłym przeczuciem Banlid znowu pożałował roli, do jakiej go zmusił Lord Dribeck.

Dzień miał się coraz bardziej ku końcowi, ale nie widać było, by teren grobli się podnosił. Nadal otaczał ich Kranor-Rill – bagnisko ciągnące się na pozór bez końca, grożące wszechobecnością zatrutego życia i złośliwej zgnilizny, jeszcze bardziej nieustępliwej niż monotonnej. Zmieniły się natomiast dźwięki dolatujące z moczarów. Nadal trwała kakofonia głosów zwierzęcych, choć jakby przyciszonych, ale w towarzystwie nowych dźwięków. Basowy rechot; odległy, lecz, jak się zdawało w miarę ich pochodzenia, wydobywający się z coraz liczniejszych gardoł. Pluski czegoś niewidocznego, zaskakującego pośpiechem, które mogły oznaczać tylko poruszanie się stworzeń znacznej wielkości, choć od pewnego czasu nie było widać większych zwierząt. Były to niejasne, ale złe zapowiedzi i potrzeba było wielkiego wysiłku wyobraźni, by interpretować je optymistyczniej a nie ponuro. Pomimo pewnego siebie zachowania Kane'a – być może należało je raczej określić jako brawurowe – ludzi ogarnął uporczywy nastrój lęku.

Wyciągnięte cienie napełniały moczary zmierzchem, niepokojąc ich do chwili, gdy wreszcie otworzył się niechętnie przed nimi szerszy widok. Grobla zaczęła się już wznosić nad bagno, jej nawierzchnia ze szklistego kamienia mniej teraz była zniszczona. Wreszcie moczar zaczął się odsuwać. Zbliżyli się do matowoczerwonych ścian, wznoszących się nad gnijącym krajem. Z morza rozkładu wynurzyła się wyspa i tylko instynktowny lęk przed nieludzką budowlą powstrzymał ich od szturmowania szeroko rozwartą bramę miasta – jak wyczerpani pływacy siłą się, by osiągnąć nieznaną plażę, nie dbając o niebezpieczeństwa czyhające poza falami przyboju.

Arellarti!

Wstrzymali krok, by podziwiać strzeżone przez bagna zaginione miasto z legendy. Przy dwóch obeliskach, na których niegdyś wisiały potężne skrzydła bramy miasta, wyglądali jak karły. Ale teraz z pokruszonych filarów zwisały festony pnączy, a zniszczona brama zmieniła się w pocerniałe i dziwaczne nadtopione fragmenty dziobatego od szram brązowego stopu. Kane pośpiesznie wspiał się po skłębionych lianach i dotarł do muru miasta, o mały włos nie złamałszy sobie karku, gdy pnącze oderwało się od ściany. Nie bacząc na niebezpieczną pozycję, wpatrywał się z napięciem w horyzont, przesłoniwszy dłonią oczy przed blaskiem zachodzącego słońca, wyglądającego zza przeciwległej ściany.

Arellarti było miastem zbudowanym według zasad surowej i zdumiewającej geometrii. Zajmowało przestrzeń najdokładniej kolistą. Średnica jego, jak ocenił Kane, wynosiła ponad trzy mile. Mury obronne z nakrapianego czerwienią kamienia ogniowego otaczały miasto wieńcem stustopowej wysokości. Ściany, tu i ówdzie potrzaskane i pochylone, cudownie zachowały się przez wieki, choć na ćwierć-milowym odcinku, na którym bagno podmyło wyspę, widniała szczyba. Za bramą można było niewyraźnie dostrzec zapadnięte kamienne konstrukcje, zapewne nabrzeża portu nad dawno nie istniejącym morzem. Wewnątrz murów Kane mógł rozróżnić zarysy zawałonych gruzem i splątana roślinnością ulic. Była to sieć doskonale współśrodkowych kół i gwiazdiście rozchodzących się promieni, których precyzja przypominała morderczą symetrię sieci pajęczej. Jak daleko sięgał wzrok, tę perfekcyjną geometrię rozciągnięto nawet na budynki, wypełniające wklęsło-wypukłe bloki domów, choć wielka odległość i stan ogólnego zniszczenia miasta powodowały, że wniosek był niepewny. Niemniej wyglądało, że z obsesyjnym wprost uporem wymagano, by każdy dziwacznie stylizowany budynek odpowiadał w najdrobniejszych szczegółach przeciwległemu, którego był lustrzanym odbiciem. Kane zauważył też przelotnie, że pewne obszary zniszczeń budowli rozmieszczone były tak, jakby miażdżono i wywracano według ściśłego wzoru.

Lecz badanie dalszych szczegółów ruin przerwało mu wrażenie, wywołane widokiem monolitycznej budowli, całkowicie dominującej nad Arellarti. Wyszczerył zęby w uśmiechu triumfu, a jego wybuch śmiechu wywołał zdziwienie u najemników stojących u stóp muru. Choć niewielu tylko bezimiennych szpiegów przekroczyło Kranor-Rill, by zbadać te ruiny, opis Alorri-Zrokrosa był dokładny. Tu, w centrum Arellarti, budowla wyrastała ponad wszystko jak ogromny rdzeń – a może jak pajak przyczajony w środku szeroko rozciągniętej sieci, pomyślał Kane, przypomniał sobie pierwsze wrażenie. Była to kolosalna, kopulasta konstrukcja, średnicy ponad ćwierć mili, której gładkie ściany wznosiły się nad miastem do wysokości niemal tysiąca stóp. Siedem promieniście rozłożonych alej miasta zbiegało się na ogromnym placu, otaczającym kopulastą budowlę jak aureola. Nie było nawet śladu wejścia, a konstrukcja odpowiadała czystej, matematycznej geometrii, charakteryzującej całe Arellarti. Nie było tu widać żadnych zdobieć, chyba że zatarł je czas lub przysłoniły pnącza. Inne jednak dzieła krelrańskiej architektury ukazywały dziwaczne, geometryczne wzory, wyryte głęboko w ich ścianach. Nawet z tej odległości widać było wyraźnie pęknięcia i czarne dziury, szpecące niebotyczne ściany. Zaiste, geniusz obcych inżynierów musiał stwarzać cuda

jeśli mimo wszystko gigantyczna struktura oparła się miążdżącemu naporowi czasu. Podobnie jak wszystko inne w Arellarti gmach zbudowany był z czerwono nakrapianego, niewątpliwie ogniowego pochodzenia, kamienia. Gdy skośne promienie zachodzącego słońca rozświetliły to miasto ze szklatego kamienia koloru sjeni palonej, o ulicach dokładnie rozplanowanych, dławiących się od zielonych lian – Kane'owi nagle wydało się ono podobne do błyszczącej mozaiki z drogich kamieni.

Niedaleko rozległy się przygłuszone uderzenia mieczy, tnących pnącza. Banlid i reszta żołnierzy, ostrożniejszych niż Kane, zaczęli wyrąbywać sobie drogę wzdłuż muru do zasypanych gruzem schodów prowadzących na szczyt. Klęli i metodycznie siekli zagradzające przejście kłębowisko lian, powłócząc nogami ze znużenia, wspinali się po stopniach zbyt wysokich, by wygodnie mógł wchodzić po nich człowiek. Gdy byli blisko szczytu, potrącili gniazdo szerszeni. Kiedy nad żołnierzami zaroily się złotozielone owady, na schodach wybuchnął szaleńczy taniec, przerywany odgłosami uderzeń i przekleństw.

– Na cycki Shenan, Kane! Trzeba było i nam pójść tak jak ty, małpim sposobem! – pożalił się Banlid. Kilka zaognionych bąbli wykwitło na jego brudnej, porośniętej krzaczastą brodą twarzy. Wspiąwszy się wreszcie na szczyt muru, ludzie resztką tchu wydali okrzyk radości. Rzuciwszy się ku pozbawionemu blanków parapetowi, zaczęli rozglądać się po starożytnym mieście wzrokiem przyćmionym od ciekącego potu.

Nagle jeden z najemników zachwiał się niepewnie. – Nie idzie mi oddychać! – wychrypiał. Na jego bladej twarzy malował się lęk. Koledzy popatrzyli nań w zdumieniu przechodzącym w trwogę w chwili, gdy osunął się na kamienie jak tknięty paralizem. Osłabłymi rękami zaczął drapać ściśnięte konwulsyjnie gardło, astmatycznie chwytając powietrze. Dyszał coraz cienie, potem urywanie, wreszcie zamilkł. Głowę odrzucił do tyłu, jego kończyny podkurczały się i rozkurczały bezładnie. Patrzących ogarnęła panika.

– Ommemie, zlituj się! Szerszenie pocięły nas wszystkich Zginęliśmy! -jęknął najemnik z Wollendanu.

– Nie, nieprawda! Uspokójcie się, bo od waszego przekłętego wrzasku mur się zawali! – krzyknął rozkazująco Kane. – Nikt z was nie umrze od jadu szerszeni, już leżelibyście jak on! Widywałem takie rzeczy; jakiś defekt we krwi powoduje, że niektórzy ludzie tak reagują nawet na niewinne ukąszenie! A teraz cofnijcie się i dajcie mi go obejrzeć; jest maleńka szansa, że jeszcze będę mógł uratować!

Odepchnąwszy żołnierzy, Kane ukląkł koło powalonego, Wyciągając sztylet zza cholewy. Szybkim ruchem obmacał uciśnięte spazmem gardło pod jabłkiem Adama, przeciął zewnętrzne tkanki i ostrożnie naciął obnażoną chrząstkę tchawicy.

– To zakończy jego cierpienia – skomentował ktoś. – Tylko nie trafiłeś w wielkie żyły.

Kane zrobił zniecierpliwiony gest. – Otworzyłem mu tchawicę, aby mógł wciągnąć powietrze. Popatrzcie... jego pierś próbuje pracować, ale zatrute humory zatkały mu gardło. Jeśli uda mi się sięgnąć poza skurcz, będzie mógł oddychać, aż jego oddech wyrzuci zatrutą wydzielinę i drogi oddechowe się otworzą. Parę razy, gdy ludzie dusili się od udławienia, widziałem, że to pomagało.

Żołnierze popatrzyli na niego pełni wdzięczności, niepewni, czy przez szerszenie nie grozi wszystkim śmierć. Choć ofiara była nadal nieprzytomna, jej pierś unosiła się teraz regularniej i słychać było, jak oddech przeciska się przez i ranę z dziwacznym, bulgoczącym świstem.

Kane przyglądał się obiektowi swych starań z miną natchnionego eksperymentatora. – Niech któryś z was przyniesie trochę tej trzciny, przez którą przerąbywaliśmy się cały dzień – zarządził. – Sądzę, że uda mi się wepchnąć mu pustą rurkę do tchawicy na jakiś cal albo dwa. W ten sposób przecięcie pozostanie otwarte.

Dwóch najemników znikło, schodząc po schodach. Reszta pozostała przy ofercie, przyglądając się z zainteresowaniem. Zaproponowano nawet parę zakładów co do jego szans.

Śmiertelne wycie i radosny rechot z dołu, przechodząc w rozgłośne mlaskanie wyrwały ich z nastroju zaabsorbowania nieprzytomnym kolegą. Wypełniony z bagna, groblę wypadła horda Rillytich. Mogło ich być stu czy tysiąc – biorąc pod uwagę, jaka garstka stała przeciw nim liczenie nie miałoby sensu. Wyłoniwszy się z moczaru gdzie zgromadzili się ukradkiem, żaboludzie zalali suchy ląd jak ohydna fala przyływu niekształtnych ciał i błyszczącego brązu. Ich napór był nieodparty. W chwili, stojący na murze zwrócili się ku nim pełni zgrozy, już drugi żołnierz padł porąbany przez tuzin mieczy; jego kolega zniknął zupełnie. W jednej chwili armia płazów przebyła wolną przestrzeń, by szturmować mury, na których intruzi przygotowali się do dania im beznadziejnego odporu.

– Spróbujmy ich odrzucić! – zawołał Kane bez przekonania. – Stańmy plecami do obelisku, wtedy będą mieli dostęp do nas tylko z jednej strony! Będą atakować oczyszczonymi schodami albo tamtymi dalszymi; w każdym razie to im zwęzi front natarcia! Gotuj łuki! Powystrzelamy ich pojedynczo, gdy będą się wspinać na schody! Celujcie dobrze, jeśli chcecie żyć! Mamy szansę wyróżnić tyłu, by stracili ochotę do szarży!

Ale każdy wiedział, że szansę były minimalne, a perspektywy, nawet gdyby cudownym sposobem udało im się złamać atak Rillytich, jeszcze smutniejsze. Śmierć będzie słodsza, gdy zaleją te kamienie ropuszą juchą, lecz nie mniej przez to nieunikniona.

Rillyti rzucili się na mur, skacząc po częściowo oczyszczonych schodach z takim impetem, na jaki wąskie przejście pozwalało. W pierwsze szeregi łucznicy wystrzelili z bliskiej odległości. Gdy mocne drzewce zaczęły z miążdżącą dokładnością zadawać śmiertelne rany, bagienne stwory wybuchły rykiem wściekłości i bólu. Każdy z trafionych płazów wijąc się padał do tyłu i obalał stojących za nim. Wstrzymywało to napór, póki nie zaczęli zrzucać zabitych za mur. Na krótko udawało się ich powstrzymać. Mimo ogromnych strat Rillyti nieubłaganie szturmowali schody. Stopnie stały się śliskie od ich krwi, gruz u podnóża pokryły zrzucane ciała.

Powolne posuwanie się po schodach wkrótce zniechęciło czekających na dole. Postanowili dosięgnąć wrogów krótką drogą – choć widać było, że szarża schodami nieubłaganie posuwa się naprzód. Paru żaboludzi podskakując chwyciło grube pnącza pokrywające mur i zaczęło się wspinać. Inni poszli za nimi i wkrótce, na całej ścieżce aż roiło od coraz liczniejszej hordy wspinających się Rillytich. Ziemnowodni, choć niezdarzy i ciężcy, potrafili dobrze wykorzystywać siłę swych pazurów – mieli bowiem także w normalnych okolicznościach okazje do wspinaczki – i groziło, że ich wejście wkrótce zdruzgocze obronę.

Kane, zauważywszy natychmiast zbliżające się z nowego kierunku natarcie, polecił dwóm najgorszym łucznikom odeprzeć dodatkową groźbę. Ale osłabiony w ten sposób ostrzał schodów spowodował, że napór z tej strony nasilił się zastraszająco. Kane wiedział, że atak z paru kierunków musi doprowadzić najemników do nieuchronnej klęski. Kończony zaś opróżniały się błyskawicznie – tylko strzały odzyskane po poprzedniej potyczce spowodowały, że ich zapasy nie wyczerpały się znacznie wcześniej. Rillyti mieli twardą, guzowatą skórę i odporność płazów, trudno więc było ich powalić. Często stwór trafiony kilku dobrze wymierzonymi strzałami, nie zważając na nie, nadal posuwał się do przodu, choć powłócząc nogami.

Żołnierze z desperacją rąbali naprężone pnącza, próbując powstrzymać atak od ściany. Często ich wysiłki wieńczyło powodzenie, bo gdy żaboludzie lekkomyślnie rzucały się na liany, ich masa przekraczała wytrzymałość roślin. Osłabione ciosami mieczy pnącza jedno po drugim odrywały się od muru i spadały na ziemię, obładowane nieszczęsnymi amatorami wspinaczki. Ale liany rosły

wszędzie i wiele nich było wczepionych w kamienie zbyt mocno, by je ruszyć. Wkrótce inne stwory wspięły się na samą górę i trzeba było strzelać do nich z najmniejszej odległości. Gdy zaś Rillyti osiągnęli szczyt muru, najemnicy mogli ich brązowym klingom i potężnym ciałom przeciwstawić tylko swoje miecze.

Rillyti przewalili się przez parapet prawie w tej samej chwili, gdy inni osiągnęli szczyt schodów. Ze spokojną obojętnością, która nawiedza walczących, gdy wiedzą już że śmierć jest nieunikniona, Kane i jego maleńki oddział ostatnimi strzałami przewiercili pierwszych, którzy wdarli się na mur obronny. Kątem oka Kane zauważył, jak ofiara szerszenia zlatuje z muru, spadając na hordy ciągle jeszcze gromadzące się u stóp fortecy. Poczł przelotny żal, że nigdy się nie dowie, czy jego zabieg chirurgiczny się powiodł.

Teraz nastąpiła masakra zbyt jednostronna, by nazwa ją walką. Dwaj najemnicy, odpierający atak wspinających się po lianach, padli natychmiast; ich skrwawione klingi nie były w stanie powstrzymać potopu, który ich zalał. Inna fala Rillytich wlała się po schodach, już nie hamowana przez puste, milczące haki.

– Do filaru bramy! – ryknął Kane, świadom, że i tak ich zdruzgocze atak z dwóch stron. A jego skutków można było odwrócić. – Oprzyjcie się plecami o karnień! Niech trochę mniej ropuch rechocze tej nocy!

Z determinacją rzucili się na Rillytich, gramolących się na przedpiersie. Uniosły się złociste klingi, by zagrozić im drogę. Z tyłu echo odbijało klaskanie o kamień stóp atakujących od strony schodów. Kane poprowadził swoich ludzi z wściekłością, której nie mogła dorównać żadna siła. Jednego płaza zmiotła z muru potęga jego miecza, drugi padł wypatroszony cięciem noża. Rozległ się wrzask i człowiek u boku dowódcy zwinął się z dzidą wbłą w bok. Kane skręcił w miejscu i wspinającemu się na przedpiersie płazowi odrąbał łapę. Ciągąc za sobą krople szkarłatu stwor puścił się podpory i spadł. Jego odcięta łapa pozostał wplątana w pnącze.

Nie opanowawszy jeszcze całego szczytu muru, Rillyti cofnęli się przed zorganizowanym naporem ludzi. Z twarzą wykrzywioną nienawiścią Kane wbił się w rozluźnione szyki płazów, uchylając się błyskawicznie przed mieczami i szponiastymi łapami, które wychylały się znad przedpiersia. Z rozpaczliwą siłą wyrąbywał sobie ścieżkę wśród atakujących. Nikt nie mógł się ostać przed jego klingą. Za nim padł kolejny żołnierz. Krew płynęła dowódcy z dwóch płytkich ran, których nawet nie poczuł. I wtedy dotarli do kamiennych drzwi – Kane, Banlid i ostatni najemnik, który nagle oparł się o kamień i powoli sunął na chodnik, gdy trucizna Rillytich pozbawiła go resztek siły.

Za plecami mieli zniszczony upływem czasu obelisk, przed sobą hordę płazów gotujących się do ostatecznego ataku. Na murze roilo się teraz od Rillytich z brązowymi mieczami uniesionymi do ciosu i ropuszymi twarzami okazującymi żółte kły w grymasie wściekłości. Ich zimne, cuchnące oddechy zdawały się owiewać Kane'a i Banlida jak lodowate tchnienie śmierci.

– Byliśmy szaleni, nie zawracając z drogi! – wystękał Banlid. – Gdy zbeczęściliśmy ich sanktuarium, błotne diabły zwołały swe zastępy, by nas schwytać w sidła! Kane, umrzemy teraz taką śmiercią, na jaką nie zasłużył żaden dzielny człowiek!

– Mam jeszcze ostatnią kartę do zagrania! – warknął Kane wyzywająco.

Spokojnie postąpił o krok w stronę napierających Rillytich i dramatycznym gestem wyciągnął lewe ramię, zacisnąwszy dłoń w pięść. Szeregi płazów zbliżały się o krok, może dwa... a potem zawahały się! Zarechotawszy między sobą przyciszonym, zakłopotanym tonem, Rillyti nagle się zatrzymali. Nie wierząc własnym oczom, odrętwiały Banlid patrzył z szeroko otwartymi ustami. Szczęka opadła mu na podwójny podbródek. Nie śmiał odgadywać, jak długo potrwa ten cud.

Początkowy szok był zbyt oszałamiający – nasuwała się bezsensowna myśl, że może wyzwanie rzucone przez bezbronno Kane'a spowodowało to pełne zamieszanie i wahanie. Ale pierwszy wstrząs przeminął i Banlid dostrzegł, na co są zwrócone spojrzenia żabołudzi.

Ujrzał wtedy, że potężny pierścień z krwawnikiem płonie na pięści Kane'a jak wielkie niehumaniczne oko, a promienie słoneczne padające na klejnot nadają mu blask żywego płomienia. Usłyszał, że mściwa armia bagiennych stworów nagle milknie ze strachu i sam także odczuł aurę niewyobrażalnej potęgi pulsującej w pierścieniu.

Jak ostrze kosy zagarnia trawę, tak niewiarygodna zmiana nastroju ogarniała szeregi następujących na ludzi Rillytich, uciszając ich żadne krzyki i wstrzymując morderski atak na mury. Gdy coraz dalsze szeregi dobiegała nowina, płazy zaczęły kręcić się niepewnie, a ich podniecony rechot zabarwiło nowe uczucie... *czy był to strach?* W miarę jak cichły odgłosy walki, cisza na obleżonym murze stawała się niesamowita.

Kane, jak widmo w makabrycznym przedstawieniu zrobił kolejny powolny krok do przodu. Trwał wiecznie! A i tak już przeciążony umysł Banlida uświadomił sobie następny, przechodzący wszelkie oczekiwania, niewiarygodny cud. Stojący w pierwszym szeregu Rillyti cofnęli się o krok!

Następny krok. Teraz już więcej stworzeń zaczęło się cofać. *Na Shenan... to był odwrót!*

Powoli, uroczystym krokiem, Kane podchodził do nich z pięścią tak wyciągniętą, by wszyscy mogli zobaczyć pierścień z krwawnikiem. Niechętnie, ale i niepowstrzymanie, jak odpływające morze, Rillyti cofali się przed nim, odsuwali wzdłuż muru, wymykali się w dół po schodach. Paru uciekło w stronę bagna i znikło w Kranor Rill, niosąc wieści o niezwykłym wydarzeniu swym plemionom. Większość zaś wycofała się na ulice i do pustych bram, gdzie, ukryci w cieniu, śledzili wytężonym wzrokiem wydarzenia.

Banlid zrozumiał teraz, że nie był to prawdziwy odwrót ale coś innego – odbywającego się w nastroju złowieszczonego oczekiwania. Chrapliwe rechotanie – z pewnością prymitywny język – miało w sobie tony oczekiwania... czci... lęku... *Dlaczego?*

– Teraz rozumiem, czemu szarpałeś się jak szalony, by odzyskać ten pierścień – szepnął Banlid, niepewnym krokiem podążając trop w trop za Kane'em. – Czy to pierścień mocy jakiegoś czarnoksiężnika? Jakie czary ich odganiają?

Twarz Kane'a zmieniła się od targających nim emocji. Pierścień nie ma jeszcze żadnej mocy... przynajmniej ja tak sądzę! – mówił łamiącym się głosem, jeszcze drżącym od przekraczającego granice wytrzymałości napięcia. Koszmarne następstwo wydarzeń było ponad siły nawet jego żelaznych nerwów. Odrzucił więc na chwilę swą zwykłą maskę.

– Rillyti znają ten pierścień... rozpoznali Krwawnik! Choć upłynęły wieki, ich rasa pamięta jednak, jakim niezwykłym potęgą ten pierścień potrafi rozkazywać!

Księga Starszych sugerowała istnienie takiej pamięci rasowej, dając do zrozumienia, że kult Krwawnika zachował się jeszcze wśród Rillytich w formie pewnych szaleńczych obrzędów. Kane obsesyjnie studiował ten ustęp, przez niezliczone godziny rozważał, jakie tajemnice skrywały inne strzępy legend i ciemnej nauki, usiłując wydrzeć każdą cząstkę starożytną wiedzę zza zasłony czasu. Ogromna ich cześć mu umknęła, zasięg niektórych przekraczał nawet najdziksze przypuszczenia. Ale dość faktów było pewnych – dość, by powążył się na fantastyczne ryzyko. Alorri-Zrokros utrzymywał, że Rillyti rozpoznają pierścień i uczczą tego, kto go będzie nosił; Kane zaś był pewien, że to właśnie jest ów starożytny pierścień. Ale nie było jego zamiarem sprawdzanie prawdziwości wizji szaleńca za tak straszliwą cenę. Kane wyrwał się z zachłannych szponów śmierci nieskończenie wiele razy. Ale ten skok na złamanie karku w niewyobrażalną katastrofę, która w ostatniej chwili dotknęła jego hazardową grę, oszołomił go swymi następstwami.

Banlid przyglądał mu się, wążąc coś w myślach. Zaczął składać w całość różne fragmenty informacji dotyczące Kane'a – rozsypane fakty, wątpliwości, które nigdy nie przybrały zdecydowanej formy, pytania, jakie Dribeck postawił na temat cudzoziemca. Wysłanie Banlida, by miał oko na Kane'a, było sprytnym posunięciem pana Selonari. Pulchne kształty Banlida dobrze skrywały fakt, że był on zahartowanym wojownikiem, a zaspana mina bystry umysł.

– Zapewne dostrzegłeś, że pierścień z krwawnikiem jest swego rodzaju kluczem do starożytnych tajemnic Krelran? – zapytał, gdy schodzili po schodach. Kane z roztargnieniem kiwnął głową. – Teraz, gdy już dotarłeś do Arellarti – nalegał Banlid – czy ufasz, że potrafniesz zgłębić ich zaginione sekrety? Czy potrafniesz kierować siłami, które len pierścień może wyzwolić?

Tym razem Kane spojrział na niego chłodno. Rudowłosego cudzoziemca nie na długo dawało się zaskoczyć. Odpowiedział sardonycznym tonem:

– Tak.

W tym momencie Banlid zaczął podejrzewać, na czym polega istota planu Kane'a.

– Rillytich sparaliżował na chwilę strach – podsunął. – Dajmy stąd nogę, nim otrząsną się z oczarowania!

Kane pokręcił głową. – Tego nie zrobimy. Potęga której posiadanie walczyłem, jest blisko. Nim nastąpi świt, zbadam tajemnice Arellarti albo nie będzie w ogóle świtu!

– Nigdy ci się nie uda o własnych siłach wynieść stać czegoś wartościowego – zauważył Banlid. – Musimy wrócić do Selonari po więcej ludzi.

Rzucił nerwowe spojrzenie w stronę otwartej brani i zniszczonej grobli, prowadzącej przez ciemniejące moczary.

– Słuchaj, Kane... Zostań tu na noc, jeśli zdecydowałeś się stawić czoło tym diablom, które rozerwą cię na strzępy! Ale ja wracam do Selonari natychmiast, i to sam, jeśli zdecydowałeś się pozostać. Jakichkolwiek tu odkryć dla niego dokonasz, Lord Dribeck będzie ci wdzięczny. Z pewnością przyśle tu dosyć ludzi, by dopomogli w transportowaniu wszelkich użytecznych artefaktów do Selonari. Uczyni cię lordem, Kane... jeśli Rillyti nie wykończą cię do świtu!

– Idź, jeśli chcesz – odparł Kane. – Ja podejmę ryzyko.

Gdy Banlid spojrział na płonące lodowatym ogniem oczy cudzoziemca, poczuł, że zimny pot spływa mu po krzyżach.

– Więc zdaje mi się, że poprobuję się przedostać. – Czy doprawdy mógł się łudzić, że Kane nie zrozumiał wszystkich przyczyn jego lęku? – Jeśli ten pierścień daje ci jakąś władzę nad tymi Rillytami, spróbuj im wytłumaczyć, aby przepuścili mnie przez bagna. Jakkolwiek by patrzeć – dodał z nadzieją – uratowałem ci życie tam na bagnisku, gdy babrałeś się w gnoju. Wiem, że o tym nie zapomnisz.

– Do diabła, Banlid! – mruknął niecierpliwie Kane. – Idź i zgiń w Kranor-Rill... ja cię nie będę powstrzymywać! Nie wiem, ile władzy mam nad tymi ropuchami ani jak długo ona potrwa. Ale masz tutaj ze mną większe szansę, niż próbując przejść tą groblą po zapadnięciu ciemności!

– No, to ja podejmę takie ryzyko – odparł Banlid.

Zdecydowanym ruchem odwrócił się i podążył ciężkim krokiem do bramy, próbując nie myśleć o niezliczonych niebezpieczeństwach czyhających między Arellarti i odległą puszcza. Rillyti stanowili dość wielkie zagrożenie, jeśli lawet...

Zatrute ostrze przebiło jego plecy, uwalniając go od strachu na zawsze.

Kane z namysłem przyjrzał się ciału przebitemu dzidą, dziwiąc się nieco, że nie odczuwa żalu. Czyżby upływ stuleci pozbawił go resztek człowieczeństwa? – Niewielka była nadzieja, że uda ci się przedostać – wyjaśnił trupowi.

Nie było żadnych oznak, by ten nagły wybuch przemocy zaniepokoił Rillytich. Mieszkańcy bagien rozproszyli się, choć widać było wiele niezdarnych postaci stojących na boku albo gromadzących się w małe grupy. Chociaż żaden z nich nie podszedł do Kane'a, ich wąskie oczy zwrócone były na niego z wyrazem niezgłębionego zainteresowania. Od czasu do czasu wymieniali ciche rechoty – chrapliwe, gardłowe sylaby, w których słychać było tony natarczywości i podniecenia.

Kane nawet nie próbował zgadywać, jak długo lęk przed pierścieniem z krwawnikiem zapewni to niepewne zawieszenie broni. Ryzykował na podstawie zwietrzałej mądrości człowieka, którego wizje wraz z zaginioną wiedzą przynosiły szaleństwo. Wygrana oznaczała potęgę, o której granicach Alorrii-Zrokros ledwie napomknął; przegrana zaś klęskę, podobnie przekraczającą ludzkie wyobrażenie. Od owej nocy w wieży Dzhaniikest Kane nawet nie pomyślał, jakie istnieją tu szanse.

Z namysłem odwrócił się plecami do zasłanego plonem śmierci muru i zdecydowanie podążył na ulicę. Kilku Rillytich stało mu na drodze, ale gdy się do nich zbliżył, oddalili się pośpiesznie. Mijając ich, Kane dostrzegł, że podążają za nim, przyglądając się z bezpiecznej odległości. W prostej linii za zatopioną w błocie groblą główna aleja krelrańskiego miasta przecinała je, wiodąc do centralnej kopuły. Jej geometryczną doskonałość ledwie skrywały girlandy pnączy i rzadkiego podszycia, przechylone ściany i leżące stertami gruzy.

Kolosalna kopuła, teraz już zasłaniając zachodzące słońce, przysiadła w sercu miasta, ponuro naśladowując łuk tęczy swymi wznoszącymi się nad inne budowle ścianami.

Z brawurą wywołaną obecnością tego, co przez tygodnie panowało nad jego myślami, Kane śpieszył do celu. Gdy wspinał się na pagórki gruzu i niecierpliwie rąbał przeszkadzające pnącza, jego płytkie rany znów zaczęły krwawić. Nawet mimo pośpiechu zauważył, że centralna ulica była w o wiele lepszym stanie, niżby wskazywał na to jej wiek – choć nie potrafił ocenić, czy jest to skutkiem trwałości krelrańskiego budownictwa, czy tego, że miasto nie było całkowicie opuszczone. Słyszał za sobą człapanie skórzastych, płetwiastych stóp i skrobanie szponów po kamieniu. Rillyti wlekli się z tyłu w makabrycznej procesji lub kulili w cieniu, wlepiając w niego nieustępliwe, bazyliżkowe spojrzenia. Kane w roztargnieniu zauważył, że ich przyciszony rechot brzmi jak rytmicznie powtarzane sylaby, podobny pieśni żałobnej w swym złowieszczym brzmieniu zmieszanego strachu i oczekiwania.

Otoczona wiekowymi budowlami, stłoczonymi wzdłuż zawałonych szczątkami alej; obrośnięta lianami i drzewami o pajęczych korzeniach, przeciskających się przez pęknięcia w ścianach, kolosalna kopuła czekała na Kane'a w sercu umarłego miasta. Rozpalony zachodzącym słońcem – lub wyobraźnią Kane'a – ogniowy kamień świecił wulkanicznym blaskiem, wyczarowując z nieodpartą intensywnością obrazy płomieni. Zdawał się chwiać w polu widzenia Kane'a i choć przyzywał go z taką mocą, jak płomień przyciąga ćmę – obiecując zgubę, ale wraz z nią nie kończącą się chwilę przekraczającej wszelkie wyobrażenie ekstazy – nie zachwiało to jego determinacji. Miał przed sobą klucz do niezmiętej potęgi; najdrobniejsze nawet cząstki jego sił musiały posłużyć jej uwolnieniu. Chociaż kulał, nie czuł ani bólu ran, ani męki potwornego wyczerpania. Koszmar wyrąbywania ścieżki przez moczary i historyczna, zaciekła walka na rozpadającym się murze nad śmiertelną przepaścią otępiły go do tego stopnia, że nie reagował już na żaden szok. Dziesiątki okrutnych płazów otaczały go teraz, samotnego w zaginionym mieście, którego przedludzka starożytność obrażała sama obecność człowieka. Zamrożony umysł Kane'a jak we śnie przeskakiwał od jasności do ciemności; jego myśli szarpały się między natchnioną pewnością i mglistym lekceważeniem. Ale od chwili, gdy po raz pierwszy spojrzął na pierścień z krwawnikiem, umysł Kane'a prześladowały szatańskie zwidy, przekraczające zdrowy rozsądek.

Otwarta przestrzeń otaczała monolityczną kopułę jak aureola wokół płomienia. Gdy Kane wydostał się na plac, wydało mu się, że drzewa tu były skarłowaciałe, jakby aura emanująca z kopuły poskręcała je, zmuszając korzenie do zwijania się jak macki ośmiornicy, gdy starały się przeniknąć przez bruk dziedzińca. Przy bliższej obserwacji okazało się, że gigantycznej kopuły nie oszczędziły stulecia. Na jej wygiętych bokach rysowały się pęknięcia, powyszarpywane otwory ukazywały podwójną ścianę, spiętą zastrzałami z brązowego stopu. Ale nawet przerażający ciężar tysiącleci nie zniszczył tego arcydzieła pozaziemskiego budownictwa. Okryta bliznami wojennymi, ale wyprostowana, kopuła stała, rzucając wyzwanie czasowi i tylko w paru miejscach szczeliny przecinały zarówno zewnętrzną, jak i wewnętrzną ścianę.

Jej czystego zarysu nie zakłócało żadne wejście. Ale Kane, idąc po dziedzińcu, zauważył, że aleja prowadzi do zagłębienia u podstawy półkuli, gdzie widniały schody łagodnie opadające w ciemność. Po obu ich stronach widać było podobne zagłębienia; zapewne symetria planu Arellarti nakazywała, by każda z siedmiu promienistych alej kończyła się podobną podziemną rampą. Z niezmienną, niedbałą pewnością siebie Kane zszedł po schodach o niezwyklej proporcjach aż do podziemnego wejścia, słabo oświetlonego padającym z góry światłem. W półkolistym otworze wejściowym widniały rozsunięte drzwi z brązowego stopu; ich masywne płyty wsunięte były między podwójne ściany. Skłębione pnącza zdradzały, jak długo wejście stało otworem, czekając, aż ktoś przekroczy trzydziestostopowy portal – *kto przekroczy?* Kane wstąpił do środka.

Nie od słońca jarzyła się kopuła – płomień był w jej wnętrzu. Nagłe, przelotne wrażenie, na moment tylko odnotowane w umykającej uwadze, przyciąganej jak spadający meteoryt do serca Arellarti: ogromna, otwarta przestrzeń, półmrok. Nikły blask słoneczny sączy się do wnętrza ogromnej półkuli przez szczyby w murze plamami zblakłej żółci, jak światło gwiazd padające o północy ze sklepienia niebios. Skłębione jak chmury na niebie pędy lian o niezdrowej barwie i trędotwym cieple w słabym świetle. Rozrzucone pagórki opadłego gruzu, łukowate, smukłe kolumny z brązowego stopu, wspierające ściany na niebotycznej wysokości. Otulone chmurami mięsistych pnączy słupy gigantycznej maszynierii, zamarłe jak zamyśleni wartownicy. Fantastyczne spiętrzenia ceramiki i kamienia, metalu i kryształu – dziwnie zestawionych, wielobarwnych – przeplecione niebywalej długości miedzianymi kablami, pełzającymi wszędzie, jak niewyobrażalnie wielkie węże, konwulsyjnie wydobywające się ze skupiska jaj.

I przyćmiewający wszystkie te cuda... Krwawnik!

Środek komnaty zajmowała gigantyczna, kryształowa półkula, blisko stujardowej średnicy; gładka, ciemnozielona z czerwonymi żyłami. Jej podstawę otaczał pierścień srebrnobiałego metalu, połączonego miedzianymi żyłami z pochylonymi kolumnami maszynierii. Serce Arellarti nie biło; ognie wewnątrz kryształu pogrążone były we śnie. Ale w słabym świetle Kane natychmiast rozpoznał pokrewieństwo tego monolitycznego kryształu i pierścienia z krwawnikiem na jego palcu. W pamięci zapłonęły mu ustępy z *Księgi Starszych*, atakując jego zmysły gorączkowym podnieceniem, gdy pojął prawdziwość niesamowitego opowiadania.

Z żadnej kopalni na Ziemi nie mógł pochodzić tak potężny kryształ. Krwawnik, podobnie jak pierścień na dłoni Kane'a, przybył z gwiazd. Tutaj, pod tą ogromną kopułą, spoczywało szczytowe osiągnięcie nauki Krelran, jądro ich starożytnej potęgi. Lecz ta potęga leżała uspijona, pogrzebana pod pyłem wieków i podobnie, jak było to z kamieniem w pierścieniu, tylko aura zła wskazywała na niezmierny potencjał, spoczywający w mrocznej głębinie kryształu. Żaden ślad rozkładu nie kaził Krwawnika ani żadne pnącze nie przylgnęło do jego błyszczącej krzywizny. Półkolisty podest z ogniowego kamienia nakrapianego czerwienią przylegał do podstawy Krwawnika, wyniesiony nieco jak ołtarz idola. Zdumiewający układ miedzianych i srebrzystych prętów, stożków i gałek z ceramiki

lub dziwacznie zabarwionego kryształu rozmieszczono na jego powierzchni. Na wierzchołku zaś podestu znajdował się jardowej średnicy krąg srebrzystego metalu; z jego środka spoglądało jak oko cyklopa niewielkie czarne zagłębienie. Z zewnętrznej krawędzi owej półkolistej platformy wybiegał labirynt srebrnych i miedzianych przewodów, prowadzących do centralnej, o pięciostopowej średnicy, kolumny ze srebrzystego metalu, tworząc poziome połączenie między tablicą instrumentów i wstęgą podobnego metalu okalającą Krwawnik.

To *jest* ołtarz – stwierdził Kane, zauważywszy przed Krwawnikiem gruby pokład ludzkich i płazich kości oraz odrażające plamy zaschnięte na podwyższeniu – ponure świadectwo ohydnych obrzędów, które, jak szeptano, Rillyti tu odprawiali. Pod jego butem rozpadła się w proch kość ramieniowa, wskazując, jak dawno złożono tę ofiarę. Gdy przemierzał wnętrze kopuły, zaniepokojony rechot Rillytich towarzyszył mu jak huczące echo, zwiastujące uderzenie dalekiego pioruna. Potworne zgromadzenie wtoczyło się za nim do wiekowej świątyni. Rillyti czekali w cieniu, przykucnięci w kałużach letniej wody, wsparci o kopce gruzu, wyglądający zza gmatwaniny trędotawych roślin – ze zwierzęcymi umysłami porażonymi zarówno strachem jak niepewnością, czy powrócił legendarny kapłan. Brązowe miecze w ich pletwiastych dłoniach zapowiadały szybką śmierć oczekującą oszusta, dopuszczającego się niewyobrażalnego bluźnierstwa.

Nie zwracając uwagi na Rillytich, Kane skupił się na tym, co Alorri-Zrokros pisał na temat Krwawnika – na makabrycznym rytuale, który jego wyszkolony w magii umysł zapamiętał i tysiącrotnie rozważał po przeczytaniu księgi. Ale w tej chwili jego członki zdawały się poruszać automatycznie, myśli płynęły z ostrą, nieludzką jasnością. Niknąca jasność dnia, napływająca przez szczyby w kopule zapewniała ledwie widoczną iluminację, ale dla Kane takie oświetlenie było więcej niż dostateczne. Ani strach ani niezdecydowanie nie hamowały jego ruchów i Kane uświadomił sobie niejasno, że błyski wiedzy – obcego mu sposobu myślenia – prowadziły go, zmuszając do odprawienia obrzędu.

Wspiął się po kilku szerokich stopniach platformy, na której spoczywał nakrapiany kamienny półksiężyc, ślepo odgarniając po drodze szczątki szkieletów. Powietrze nasycone było napięciem nie do zniesienia, jak przy rodzącej się błyskawicy. Całą jego uwagę pochłaniała tablica instrumentów. Zacisnąwszy w skupieniu zęby, wzrokiem twardym od napięcia, przyglądał się tylko przed krótką chwilę – tak się zdawało – układowi sterowania A potem jego długie palce zamknęły się na srebrzystym pręcie i pchnęły go w dół. Następnie pręt miedziany przesunął na prawo; te oto ceramiczne gałki – zbyt wielkie dla ludzkich dłoni – należy obrócić tak. Przelatujące nad tablicą ręce Kane'a zręcznie wykonywały skomplikowane ruchy, niejasno tylko wspomniane w instrukcji Alorri-Zrokrosa. Ani razu się nie zawahały, ani też Kane nie zatrzymał się, by sprawdzić staranne notatki, jakie poczynił z *Księgi Starszych*.

Kilka dźwigni przez chwilę opierało się jego naciskowi ale czas niewiele uszkodził pozaziemską maszynę. Tera w powietrzu stało coś więcej niż energia psychiczna. Przyglądające się żaboludy z wyciem zgrozy wycofywały się w cień spękanych, zakrzywionych ścian. Martwe od dawna słupy maszyny wybuchły oślepiającym światłem; warstwy wielobarwnego ognia otuliły węzowe sploty nieznanego metalu. Ostry, podobny do ozonu odór zaczął się wciskać w nozdrza Kane'a, a powietrze stało się gęste od smrodliwego dymu, gdy szczątki mięsistych liani wybuchnęły skwierczącym, niezdrowym płomieniem. W powietrzu trzeszczały iskry, płonąc pod kolosalną kopułą jak oszalała zorza polarna. Wybuch barwnego płomienia smagnął grupę Rillytich, która podczołgała się zbyt blisko, zmieniając ją w bezładny stos śmiertelnych szczątków.

Kane roześmiał się w szatańskim uniesieniu – makabryczna postać, spryskana gnojem i juchą, z oczami płonącymi jak niebieskie węgle, czerwonymi włosami stojącymi dęba od elektryczności

statycznej, z twarzą zmienioną w chaosie wybuchów światła. Podniósłszy głos ponad trzask wybuchów, wyrzaskiwał psalmodie zapisane przez Alorri-Zrokrosa, wysilając gardło, by wydało z siebie nieludzkie sylaby. Odpowiedział mu wznoszący się z cienia grzmiący chór śpiewających Rillytich, dla których nakaz zaintonowania zapomnianej od stuleci inwokacji był silniejszy niż strach.

Krwawnik nie leżał już w uśpieniu!

Po tysiącletciach drzemki serce Arellarti znów biło, pulsująca energia płynęła w arteriach.

W jego zielonej głębi zapalił się niezwykle ogień, głęboki jak wieczność – blask wstający jak świt oglądany przez ciemny szmaragd. Migoczące, jasne światło padało na ściany kopuły. Trochę ciemniejszym, intensywniejszym żarem płonęły obudzone do purpurowego życia czerwone żyły i w mrocznie przeświecającym kamieniu te szkarłatne macki zwijały się fantastycznie, by wreszcie zniknąć w głębinach Krwawnika. Nieobjęte energie kosmosu zostały wreszcie wyzwolone i Krwawnik zapłonął skrzącym się ogniem życia.

Szaleńczy hymn Rillytich wtórował mu nieludzkim chórem podziwu, spełnienia, przerażenia. Wymawiając zdrętwiałymi wargami ostatnie wersy swej inwokacji, Kane stanął przed metalowym dyskiem w środku kamiennego półkłęgu. Przeciągnawszy palcami po cięciu na swym barku, posmarował świeżą krwią srebrzystobiały dysk i namaścił okrągłe zagłębienie w jego sercu. Gdy wykonywał gesty, które dopełniały obrzędu starszego świata, od wydobywającego się z pierścienia elektrycznego mrowienia zdrętwiała mu ręka.

Lewą dłoń zwinął w pięść. Pierścień z krwawnikiem wystawał ponad jego zaciśnięte palce. Zauważył teraz, że i ten kamień żarzy się życiem – miniaturowy odpowiednik tytanicznego kryształu płonącego przed nim. Skierował pięść ku centrum metalowego koła, jakby przykładał sygnet do jakiegoś niewyobrażalnego dokumentu – przeleciała mu przez głowę myśl, że w ten sposób pieczętowano wiele czarnoksięskich umów.

Na ostatnich calach jakaś siła zdawała się przyciągać jego rękę jak przemożny magnes. Krwawnik pierścienia szczepił się z centralnym zagłębieniem. Przy zetknięciu z mokrym od krwi metalem trzasnęła iskra elektryczna.

W tym samym momencie Kane poczuł, że wszystkie komórki jego ciała wybuchają nieznośną męką, ekstazą nie do wytrzymania – i równocześnie czymś, co przekraczało oba te uczucia. Całe jego ciało drgnęło konwulsyjnie a potem zastygło w bezruchu, gdy przeniknęła je błyskawica kosmosu. Martwo urodzony wrzask nie wyrwał się sparaliżowanego gardła.

Krwawnik wybuchnął jak płonąca supernowa nagiej energii i zabłysnął oślepiającym światłem, które na jedną przerażającą chwilę rozjaśniło jego nieogarnione głębie. Z żyjącej istoty Krwawnika wystrzelił piorun zielonego, czerwono żyłkowanego światła i ogarnął Kane'a, kąpiąc go w swym niesamowitym ogniu.

Długo trwał szarpiący umysł chaos nieopisanych wrażeń, przewalających się nieczłowiecznymi formami jak nieskończona czerń przetykana błyskami bezkształtnych obrazów. Przez wieczność unosił go kalejdoskopowy wir cudzego snu, wnikający w umysł kosmiczną świadomością, tak niewiarygodnie obcą, że nie był zrozumiały żaden z jej ułamków myśli – rozhukanych obrazów nie do pojęcia, bo były one projekcjami wrażeń zmysłowych, do odbioru których brakowało człowiekowi receptorów.

Przytępiony umysł Kane'a ocalił jednak strzępy pajęczej tkaniny własnej osobowości, szczątkowej świadomości bycia kimś oddzielnym... intuicji właściwej śniącemu, rozumiejącemu, że znajduje się wewnątrz snu, ale nie ma siły wyrwać się spod jego czaru ani nawet pokierować jego biegiem. Czuł, że struktura jego umysłu, sama jego dusza, jest rozkładana, sondowana, badana, sprawdzana z pełnym wyższości zainteresowaniem – bezosobowym, ale nie mniej przez to

ogromnym.

Ta psychiczna wiwisekcja rozzłościła Kane'a – czy też cień jego umysłu, który teraz walczył o zachowanie spójnej tożsamości. Silił się, by zespolić swą rozszczępioną świadomość, odeprzeć wkraczający weń umysł, który nieubłaganie drażył we wspomnieniach zapisanych w jego duszy. Napotkał opór i podjął z nim zawziętą walkę. Jego ogromna witalność psychiczna rosła w siłę. Dziesięciolecia poświęcone studiom wiedzy tajemnej dały Kane'owi możliwość kontrolowania ukrytych zasobów, ścieżek myślowych, dostępnych niewielu tylko ludzkim umysłem. Zaskoczony tym nieoczekiwanym atakiem, obcy umysł cofnął się i jednym uderzeniem Kane odzyskał szanse swej świadomości. To nieprzewidziane ukrócenie badania zbiło z tropu to, co je przeprowadzało, ufne, iż tego rodzaju obrona zostanie w końcu przełamana.

Choć natrętna, drobiazgowa analiza jego świadomości ustała, Kane'em nadal szarpała burza psychiczna obcej myśli. Fragmenty obrazów, ułamki wrażeń stawały się teraz dla niego zrozumiałe. Nie mógł jednak określić, czy wynikało to z jego coraz lepszego pojmowania obcego punktu widzenia, czy też przenikający go byt przekształcał swe wrażenia zmysłowe tak, by odpowiadały ludzkiemu postrzeganiu. Rodzące się zjawiska łączyły się w sekwencje jak maleńkie, błyszczące odłamki ciągłej mozaiki. Zaczął się tworzyć obraz, który Kane mógł już umysłowo starać się zinterpretować, choć ogromne połacie tego obrazu pozostawały bezkształtnymi płatami nieludzkiej myśli; kamykami koloru wykraczającym poza widmo widzialne.

Obrazy zaczęły się łączyć...

Ciemność. Nieokreślenie długi okres wyczekiwania, tęsknoty. Ruch. Posuwanie się w czasie? Przestrzeni? Niebezpieczeństwo. Energia. Niebezpieczeństwo o włos wyminięte. Ruch bez końca. Ucieczka do bezpieczeństwa? Niebezpieczeństwo przemijające? Pragnienie; oczekiwanie. Przepływ i odpływ olbrzymich energii. Cierpliwość/rozpacz/oczekiwanie/nadzieja. Zakończenie ruchu. Niebezpieczeństwo. Energia. Niebezpieczeństwo odparte. Spełnienie Nadzieja.

Światło. Przemiana.

(Z wielkiej wysokości) Chmury, morze, ląd. Biel błękit zieleń czerwien błyski czerni. Niebezpieczeństwo. Bliżej. Zza nieskończonego lazurowego oceanu, tam gdzie zieleniejący ląd w wyniosły, ciemny bór odziany. Niebezpieczeństwo skryte w puszczy i morzu. Przerażliwa gwałtowność niezmiernie energii. Natarcie parującego morza na płonącą ranę, wyrwaną w kontynencie. Przeznaczenie/przystań osiągnięta. Spełnienie. Osiedlenie na Ziemi Nadzieja/ambicja.

(Obrazy teraz wyraźniejsze, poruszające się w dziwnie stłoczonym przepływie czasu, stylizacja obrazowania częste przechodząca w czysty symbolizm).

Wyspa z surowej skały wynurzająca się z morza wewnętrznego. Horyzont zamyka mgliste wybrzeże z wzburzoną czarną wodą. Rosnące ściany, wspinając się ponad wyspę jak czerwone kryształowe szrony. Ściany, budowle ekstrawaganckiej architektury, sieć uliczna. Dalej baseny i wystające nabrzeża, wielka grobla rzucona przez morze jak promień światła. Miasto wybuchając jak fantastyczna roślina z ziemi, która nie jest jego matką.

(Dziwna dwoistość. Punkt widzenia zarówno stały, jaki ruchomy. Percepcja pod zmieniającymi się kątami, ten sam fragment oglądany, rzutowany z różnych punktów. Równoczesna projekcja przez nieco różniące się obiektywy).

W rosnącym mieście poruszające się postacie. Krelrańscy budowniczowie – matowo-łuskowate stwory, w oczywisty sposób przodkowie ich zdegenerowanego potomstwa, Rillytich. Pewność siebie gadów, inteligencja w działaniach. Dłonie z błonami pływającymi kształtujące miasto, przywódcy kierujący jego budową do najmniejszego szczegółu. Pełznące przez miasto olbrzymie maszyny, błyszczące, niezmordowane, jak mrówki pracujące w mrowisku. Metalowe ramiona podnoszą

ogromne bloki kamienia. Tryskające z dziwacznych przyrządów, błyszczące lancety płomienia stapiają je w monolity, rzeźbią dokładnie kąty, ryją skomplikowane wzory na fasadach. Gigantyczne okręty jak wodne owady mkną przez morze; brązowe stonogi z gardłami ładunków ociężale stąpają przez groble, zrzucają góry pokruszonej rudy i gruzu. Stosy nieodgadnionych materiałów wyładowywanych skądinąd/sponad/z wewnątrz. Wszystko wrzucane do niebotycznych kadłubów maszyn/kotłów, przekształcane niewyobrażalnymi energiami, odradzane jako bloki czerwono nakrapianego kamienia, arkusze i przewody z różnych metali jako nieznane materiały. Surowce przemieniają się w żyjącą substancję Arellarti. Robotnicy transportują, montują szkielet, strukturę – tworzą ścisłą geometrię życia/organizmu. Nad nimi ogromny cień, wstający i opadający, chwiejny. Bronić/żywić.

(Jest tu coś więcej, coś przesłoniętego. Wiele drzwi okrytych ciemnością, zamkniętych, zatrzaśniętych, czasem sama ich obecność niejasna. Są dwa umysły, które są jasnością, ale nie tożsamością. Każdy ma drzwi, bariery, ma klucze mogące otworzyć/uwolnić, by ujawnić więcej/tajemnicę. To nie te same drzwi ani klucze – ale istnieją drzwi zatrzaśnięte bez widocznego zamka oraz klucze, dla których brak znanych drzwi).

Potrzeba. Miasto rośnie ku kompletności/wypełnieniu. Pośpiech. Kopuła wznosi się w niebo, zamykając/chroniąc, nerwy/arterie rozwijają się szybko. Niebezpieczeństwo większe codziennie, codziennie, ponieważ miasto zbliża się do ukończenia i stawiania oporu każdemu zagrożeniu. Głód energii płonie/łaknie. Siła wyczerpana niebezpiecznie, by zrodzić Arellarti. Ponaglenie. Przygotowania muszą być całkowite/dojrzałe nim atak kiedy energii mało. Ja/My/Istota musimy ryzykować/hazardować więcej energii by przyspieszyć ukończenie zanim atak/zanim obrona. Obecność wiadoma, poprzednie pchnięcia tylko by zbadać siłę. *Oni* mogą zrozumieć, zaplanować atak gdy nieodporność największa.

Arellarti bliskie ukończenia. Ściany, konstrukcje, każda komórka/nerw bliska organicznej jedności. Kopuła gotowa przykrywając/zamykając jak ochronna/podtrzymująca skorupa, przezroczysta dla percepcji z wewnątrz/z zewnątrz. Moment ostateczny blisko. Statek już przekształcił/włączył całą energię/jedność prócz małego ułamka. Embrionalne fale siły zaczynają płynąć rodzącą się siecią. Transmisja/transformacja/transmutacja życia/świadomości rozpoczyna się wewnątrz nowego organizmu. Układ jest prawie ukończony. Ja/My/Istota zaczynam żyć wewnątrz nowej energii/struktury.

Płynie życie. Energia. Narodziny/wyłonienie/odnowienie. Uczucie triumfu, gdy nowe życie/energia śpieszy przez niemowlęcy organizm.

(Jest dwóch – jedność dwoistości. Rozdzielić świadomość, znać dwie części całości. Jedna spoczywa pod kopułą, krystaliczny monolit. I jedna spoczywa w pierścieniu. Obie są jednością, razem – Krwawnikiem, połączone, równoległa struktura, posłuszeństwo prawom krystalicznej świadomości/symetrii życia, wysysanie napływu energii kosmicznej. Wewnątrz kopuły jest świadomość Krwawnika, wprzęga energię wielkiego kosmosu, koordynuje/rządzi siłą/życiem. Wewnątrz pierścienia znajduje się jego równoległa osobowość, niezależny/zależny pasożyt/symbiont, wykorzystuje energię organicznego [na tym planie] życia swego nosiciela. Pan/kapłan/sługa Krwawnika – zewnętrzna siła dla manipulowania tym, co nie da się kierować z wewnątrz – przedłużenie siły/życia. Oba wcielenia są jednym i istotnym dla jedności. Dychotomia wielkości/energii kosmicznej zbyt nikłe złudzenie/ograniczenie postrzegania – oba równe/istotne dla spraw istot symetrii/życia...)

(Zablokowanie).

Czas jest nazbyt szybki [teraz]. Krelranie mkną przez Arellarti w szaleńczym, sennym pośpiechu? Spowolnieniu? Pan Krwawnika kieruje ostatnimi przygotowaniem. Przywódca Krelran; oto na jego kciuku, gdzie nie sięga błona pływna, błyszczą pierścienie z krwawnikiem, symbol i narzędzie jego absolutnej władzy. Pan rozkazuje, jego słudzy są posłuszni. Jego umysł nadzoruje powstawanie Arellarti, koordynuje dyrektywy, kulminujące w triumfalnej sile/życiu.

Niebezpieczeństwo! Z dawna oczekiwany z lękiem atak w okresie największej bezbronności! Ciemne metaliczne elipsoidy unoszące się w niebie, miotające płonące gromy niszczącej energii na Arellarti. Drugi atak od morza – napierające okręty w kształcie łez, przedzierające się przez obronę kanału, bijące w mury wybuchami nienaturalnego światła. Nazbyt szybko! Jeszcze brak siły! Ekran energetyczny odpycha wrogi atak. Kontratak jeszcze nieskuteczny. Cała siła skupiona w ekranach obronnych. Nie dość, by utrzymać – przeniknięcie! Partie miasta eksplodują pod grzmiącymi uderzeniami energii. Bramy wybuchają bryzgami popiołu i stopionego metalu. Z każdym niepowodzeniem obrony giną setki Krelran. Miotają się po ulicach, przejęci szaleńczym strachem. Arellarti wije się w męce.

Zdrada!

(Wszystko w chaosie; obrazy zupełnie przesłonięte. Zdrada? Rebelia? Tylko fragmentaryczne obrazy przekazują scenę paniki i zniszczenia).

Pan się wyrwał! Teraz, przy najgłębszym odpływie, najgłębszym wyczerpaniu energii – uciekł. Sterowanie zablokowane, wszelkie źródła siły odcięte. Pułapka – tyle tylko energii, by obronić kopułę. Poza jej ekranami miasto stoi w płomieniach śmierci. Ofiara nieunikniona – ostatek energii musi podtrzymywać ekrany obronne kopuły.

Zdrajca ucieka. Statek wznosi się w powietrze. Próbuje przebić się przez atakujących. Ale i tak był skazany – nie ma załogi, by kierować statkiem, ani dość siły, by go długo bronić.

(Obrazy dzielą się, oszalałymi rozbieżnością. W zamazanym chaosie dostrzec można tylko kilka wyrazistych scen).

Ucieczka/pogoń/bitwa. Wybuchy wstrząsają wszechświatem, metalowy kadłub topi się i zbacza z drogi. Nie ucieczki. Ekran obronny zawodzi. Silniki zniszczone. Upadek, upadek. Atak przesuwają się dalej, gonią statek, zmiatają go z nieba. Uderza w ziemię, resztki mocy amortyzują siłę ciosu, rozpruwa las, rozpada się. Wygrali. Wypełznąć z wraka... ból, upadek sił. Przez las, trzeba uciec. Statek, płonące popioły pod ich ogniem. Zimno. Zimno/ból/słabość/ciemność...

Atak wycofuje się czujnie. Zaspokojony zniszczeniem statku, ruiną Arellarti. Potęga złamana. Klęska. Tylko ostatnia linia obrony utrzymana. Nie mogą przeniknąć Źródło energii odcięte/wyłączone, sieć energetyczna zniszczona. Bezsilność aż do [powrotu]. Trzeba podtrzymywać obronę aż do ostatecznego wyczerpania rezerw...

Obrazy stały się niewyraźne, monotonne. Widok zniszczonego miasta w gęstym półmroku. Ocaleni pełzają wśród ruin, złamani, bez przywódcy, osuwają się w barbarzyńską degenerację. Nad drzemiącymi ruinami zdają się przepływać stulecia. Czasami migają obrazy obcych kształtów ale atak nie następuje. Morze martwieje, cofa się, zostawiając za sobą błotniste trupa, na którego wpełzają chore macki pobliskiej puszczy. Trzęsawisko zaczyna pochłaniać Arellarti, nasuwa się ukradkiem na jego opustoszałe ulice. Czas zaczyna zżerać nawet niezniszczalny nakrapiany kamień; nawet centralna kopuła nie jest oszczędzona.

Wyczerpawszy wszystkie swe siły, Krwawnik leży w oczekiwaniu wewnątrz rozpadającej się kopuły – się tli iskierka krystalicznego życia. Niekiedy Rillyti, zniekształceni, dzicy potomkowie budowniczych miasta z lękiem wkraczają do komnaty, by odprawić pewne szaleńcze obrzędy przed Krwawnikiem. W tych przyćmionych umysłach nadal żyje pamięć dawnej potęgi pamięć Krwawnika.

Ale ich rytuały to tylko przesądne resztki dawnej wiedzy, bezcelowe obrzydlistwo, pozory. Zagubili tajemnicę Krwawnika; zniekształcona, przeżyła tylko w legendzie.

I na koniec Kane widzi sam siebie, jak wchodzi do kopuły; przeżywa nieopisaną nadzieję/pragnienie, obserwującą/kierującą jego działaniem. Nagłe wyzwolenie fantastycznej energii. Wolność po stuleciach bezsilnego wyczekiwania. Przyływ życia.

Odrodzenie!

Nieludzka jedność podwójnego istnienia nagle przywrócona. Ale z istotną różnicą.

Kane nie był już unoszonym bezwładnie obserwatorem (wewnątrz świadomości Krwawnika).

Skrzący się strumień światła, który pochłaniał go tylko przez sekundy, cofnął się do wnętrza Krwawnika, a Kane padł na kamienne półkole we śnie głębszym niż śmierć.

VII. KAPŁAN PRZYBYWA DO BREIMEN

Błysnąwszy w świetle rozpalonego ognia, sztylet przeleciał przez pokój, wbijając swój drżący pazur w przewrócony stół, oparty o przeciwległą ścianę. Ostrze klingi zagłębiło się w kontur jednego z trzech małych kółek, przylegających do jeszcze mniejszego pośrodku.

– Znowu dwanaście punktów dla mnie, Teres! – zawołał triumfalnie Lord Malchion. – Ostatni raz rzucaj starannie; potrzeba ci przynajmniej dziesiątki, aby dar Liana nie grzał mi łoża tej nocy!

Teres, głaszcząc zmierzwiłone włosy zdenerwowanej niewolnicy, wstała i wyteżyła wzrok w migoczącym świetle.

– Kłamliwy rozpustniku! Nawet stąd widzę, że twoje ostrze uwięzło o cal dalej niż trzeba na dwanaście punktów!

Lord Malchion spełnił szydery toast; gdy uniósł dzban wino pociekło mu po wąsach. – Z tak złym wzrokiem, Teres, lepiej poddaj się, nim wyszczerbisz ścianę. Moja klinga trafiła jak trzeba w kółko. Weź twój tłusty tyłek w troki i zobacz na własne oczy!

Mężczyźni, rozwaleni w wyłożonej boazerią komnacie ryknęli śmiechem.

– Jest w połowie w kółku, zgadza się. Musisz wykonać dobry rzut, Teres – zawołał Lian, nieoficjalny sędzia. Lian, wolny baron z północnego wybrzeża Wollendanu właśnie tego dnia oddał swój miecz i ponad dwustu ludzi na służbę Malchiona. Szczupły dowódca ofiarował nowemu panu miodowoskórą, młodą niewolnicę, kupioną w handlu zamiennym – tanio, z powodu jej niedoświadczenia – od obcokrajowców włóczących się brzegami Słonej Pustyni nad wschodnim wybrzeżem Ziem Południowych. Na jego gest Malchion odpowiedział wystawnym bankietem. Późną nocą, po wielu galonach wina, Lian z rozbawieniem obserwował sprzeczkę pana Breimen i jego następczyni o pierwszą noc z dziewczyną. Wymiana pijackich zniewag doprowadziła do ostrej rozgrywki, mającej zdecydować, komu umiłą życie wdzięki kasztanowowłosej Cosmallen.

– Chodźże, Teres! – szydził Malchion. – Popatrz sama, jeśli nie chcesz zaufać słowu dzieciinniałego ojca! Idź sprawdź, zanim wyjmę mój nóż! – Zachichotał podniecony oczekiwaniem zwycięstwem i machnął ręką, by podano mu kolejny kielich słodkiego miejscowego wina.

W młodości ludzie zwali go Wilkiem – epitet zasłużony jego dzikim zapalem do bitki i polowania. Po czterech dziesięcioleciach od dnia, kiedy po raz pierwszy wytoczył w walce krew, jego okrucieństwo nie zbladło, choć fizycznie lata twardego życia zaczynały się na Lordzie Malchionie odbijać. Krępa figura Wilka stała się ostatnio mięsista, dając mylne wrażenie korpulentności, której przeczyła nie naruszona siła jego ramion i junacki krok, zaledwie odrobinę utykający. Twarz, zarumieniona od obfitości wypitego wina, wydawała się wolna od zmarszczek starości i plam, wywołanych rozpustą. W blond włosach nie było pasm siwizny, choć jego skołtunione, tłuste loki zaczynały rzednąć. Malchion, jak wielki dąb, twardo opierał się wichrowi czasu, lecz zęby zaczynały mu się psuć i można było podejrzewać, że skryta zgnilizna toczy go też gdzie indziej.

Teres wstała ze zmarszczonym czołem i zaciśniętymi wargami, by odpowiedzieć na jego toast. Wino pociekło strumyczkiem po prostej bliźnie, przecinającej ukosem jej gładki policzek.

– Chytra beczko flaków! Zostaw swój sztylet gdzie jest albo przyszpilę twą chciwą łapę do deski! Niech tam zostanie, bo za sekundę będziesz mogła porównać go z naprawdę celnym trafieniem!

Szczenie Wilka podsunęło szaroniebieską, hartowaną stal czerwonym wargom Cosmallen. – Ucałuj moją klingę na szczęście, śliczna, bo przekonasz się, że moje pocałunki słodsze są niż tego kozła z łękowatym grzbietem! Zakłopotana Cosmallen spełniła jej życzenie.

Obliczając rzut z pozorną nonszalancją, Teres rozluźniła napięcie dobrze wytrenowanych mięśni i uniosła nóż. Gdy wzięła zamach i wyprostowała ramię z pełną gracji siłą, ruchy były sprawne i płynne pomimo wypitego wina.

Sztylet poleciał w stronę deski celnie, jak się zdawało. Ale Teres spartaczyła moment wypuszczenia go z ręki i nóż uderzył rękojeścią, siłą wstrząsu wybijając z celu broń Malchiona. Oba sztylety z urągliwym łoskotem spadły podłogę.

– Thoemie! Cóż za piękna robota! Cholernie bliski było, abyś wbiła mi go w nogę! – zawył rozweselony Malchion.

Teres pobladła z wściekłości. – Nóż wyslizgnął mi z dłoni! To przez tę szminkę do warg, którą ta suka wysmarowała klingę! Niech cię diabli wezmą, ty nadęty worku pijackich rzygowin! Przestań idiotycznie chichotać Nie... nie przestawaj, aż cię ruszy apopleksja! Została sfaulowana i jak jasna cholera rzucę jeszcze raz!

– Och, byłaś sfaulowana przez twą zalaną winem głowę! – piszczał z radości Malchion. – To ty ją prosiła o pocałunek i dostałaś go... jedyny na dzisiejszą noc! Jako sędzia ostateczny i główny arbiter ogłaszam siebie zwycięzca, a te zawody jako zakończone... aby błędne rzuty mego wilczęcia nie poraniły naszych łaskawych widzów! Opanuj się, Teres, i nie zapominaj więcej, czyje ręce nauczyły cię rzucania nożem, ani nie próbuj ponownie równać się bystrością oka, ani mocą głowy ze starym mistrzem! Przykro mi, droga córeczko, ale Cosmallen na tę noc zdobył Wilk! Aahrr-rooooo-oo!

– To ją sobie bierz, ty pustogłowy intrygancie! – warknęła Teres, równocześnie uśmiechając się łaskawie. – Biorąc pod uwagę wino i twój podeszły wiek, ufam, że będzie spać spokojnie... chyba, że chrapanie i plugawy oddech zakłóca jej wypoczynek!

– Thoemie, czyjeż usta śmia innym zarzucać plugastwa! – zawołał Malchion z niezmaconą wesołością. – gdybyś była moim synem, za taką bezczelność wepchnąłbym ci twoje własne uszy w gardło! Ale że jesteś córką, te bezmyślne obelgi tylko podtrzymują twą dobrze zasłużoną reputację megieri i jędzy!

– Och, dosyć tego gównianego “gdybyś była moim synem”! – wrzasnęła Teres, wyciągając palce jak szpony. – Zmierz się ze mną, jeśli masz odwagę poddać mnie próbie, a oberwę ci zębami twoje tłuste uszy!

– Urocze stworzonko, gdy się tak gniewa, nieprawdaż? – Malchion wyszczerzył zęby.

Teres wymamrotała chaotyczny szereg przekleństw i zapadła w milczenie, zdecydowana nie dawać ojcu więcej pretekstów do wesołości. Ze złości przygryzła równymi zębami swe krótkie paznokcie, siląc się na minę pełną wyniosłej godności.

Dziwne to było stworzenie z tej Teres, która większość swych dwudziestu i pięciu lat życia poświęciła zaprzeczaniu swej kobiecości, i to z zaskakującym powodzeniem. Twarz miała pociągłą, choć nie męską w rysach, i nawet można by ją określić jako ładną, gdyby nie wąska blizna, przecinająca policzek i nie dość dobrze nastawiony, dwukrotnie złamany nos. Blond włosy nosiła splecione w gruby warkocz, przewieszony przez opalone ramię. Uszy przekłuła, by zawiesić w nich grube, złote koła – nie jako ustępstwo na rzecz kobiecości, lecz by naśladować modę wojowników z pewnych barbarzyńskich, leśnych klanów Wollendanu. Małe, strome piersi i wąskie biodra prawie zupełnie skrywała gruba odzież żołnierska, którą zwykle nosiła. Całe lata towarzyszenia ojcu konno w boju i na polowaniach, naciągania łuku i szermierki mieczem podczas najbardziej brawurowych wypadów dały jej siłę równą wielu mężczyznom. Jeśli zaś miała jakiś rys słabości, to był on w dwójnasób nadrobiony przez właściwą jej płci niezachwianą odwagę i wdzięk. Do tego jej twardo umięśnione ciało przywodziło na myśl silnego, szczupłego mężczyznę o pięć, może więcej lat młodszego, lecz bez chłopięcej niezdarności. Wygląd Teres nie był niemiły, choć z pewnością

egzotyczny – być może trafniej byłoby powiedzieć: barbarzyński.

Niezdecydowane pukanie poprzedziło wejście naczelnego zarządcy domu Lorda Malchiona, Embroma. Nie zwracają uwagi na obecnych, przerwał odgrywane pół żartem, serio przedstawienie, przechodząc przez komnatę i szepcząc parę zdań, przeznaczonych tylko dla ucha jego pana.

– Psiakrew! – wymamrotał Malchion. – Mówią, diabeł zawsze pojawia się o najbardziej niewłaściwej porze. Niemniej...

Chrząknął i zdecydowanym ruchem wlał sobie do gardła resztę napoju. – Stary mistrz okaże współczucie młodemu zgniłkowi – oświadczył trzeźwym głosem. – Teres, oddaję ci pierwszy kwiat jeszcze nie ujawnionych talentów Cosmallen. Uważaj to za kolejny dowód łaski zdzieciniałego ojca dla niewdzięcznego szczenięcia.

Powstawszy, skinął głową gościom. – Panowie, jeśli pozwolicie, okoliczności wynikające z nieporządków w moim gospodarstwie zmuszają mnie do opuszczenia naszej uczonej dyskusji na tematy duchowe. Moi służący będą zaspokajać wasze życzenia, gdyby ktokolwiek nadal pragnął zagłębić się w metafizycznych rozważaniach. Moja piwniczna biblioteka zawiera wiele nie otwartych tomów starożytnej mądrości domagających się zbadania.

Odszedł pełnym godności, choć niepewnym krokiem. Z przyległego holu doleciał odgłos potwornego czknięcia, a po nim wybuch śmiechu.

Teres zakłęta i przygryzła kostkę dłoni, wpatrując się w długonogą niewolnicę, jakby chciała ją uderzyć. – Ten tłusty kozioł rozdziela łaski tak chętnie, jak wygłodzony pies darowuje gruby kotlet bezdomnemu kotu! – mruknęła. – Pójdź do mojej komnaty, Cosmallen. Nauczę cię miłej zabawy, gdy tylko się dowiem, jakim niemiłym knowaniom oddaje się ojciec. – Rzuciwszy niedbałe pożegnanie, dumnym krokiem opuściła salę.

Cosmallen posłała nerwowe spojrzenie swemu byłe panu, czekając na uspokajający gest, ale Lian tylko wzruszył ramionami i zapatrzył się w wino w swym naczyniu. Pomyślawszy gorzko, jakie to nieskomplikowane i pełne luksusu życie miało oczekiwać piękne dziewczyny na bogatych dworach jak Breimen, wyszła, by spytać o dróg do komnat swej pani.

– Było to coś w rodzaju... ach, dziwnego interludium – zauważył po chwili Lian. – Co się stało z ową wychwalaną surową moralnością, odziedziczoną po wollendańskim barbarzyństwie?

– Była kłamstwem jak większość umiłowanych tradycji – odparł cynicznie Ossvalt. Był – a przynajmniej tak mówiono – najbardziej zaufanym doradcą Malchiona. Zamieszał wino sękatym palcem i przyglądał węża jego unurzany w czerwieni końcem. – Wysokie zasady moralne – kontynuował – nie są w żadnym razie świętą spuścizną barbarzyństwa, a tylko czczonym przez wieśniaków w każdym społeczeństwie złudzeniem. Racjonalizacja sprawy lisa i kwaśnych winogron przez niskie umysły, odnosząca się do wszystkich spraw, którym nie mogą podołać z braku siły i wyobraźni.

A wino rodzi filozofów – pomyślał Lian, który nie był jeszcze dość pijany, by rozmyślać o kosmicznych kaprysach ludzkiego umysłu. – Gdy kupowałem dziewczynę – upierał się przy swoim – nie sądziłem, że sprowokuję pijacką kłótnię między ojcem i córką o to, które pierwsze napije się z jej pucharu! Czy Teres mówiła serio, że weźmie dziewczkę do łóżka, czy chciała po prostu podrażnić ojca?

– Jasnemu Ommemowi tylko wiadomo! – Ossvalt wzruszył ramionami, oblizując wino z wąsów. – Historie aa temat Teres są równie dzikie jak liczne, a ponieważ lubuje się ona we własnej niesławie, połowa z nich jest zapewne autorstwa samej Teres. Dzika Teres, szczenię starego Wilka, które urósłszy jest tak niebezpieczne, jak każda wilczyca! Teres, która ubiera się jak mężczyzna, pije jak mężczyzna, tęskni do bitwy jak mężczyzna, jeździ konno jak mężczyzna, walczy jak mężczyzna,

przeklina jak mężczyzna, kocha jak mężczyzna – przewyższa mężczyznę w każdym niemal zakresie męskich ambicji. Tak przynajmniej się przechwala. Jej pokojówki gonią ostatkiem sił, całe podrapane i posiniaczone, przysięgając, że Teres co rano goli twarz, by usunąć zarost. To kłamstwo, choć zapuściłaby brodę, gdyby mogła. Miała piętnaście lat, gdy po raz pierwszy złamała nos – pijana jak bela spadła z konia, na którym próbowała pewnej nocy przejechać przez wielki hol – ale twierdzi, że to rana wojenna. Blizny na twarzy nabawiła się w bitwie parę lat temu, bo gardzi noszeniem odpowiedniego hełmu. Nigdy nie spała z mężczyzną, ale zabiła lub okaleczyła z tuzin takich, którzy tego z nią próbowali. Tak przynajmniej twierdzi. Do diabła sami zdecydуйте, jak wiele lub jak mało z tego jest prawdą... Wytrzeźwiałbym, nim zdołałbym opowiedzieć połowę jej osławionych dziejów!

– A więc to by było wszystko, jeśli chodzi o dziewicę bohatera ze starej legendy – orzekł Lian. Choć rozgłos Teres znany był na całych Ziemiach Południowych, jej obecność odczuł jako kłopotliwszą, niż się spodziewał. Jednak kaprys, który doprowadził Malchiona do pobłażania pozom córki, robi na mnie wrażenie nieopatrzego. Nie mógłbym twierdzić, że chętnie poprowadzę do boju mych ludzi, gdy dziewczyna będzie miała wyższą ode mnie funkcję w dowodzeniu.

Ossvalt spoważniał. – Zrozumiałe uczucia, zapewne, ale unikałbym wyrażania ich w otwartej rozmowie. Pozycją Teres jest niepodważalna, jeśli idzie o Malchiona... i choć Wilk mógł się zestarzeć, nigdy nie podawaj w wątpliwość jego władzy nad Breimen! Nie jesteśmy gniazdem skłóconych szurów i walczących z sobą wichrzycieli, jak nasi czcigodni przyjaciele w Selonari!

I jeśli przyjmiesz dobrą radę od człowieka, który przekonał Malchiona, by posłał po ciebie i twoich ludzi przestań myśleć o Teres inaczej, jak o synu Malchiona. Patrzenie na nią w inny sposób jest nierozważne, a nierozwaga ma zwyczaj przynosić ambitnym nieszczęście.

Reszta uczujących odsunęła się, pozostawiając tych dwóch blisko siebie. Ossvalt oparł się o pewniejsze ramię barona, rozlewając wino na swą obnażoną rękę i kontynuował zwierzenia. – Z pewnością Malchion uważa Teres za swego syna. Jest jego najbliższym spadkobiercą, a Wilk zamierza przekazać jej wszystkie bogactwa oraz potęgę, którą wywalczył jednocząc Breimen. Teres jest jego jedyną przyszłością... przynajmniej, jeśli chce sobie zrobić przyjemność założenia dziedzicznej dynastii. Dlatego Teres jest jego synem... a że kobiecie nigdy nie udało się rządzić klanami Wollendanu, Malchion nie szczędził niczego, by ukształtował ją jako dowódcę wojskowego. Istne dzieło sztuki, oczywiście w pewien pokrętny sposób. Och, szczenię Wilka ma kły tak ostre i szybkie jak jej rodzice. Posiwiwały stary Wilk i warcząca wilczyca na czele tego cholernego stada. To wspaniała para, ci dwoje... jedno warte drugiego, to pewne!

– Ale rozpustnik na tak wspaniałym stanowisku jak Malchion musiał splodzić niejednego syna! – wtrącił się Lian, popuszczając odrobinę pasa.

– Nie wiem, Lian, na ile uważnie śledziłeś wydarzenia na południowej granicy – wyjaśnił Ossvalt, poklepując się z namysłem po wydatnej talii. – Znajdując się tak blisko, zapominasz, że Breimen nie skupia na sobie uwagi całego świata. Tak czy inaczej powinieneś pamiętać, że Malchion miał ze swej pierwszej żony dwóch synów i córkę... a wszyscy pomarli w wieku niemowlęcym. A potem Teres, po której urodzeniu Melwohna już nigdy nie przyszła do zdrowia. Tak więc, gdy pierwsza żona umarła, wziął sobie drugą i Ahranli urodziła mu syna i córkę. Wtedy nastąpił spisek tego zdrajcy, który uniknął stryczka, Ristkona i jego przyjaciół, i cała trójka została zmasakrowana w sfuszerowanej próbie zamordowania Malchiona. Trzecia żona okazała się bezpłodna albo rzeczywiście Wilk złapał pewną brzydką chorobę, goniąc za dziewczynkami wraz ze swymi żołnierzami podczas jednej z kampanii. Miał nieślubnego syna imieniem Besntuin, w którym kiedyś pokładał wielkie nadzieje. Ale Besntuin okazał się półkretynem i zapewne szczęściem było, że został

wdeptany w błoto przez oszalałego ogiera, zanim doszedł do wieku, w którym zacząłby się golić.

A więc Teres jest następcą tronu z braku innych. W swych pierwszych latach była nader bezlitośnie zanedbywana. Do diabła, nawet dziecko dobrze rozumiało, że Malchiona interesuje tylko syn albo i trzech. Być może to na nią wpłynęło: jeśli chcesz, by o ciebie dbano, bądź synem. Bez matki i uczuć innej kobiety, opieki nigdy wiele nie doświadczyła. Był tylko Wilk, a jest on dość brutalny, by złamać każdego ducha, który nie podaży tą samą ścieżką co on. A Teres, jak dawno sięgnąć pamięcią, była narwana. Malchiona zaś bawiło zachęcanie jej do naśladowania jego i jego kompanii. A potem, gdy okazało się, że Teres jest jedynym dziedzicem, skupił wszystkie siły na kształtowaniu jej jako syna. Nauczył ją polować, jeździć konno, walczyć – osobiście nadzorował ćwiczenia we władaniu bronią. I stała się dla niego całkiem dobrym synem – widziałem ją w walce i nie chciałbym stawić jej czoła, nawet będąc w kwiecie wieku. Prawdopodobnie pasowałaby idealnie do twoich najemników, gdyby jej płeć nie była wiadoma. Ale wydaje się, że wymaga od ludzi zbyt wielkiej dyscypliny. Ojciec i jemu podobni, to jej jedyne towarzystwo... używa innych kobiet tak, jakby to robił mężczyzna. Jestem pewien, że nawet myśli o sobie jak o mężczyźnie. Jeśli zostanie następczynią ojca, z pewnością życie w Breimen stanie się interesujące.

– Niesamowite! – mruknął Lian. – Jeszcze kolejkę?

– Czemu nie! – zgodził się bełkotliwie Ossvalt. – Mówię ci, Lian, dziwne czasy nam się trafiły.

Tymczasem Malchion, wyszedłszy z sali, podążał w myśleniu za Embromem do swych prywatnych komnat. Główny zarządca otworzył drzwi przed swym panem, rozejrzał się podejrzliwie dookoła i stał wyczekująco, póki Malchion nie odesłał go z poleceniem, by zapewnił całkowitą niedostępność jego apartamentom. Zamknąwszy drzwi, Malchion pozostał sam na sam z człowiekiem, który przybył o tak późnej, nocnej porze.

Przybysz był nierozpoznawalny w swym futrze z kapturem, otulającym jego potężną postać. Przy słabym oświetleniu jego twarz ginęła zupełnie w cieniu kaptura, gdzie majaczył ledwie nikły zarys profilu. Nawet szczegóły jego odzieży były skryte, bo ciemnoniebieskie fałdy płaszcza sięgały aż do butów. Szereg stylizowanych wzorów na ramieniu wierzchniego odzienia identyfikował noszącego je człowieka jako akolitę pewnej niewielkiej, dziwacznej sekty której uczestnicy znani byli z długich i na pozór bezcelowych pielgrzymek. To jednak nie tłumaczyło złowieszczej aury, która wypełniała całą komnatę, jak fałdy płaszcza otulającego cudzoziemca.

Gość przybywający głęboką nocą, nie oczekiwany, choć nie intruz, w chwili wejścia Malchiona napełniał winem drugi srebrny kielich. Gdy odstawił dzban z rubinowego szkła, część rękawa zsunęła się z jego muskularnego lewego ramienia, a światło lampy padło na pierścień otaczający środkowy palec dłoni. Wilk, któremu czas nie przyćmił wzroku, a nawet go wyostrzył, zauważył, że coś się zmieniło w pierścieniu z niezwykłym kamieniem, już dawniej przyciągającym jego uwagę. Z roztargnieniem uświadomił sobie tę zmianę w jego wyglądzie: poprzednio pierścień z krwawnikiem luźno tkwił na palcu, obecnie jednak jego obrączka była tak ciasna, że srebrzystobiały metal wyglądał, jakby wrastał w ciało. A więc obcy znalazł dość czasu, by jubiler dopasował mu rozmiar pierścienia.

– Śliczna godzina na wizyty – rzekł z pomrukiem niezadowolenia Malchion, przyjmując bez podziękowania podany puchar swego najlepszego wina. – Zakładam, że twoje przybycie tutaj nie zostało zauważone.

– Moje informacje wymagają twojej natychmiastowej uwagi; przybyłem, kiedy mogłem – odparł Kane, dziwiąc się trochę drażliwości rozmówcy. – Nie warto nawet wspominać, że poruszałem się wszędzie z zachowaniem najwyższej dyskrecji.

– Słowa, które wypowiedział jeden z moich najzdolniejszych szpiegów, nim został

zamordowany o dwa kroki od miejsca, które uważałem za tajemne wejście do tej fortecy! – odpalił Malchion. – A więc, jak ci poszło i co mi możesz powiedzieć?

Kane odrzucił kaptur. Twarz miał wynędzniałą – co było dziwne, biorąc pod uwagę, że ledwie przed paru tygodniami opuścił Breimen, udając się do Selonari.

– Poszło nader gładko – zaczął. – Jak planowałem podczas naszej ostatniej rozmowy, wyslizgnąłem się z Breimen nie zauważony, podążyłem na północ do wybrzeża, złapałem statek i zawróciłem na zachód, wzdłuż brzegu do Jedenbal. Tam wylądowałem, wdałem się w przyzwoitą karczemną bójkę i zostawiłem dyskretnie za sobą wykrywalny trop od wybrzeża do Selonari. Nie było żadnych problemów przy skontaktowaniu się z Dribeckiem – jest tak bystry, jak o nim opowiadają, ale rozproszyłem wszelkie podejrzenia, jakie mógłby żywić. Nie było szczególnie trudno przekonać go, że jestem bezrobotnym dowódcą najemników, o parę stopni lepszych niż przeciętni. Lekko zachęcany zainteresował się moją opowieścią o fantastycznych broniach, stworzonych przez naukę starszego świata które czekają, aż ktoś sobie je weźmie, w zaginionym mieście pośród Kranor-Rill.

Przydzielili mi mały oddział, co jednak dało mi dostęp do wielkiej ilości interesujących cię informacji. Gdy wic uznałem, że wiem już dość rzeczy istotnych, poprowadziłem wyprawę do Kranor-Rill, by wykraść tajemnice ropuch. Jak oczekiwałem, Rillytim nie sprawiło to przyjemności. Wprowadziłem moich ludzi w zasadzkę, upewniłem się, że nikt jej nie przeżył, a potem inną drogą uciekłem przez trzęsawisko, ukradłem konia i popędziłem do ciebie. Podjąłem znaczne ryzyko, o czym ci przypominam, i oczekuję obiecanego przez ciebie hojnego wynagrodzenia.

– Cena została uzgodniona – przypomniał mu Malchion.

Kane wydał wargi. – Aspekty naszej umowy były nieco niejasne – nalegał. – Biorąc pod uwagę znaczenie tego...

Z korytarza dobiegły pełne złości przekleństwa, przerywane wyciem bólu. Drzwi rozwarły się ze zgrzytem zawiasów. Z obutą nogą jeszcze wyciągniętą w zamachu, Teres o mało nie upadła w drzwiach. – Gdzie jesteś, ty brzuchaty! zbrojeńcu! – wrzasnęła. – Jaka potajemną rozpustę ty...

Zauważyła Kane'a. – Na cycki Shenan! On tu siedzi! z kapłanem! Staremu pierdole zbyt już zaciążyły własnej grzechy!

– Zaniknij się, do cholery! – warknął Malchion. Zamknij też drzwi, nim twój pijacki bełkot wszystko zepsuje.

Skrzywiona twarz Embroma ukazała się zza jej ramienia. – Kopnęła mnie w krocze, naprawdę! – wyjęczał ostatkiem tchu. – Powiedz mi, jak mam jej uniemożliwić wtargnięcie! Gdyby była...

– W porządku, nie ma sprawy! – przerwał awanturę Malchion. – Zamknij te cholerne drzwi i trzymaj je pod strażą! Teres, skoro już tu jesteś, siadaj i bądź cicho!

– Najpaskudniejszy kapłan, jakiego w życiu widziałam, słowo daję – zauważyła Teres, padając na krzesło i bezczelnie przypatrując się Kane'owi. – O co chodzi?

– Kane, to jest moja powszechnie znana córka, Teres, pojawiająca się w całej swojej chwale. RzUCA sztyletem odwrotnie.

– Odpieprz się – skomentowała obojętnie. – Należ człowiekowi, co, kapłanie? Ale ty nie jesteś duchownym, prawda?

– Potrafi oceniać człowieka jak jej ojciec. Kane jest – albo był, do chwili, gdy pewien pijany dureń zrobił tajną konferencję przedmiotem publicznych plotek – wybitnie pomysłowym agentem, którego wynająłem, by przeniknął plany Selonari. Znacznym wysiłkiem zyskał zaufanie tego tchórzliwego cudaka, Dribecka – przynajmniej tak twierdzi – i właśnie miał mi o tym opowiedzieć, gdy tak zręcznie do nas dołączyłaś.

– Hej, to o wiele lepsze niż wino, które postawiłeś Lianowi – skomentowała Teres, oblizując wargi. – Podaj dzban, Kane, i podzielimy się resztą. Dobry rocznik nie powinien być marnowany na taki nadęty bukłak jak mój ojciec – znacznie bardziej pijany niż ja, choć dzięki swej objętości siedzi prościej, to muszę przyznać. Kane, nie wychodzi ci udawanie pielgrzyma, chyba wiesz. Te oczy, te ręce – wyglądasz, jakbyś był gotów zadusić pierwszego głupca, który podejdzie, by poprosić cię o błogosławieństwo. W jakim ciemnym zaułku się ukrywałeś, gdy Malchion cię znalazł?

– Ludzi o moich talentach przyciąga zapach bitwy – odparł niejasno Kane, przyglądając się Teres z pełnym rozbawienia zainteresowaniem. – A ten płaszcz służy do maskowania mych rysów przed szpiegami Dribecka, co robi całkiem dobrze, biorąc pod uwagę kaptur; nie zaś do tego, by kusić wiernych do składania złota w ofierze.

– O, mamy wśród nas człowieka utalentowanego – oświadczyła Teres swemu pucharowi.

– Rozmawialiśmy o tym, czego się dowiedziałeś temat planów Dribecka – przypomniał Malchion.

– Nie. Rozmawialiśmy o tym, ile moje informacje są warte w monecie tego państwa – przypomniał Kane.

Malchion zamruczał poirytowany. Bezczelność tego człowieka chwilami stawała się denerwująca, choć szyderczy tupet Kane'a budził u Wilka szacunek. Pan Breimen dobrze potrafił oceniać ludzkie zdolności i szybko werbował na swą służbę każdego, kogo uznał za przydatnego. To po części tłumaczyło jego sukcesy jako władcy najszybciej rosnącego w siły miasta-państwa Ziemi Południowych. Usługi Kane'a uznał za opłacalną inwestycję pod warunkiem, że obcy będzie przynajmniej w połowie tak zdolny, na jakiego wyglądał, a jego lojalność warta tyle, ile się nią zapłaci złotem – gwarancja tak dobra, jak w wypadku każdego najemnika.

– Posłuchaj, Kane – poddał się z wielkodusznością pijaka – zniszcz moją reputację. Popytaj ludzi, a dowiesz się, że jestem uczciwy w interesach... Płacę moje długi i odbieram, co mi się należy. Za każdą informację wartą bym jej wysłuchał, płacę dobrze. Już umawialiśmy się, ale jeśli to, czego się dowiedziałeś, jest warte więcej, niż wynosiła umowa, sam to ocenię i wypłacę dobrą premię.

– To w porządku – Kane kiwnął głową. – W całych Ziemiach Południowych jesteś znany jako człowiek, który wynagradza bardzo hojnie tych, którzy mu dobrze służą – reputacja, mogę dodać, dzięki której opowiedziałem się twojej stronie w chwili, gdy, jak się zdaje, wisi groźba wojny.

– Zdaje się? – prychnęła Teres.

Kane zmarszczył brwi. – Tak. To już nie oznacza niepewności. Mogę ci powiedzieć wprost, że będzie wojna z Selonari. Lord Dribeck ma zamiar utrzymać swą północną granicę, likwidując twoje placówki wzdłuż niej. Następnie przewiduje otwartą wojnę w celu podbicia Breimen jako jedyny sposób, by umocnić swą władzę nad stronnictwami od dawna skłóconymi o władzę w Selonari.

– Tyle to już sobie wydedukowałem... i zwrócili mi na to uwagę Ossvalt i inni moi doradcy – wtrącił sarkastycznie Malchion. – Bezwartościowe.

– Ale to nie jest domysł, a tamto nie będzie zaledwie kolejną potyczką graniczną. Brałem udział w szkoleniu jego wojsk, a porobił dobre zaciągi wśród najemników i prywatnych armii szlachty Selonari. Jego armia jest dobrze uzbrojona, zdyscyplinowana i niedługo będzie się ograniczać do ćwiczeń i przeglądów.

– Znowu karczemne plotki. Selonari przechwala się od lat bez żadnego efektu.

– Dribeck nie zamierza dłużej blefować. Chce przez rzekę Macewen wkroczyć na terytorium Breimen. Gdy byłem w Selonari, wywiadziałem się niemało o jego planach... jak również szczegółowo o oddziałach, uzbrojeniu, taktyce...

– Co mnie interesuje... przynajmniej w tej części, jakiej nie przekazali mi już inni szpiegowie.

Ale to wszystko obejmuje nasza początkowa umowa, Kane, i nadal nie widzę powodu, by otworzyć przed tobą mój skarbiec.

– Sądzę, że ocenisz moje informacje jako gruntowniejsze i nie tak powszechnie dostępne – kontynuował gładko Kane, z wielką pewnością siebie przygotowując swe mistrzowskie zagranie. – Czy uznasz za nudziarstwo, gdy ci powiem, że jako przygotowanie do ataku Dribeck nakazał zamordowanie Ossvalta i Lutwiona?

Zaczerwieniona twarz Malchiona pobladła, a potem znów zapłonęła. Teraz wyprostował się gwałtownie. – Lutwion! Ossvalt! – parsknął. – Mój najzdolniejszy generał i najmądrzejszy z mych doradców! Spiskuje na ich życie!

Kane potwierdził stanowczym skinieniem. – A poza tym, ci dwaj najgłośniejsz domagają się wojny z Selonari. Zamiarem Dribecka jest, aby ich śmierć wydawała się nie powiązana z ich przekonaniem politycznymi. W ten sposób chciałby równocześnie pozbawić ciebie ich cennych usług oraz usunąć ludzi, namawiających cię do podjęcia kroków przeciw jego tajemnym zamiarom. W ten sposób miałby cię rozbroić, a także uspić twoją czujność... i to nie ryzykując, że nabierzesz podejrzeń. Wówczas będzie mógł kontynuować przygotowania do inwazji.

– Widzę, że oceny przebiegłości Dribecka nie były przesadzone – warknął Malchion. – Ale w jaki sposób mógłby oczekiwać, że zamordowanie dwóch moich najbliższych współpracowników nie obciąży winą Selonari?

– Niestety, znam tylko niewiele szczegółów – wyjął Kane. – Dribeck nikomu w pełni nie ufa; wypytywanie go byłoby więc błędem. Wiem tylko, że planuje dla nich podstępą śmierć. Żadnych morderców z okrwawionymi sztyletami, których można złapać i poddać torturom. Dalej wiadomo mi, że planuje ich śmierć w ciągu dwóch kolejnych nocy, aby zbieg okoliczności był mniej alarmujący. A morderstwa miały być dokonane wkrótce po moim wyjeździe z Selonari... wspomniał o pierwszej nocy po pełni. Czyli dziś.

Malchion zaklął i zerwał się na nogi, próbując zebrać mętne od wina myśli. – Dzisiaj! Niech cię diabli, Kane! Czy nie mogłeś wcześniej dać mi znać?

– Jestem w Breimen krócej niż godzinę – odparł urażony Kane. – Gdybym uciekał bezpośrednio z Selonari, nie dotarłbym nawet do rzeki. A do tego zaalarmowałbym Dribecka. Zmieniłby plany, a ja stałbym się dla ciebie bezużyteczny. Zaryzykowałem, że dotrę tutaj, nim mordercy będą mogli uderzyć. Widać, że dobrze obliczyłem czas.

– Ale jeden Ommem wie, jak skapo! – zawołał zaniepokojony Malchion, chodząc wielkimi krokami po pokoju.

– Przecież Ossvalt pił na umór z Lianem, gdy ich opuszczałam – zwróciła uwagę Teres. – W naszej twierdzy jest chyba dość bezpieczny. Ale Lutwion wyjechał do swej posiadłości kilka godzin temu... pamiętam, że zrobiłeś parę kiepskich żartów na temat jego wczesnego odjazdu.

– Więc to jemu zagraża większe niebezpieczeństwo! orzekł Malchion. – Wyślę gońca, by go ostrzec, a zaraz : nim oddział gwardzistów... jeśli nie jest za późno! Ossvaltem zajmę się osobiście! Podnieś kaptur, Kane! Postaram się, aby twoja tożsamość pozostała nieznaną, ale więcej wieś o spisku niż ktokolwiek z nas i będzie mi potrzebna twój obecność, póki nie uzyskam pewności, na czym stoję! – Wypadł z komnaty, wrzeszcząc do Embroma, by wezwał straż.

– Chodź więc, świętobliwy pielgrzymie – zawołała Teres, wspierając się na ramieniu Kane'a. – Zobaczmy czy Ossvalt potrzebuje duchownego. Być może złowimy sobie paru morderców. – Jej błękitne oczy zapłonęły takim podnieceniem, że Kane zaczął się niepokoić, czy nie była mniej pijana, niż to wynikało z jej niepewnego kroku.

Gdy Kane i Teres wrócili na scenę jej rozpustnych zawodów o młodą niewolnicę, ostatni

uczujący już się zmęczyli i ciemny, wyłożony boazerią pokój był pusty. Zawrócili więc i dotarli do komnat Ossvalta, nim zdążono wezwać straż. U wejścia na korytarz spotkali Liana.

– Ossvalt! Czy widziałeś Ossvalta? – spytała Teres.

– Oczywiście – odparł Lian, zastanawiając się, jakie nowe szaleństwo z Ossvaltem zaplanowała córka jego pana i złowróźbny kapłan. – Ma mocną głowę, ale bywają takie ilości wina, od których tonie każdy statek. Ossvaltowi potrzebna była pewna pomoc, by wejść na schody, więc towarzyszyłem mu aż do jego koi. Przed chwilą zostawiłem go pijanego w trupa i chrapiącego jak byk podczas rui.

– Jest ktoś z nim? – spytała Teres.

– Jest sam ze swymi snami. Coś nie tak?

– Właśnie dowiedzieliśmy się o spisku na jego życie... Lutwiona także... i to zapewne tej nocy! Kolejna krwawa intryga Dribecka! Malchion poszedł, by wysłać wiadomość generałowi, i powinien był do tej pory postawić także straż przy Ossvalcie.

– Nie ma zmartwienia – rzekł Lian z pijacką pewnością siebie. – Od chwili, gdy wyszedłem, nikt nie przekroczył tych drzwi, a od jego okien do ziemi jest dobre pięćdziesiąt stóp.

– Morderca mógł się ukryć wewnątrz – podsunął Kane, odzywając się po raz pierwszy.

– Prawda. Nie zadałem sobie trudu zagładania do jego szaf – zgodził się Lian. – Kim ty jesteś?

– Sprzymierzeńcem o wątpliwej uczciwości. I nie musisz pytać o więcej – rzekła Teres. – Czy wy dwaj chcecie poczekać na posiłki, podczas gdy ja zapoluję na mordercę?

Odepchnąwszy obu mężczyzn, Teres rozwarła drzwi do pokoju Ossvalta i weszła. Kane i Lian deptali jej po piętach; Lian z obnażonym mieczem. Szuranie butami i brzęk zbroi zwiastowały nadejście żołnierzy Malchiona.

Otyłe ciało Ossvalta, w pełni odzianego, leżało twarzą w dół w poprzek łoża. Nie zareagował na ich wejście.

– Zalany na amen aż do rana – ocenił Lian. Teres obchodziła pokój, badając podejrzliwie każdy cień i zakątek. Kapitan najemników mętym wzrokiem śledził ruchy, a potem z pijacką powagą pchnął mieczem łożko i ukląkł, szukając ciała. Kane krótko zbadał okna kamienne ściany pionowo opadały w ciemność.

– Jak już powiedziałem, jego komnaty są puste orzekł Lian.

– Zostawcie okiennice otwarte. Tu śmierdzi kwaśnym wyrzyganym winem – mruknęła Teres. A do wchodzących strażników: – Kapitanie, trzech ludzi niech zostanie przy Ossvalcie, reszta w holu. Czy mam komukolwiek przypominać coś na temat spania na posterunku?

Kane z zaciekawieniem przyglądał się Ossvaltowi. Zdawało mi się, że zostawiłeś go chrapiącego.

Lian wzruszył ramionami. – To co? Przewrócił się brzuch od tej pory. Rzadko się zdarza, by człowiek chrapał w takiej pozycji.

Wyprostowawszy się znad łoża doradcy, Kane zauważył: – A jeszcze rzadziej, by ktoś chrapał leżąc martwy... tak, jak ten człowiek!

VIII. ŚMIERĆ WE MGLE

– Mglista noc. Chmury na niebie gęste jak błoto... nie widać nawet księżyca. Jedyne światłem są krótkie i słabe mrugnięcia błyskawic, przytłumione chmurami i zbyt dalekie na ucziwy grzmot – zauważył Lutwion, wyglądając przez okno swego dworu. – A więc jednak jest to noc mordercy pomimo niewłaściwej fazy księżyca. To dziwne, że Dribeck nie polecił zabójcy uderzyć w noc bezksiężycową. Ale ten człowiek jest równie nieobliczalny jak chytry... najniebezpieczniejsza kombinacja, jak sądzę.

– Do diabła, Lutwion, czy nie możesz trzymać się z dala od tego okna? – poskarżył się Malchion, znękany i zły po nie przespanej nocy i denerwującym dniu. – Cokolwiek zabiło Ossvalta, musiało uderzyć przez okno.

– Chyba, że Lian wie więcej, niż mówi – skomentował Kane lodowatym tonem.

– Lian jest godny zaufania, do wszystkich diabłów! – warknął Malchion. – Znam go, on zaś nie ma żadnego powodu, by spiskować z tym selonaryjskim intrygantem. A na twoje wnioski Lian zapienił się z wściekłości... Trzymaj się od niego z daleka, inaczej krew się poleje!

– Myślę, że nie moja – odparł pogardliwie Kane. – Ja tylko zestawiam fakty, a jeśli Lian uznał to za obrazę, może miał swoje powody. Jak już powiedziałem, Dribeck nie wtajemniczył mnie w szczegóły planowanego morderstwa i nie potrzebuję ci przypominać, że chadza on krętymi ścieżkami.

– Ale Liana nie ma teraz z nami – przerwał szorstko Lutwion. – Ja też znam go dobrze. Jest twardym wojownikiem, zdolnym dowódcą i ufam mu. Chociaż, biorąc pod uwagę okoliczności, gdyby zeszłej nocy kto inny był jego miejscu, miałbym wątpliwości.

Breimeński generał zamknął okiennicę na zasuwę i wrócił się od okna. Wiek i kampanie wojenne pobruździły jego twarz o wyrazistych rysach jak wyprawioną skórę; blond włosy miał przerzedzone i krótko przycięte. Ale innych oznak starości nie było na nim widać. Niebieskie oczy miał czujne i błyszczące, krok spokojny, lecz sprężysty, ruchy muskularnego ciała zręczne, pewność siebie człowieka silnego. Miał znacznie poniżej sześciu stóp wzrostu, zadziwiająco długie ręce i twarda muskulatura ciała wskazywały, że człowiek ten potrafi poprowadzić żołnierzy do boju. Dwa ostatnie palce lewej dłoni miał ucięte w połowie.

– I nie odganiaj mnie od okna jak gderliwa niańka kontynuował Lutwion. – W każdej sytuacji nieznamości poła walki jest najfatalniejszym błędem. W końcu jest to mój własny dwór. Znam ten teren, a moim domownikom ufam co do jednego. W dodatku obok gwardzistów, których mi wmusiłeś, milordzie, rozstawiłem własnych ludzi całym budynku i na przyległym terenie... jak również sąsiednich ulicach. Nawet tej osłепłej od mgły nocy morderca niewielkie ma szansę, by dotrzeć do tej izby. A wtedy natknie się na oczekujących go zbrojnych, a nie spitego starca, którego sen zeszłej nocy uczynił wiecznym. Mam jedynie nadzieję, że on *zechce* pokusić się o dotarcie do mnie... być może będzie miał wiele do powiedzenia, nim skończymy się z nim zabawiać. A jeśli idzie o okna, to niech go kuszą. Niezłą musiałby odbyć wspinaczkę z poziomu ziemi.

– Jeszcze lepszą miał do okna Ossvalta i to go nic powstrzymało – mruknął Malchion. – Jeśli rzeczywiście posłużył się tą drogą.

– Tak, zaiste *jeśli* – zadumał się Lutwion. – Wiemy tak mało. Niemniej jestem zdania, że morderca ukrył się w komnacie Ossvalta. Wyszedł z ukrycia, gdy Lian opuścił pokój. Zapewne udusił Ossvalta podczas snu i wydostał się przez okno za pomocą sznura, który następnie zerwał. Czysta robota dla każdego doświadczonego zabójcy. Przypuszczam, że w wypadku morderstwa nie można wykluczyć zastosowania czarów, ale nie sądzę, by nawet Dribeck chciał w tej wojnie ryzykować konsekwencje wyzwolenia sił magicznych. Wie, że nasi kapłani Ommema zdolni są do odwetu, a

opierając się na meldunkach wątpię, czy mógłby liczyć na taką pomoc Świątyni Shenan; Gerwein z pewnością mu nie sprzyja.

– Za to mogę ręczyć – potwierdził Kane – choć wydaje się, że w sprawie śmierci Ossvalta występuje element magiczny. Nie dostrzeżono nikogo wchodzącego ani opuszczającego pokój, żadnych śladów na ciele, żadnych oznak walki... a należałoby się ich spodziewać, gdyby został uduszony. Zabójca mógł mieć dość czasu, by uporządkować pościel, ale twarz Ossvalta nie była sina, wręcz przeciwnie, pełna spokoju. Gdybym was nie uprzedził o spisku Dribe-cka, przysięglibyście, że zmarł z przyczyn naturalnych. A o ile nam wiadomo, nie został otruty, bo tej nocy jadł i pił to, co wszyscy.

– Myślałem już o tym – wtrącił się Lutwion w chwili, gdy drzwi się otworzyły i wszedł służący z tacą. Pomimo jego ostrożnego pukania wszyscy odczuli napięcie. W korytarzu stali gwardziści, obserwując czujnie. – I choć, ściśle mówiąc, nie poszczę, tę odrobinę, jaką zjadłem dzisiaj, najpierw spróbowali moi kucharze. Tu jest zimne mięso, chleb i wino, jeśli macie ochotę. Ja nie mogę się dzisiaj pochwalić wilczym apetytem.

Naelektryzowana atmosfera wpłynęła także na służącego. Gdy nalewał wino, jego dłoń zadrżała nerwowo i pochylając się, by obsłużyć Kane'a, niezręcznym ruchem stuknął karafką w przepelniony kielich. Człowiek w kapturze zauważył niepewność jego gestu. Lewa ręka wystrzeliła spod pelisy, by pochwycić przechylony puchar w tym samym momencie, gdy miał się przewrócić. Na widok zaskakującej szybkości refleksu nieznanego Lutwion uniósł brwi. Bełkocząc słowa przeprosin, służący postawił tacę i oddalił się. Kane patrzył w ślad za nim.

– Czemu nie zrzucisz płaszcza, pielgrzymie? – spytał Lutwion. – Moi ludzie godni są zaufania, jeśli dba o zachowanie tajemnicy.

– Bo nadal istnieje sprawa nieznanego mordercy wyjaśnił Malchion. – Zamierzam w dalszym ciągu wykorzystywać tego kapłana do szpiegowania kolejnych spisków Dribecka, więc gdyby go teraz rozpoznano, powrót do Selonari nie byłby dla niego przyjemny. Wolałbym aby nikt nie znał jego tożsamości. To, że jest teraz nami, jest wykalkulowanym ryzykiem, bo więcej wie spisku niż ktokolwiek z nas i nie mogę się bez niego obyć. Jednak staram się, by pozostał możliwie zakonspirowany.

Lutwion z namysłem popatrzył na twarz skrytą w cieniu kaptura. – Cóż, każdy głupiec się zorientuje, że on nie jest kapłanem. Ale dopóki nie naraża się go na więcej niż to konieczne, wątpię, by ktokolwiek potrafił odgadnąć, czyją postać kryje ta pelisa. Szpieg w otoczeniu Dribecka byłby bezcenny podczas wojny... a teraz, gdy Dribeck ujawnił swe intencje, wygląda, że musimy szybko zmiażdżyć Selonari. Ale coś bym zaproponował: pozbądź się tego pierścienia. Chociaż wścibscy nie mogą wyraźnie dostrzec twej twarzy, on bardzo rzuca się w oczy.

– Dziękuję. Przyznaję, że twoja uwaga jest słuszna odparł Kane. – Ale pierścień niezawodnie przynosił mi szczęście w przeszłości i gotów jestem podjąć to małe ryzyko, że zwróci na siebie czyjąś uwagę.

– No, to ty nadstawiasz karku. Ach! Coś zaniepokoiło psy! Chcę to sprawdzić!

Gdy rzucili się na parter dworu, ich uszu dobiegło zajadłe szczekanie. Ludzie klęli i wrzeszczeli, wykrzykiwali wezwania. Alarm był głośny, ale krótki, i gdy Lutwion przepchnął się przez główne wejście i zażądał relacji od kręcących się strażników, już zaczął przycichać.

Przywitał ich znajomy śmiech. – Lutwionie, twoje zabezpieczenia są do bani! – zawołała uśmiechnięta Teres, błyskając bielą zębów na wysmarowanej sadzą twarzy. – Przedostałam się bez trudu do pomieszczeń twej służby i właśnie miałam wysadzić okno z zawias, gdy twoje stado wpadło na mój trop. Jeśli powierzyłeś swoje bezpieczeństwo tym ludziom, nie dożyjesz rana. Wygląda, że

psiarnia jest najlepiej strzeżona... spędź tam resztę nocy.

– Myślałem, że chcesz przypilnować Liana – przypomniał jej Malchion, uśmiechając się z dumą do córki.

– Lian jest interesujący tylko dla tych, którzy dzielają jego entuzjazm wobec osoby Liana. Ja nie dzielam. Ponadto nie jest on narzędziem Dribecka. Pomyślałam sobie, że przyjadę tutaj, by być świadkiem, jak wasi ludzie chwytają mordercę.

– Milordzie! Położyła dwóch naszych ludzi bez przytomności, a Osbunowi rozwaliła jak wszyscy diabli skórę na głowie! – odezwał się kwaśnym tonem jeden z dowódców Lutwiona.

– Morderca rozwaliłby im czaszki. Następnym razem niech będą czujniejsi na warcie – zamruczała z zadowoleniem Teres.

– Taaak? Ale Osbun mówi, że wezwał cię do zatrzymania w bocznej uliczce, a ty mu powiedziałaś, kim jesteś. A wtedy, gdy tylko pozwolił ci się zbliżyć, dałaś mu pałką przez łeb.

– I dzięki temu nie da się więcej nabrać na dźwięk rozkazującego głosu. Noc jest ciemna, a ktoś mógłby się za mnie przebrać – kontynuowała niewzruszenie Teres.

Lutwion z wściekłą miną nakazał ludziom powrót na posterunki. – Doceniam twe zainteresowanie – powiedział bez przekonania, za to z głęboką dezaprobatą. – Twojej trosce zawdzięczam, że moich ludzi krew zalewa, mój system obrony został zdekonspirowany, a my narobiliśmy dość hałasu, by wystraszyć mordercę aż do Selonari. To znaczy... jeśli nie wykorzystał tego zamieszania, by prześlizgnąć się obok moich straży!

– Do diabła, jednym tchem żalisz się, że wystraszyłam twego zabójcę i że pozwoliłam się tu przedostać! – zakpiła Teres. Skinęła głową w stronę Kane'a. – Więc znów tu jest... osobisty przewodnik duchowy ojca. Kiedyś zobaczę, jak wyglądasz bez tego namiotu, Kane.

Och, przykro mi – przeprosiła bez przekonania. – A my tak staramy się utrzymywać tajemnicę twego istnienia. Ale w zasięgu głosu nie ma nikogo prócz Lutwiona, a nasz dobry generał nie nadużyje swej wiedzy.

Kane dostrzegł szyderstwo w błękitnych oczach Ter i znów pomyślał, jak niszcząco złośliwe są jej kaprysy. Po której stoisz stronie? – wyszeptał do niej.

– Intrygujące pytanie, biorąc pod uwagę, że to ty je stawiasz, pielgrzymie – odparła z promiennym uśmiechem

– Skoro już tu jesteśmy, możemy skorzystać z okazji i przeczesać posiadłość – zdecydował Lutwion. – Jeśli znajdziemy ukrywającego się mordercę, Teres pokaże nam jak go należycie potraktować.

Pojawienie się Teres w jakiś sposób złagodziło napięcie nerwowe, w którym trwali czekając późną nocą. Malchios zaczął ich przekonywać, że podjęte środki ostrożności popsuły szyki mordercy nasłanemu przez Dribecka, ponieważ plan zakładał, że śmierć Ossvalta ma wyglądać naturalnie, a wtedy Lutwion niczego by nie podejrzewał.

– Co oznacza – podkreśliła Teres – że w tej chwili Lutwionowi nie wolno osłabić czujności. – Generał prawie nie zabierał głosu, co nie było zaskakujące, biorąc pod uwagę jego ponury nastrój.

Noc spędzona pod groźbą śmierci zdaje się ciągnąć nieskończenie, a równocześnie paradoksalnie; obok nieustannego ostrego głosiku strachu, umysł ogarnia nuda. Gdyby nie zachowanie pełne czujności, spojrzenia rzucone w głąb każdego cienia, rwąca się, prowadzona z roztargnieniem rozmowa, można by sądzić, że Lutwion oprowadzał swych gości bez pośpiechu zwiedzających rezydencję. Inspekcja nie wykryła żadnych podejrzanych ruchów ani złowrogich postaci; na pytania strażnicy dawali wyłącznie przeczące odpowiedzi.

Generał zatrzymał się na chwilę przed drzwiami do swej sypialni. – To najbardziej

prawdopodobne miejsce ukrycia mordercy, jeśli nasza rekonstrukcja wydarzeń zeszłej nocy jest trafna – oświadczył. – Było pusto, gdy badaliśmy je niedawno... ale teraz? Cóż, postawiłem wewnątrz strażnika. Morderca będzie musiał wybrać inne miejsce ukrycia, jeśli zechce powtórzyć swą grę.

Lecz gdy wchodzili do pokoju, nikt ich nie zatrzymał.

Teres roześmiała się i pokazała palcem. Żołnierz w barwach Lutwiona leżał rozciągnięty na łożu.

– Niech jasny Ommem upiecze ci wątrobę, żołnierzu! – ryknął Lutwion. – Nie mogłeś wybrać sobie gorszego posterunku na drzemkę! Własnymi rękami ubiczuję ci plecy do żywego mięsa!

Strażnik spał głęboko i nigdy nie miał się obudzić.

– Martwy! Martwy jak Ossvalt! – wyjąkał Malchion, brutalnie potrząsając bezwładnym ciałem.

– Ale martwy niezbyt długo – orzekł Kane. – Ciało jest ciepłe i giętkie, tylko serce nie bije.

Na ryk Lutwiona do środka wpadli żołnierze. Ponurym głosem polecił im dokładnie przeszukać komnatę, a potem przyłączył się do oglądających zabitego wartownika. Ale nie było żadnych śladów.

Kane w zamyśleniu zbadał okno. – Okiennice są dokładnie zamknięte na zasuwy. Tym razem zabójca tędy się nie wydostał. Więc oczywiście przez drzwi do holu. Lecz po co zabijał strażnika? Zapewne zaskoczył mordercę, ale dlaczego nie alarmował? Czemu nie widziano, jak tamten wychodził? – Odsunął palcami zasuwy okiennic.

– Zostaw je otwarte, dobrze? – zażądała Teres wśród gwaru domysłów. – Ten pokój ma kwaśny zapach śmierci... – W tym momencie, coś sobie przypomniawszy, zamarła. – Na Thoema! Dokładnie jak zapach, który poczułam zeszłej nocy w pokoju Ossvalta!

Pozostali odwrócili się do niej w zdumieniu. – Być może – zaczął Kane. – Niemniej ów hipotetyczny odór śmierci wydaje mi się niezbyt powiązany ze sprawą. Nie jestem pewien, czy mamy tu do czynienia z czymś więcej, niż można oczekiwać po trupie w zamkniętym pomieszczeniu...

Przygryzając kostki dłoni, Teres z napięciem badała zabitego strażnika. Przyklękawszy przyjrzała się z bliska jego twarzy. – Nie, w tym coś jest. Czemu oba znalezione ciała wyglądały jak uśpione? Być może Ossvalta zabito we śnie... ale wartownika także? Musi być jakiś związek... i możecie mnie zerznąć w tyłek, jeśli już go nie zauważyłam!

Wyciągnawszy sztylet, Teres odcięła pas tkaniny od swej czarnej koszuli. Chuchnęła nań mocno kilka razy, a potem ostrożnie zaczęła trzeć wilgotnym skrawkiem poduszki. Wstawszy podsunęła go do lampy i zawołała: – Wiem, jak to zrobili!

Malchion z zaciekawieniem zajrzał jej przez ramię. Czyżbyś znalazła trochę łupieżu?

– Nie łupieżu, dupku żołądny! – warknęła Teres. Widzisz te małe, jasne cząsteczki? To ziarnka trucizny! Reszta stłoczyła się przy niej, by uczestniczyć w badaniach.

– Patrzcie... to maleńkie kryształki! Carsultyalscy magowie destylują ten proszek z korzeni lub kwiatów pewnych jadowitych roślin z dżungli... są mistrzami wyrafinowanych trucizn!

– Co ty tam o tym wiesz! – zadrwił Lutwion, choć jego spocona twarz nie miała wyrazu drwiny.

– Nasz brodaty lekarz Vyrel przekazał mi wcale niemało wiedzy tajemnej dla zabicia czasu, gdy leżałam w łóżku pod jego opieką z powodu złamanej nogi. Przez pewien czas studiował w Carsultyalu; dość długo, by poznać niektóre z ich tajemnic i ich występków. Stosował pewne łagodniejsze preparaty tego typu, by w początkowym okresie złagodzić mi ból. Ommemie! Jakież sny wtedy miałam! A i sam miał zwyczaj wdychać pary swych proszków za pomocą pewnej skomplikowanej fajki... prawdopodobnie to go w końcu zabiło... i stąd pamiętam zapach. To musi być jeden z najbardziej morderczych preparatów, jakimi zabawiają się magowie.

Morderca wślizgnął się do sypialni, posypał poduszki proszkiem z zamkniętego flakonu, a potem

wyszedł. Człowiek śpiący nic by nie zauważył, tak ich mało i są tak małe... ale niektóre zostałyby wchłonięte przez skórę jego twarzy, zabijając bezgłośnie.

– Znikają! – wykrzyknął Lutwion, pokazując palcem mordercze drobiny.

– Być może są lotne – rozważała Teres. – Roztapiają się w powietrzu... po paru godzinach znikają bez śladu prócz lekkiego zapachu. – W ich oczach kryształki stopniały aż do szybko niknących śladów wilgoci. – Zdaje się że ciepło lampy przyspiesza sublimację... jak w dziwnej fajce Vyrela.

Pozostali kiwnęli głowami jak zahipnotyzowani, szklistym wzrokiem wpatrując się w pas czarnej tkaniny. Teres zaczęła chwiać się na nogach.

– Okna! Do diabła, otwórzcie okna! – wrzasnął Kane, który stał na uboczu. – Rzućcie ten materiał i wciągnijcie w płuca trochę czystego powietrza! Opary są mocniejsze, niż wam się zdaje!

Usłuchali jak lunacy; chwiejnie i powłócząc nogami zbliżyli się do okien, które strażnicy już otwierali. Ospale wychylili się w mglistą noc i mechanicznie, pełną piersią wdychali świeże powietrze.

– Prawie jak być pijanym... bardzo pijanym – mruknęła Teres, czując, jak powoli rozjaśnia się jej w głowie.

– Gdybyście nadal tym oddychali, nigdy nie przebudzilibyście się, by poczuć kaca – ostrzegł Kane. – Ale przynajmniej wyjaśniła się tajemnica śmierci wartownika. Morderca, który oczywiście wkradł się do pokoju, nim strażnik zajął posterunek, nasypał zbyt wiele trucizny na poduszki... zapewne po to, by jeszcze pozostały na nich kryształy, gdy Lutwion zdecyduje się położyć spać. W zamkniętej sypialni pary zaczęły się kumulować, tak więc ukryty wartownik, wciągając w płuca zatrute powietrze, poczuł senność. Łoże skusiło jego przytępiony umysł i tak wpadł w śmiertelną pułapkę, przeznaczoną dla Lutwiona.

– A więc to nie było czarnoksiężstwo – wywnioskował Lutwion, odzyskując przytomność umysłu. – Chyba, że zabójca jest widmem. Albo całkowicie udało mu się przechytryć moje straże, albo pozostaje mi niemiły wniosek, że jeden z moich ludzi jest zdrajcą!

Z tajemniczych głębin nocy przez rozwarte okna doleciał alarmujący okrzyk. Ochryply wrzask wezwania, przytłumiony odległością, coraz bardziej nagły. Gniewne wzywanie pomocy, któremu odpowiedziała wrzawa podnieconych krzyków i tupot butów.

– Milordowie! – krzyknął ktoś z dołu. – Milordowie! Zauważyliśmy go! Jakiś skurwysyn właśnie próbował prześlizgnąć się przez nasze linie! Uciekał od strony dworu! Gdyśmy go zauważyli, zerwał się do biegu... ale jesteśmy tuż za nim! Nie przedostanie się przez zewnętrzny łańcuch posterunków!

– Dobra robota! – ryknął Lutwion, wychyliwszy-niebezpiecznie z okna. – To nasz morderca! Weźcie go żywcem, jeśli potraficie, i mgła czy nie mgła, chcę, abyś dopadli tego diabła! Wychodzę!

Z płonącymi oczami odwrócił się na pięcie do pozostałych.

– No, teraz już szybko się dowiem, kto jest zdrajcą jeśli to jeden z moich ludzi. Thoemie, cóż za parszywa noc na pogoń za mordercą! A teraz wszyscy za nim! Trzeba złapać tego zdraдлиwego łotra, nim wyrwie się z mojej sieci.

Skoczyli w noc. Lutwion znikł w towarzystwie paru swych gwardzistów. Jego ostry głos dyrygujący poszukiwaniami dolatywał z ciemności. Pomimo jego rozkazów i wojskowej precyzji rozmieszczenia sił zapanował chaos.

Teres szybko odłączyła się od innych. Niewidzialna w czarnym obcisłym ubraniu i z twarzą wysmarowaną sadzą wtopiła się w noc jak polująca wilczyca. Jedyne pochodnia mogłaby zdradzić jej obecność. Morderca potrzebował światła, ona także nie. Miecz trzymała pewną dłoń, serce jej biło jak szalone, przejęte gwałtownym wzruszeniem. Być może narkotyk jeszcze przyćmiewał je

umysł. Ukazujący się nagle strażnik o włos uniknął śmierci a ona tylko śmiechem odpowiedziała na jego przekleństwa

Wszelkimi bezwzględnyymi sposobami noc walczyła z siłami ludzi, próbujących przeniknąć jej zasłonę. Nie mogło być gorszej nocy na śmiertelne polowanie. Mgła przewalała się oleistymi smugami, muskała policzki tchnieniem chłodnym jak pieszczota trupa. Słysząc było zagubione w niej krzyki, głosy dochodzące z odległości jak senna mara w kłębiących się oparach. Przelatywały tuziny zbrojnych, ale żadnego nie można było rozpoznać. Byli widmami utkanymi z mgły, oszalałymi duchami, które pojawiały się na mgnienie oka i znikwały. Ich pochodnie świeciły jak mgliste klejnoty, rozsuwające błyski podobne do rozżarzonych nici pajęczych, dając światło tak słabe, że ledwie docierało do ziemi.

Przewalające się ciężko po niebie ławice chmur zupełnie pochłonęły księżyc. Od czasu do czasu blado migotały błyskawice, na chwilę obramowując światłem ich groteskowo wijące się, niewyraźne kształty. Złowieszczą huczały spóźnione gromy dalekie, lecz coraz bliższe, kapryśne jak furczenie śpiącego psa. Wśród takiej nocy trwały poszukiwania, rozszerzając się teraz na zewnątrz.

Teres poczuła pod stopami bruk uliczny. Zamajaczył przed nią cień niewidocznego budynku. Doszła już do przyległej części miasta poza posiadłością Lutwiona. W lepkiej ciemności nadal rozlegały się wołania. Lutwion rozstawił ludzi wzdłuż pobliskich ulic i zaułków; rozpostarł sieć szeroko, teraz należało ją ściągnąć. Ale czy morderca nie prześlizgnął się przez jej oka? Bo przecież, przypomniawszy sobie Teres, nie znali twarzy człowieka, na którego polowali. Jeśli był jednym z domowników generała, czyż nie mógł przyłączyć się do pogoni, nim nadarzy się lepsza okazja lucieczki?

Zamarła w nagłym przestraszeniu. Gdzieś za nią mgłą rozdarł wrzask przerażenia! Dziki okrzyk najwyższej grozy i niebywałego bólu wypełnił noc. Nie potrafiła określić, czy był to jeden głos, czy kilka. I niemal w tej samej chwili, gdy się rozległ, chrypliwy dźwięk zamarł w nieczłowieckim przerażeniu, przerywany rozpaczliwie i nieodwołalnie. A Teres, która uważała, że ma nerwy mocniejsze niż jakikolwiek mężczyzna, z drżeniem chwyciła oddech.

Zagryzwszy wargi, by ból przywrócił jej przytomność, Teres próbowała zwalczyć przemożne uczucie paniki. Z wolna ustępował zimny dreszcz, mogła już twardo utrzymać miecz przed sobą. Czy jej się wydało, czy rzeczywiście słaby błysk zielonego światła przebił mgłę dokładnie w chwili, gdy usłyszała wrzask? Odbicie błyskawicy? *Nerwy?*

Wokół nagle zapadła cisza... na chwilę, zdawało się, nieskończenie długą. A potem usłyszała w pobliżu ciężkie kroki. Obnażywszy kły jak warczący pies, trzymała broń gotową do morderczego pchnięcia.

– Spokojnie, Teres! To ja, Kane – szepnął niewyraźny cień, który ledwie mogła rozróżnić. Była tak wstrząśnięta, że dopiero później zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób obcy mógł ją widzieć w ciemnościach.

– Ten krzyk! – wyjąkała.

– Rozległ się gdzieś blisko... zdaje mi się, że jest boczna uliczka, która stąd prowadzi – dokończył Kane. – Tropiłem kogoś, kto wydawał się bardziej skory umknąć niż przyłączyć się do poszukiwań. Zgubiłem go niedaleko stąd, ledwie parę minut temu. Nie podnosiłem alarmu, go nie spłoszyć, nim inni tu przybędą. Próbowałem przeciąć mu drogę, gdy usłyszałem ten wrzask. Lepiej zostańmy razem, dopóki się nie dowiemy, co za tym się kryje.

Tym razem Teres była nader zadowolona, że ma towarzystwo. Ramię w ramię skierowali się do miejsca, z którego jak się zdawało, doleciał krzyk. Przybiegli do nich ludzie z pochodniami. Światło padło na przerażającą scenę.

Przy wylocie uliczki leżało czterech ludzi. Trzech było żołnierzami, czwartym był Lutwion.

Ich ciała leżały poskręcane pod groteskowymi kątami powykrzywiane, jak gdyby odrzucone do tyłu jakąś niewyobrażalną siłą. Mięśnie zdawały się skurczone, twarze zamarły jak maski śmiertelnej udręki. Nie trzeba było sprawdzać, czy żyją. Na każdym ciele widniało piętno poczerńiałego mięsa, spalonej odzieży – matowy krater wryty w ludzkiej tkance, ukazujący odłamki zwęglonych kości. Wyglądało to tak, jakby w tych martwych ludzi uderzył strumień płynnego żelaza.

– Co zabija w ten sposób? – jęknął ktoś.

– Piorun? – zastanawiała się Teres. – Czy mógł ich trafić piorun? Zdawało mi się, że widziałam w tym miejscu błysk pioruna. Popatrzcie... ten człowiek ma miecz stopiony z ręką!

– Być może piorun! – warknął dziko Malchion. Ale cóż za wspaniały zbieg okoliczności dla Dribecka! Sądzę jednak, że ten tchórzliwy intrygant raczej posłużył się czarną magią, by tego dokonać! Lecz, na Ommema, przysięgam wam, że gdy pomaszeruję na południe, Selonari pomyśli, iż pioruny rozwaliły jego wieże! Upiekę Dribecka na ogniu z jego drogocennych ksiąg, a ulice zmyję krwią jego ludu!

Odciągnął Kane'a na bok, więc Teres dobiegły tylko ich słowa.

– Wracaj do Selonari tak szybko, jak tylko możesz. Wiem, że obecnie ryzykujesz po trzykroć więcej, ale jeśli dobrze mi posłużysz w tej sprawie, łupy z tego miasta nasycą nawet twoją żądzę bogactwa! Zdobądź dla mnie wszelkie informacje, jakie zdołasz stamtąd przemyścić... znasz moich tamtejszych agentów! Moja armia wyruszy za Macewen natychmiast, gdy ją skrzyknę, i muszę znać wszystkie brudne triki, jakie knuje podstępny umysł Dribecka!

– Szybko usłyszysz wieści ode mnie! – przyobiecał Kane i roztopił się we mgle.

IX. GROMADZĄ SIĘ ORŁY WOJNY

– Prawdę ci mówię! – zaklął się Havern. Czerwone wino trysnęło mu zza zepsutych zębów, gdy pociągnął za duży łyk. – Ruchawka jest i plądrowanie będzie, jak jeszcze po prawdzie nigdy nie było!

– A ty oddaj mi ten pęcherz, głupolu! Więcej lejesz, niż łykasz! – narzekał Wessa, sięgając zdrową ręką po bukłak. – Diabli... jeszcze jedna dziura! Musimy z tym skończyć! – podniósł bukłak do ust i zaczął głośno ssać. Strumyczek z przebitego miejsca popłynął mu po brudnej brodzie.

– A co tam oszczędzać, Wesso miły. To ja ci mówię, że niedługo będziemy tłuści i usmarowani, jak jakie lordy na ucztach! – Przerwał, by się wysmarkać w palce, o mało nie trafiając w tamtego. – Tfru! Oddaj mi go teraz, Wessa, no dawaj.

– Trzymaj... Podgrzej sobie błotko w głowie, będziesz miał więcej pijackich snów! – zadrwił Wessa, oddając; bukłak. – Cafaj się, Havern, za jaką minutę się przewalisz i mnie zepchniesz do rzeki. Na lewe jajko Thoema! Widzisz tego ściora olbrzyma tam! Byłaby z niego uczta na nas dwóch!

Schwyciwszy leżący na brzegu kamień, cisnął go w stronę szczura, pudłując o kilka stóp. – Diabli! Żeby tak miał, krzepę w mojej drugiej ręce! Już sześć lat, jak maczuga tego skurwysyna mi ją zepsuła! – Szlochając zaczął wysysać wino ze swej skołtunionej brody.

– Na pewniaka, że ścior zbierze swoje stado i się wróci tutaj zeżreć nas do kości – ostrzegł Havern. – Ale ja ci mówię, że niedługo to my będziemy się opychać pieczeniami i słodyczami, Wessa. Całe żarcie i wino, jakie zmieszczą nasze flaki, wszystkie kobiety, jakie nasze ręce dadzą rady obmacać, wszystkie bogactwo, jakie udźwigniemy na grzbietach! Nasze i do wzięcia na pewniaka. Wszędzie o tym słyhać. Stary Malchion wysłał armię z tą suką, jego córką, w marsz na Selonari. Spali tę stertę gówna równo przy ziemi i będzie tam taki szaber, że za nic nie uwierzysz! Wessa znów odebrał bukłak.

– Może i tak, ale człowiekowi mogą wypchnąć łeb przez dupę przy takiej bijatyce – zauważył markotnie. – Na wojnie żadnej litości dla jednorękiego człowieka.

– Zepsutą łapą możesz utrzymać tarczę – ocenił Havern. – A chciałbym ja wiedzieć, kto to się tam będzie bił? Nie my. My se pójdziemy za żołnierzami starego Wilka i niechta oni se wszystkie biją i zdychają. Jak raz Selonari upadnie, a my zwyczajnie wchodzimy i bierzemy, co chcemy. Bezpieczniej, niż siedzieć w Breimen, bo nie przylecą zaraz strażnicy, jak tam poderżniesz jakie gardło! Do diabła, Wessa, każdego wolny drań za nimi pójdzie po kawał łupu!

– Cóż, wypada mi, że gorzej nam być nie może, niż jest – zgodził się Wessa. Jego kaprawe oczy błysnęły chciwie, gdy o tym pomyślał.

– Sam wiesz, że to będzie najśłodszy cymes, jaki kiedykolwiek chrupaliśmy! – obiecał Havern, królewskim gestem machnąwszy sflaczałym bukłakiem.

Powlekli się breimeńskim brzegiem, zachowując pełne zamyślenia milczenie, przerywane tylko dychawicznym kaszlem Haverna i gulgoczącym mlaskaniem, gdy wysysali resztki z bukłaka.

– No i już znaleźliśmy sobie jednego, miły Havernie – zauważył chichocząc Wessa. – Rzeka dała nam tu zdobycz, na pewniaka, a przy szczęściu się okaże, że myśmy go znaleźli pierwsi! – Pokazał palcem ciemny kształt kołyszący się twarzą w dół obok przybrzeżnych kamieni.

Ochoczo zleźli nad skraj wody i wyciągnęli trupa na brzeg.

– Ktoś tu się parał diablami sztuczki – zadrwił Havern, gdy obmacywali odzież umarłego. – Nie trudził się obciążyć sztywnego i wiry go tu wyniosły z nurtu, Wiedziałem, że to dla nas szczęśliwy wieczór na robienie porządków!

– Nosi liberię jakiegoś lorda, ale ten nóż jest za dobry dla lokaja, a w jego sakiewce kisi się

złoto. Źle, że ma“ całkiem wypalone piersi, ale może kurtkę da się załatać! Ciekawe, jak to zrobili, żeby zabić takim sposobem. Gównu, Havern, popatrz tylko na twarz skurwysyna!

– Piękna – orzekł jego kolega. – Wiesz, idę o zakład że te buty będą mi pasowały.

X. OBCY POWRACA

Z rozwianą na wietrze grzywą ogier próbował rzucić się w galop. Lord Dribeck postanowił pozwolić mu na długi bieg, gdy tylko zakończy objazd inspekcyjny. Ostry galop przez pole marsowe i po leśnej ścieżce – dla Dribecka, który był lepszym jeźdźcem niż większość jego oficerów, taka perspektywa rysowała się jako miłe wytchnienie od napięcia wiszącego nad Selonari jak chmura burzy wojennej.

– Prawie zaliczyłem cię w poczet umarłych – powiedział – chociaż wysoko cenię twoje możliwości. Ludzie, których pozostawiłeś przy koniach, długo opowiadali o twoim zniknięciu, a gdy niewielki oddział poszukiwawczy, który wysłałem za tobą, również nie powrócił, wydawało się, że Kranor-Rill skryje w swych głębiach kolejną tajemnicę. Raporty z tamtej okolicy donoszą, że Rillyti zaczęli się zapuszczać nawet na skraj puszczy, słysząc też więcej niż zwykle opowiadań o dziwnej aktywności w sercu moczarów... dziwaczne dźwięki, złowrogie światła widywane we mgle i tak dalej.

Zapewne to właśnie wywołało entuzjastyczny odzew na moje wezwanie o nowe oddziały, kierowane ku południowej granicy. No, nie powinienem być tak cyniczny. Cały lud Selonari gromadzi się w mieście. Jeśli Malchion zdobędzie Selonari, nasze osiedla zostaną złupione, a nasi wolni farmerzy staną się niewolnikami Wollendanu.

– Kranor-Rill i jego mordercze dzieci niemal mnie pochwyliły – wyjaśnił Kane, jadąc konno u boku Dril cka. Kąpiel, sen, świeże ubranie zmieniły go z ponurego zabłoconego i wyczerpanego włóczęgi, który poprzedniej dnia przybył do Selonari, w nowego człowieka. Ale pozostało mu dziwne spojrzenie, którego nie miał wcześniej.

W odpowiedzi na pełne niepokoju pytania Dribecki Kane wyłożył przerażającą historię swej nieszczęsnej prawy do ukrytych ruin Arellarti. Wiele dni, spędzonych na przeszukiwaniu pogrzebanego w bagnach miasta, ujawniło nic o praktycznej wartości. Tymczasem Rillyti zaczęli coraz liczniejszym tłumem otaczać ich obóz, wreszcie Kane został zmuszony do ucieczki w stronę puszczy, nim hordy płazów zdecydowały się na atak. Ale gdy tylko oddział Kane'a znalazł się poza murami miasta został wciągnięty w zasadzkę i unicestwiony przez rozwścieczone stwory. Kane i paru innych uciekli na bagna, gdzie on sam wędrował zagubiony przez wiele dni, jakoś unikając Rillytich i niezliczonych innych niebezpieczeństw Kranor-Rill, aż wreszcie wypełznął na stały grunt, by powrócić do Selonari. Najwyraźniej nikt inny nie przeżył męczarni. Propozycji Kane'a, by dokonać dalszych badań, mogących jednak doprowadzić do jakichś wartościowych znalezisk, Dribeck się sprzeciwił, argumentując, że nie ma już ludzi do stracenia.

– Przyznaję, że jest mi lżej, gdy mam cię znów przy sobie – zwierzył się Lord Dribeck, gdy przejeżdżali koło i chaotycznej zbieraniny nowozaciężnych. – Gdy odjechałeś, zrobił się piekielny bałagan, a szczerze mówiąc cenię sobie twoją pomoc. Shenan wie, że jeśli moja władza ma tu przetrwać do końca miesiąca, potrzeba mi wszelkich zasobów, jakie mogę zgromadzić. W Breimen wybuchło szaleństwo... zamordowanie stronników starego Malchiona w fantastycznych okolicznościach... i Wilk korzysta z tego jako ostatecznego pretekstu do wojny. Miałem szpiega ulokowanego wśród domowników Lutwiona, który zapewne znał prawdę, ukrywającą się za obłądną gadaniną o czarnoksięstwie, ale znikł bez słowa. Malchion już uszykował wojsko do podboju Selonari, a ja mam tylko parę dni na zorganizowanie obrony.

No cóż, od lat wiedziałem, że jasnowłosi piraci Wollendanu któregoś dnia zdecydują się połknąć Selonari, tak jak przedtem inne stare państwa na północnym wybrzeżu. Nigdy nie udało mi się przekonać opinii publicznej o tym niebezpieczeństwie. Za parę dni miasto może łatwo zmienić się

w kupkę popiołu, ale moja szlachta nadal tkwi po uszy, w drobnych zawiściach stronnictw, a Świątynia uchyla się od opodatkowania. Jedyne, co udało mi się uzyskać od Gerwein, nie doprowadzając do przedwczesnego starcia, to "dobrowolne użyczenie" gwardii świątynnej oraz paru innych drobiazgów z ich nagromadzonego bogactwa. Ale przynajmniej przysyła mi dobrze wyszkolonych żołnierzy... nie mówię tego, by ubliżyć naszym mężnym, wolnym kmieciom, ale żołnierz zawodowy jest wart pięciu dowolnych amatorów i niech diabli wezmą dobre chęci.

Wskazał chudego oficera z blizną na twarzy, dowodzącego musztrą kawalerii – najemników, sądząc z mieszaniny narodowości, jakie reprezentowali. Blond włosy wysokiego mężczyzny wyróżniały się wśród szeregów ciemnowłosych Selonaryjczyków.

– To Ristkon, stary wróg Malchiona, który o mały włos wyrwałby Wilkowi Breimen – wyjaśnił z pewną dumą Dribeck. – Dowiedziałem się, dokąd uciekł po upadku swej rebelii, i zwróciłem do niego. Ristkon zapalił się do możliwości pomszczenia dawnej klęski i przyprowadził własny oddział kawalerii.

– Więc nienawiść jest silniejsza niż lojalność klanowa – zauważył Kane. – Znalazłeś w nim podwójnie cennego przymierzeńca.

– Mam i dla ciebie oddział, którego dowództwo obejmiesz, Kane – przypomniał Dribeck. – Największym problemem w starciu z armią Breimen będzie koordynacja, a człowiek, który potrafi zapanować nad zamętem, może szybko znaleźć się na pozycji mego pierwszego zastępcy.

– Cenię sobie twoją aluzję – odwzajemnił się Kane z uśmiechem. – Wartość tego awansu ustanowi dopiero nasze zwycięstwo. Bo przecież niewielu triumfatorów zadaje sobie trud wieszania pobitego szeregowca.

XI. BURZOWE CHMURY WOJNY

Pierwsze strzały przeszły poranne niebo w gwałtownym porywie jak preludium nadciągającej burzy. Saper chwycił się za gardło i zwałił w rzekę z rosnącego mostu; inni zaczęli kłać, gdy żelazne szpony wbijały się w obnażone kończyny i wnikały w kolczugi. Wartownicy flegmatycznie wysunęli się do przodu, podnosząc ogromne tarcze dla osłony pracujących, ufając równocześnie, że ich lekkie zbroje odrzucą większość strzał, sięgające zaś ramienia wiązania na przednim skraju mostu nie dopuszczą bezpośredniego ostrzału. Z breimeńskiego brzegu Macewen syknęła w odpowiedzi zapora ze strzał, bijąc w porośnięty gęstym lasem przeciwległy brzeg bez zauważalnego skutku.

– Dobrze, zdążyliśmy już dotrzeć do połowy Macewen, nim Selonari przybyli, by przeszkodzić naszej przeprawie – zauważyła Teres, zmrużonymi oczami wpatrując się w gęsty las za zalewiskiem. – Dribeck zapewne zebrał wszystkie siły, by nas tu powstrzymać, ale za żadne główko nie mogę dostrzec, ilu już ma tutaj. Bądź łaskaw dokończyć ten most, zanim zgromadzi się całe jego wojsko, by nas powitać na naszej nowej ziemi.

Malchion mruknął coś niewyraźnie, pochłonięty widokiem posuwającej się budowy. Rzeka Macewen – nieoficjalna granica między posiadłościami dwóch miast--państw – miała swe źródła w górskich potokach łańcucha Wielkich Ocalidad, potem skręcała na południowy-zachód przez Ziemię Południowe, by dotrzeć do Morza Zachodniego koło Ogona Węża, płynąc tym samym urwistym przełomem, który odwadniał Kranor-Rill. Breimen i Selonari wznosiły się nad jej dopływami, Clasten i Neltoben, które łączyły się z Macewen poniżej tego miejsca – o jakieś osiemdziesiąt-dziewięćdziesiąt mil od obu miast. Jeśli nie zamierzało się maszerować na północny wschód aż do stóp Wielkich Ocalidad, istniały tylko dwa miejsca, w których można było przejść Macewen w bród o tej porze roku. Malchion otrzymał wiadomość od Kane'a, że Dribeck podzielił swą armię, by pilnować obu przepraw. Wobec tego Kane przygotował przerzucenie mostu tam, gdzie Macewen płynęła leniwie w szerokim korycie.

Dlatego breimeńskie furgony dowiozły gotowe segmenty pływającego mostu – pontony wykonane jak zamknięte od góry łodzie, szerokie sekcje zbitych desek na nawierzchnię i słupy do kotwiczenia segmentów w dnie rzeki. Przy księżycu saperzy przepłynęli rzekę łodziami, mocując potężne sznury do drzew na drugim brzegu. Podczas gdy cieśle pośpiesznie wiązali i zbijali razem nowe segmenty, gotowe spławiano z prądem, łącząc jeden z drugim wzdłuż napiętych lin, a potem przywiązując do skośnych pali, wbitych w muł. Konstrukcja szybko posuwała się naprzód, tak więc gdy słońce rozjaśniło dzień, most rozciągał się już na dobre dwie trzecie szerokości rzeki.

A wtedy śmiertelny śpiew strzał obwieścił przybycie wojsk Dribecka. Nie mogąc ocenić, jak skuteczną zaporę stworzył jego wzajemny ostrzał, Malchion rozkazał łucznikom nadal osłaniać budowę gradem strzał tak dobrze, jak tylko potrafią, choć przeciwny brzeg był praktycznie poza zasięgiem łuków. Po chwilowej pauzie budowano dalej, choć w zwolnionym tempie, gdyż robotnicy pracowali teraz za osłoną tarcz, odsyłając na brzeg tych, których odnalazła dobrze wycelowana strzała.

Teres, chwytając rozszerzonymi nozdrzami zapach bitwy, czuła krew pulsującą jej mocniej w żyłach. Jej koń bojowy Gwellines tupał i parskął. Pod lekką kolczugą miała na sobie kaftan z grubej, czarnej skóry, naszywany kawałkami polerowanego żelaza i chroniącymi jej piersi miseczkami z szarego metalu. Wyrzucane skórzane spodnie podobnego wzoru opadały na odziane w wysokie buty łydki. Żelazny hełm przykrywał jej głowę, pozostawiając jednak twarz odsłoniętą. Nakładaniem ozdób Teres gardziła; w polegała na swej szybkości i gibkiej zręczności, wyrównującej przewagę masy przeciwnika, a dodatkową wagę uważała za zbędne obciążenie. Jej przewaga w boju, jak się

chwaliła, oparta była na morderczym pięknie uderzając stali.

– Lian może mieć trudności z utrzymaniem tamtego brzegu, jeśli Dribeck wystawi zbyt silną obronę przed ukończeniem mostu – oświadczyła, by podrażnić Malchiona. Teres przekonywała go, że najpierw należy przeprowadzić na łodziach połowę ludzi, by bezpiecznie trzymać oba brzegi do chwili zakończenia budowy. Takie byłoby też zdanie Lutwiona, utrzymywała. Malchion burknął, że wygrywał już bitwy bez porad Lutwiona i niepotrzebny mu rzecznik ducha zmarłego generała. Maszerowali z maszynami oblężniczymi i zaopatrzeniem, by zniszczyć Selonari a przerzucenie mostu przez Macewen oszczędzi im miało czasu i wysiłku. Dodatkowe łodzie byłyby zbędnym ciężarem. Wtargną na ziemię Dribecka, nim zdoła przegrupować swą armię, stojącą obozem nad brodami.

Wilk obnażył zęby.

– Most będzie gotów za godzinę. Lian ma prawie dwustu ludzi do obrony przyczółka i to wystarczy do odrzucenia czatującej tam bandy łuczników. Przejdziemy rzekę, nim Dribeck będzie mógł cokolwiek na to poradzić, Do diabła, przecież tam nie może być więcej niż pięćdziesięciu czy stu ludzi ukrytych pod osłoną lasu; inaczej już by zaatakowali Liana. – Wciągając powietrze przez zęby z dźwięcznym sykiem, przyjrzał się z namysłem lasowi.

Lecz na selonaryjskim brzegu rzeki znacznie więcej, niż tylko garść żołnierzy, oczekiwało na armię Wilka. Gdyby którykolwiek ze zwiadowców Liana przeżył dokonane przez siebie odkrycie, doniósłby, że w głębi puszczy stoi Lord Dribeck z ponad trzema tysiącami żołnierzy. Zwiadowcy zaś Dribecka przynosili mu wszelkie informacje o marszu Malchiona, wysyłając wiadomości o jego ruchach przy pomocy gołębi pocztowych. Dribeck przyprowadził swą armię forsownym, nocnym marszem, zajmując pozycję twarzą w twarz z breimeńską inwazją ziem Selonari.

Gdy słońce zaczęło przeświecać przez zwartą ścianę puszczy, Lord Dribeck zrzucił błękitny płaszcz i stanął w strzemionach, by lepiej widzieć następującego wroga.

– Most nieprzerwanie posuwa się naprzód, choć moi łucznicy dostarczyli im wiele emocji – zauważył. – Malchion spróbuje się przeprowadzić, gdy mgły zaczną, ustępować.

Kane, u boku pana Selonari, mruknął twierdząco. Długimi palcami głaskał klingę z carsultyalskiej stali, jakby chciał popieścić jej śmiertcionośną siłę po raz ostatni, nim walka zapłami i wyszczerbi ostrze.

– Rozgłaszanie, że planujesz spotkanie Wilka koło brodu, było dobrze pomyślaną intrygą – skomentował.

– “Gdy stoisz przeciw przeważającym siłom, szukaj siły w strategii” – zacytował Dribeck. – Choć nie przynosi szkody, jeśli ma się przewagę sił oraz strategii. Niemniej Malchion nie miał dla przeprawy wielu miejsc do wyboru. Planując oblężenie, musiał obrać takie, które leży w pobliżu drogi nadającej się dla ciężkiego ruchu i dlatego łatwiej było ustalić, którądy pomaszeruje na południe.

Przerwał, by otrzeć czoło. Wyglądało, że potrafi zachować w pewnej mierze spokój, dopóki udaje mu się patrzeć na wydarzenia jako pewną kombinację intelektualną, a nie śmiertelny bój. Dribeck musiał przyznać, że emocje śmiesznie łatwo wrywają się ze słabych więzów rozumu. Kane natomiast zdawał się nie odczuwać żadnego napięcia – jeśli już coś zdradzał, to tylko niecierpliwość. Dribeck w duchu wzruszył ramionami.

– “Jeśli starcie jest nieuniknione, sam wybierz pole bitwy” – zacytował ponownie.

Kane roześmiał się cicho. Dribeck oparł się na tym aksjomacie, planując swoją kampanię. Dlatego oczekiwał na armię breimeńską w głębi puszczy, starając się tylko opóźnić jej przejście przez rzekę, choć mógł odrzucić próbne uderzenie Malchiona. Ale wcześniej czy później Wilk wymusi przejście, a Dribeck chciał, aby to nastąpiło na jego warunkach.

– Strategia jest piękną grą – mruknął Kane – alej błyskotliwość objawia się zwykle w retrospekcji. Wojna nie jest nauką ścisłą, a stal i krew rozstrzygnęły niejedną bitwę, którą logika wygrała dla zwyciężonych.

– Kane, twoje myśli są tak pocieszające jak krakanie kruka. – Dribeck wydobył niewielką flaszkę. – Wypijesz ze mną łyk brandy?

Kane przyjął wyciągniętą flaszkę.

– Za zwycięstwo! – z uśmiechem wznosił toast.

Jak przepowiedział Malchion, z końcem godziny most ukończono. Na selonaryjskim brzegu ludzie Liana śpieszyli pod bezładnym ostrzałem, by umocować ostatnie pontony Nieco osłonięci powalonymi drzewami, skupili się utrzymaniu przyczółka. Po odrzuceniu paru prób wycieczek Lian ocenił, że ukryci łucznicy stanowią zbyt małe zagrożenie, by uzasadnić zorganizowany atak na nich, zanim przeprawią się główne siły. Gdy brzegi zostały połączone z piersi oblężonej awangardy wyrwały się okrzyki radości.

Teres dodała ogierowi ostrogi, kierując się ku brzegowi rzeki. Dopóty nalegała, aż powierzono jej dowództwo pierwszego uderzenia – zresztą Malchion nie pożałowałby jej tego niebezpiecznego zaszczytu.

– Za mną, wy zarzygane skurwysyny! – zawyła, unosząc miecz w zaciśniętej pięści. – Poprowadzę was prosto do piekła i do chwały i zادهpczę własnym butem sukinsyna który się obejrzy, nim podłożymy ogień w Selonari!

Pod kopytami ogiera pontony odezwały się werblem jak bębny bojowe, odegrały perkusyjną symfonię łomotu butów, dzwonienia upręży i stali, chrapliwych okrzyków bojowych, dzikiego rżenia wierzchowców. Most drżał i podskakiwał wzbudzając ciemny nurt rzeki, ale obojętnie znosił przemarsz armii po swoim grzbiecie.

Przez Macewen maszerowała armia Malchiona, wbijając się błyszczącym klinem w ziemię Selonari. Ze zgromadzonych na breimeńskim brzegu sił nadchodziły zwarte szeregi piechurów wraz z oddziałami lekkiej kawalerii – nielicznymi, gdyż wielka puszcza nie pozwalała na zastosowanie w pełni taktyki kawaleryjskiej i konnym żołnierzom pozostała tylko rola pomocnicza. Jaskrawo odziani oficerowie jechali konno lub maszerowali obok swych ludzi, przekrzykując hałas rzucanymi rozkazami i okrzykami zachęty. Dalej na brzegu spoczywały platformy z ciężkimi maszynami oblężniczymi oraz zapasami żywności dla armii najeźdźców. Za nimi zaś czekały szakale, sępy – bandy ludzkich ścierwników, chciwych łupu bitewnego, nie sprzymierzone nawet ze sobą.

Mniej więcej jedna czwarta armii Malchiona przekroczyła rzekę, gdy Lord Dribeck rzucił się do kontrataku. Deszczyk strzał nagle zmienił się w karzący grad śmierci, przelatujący piekielną nawałnicą przez gęste szeregi. Konie z kwikiem padały, wbijając młócające kopyta w wijące się ciała żołnierzy. Gdy chaos zmieszanych ciał i śliskie od krwi deski zatamowały napływ ludzi, marsz przez most został zahamowany. Stojący z tyłu breimeńscy łucznicy nie mogli odpowiedzieć na atak, bo jedynym celem byłiby ich koledzy. Na przyczółku ludzie klęli i umierali, walcząc o jakiegokolwiek schronienie przed nieustępliwym deszczem drzewc uzbrojonych w żelazne zęby.

– Pchajcie się do przodu! – wrzeszczała Teres, nie bacząc na żniwo śmierci wokół siebie. – Przebijcie się do lasu! Tu służycie im tylko za tarcze strzelnicze! Naprzód! Skaczcie na tych przyczajonych bandytów! Wbijcie stal w brzuchy łuczników, a przestaną nas ostrzeliwać! Naprzód, do wszystkich diabłów! Zróbcie drogę kolegom, by mogli się przeprawić!

Z tarczami nastawionymi przeciw uderzeniom strzał breimeńscy żołnierze przedarli się przez zalewisko na drugi brzeg, zagłębiając się w gęsty las za nim. Rozległy się pełne złości, ochryple okrzyki wojenne, gdy biegli, by ugasić wściekłość krwią ukrytego wroga.

– Kane! Ovstal! Ivocel! Przyprawdźcie wasze oddziały! – rozkazał Dribeck, gdy armia breimeńska rzuciła się w ich stronę.

Szeregi łuczników rozstały się, dając przejście ciężkiej piechocie Selonari. Pomaszerowali ze wzniesionymi tarczami, z bronią gotową do ciosu – miecze, topory, włócznie, maczugi – trzon armii Dribecka, z chrzęstem posuwający się do przodu, by skruszyć breimeński szturm.

Bo gdy tylko bitwa dotarła do lasu, łuki nie były już skuteczną bronią, a teren nie pozwalał na skomplikować taktykę ani walkę w szyku. Teraz miała się zacząć rozstrzygająca walka, pięść przeciw pięści, stal przeciw stali, o zwycięstwie zaś zdecyduje siła mięśni i odporność.

Dwie linie ruszyły na siebie i zderzyły się jak dwa wściekłe fronty burzowe. Pioruny trzaskały i błyskały, gdy ostrze padało na ostrze, gromy biły i odbijały się echem w szaleńczym ryku bitwy, szczęku bijącej stali, wyciu gwałtownej śmierci.

Teres z dzikim wrzaskiem i błyskiem miecza wkroczyła do bitwy. Gwellines stanął dęba, przewracając oczami i rozdymając nozdrza, gdy ogarnęła ich fala bitwy. Uderzył kopytami, trafiając wroga w twarz. Miecz Teres rąbnął w dół i odskoczył do góry, siejąc czerwone krople. Wyrzucony w górę topór o mało nie wytrącił jej tarczy z ręki,; Wbiła ostrogę w oczy nieprzyjaciela, pchnęła mieczem i człowiek trafił do piekła oślepiiony.

Gdyby którykolwiek z mężczyzn miał jakieś opory przed zabiciem kobiety, znikły one wobec furii tej wcielonej diablicy. Siała spustoszenie w szeregach wroga, kolanami kierując koniem, choć i tak ogier zdawał się myśleć jak człowiek. Klucząc między wielkimi drzewami, Gwellines galopował, zostawiając za sobą niejednego Selonaryjczyka zmiażdżonego kopytami. Wymierzone w Teres ciosy odbijane były mieczem lub tarczą, a odpowiedź następowała z morderczą szybkością. Żołnierze Malchiona skupili się przy niej, walczyli zajadle u jej boku, a gdy któregoś z nich przeszyła klinga, zabójca miał czas tylko na jeden oddech, nim dotknął go płomień jej gniewu.

Wpadli do lasu, między kolumny drzew tej świątyni wojny. A na ołtarzach leżały stopy ofiar. Panował tu chaos, desperacka walka wręcz, człowiek przeciw człowiekowi, niezliczone pojedynki, od których zawisł wynik bitwy. W tym zamęciu, w labiryncie lasu, nie można było odgadnąć, która z armii bliższa jest zwycięstwa.

W momencie wytchnienia, gdy bitwa przetoczyła się dalej, Teres próbowała ocenić stan swej armii. Ale w tej chwili zadanie było beznadziejne. Nieustający nacisk z głębi lasu wskazywał, że nocą Dribeck przyprowadził tu swe główne siły, choć w żaden sposób nie można było określić, ilu żołnierzy trzyma w rezerwie. Zwraçała uwagę nieobecność w walce selonaryjskiej kawalerii. Rzuciwszy okiem wstecz, na przyczółek, Teres dostrzegła, że żołnierze Wilka oczyścili most z krwi i trupów i powoli przedostawali się przez Macewen. Gdy ich natarcie odrzuci łuczników poza zasięg skutecznego ostrzału mostu – a ich ogień niemal już ustał – armia Malchiona runie przez rzekę. Wtedy Dribeck może rzucić do boju wszystkie swe rezerwy, ale z małą nadzieją na odparcie inwazji. Ponieważ obecna chwila dawała mu jedyną realną szansę zmiażdżenia ataku, Teres wywnioskowała, że musiał już wprowadzić do bitwy większość swej armii. A więc Selonari nie miało dość siły; mogło walczyć z jej strażą przednią co najwyżej jak równy z równym. Teres pozostawało tylko utrzymać teren do chwili, gdy główne siły Malchiona przekroczą rzekę, by przyjść jej z pomocą, a potem będą ścigać Dribecka przez całą drogę do Selonari, gdzie będzie miał szczęście, jeśli zostanie mu dość żołnierzy, by móc zamknąć bramy.

Ujrzała zbliżającego się jeźdźca -jednego z nielicznych, jakich do tej pory pokazał Dribeck – i poznała, że jest to Kane. Cudzoziemiec wyglądał znacznie groźniej w stroju bitewnym niż w płaszczu kapłana. Z twarzą wykrzywioną złym uśmiechem, oczami płonącymi niebieskim ogniem, kładąc pokotem jej żołnierzy jak niedołączonych niewolników, wyglądał jak któryś ze starszych bogów wojny.

Teres ze zdumieniem zauważyła, że nie miał tarczy; zamiast niej w prawej dłoni dzierzył potężną maczugę, odbijając nią ciosy i sam je zadając, jakby jednakowo potrafił używać obu rąk. Ich spojrzenia spotkały się na moment i nawet z takiej odległości Teres poczuła oszołomienie na widok lodowatego płomienia śmierci.

Kane zawrócił konia w miejscu i pognął gdzie indziej na pole walki. Teres zdumiała się, z jakich przyczyn kontynuuje on swą maskaradę – zapewne, by zachować zaufanie Dribecka. Ale po tej bitwie pan Selonari najprawdopodobniej będzie mógł powierzać swe tajemnice tylko krukowi. Być może Kane nie miał okazji, by zdezerterować, ale walczył pod sztandarem Dribecka, jak gdyby był szermierzem sprawy tego intryganta. Teres przyszło na myśl że jej ludzie mogą przecież zabić Kane'a nie zdając sobie sprawy, że jest on agentem Wilka. Ale to, zdecydowała było jego osobistym ryzykiem. Pomyślała równocześnie, kto wie, czy nie byłoby to szczęśliwym zrzędzeniem losu.

Ale miała jeszcze krew nieprzyjacielską do rozlania. Przestała myśleć o Kanie i dała Gwellinesowi ostrogę, przedostać się tam, gdzie jej żołnierze odstępowali. Ludzie z obu armii rozpierzchli się przed jej szarżą.

Ze swego rumaka Lord Dribeck z zaniepokojeniem śledził zamęt bitewny. Natarcie Breimen rozbiło łuczników Crempry. Wycofał ich z pola, ale teraz zastanawiał się czy nie zostanie zmuszony wprowadzić ich ponownie do bitwy, choć żywił nadzieję, że zachowa ich na lepszą okazję. Lecz rzucił już do boju prawie wszystkie swe rezerwy, zachowując tylko gwardię przyboczną. Jeśli przeprawi się jeszcze więcej żołnierzy Malchiona, będzie musiał użyć łuczników Crempry jako piechoty, rzucić też do boju swą gwardię i spróbować zepchnąć najeźdźców do rzeki. W ten sposób postawi wszystko na ostatnią kartę; wkrótce zaś ten desperacki krok może okazać się jego ostatnią deską ratunku.

Nagle jego zaniepokojone oczy, badające przeciwległy! brzeg, rozbłysły nadzieją. Prawe skrzydło Malchiona, oczekujące na przeprawę przez Macewen, ogarnął zamęt. Wzdłuż zwirowatego zalewiska dziko galopował oddział jezdnych, błyszcząc stalą w porannym słońcu. Kawaleria szarżowała na odsłoniętą flankę Malchiona!

Przekrzykując ryk swoich ludzi, Dribeck zamachał mieczem i zawołał w uniesieniu: – Kawaleria Ristkona! Udało się! Teraz Wilk się dowie, że wsadził łapę w szczęki potrzasku! Jeśli chce nam umknąć, będzie musiał ją odgryźć! Za Selonari, ludzie! Niech nasza stal oszczędzi trudu jego stępałym zębom! Pokażemy żółtobrodym rozbójnikom, jak Selonari wita złodziei!

Rzucił wszystkie pozostałe mu siły do boju, odważnie realizując swą strategię. Gdy ustalono już bowiem, gdzie Malchion dokona przeprawy, Dribeck wysłał całą swą konnicę pod dowództwem Ristkona, by przeszła w bród Macewen na najbliższej płyciźnie. Było to ryzykowne posunięcie – wściekła jazda w dół rzeki, przekroczenie brodu i znów w górę – a na całej trasie tylko parę odcinków dróg, przyśpieszających ich natarcie. Łucznicy powstrzymywali przeprawiających się Breimeńczyków tak długo, jak było to możliwe, nie ujawniając przed Malchionem prawdziwego układu sił. Hazard był wielki, ale pierwszy krok okazał się wygrany. Dribeck musiał jeszcze wykorzystać sukces swej strategii, bo jego starannie zastawiony potrzask mógł się okazać zbyt słaby na bestię, którą chwycił szczękami.

Myśląc tylko o przeprawieniu się przez rzekę, Malchion został kompletnie zaskoczony atakiem kawalerii. Jego żołnierze, kręcący się beładnie wzdłuż brzegu, zachwiali się pod szarżą Ristkona. Ludzie wrzeszczeli, padali jeden na drugiego, próbując jedynie uniknąć morderczych kopyt i poczerwieniałych ostrzy. Wzdłuż brzegu zapanował chaos. Galopująca w stronę mostu kawaleria Ristkona rozszczepiła armię breimeńską jak klin spróchniałą belkę.

Malchion wykrzykiwał rozkazy, ale spanikowany tłum nad brzegiem zagroził drogę zbitą masą

i Wilk był bezradny mimo swej siły. Malchion wiedział, że mógłby obcasem zmiażdżyć Selonaryjczyków nad rzeką, gdyż jego żołnierze byli o wiele liczniejsi niż kawalerzyści wroga, choć wprowadzili tyle zamieszania. Ale najpierw musieliby się otrząsnąć z szoku wywołanego szarżą, a Ristkon nie zamierzał dopuścić, by stała się ona samobójczą.

Gdy tylko więc armia Breimen cofnęła się przed ich uderzeniem, kawaleria Selonari wyrąbała sobie drogę do mostu. A tam żołnierze Breimen wycofywali się w popłochu, niepewni, na którym brzegu przeciwstawić się nieprzyjacielowi. Ludzie Ristkona z determinacją parli naprzód i most pontonowy stał się niespodziewanie miejscem szarży kawaleryjskiej. Tymczasem Dribeck wysunął do przodu łuczników pod osłoną rezerwowej piechoty. Strzały przeorały most po jego stronie, odrzucając breimeńskich żołnierzy, próbujących przyjść na pomoc kolegom. Obaleni przez strzały, miażdżeni kopytami straszniejszymi niż klingi jeźdźców, żołnierze Malchiona zostali zniemacka zmieceni z mostu. Bieg Macewen zaczęły tamować bezwładne lub szarpiące się ciała ludzi i koni.

Wilk poprowadził swą armię w pogoni za kawalerią, rozwścieczony nagłym zrozumieniem strategii Dribecka. Lecz drogę miał zablokowaną. Przechodząca na drugi brzeg ariergarda kawalerii, powstrzymała ścigających dość długo, by porozrywać przywiezione bukłaki z olejem. Po chwili część mostu objęły płomienie, a gdzie nie dosięgły Selonaryjczycy rozrąbali pontony, przecinali i zrywali wiązania. Most, jak się wydawało, rozpadł się w mgnieniu oka. Uwolnione od słupów oporowych długie jego odcinki zaczęły spływać z prądem, niektóre tonąc, inne ciągnąc za sobą słupy dymu – na jednym nawet stała grupa żołnierzy

Armia Malchiona została rozdzielona i Wilk mógł tylko wyć ze złości. Macewen była tu zbyt głęboka, by przejść ją w bród. Piesi i jeźdźcy, którzy zrzucili zbroje, by ją przepłynąć, zostali kolejno wybici przez łuczników zbliżających się na odległość strzału – a przynajmniej ci z nich, których nie porwał prąd. Nawet najszybsze oddziały kawalerii Malchiona nie mogły dotrzeć do brodu, a potem zawrócić na pole bitwy wcześniej niż na całe godziny po jej rozstrzygnięciu. Nawet gdyby pod ręką było dość materiału, odbudowa mostu zajęłaby godziny. W desperacji Malchion wysłał przez rzekę ludzi w pozostałych mu łodziach, ale ci wpadali pod morderczy ostrzał z łuków i w końcu Selonaryjczycy wzięli do niewoli lub wybili ich wszystkich.

Nie pozostawało do zrobienia nic innego, jak stać w miejscu z ponad jedną trzecią armii i patrzeć bezsilnie, jak na tamym brzegu rozstrzyga się bitwa. Było to taką męką, że niektórzy rzucali się do rzeki, by ulżyć swej wściekłości jałowym wysiłkiem.

Teren lasu stał się zgiełkowym polem bitewnego obłędu, z poszarpanym poszyciem, zbryzganym ciemną wilgocią, zasłanym plonem śmierci. W grze strategicznej zagrano ostatnią kartę. Teraz już tylko demony wojny szalały wszędzie w niszczącym amoku. Bitwa zawrzała z nowym okrucieństwem, które tylko śmierć mogła uciszyć. Ani odwrotu, ani rezerw – ludzi czy wściekłości.

W tym pogmatwanym tańcu wojny, wśród wstrząsającego ziemią łoskotu walki, Teres chłodno oceniła swą sytuację. Z napływem kawalerii Ristkona i rezerw Dribecka najeźdźcy breimeńscy napotkali znaczną przewagę liczebną. Najpierw ostrzelano ich z łuków, gdy dreptali na zalewisku, a potem ich atak na las zmiażdżyły świeże oddziały Dribecka, tyły zaś porąbała kawaleria Selonari. Schwytni zostali w kleszcze między puszcza i rzeką, Ristkon zaś wbijał im klin w plecy. Jej armia musiałaby wyteńczyć wszystkie siły, chcąc rozewrzeć te kleszcze, by nie dać się wykończyć jak złodziej na szafocie.

Z głębi lasu wymaszerował Dribeck ze swoją gwardią przyboczną. U jego boku pędził Crempra, zaklinając swych łuczników, by nie zmarnowali ani jednej strzały – ani też nie trzymali pełnych kołczanów, gdy w wirze walki trudno będzie odróżnić przyjaciela od wroga, co wkrótce musi nastąpić. Gwardia Świątyni cofnęła się, formując wokół łuczników nieprzeniknioną stalową ścianę,

odrzucającą desperackie ataki armii Breimen. Wbiwszy się już w środek najeźdźców, Kane i Ovstal nadal walczyli na czele swych oddziałów. Widać też było Ristkona, kłusującego w błyszczącej srebrem kolczudze, gdy prowadził swą kawalerię na skrzydło Breimeńczyków, gdzie niedobitki konnych Wilka próbowały się przegrupować do kontrszarzy. Jak oceniał Dribeck, dwóch innych spośród jego dowódców zostało zabitych, a także Diab, dowodzący gwardią świątynną.

Miecze i włócznie zaczęły szukać ciała Dribecka. Żołnierze breimeńscy uparcie próbowali przełamać szeregi wyborowej, przybocznej gwardii pana Selonari, otaczającej go pierścieniem. Jego śmierć mogła odmienić wynik bitwy, a gdy los zwrócił się przeciw Breimen, ich atak stał się szaleńczy. Tych, którym udało się do niego dotrzeć, Dribeck spotkał władając mieczem z zimnym spokojem. Nie był urodzonym szermierzem ani nie miał dość mocy fizycznej, by dominować w walce. Ale jego szczupłe ciało miało siłę sprężyny i niepochwytłą zręczność, a całe godziny upartego treningu wyostrzyły je wystarczająco, by jego prawica wzbudzała szacunek. I choć w pełni świadom podwójnego ryzyka związanego z wmieszczeniem się w tę morderczą walkę, Dribeck wiedział, że jego ludzie oczekują, iż osobiście poprowadzi ich do boju. Nie poszliby za panem, którego męstwo i bohaterstwo na polu walki wzbudzałyby wątpliwości, a Dribeck gotów był raczej zginąć na polu chwały – jeśli śmierć jest mu pisana – niż tańczyć do końca swych żalonych dni jako marionetkowy władca jak jego poprzednicy.

Włócznia rozerwała mu kolczugę i odpadła. Dribeck wbił ostrze miecza w twarz napastnika. Żołnierz z wrzaskiem pac na kolana, wciąż ściskając włócznię i dźgając na oślep koński brzuch. Wychyliwszy się z siodła, Dribeck odrąbał mu rękę i pozostawił wijącego się na ziemi, bo już atakował następny przeciwnik. Miecz Dribecka przechwycił jego klingę, a potem nagłym pchnięciem otworzył mu brzuch. Lord wyprostował się na czas, aby kolejny miecz zatrzymać swą tarczą, szybko wymienił z nim ciosy, a potem stratował napastnika!

I tak to się toczyło. Bitwa stała się jeszcze bardziej zażarta, teraz już twarzą w twarz, gdy najeźdźców wypierano z lasu na zalewisko. Ristkon rozwalił armię Breimen na dwie nierówne części i w dzikim ataku obalił ostatniego z kawalerzystów nieprzyjaciela. Mniejszą część wojowników breimeńskich zepchnięto do rzeki, gdzie ich rozsiekano w przybrzeżnej błotnej kipieli. Wielu próbowało porzucić zbroję i broń, aby popłynąć do swoich przez zdradliwy nurt. Paru nawet udało się w ten sposób. Unicestwienie tej części wojska Breimen pozbawiło odwagi pozostałych; ci którzy tylko mogli, próbowali wyslizgnąć się poza obrębi bitwy i schronić w lesie. Tam Selonaryjczycy tylko krótko ich ścigali.

Dribeck ujrzał, jak przewraca się koń Kane'a, z kolanem podciętym przez umierającego żołnierza piechoty. Rudowłosemu cudzoziemcowi udało się zeskoczyć z padającego wierzchowca i wylądować na nogach. Upojeni zapachem krwi breimeńscy żołnierze rzucili się rojem na niego i Dribeck wiedział, że żaden zwykły wojownik nie jest w stanie przeżyć takiego ataku. Ale Kane znalazł się w samym sercu głównych sił nieprzyjaciela i nie było nadziei, by dotrzeć do niego na czas. Stał jak niedźwiedź otoczony przez psy a jego miecz i maczuga unosiły się i opadały, trafiając z oszałamiającą prędkością i śmiertelną celnością. Atakujący powaleni brutalną siłą tworzyli wokół niego ze swych zmasakrowanych ciał obronny wał, na którym ślizgali się nowi napastnicy, próbujący się przedostać.

A potem zaroilo się wokół Dribecka od zakrwawionych kling i okrutnych twarzy i lord nie był już w stanie poświęcać uwagi Kane'owi. Walczył z uporem. Jego gwardia była teraz mniej liczna, nieprzyjaciel jeszcze mniej liczny, ale nie dbając już o własne życie, wkładał wszystkie siły, by powalić wodza swych wrogów. Tarcza Dribecka była porąbana i powgniatana, trzymająca ją ręka odrętwiała od niezliczonych ciosów, a prawica bolała od nieustannego wysiłku bólem trudniejszym

do zniesienia niż ból od zadanych mu cięć i sińców. Zacisnął zęby, oddychał z drżącym sykiem i musiał zaczerpnąć z ostatniej rezerwy wytrzymałości, by utrzymać klingę i tarczę w ruchu. Cięcie, parada! Blok, pchnięcie! *Gdzie byli jego ludzie?*

Nagle wrogowie cofnęli się, gdy wpadł na nich konny wojownik. Maczugą rozwalił hełm i czaszkę temu, który toporem prawie wyrwał tarczę Dribeckowi, a potem znalazł się u boku lorda. Zbyt wyczerpany, by się dziwić, Dribeck rozpoznał Kane'a, wierzchem na koniu, którego gdzieś złapał. Potężne ciało złane było juchą, ale wyraźnie w niewielkim stopniu jego własną. Dribeck nie potrafił sobie wyobrazić, jak straszliwą rzeź musiał sprawić Kane, by wyrwać się z szeregów breimeńskich żołnierzy.

Z Kane'em przybyło nieco żołnierzy Selonari – zamęt bitewny był zbyt wielki, by można było odróżnić, z jakich są oddziałów. Odepchnęli atak Breimeńczyków, dając Dribeckowi czas na gorączkowe zaczerpnięcie oddechu i otarcie oczu z potu i brudu.

Ostatnią nadzieją armii breimeńskiej była próba ataku i zabicia pana Selonari. Nie udała się. Teraz już żołnierze Dribecka otaczali go zwartą masą. Straty obrońców kraju były mniejsze, głównie z powodu krwawego plonu zebranego przez łuczników Crempry i niekorzystnej pozycji, jaką narzuciła najeźdźcom strategia Dribecka. Armia Selonari panowała już całkowicie na polu walki, wynik bitwy został rozstrzygnięty.

Przeciw przeważającej sile nadal toczyła beznadziejną walkę grupka prawie stu breimeńskich wojowników. Teres próbowała podtrzymać atak na las. Ją i jej ludzi odrzucono jako ostatnich i zepchnięto na zalewisko, gdzie ujrzeli, że dalszy odwrót jest odcięty. Dribeck trzymał zarówno skra lasu, jak brzeg rzeki; jego żołnierze otaczali grupkę bez szans na ucieczkę. Gdyby jakoś udało im się wyrwać z pułapki, nie mieli żadnej rozsądnej drogi odwrotu tylko przez rzekę, zawałoną porąbanymi lub potopionymi trupami, albo w stronę drzew, gdzie kawaleria Dribecka ściagała tych ostatnich, którzy próbowali ucieczki przez wrogą puszcę.

Utworzyli mur z tarcz i czekali na nadejście śmierci zmęczeni, z krwawiącymi ramionami gotowymi do ostatniej beznadziejnej walki. Już żołnierze Selonari miażdżyli i szarpali ich skraj bezlitośnie jak wygłodzone wilki.

Ku powszechnemu zdumieniu Lord Dribeck kazał cofnąć się swym ludziom. Nadal otoczeni żołnierze breimeńscy wykorzystali odroczenie wyroku na poprawienie chwytu swej broni i rzucanie wyzywających spojrzeń swym zabójcom. Ale Dribeck nie miał zamiaru tracić więcej ludzi. Wynik bitwy stworzył mu nowe perspektywy i postarał się szybko je wykorzystać.

– Lady Teres! – zawołał do rozczochranej dziewczyny, siedzącej wierzchem na spienionym rumaku. – Twoja sytuacja jest beznadziejna... każdy głupiec to widzi! Rozkaż swym ludziom rzucić broń i poddać się!

Teres potrząsnęła głową. W uszach jeszcze jej dzwoniło od ciosu, który wgniótł jej hełm.

– Czemu mamy się poddawać? Czy twoje tchórzliwej szakale boją się dłużej stawiać czoło breimeńskiej stali? To odstąpcie i zróbcie nam przejście do rzeki... a ja rozkażę! mym wojownikom, by oszczędzali twoje nędzne, rynsztokowe szumowiny, gdy będziemy odchodzić!

Wśród ludzi Dribecka rozległy się złe pomruki i kilku wysunęło się naprzód. Oстрыm głosem nakazał im się cofnąć.!

– Przestań się zgrywać, Teres! Znasz swoją sytuację! Daję ci szansę przeżycia! Okażesz się głupia, a umrzesz, nim upłynie jeszcze jedna godzina!

– Umrzemy z mieczem w dłoni, a nie rozciągnięci na ołtarzach Shenan! Albo zamordowani dla rozrywki twojej nikczemnej szlachty!

– Nie udawaj, że wierzysz waszej własnej propagandzie! – warknął Dribeck. Ofiary z ludzi były

oficjalnie zakazane już od pokoleń, ale trudno było sobie wyobrazić, czego Świątynia może dokonywać w tajemnicy. – Proponuję wam życie na moje słowo! W obecności moich ludzi przysięgam, że wszyscy, którzy poddadzą się teraz, będą traktowani jak honorowo kapitulujący jeńcy wojenni! Zostaniesz wymieniona z Malchionem na moich warunkach; do tej chwili nic złego ci się nie stanie. Na takie warunki nie zasługuje żaden agresor, ale oświadczam tutaj, że taki jest mój rozkaz! A teraz wybieraj szybko między życiem a śmiercią, bo moi łucznicy już się zmęczyli czekaniem!

Teres z ponurą miną zastanawiała się nad swym ciężkim położeniem. Za Macewen z pełną okrucieństwa wyrazistością widać było resztę armii Breimen. Ale biorąc pod uwagę, z jaką pomocą mogła jej przyjść, równie dobrze mogłaby być po drugiej stronie Morza Zachodniego. A u boku miała ostatnią żalostną garstkę swych ludzi. Większość jej oficerów poległa; być może Lian uciekł, bo nikt nie widział, by padł. Nazywała siebie wojownikiem, a jej bohaterowie z sag plunęliby w twarz Dribeckowi i zginęli nie wypuszczając miecza z dłoni. Taka była śmierć godna wojownika.

Ale sagi dobre były na wieczory, gdy minstrele wysnuwali heroiczne obrazy z cieni przeszłości. Dzień zaś był piękny, jasny i czysty; chłodny wiaterek od strony lasu orzeźwiał jej zatroskane czoło. A Teres nie chciała umierać.

Być może będą jeszcze inne bitwy do stoczenia, powiedziała sobie ze znużeniem. I był jeszcze Kane – zagadka, ale nie było wątpliwości co do usług, jakie wcześniej oddał Malchionowi.

– Dobrze, niech cię diabli wezmą – odrzekła ochryple. – Poddaję ci siebie i moich ludzi... opierając się na twoim słowie, cokolwiek okaże się warte. Gwellines jest zbyt dobrym rumakiem bojowym, by pozwolić go naszpikować selonaryjskimi strzałami.

XII. TROFEA ZWYCIĘSTWA

Przez dwa dni po bitwie niebiosa płakały – ciężkim deszczem, oznaczającym koniec krótkiego lata Ziem Południowych. W Selonari zapanowała radość – niepohamowana orgia, przy której Święto Wiosennego Księżyca zdawać się mogło stypą żebraka.

Zwycięstwo!

A przynajmniej jak na razie. Lord Malchion, wstrząśnięty zdziesiątkowaniem swej armii, wycofał się do Breimen. Nadal jednak miał ponad jedną czwartą swych wojsk i większość zaopatrzenia. Ale nawet odliczając straty Dribecka, władca Selonari miał teraz ogromną przewagę liczebną, więc próba przekroczenia Macewen pod okiem jego wojowników skończyłaby się masakrą. Głęboko do tknięty, przeżywając utratę córki mocniej, niż to okazywał, kulawy Wilk rozpoczął ponury odwrót do Breimen. Tam zamierzał odbudować armię, nim rozpocznie następną ofensywę. Tymczasem trzeba było zapewnić obronę Breimen na wypadek, gdyby Dribeck pokusił się o marsz na północ przeciw miastu. Byłby to fatalny błąd strategiczny, a Malchion żywił cichą nadzieję, że przeciwnik będzie na tyle nieroztropny, by go popełnić.

Ale w tej chwili nikt nie mógł przekroczyć Macewen, bo rzeka wezbrała, miłosiernie splukując wojenne szczątki aż do swej delty w Morzu Zachodnim.

Triumfująca armia Dribecka brnęła wśród deszczu do Selonari. Wozy uginały się pod łupami bitewnymi – stosami uzbrojenia, ale i noszami z rannymi. Przez całą noc plądrowano pole walki, wrzucając trupy Breimeńczyków do rzeki, chowając własnych kolegów w wielkich kurhanach. Zaopiekowano się rannymi – na rozkaz Dribecka nawet nieprzyjacielskimi – choć w takiej bitwie, jaka się rozegrała, rany z reguły były albo śmiertelne, albo powierzchowne. Patrole już się zmęczyły polowaniem na nielicznych pozostałych przy życiu breimeńskich uciekinierów. Gdy zaś upewniono się, że Malchion jest w odwrocie, główne siły Dribecka skierowały się do Selonari, by świętować zwycięstwo.

Syci chwały i łupów żołnierze nieomal spełnili groźbę Malchiona, iż Selonari zostanie zrównane z ziemią. Walka ze śmiercią u boku uderza do głowy tym, którzy unikną jej kosa, a życie wydaje się im nową oblubienicą, z którą trzeba zabawić się aż do rana, zanim świt rozproszy czar pierwszej nocy. Pito za poległych, a ocaleni pocieszali ukochane. Wesołość skryje żal, który nadejdzie jutro, gdy wino zwycięstwa skwaśnieje. Ale w noc powrotu Selonari należało do zwycięzców, przepelniających jego ulice i tawerny w niepohamowanej zabawie.

Teres przywdziała na twarz maskę obojętności i piła niewiele wina. Stół bankietowy, przy którym siedziała, uginał się od wyszukanych potraw, ale jej bólu nie mogło uśmierzyć pożywienie. Wraz z jej żołnierzami oprowadzano ją ulicami Selonari, obok innych wystawianych na pokaz łupów wojennych, wśród gwizdów pospólstwa. Ale nie wyrządzono im krzywdy innej, niż obrzucanie obelgami i odpadkami. Jej żołnierzy uwięziono gdzieś w kazamatach Dribecka – jak dotąd skrupulatnie dotrzymywał słowa.

Teres uczyniono wątpliwy zaszczyt uczestnictwa w uczcie zwycięstwa Dribecka. Odarta z broni i zbroi, siedziała wyprostowana przy głównym stole, wyróżniając się wśród pysznie odzianej szlachty śladami bitwy na kaftanie i spodniach. Teres rozważała ponuro, czy jej poddanie się było mądrym posunięciem. Gdyby ktokolwiek był tak głupi, by położyć blisko niej nóż, chwyciłaby go i zatopiła w zaczerwienionej z dumy szyi Dribecka. Ale lokaje po obu bokach pilnowali jej czujnie – obsługiwali ją z chłodną uprzejmością niemniej byli strażnikami. Teres sączyła wino małymi łykami, pocieszając się, że Dribeck przynajmniej uszanował jej odwagę i nie potraktował jak jakąś zapłakaną branke, zmiażdżoną wspaniałością swego zdobywcy aż do potulnego poddania.

Do diabła, ale to znów nie pomoże jej w ucieczce. Być może powinna schować dumę do kieszeni i odrobiną poskamlać... aby uspić ich czujność. Nie, nie poniży się więcej. Niech ci odrażający głupcy chłają i przechwalają się męstwem przed swymi wybladłymi kurwami! Wkrótce Dribeck będzie nazbyt pewny siebie, a wtedy pozna, jaką furją jest ta, którą spodziewa się trzymać w niewoli!

Z kolei Teres zaczęła się zastanawiać, jak mogłaby porozmawiać z Kane'em nie budząc podejrzeń. Zdawało się, że potężny cudzoziemiec zupełnie pogrążył się w picu wina – zadumany wśród śmiechów i głośnych rozmów. Dribeck szepnął coś do dworskiej dziwki, która wślizgnęła się na miejsce obok Kane'a. Ale na swe lubieżne awanse uzyskała tylko pełne roztargnienia reakcje. Teres chciała, by dał jej jakiś znak, jakkolwiek okazał, że zamierza jej pomóc. W straszliwej samotności w cytadeli wroga ten tajemniczy człowiek był jej jedynym przyjacielem.

Większość osób zebranych przy głównym stole – dowódcy Dribecka, wybitniejsi szlachcice, ich kobiety oraz pani o wyniosłej urodzie jak się dowiedziała, była to Gerwein, arcykapłanka Shenan) – ignorowała Teres. Rozmowę prowadzono w zwięzłym języku Ziem Południowych, których ciemnowłosi mieszkańcy osiedlili się tutaj, nim nastąpiły wollendańskie migracje. Teres знаła go dostatecznie dobrze, aby rozumieć rozmowę, gdyby miała na to ochotę, ale główny temat był dla niej zbyt bolesny. Kilka prób Dribecka wciągnięcia jej do rozmowy – mówił płynnie po wollendańsku – chłodno odrzuciła. Tak więc pomimo rzucania zaciekawionych spojrzeń zdobywcy musieli się zadowolić jej pełnym dumy milczeniem. Prawdopodobnie uważali ją tylko za jeszcze jedno trofeum wojenne, wystawione na pokaz podczas uroczystości.

Jedna para oczu wpatrywała się w nią z otwartą wrogością. Ristkona, starego wroga Malchiona, mordercy jej krewnych, zdrajcy Breimen w przeszłości – i podwójnego zdrajcy dziś. Choć była tylko małą dziewczynką podczas spisku Ristkona dla przechwycenia władzy w Breimen, dobrze zapamiętała jego uśmiechniętą twarz. Cięcie w lewy policzek zniekształciło go paskudną blizną, wykrzywiając kącik ust w ponury uśmiech. Był niegdyś próżnym młodzieńcem, z dziewczęcą piękną twarzą i wysokim, o gracji pantery ciałem. Okaleczenie zniekształciło nie tylko jego uśmiech. Sądono, że po porażce uciekł z Ziem Południowych i popłynął na północ, poza zasięg gniewu Malchiona. Oczywiście było, że Dribeck musiał go wygrzebać w jakimś złej sławy porcie na północnym wybrzeżu. Teres pomyślała z pogardą, że miarą przebiegłości pana Selonari było to, iż mógł się poniżyć do zwerbowania tak plugawej jednostki.

W miarę upływu wieczoru Ristkon coraz bezczelniej i coraz częściej wlepiął w nią oczy. Kilka razy zwrócił się do niej urągliwymi słowami. Udawała, że nie słyszy jego obelg. Od czasu do czasu szeptał coś swym kompanom, wywołując ich parskania, rubaszne śmiechy i kierowane ku niej zaciekawione spojrzenia. Teres rozmyślnie patrzyła w inną stronę, choć wysilała słuch, by pochwycić ich szepty.

– Teres – zawołał głośno Ristkon po kolejnym wybuchu takich śmiechów – przez te wszystkie lata słuchałem opowieści o dzikiej Teres, o ostrych kłach szczytowania starego Wilka. Ostatnim razem, gdy cię widziałem, byłaś zaledwie małym, chudym berbeciem, który lubił bijać paziów i pełzał wokół stołów podczas świątecznych uczt, jak pies szukający ochłapów. Dlatego nie mogłem wiedzieć tego wówczas, a teraz, gdy znów cię widzę, nadal nie jestem pewien. Chcę przez to powiedzieć, że jesteś tak przystojna jak stary sierżant i dość krzepka, by dowodzić bandą werbowników, a wszystkie meldunki donosiły, że nigdy cię nie widziano w niczym podobnym do przyzwoitej damskiej odzieży. Łamię więc sobie głowę i mam nadzieję, że mi powiesz: czy jesteś naprawdę dziewczyną, która nie wie nic o seksie, czy też tylko jakimś bezbrodym, kalekim od urodzenia chłopcem?

Teres popatrzyła mu w oczy i wygięła wargi w milcząc pogardzie. Jej grymas przedrzeźniał zniekształcone rysy Ristkona. Przy stole nagle zaczęła zapadać cisza.

Ristkon zaczerwienił się, blizna wystąpiła mu na twarz białą rysą.

– Więc muszę zyskać pewność, Teres – oświadczył wymuszoną uprzejmością. – Jak wiesz, nasze rody dzieli krwawa wendeta. Jeśli jesteś mężczyzną, honor wymaga abyśmy rozstrzygnęli ten spór ostrzem miecza. Ale jeśli dziewczyną, oczywiście nie mogę zabić dziewczyny. Zadowolę się więc zabranie cię do moich komnat i potraktowaniem tak, jak każdej kobiety wziętej jako łup zwycięzcy

Teres zacisnęła palce na kielichu z winem.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że zdolny jesteś do takiego rozróżnienia, Ristkon – odpowiedziała mocnymi głosem. – Wiadomo powszechnie, że jesteś skończonym mordercą kobiet i dzieci. Zakładam więc, że twój dwuznaczny honor wprawia cię w równe pomieszanie, kogo masz brać do łóżka.

Wszystkie rozmowy ucichły. Śmiechy przy innych stołach zdawały się odległe o mile. Krzywy uśmiech Ristkona na jego ściągniętej twarzy stał się upiorny. Wstał powoli, z całej siły zaciskając dłonie na brzegu stołu.

– Zabierzcie tę sukę z końskim pyskiem do moich komnat! – wykrztusił. – Przekonamy się, czy pod tym całym brudem i skórą znajduje się kobieta!

– Ristkon, ja tu jestem panem – przerwał mu Dribeck. – Dałem słowo, że jeńcom nie stanie się nic złego.

Kawalerzysta zaciął się w uporze. Sztywno usiadł i szybko obrzucił wzrokiem twarze swych kolegów.

– Nie zamierzam zrobić tej suce niczego, do czego kobieta nie została stworzona – odparł ze złośliwymi uśmiechem. – Nie rozumiem, czemu okazujesz wrogowi tyle uprzejmości, chociaż... Wiesz przecież, jak łagodny zamierzał być Wilk i jego szczenie wobec nas wszystkich! I nie powinienem ci chyba przypominać, że to moja kawaleria odwróciła przebieg bitwy na twoją korzyść...! Gdyby nie to, poznałbyś miłosierdzie Wilka z pierwszej ręki. Teres jest łupem wojennym jak każda schwytana dziewczka i uważam, że mój udział w zwycięstwie powinien mi zapewnić wybór łupu. W każdym razie nie znam żadnego rozsądnego lorda, który poskapiłby swemu dowódcy odrobiny zabawy po tak bezcennej przysłudze... chyba że byłby bardziej wspaniałomyślny wobec schwytej nieprzyjacielskiej kurwy niż własnych towarzyszy.

Dribeck zmarszczył brwi. Wielu obecnych okazywało, że zgadza się z punktem widzenia Ristkona -jego argumenty nie były całkiem pozbawione sensu. Ale lord miał też własne plany, których nie zamierzał narażać. I nie zamierzał utracić twarzy wobec swych ludzi, a to zdawało się nieuniknione bez względu na to, czy przychyli się, czy odmówi żądaniu kapitana. Sprawa stanęła na ostrzu noża: albo wola Ristkona okaże się silniejsza niż słowo lorda, albo też okaże się on skąpcem w nagradzaniu swych stronników.

Ale okazało się, że jest wyjście z tego dylematu. A więc szybko.

– Nie zapominam o twojej roli w odniesionym zwycięstwie – odparł gładko. – Ale kapitan nie powinien zapominać, że jego lord ma pierwszy udział w zdobyczy. A tak się właśnie składa, że sam zamierzam wziąć do łóżka córkę mego wroga. Istnieją słodsze i chętniejsze dziewczki, ale bawi mnie poniżenie tej warczącej wilczycy. Wybierz sobie inną dla twej rozrywki, Ristkonie, i bądź pewien, że wynagrodzę twą lojalność miłszym łupem niż ten.

– Zaprowadźcie ją tymczasem do moich komnat – rozkazał gwardzistom, którzy wyprowadzili Teres. Przechodząc obdarzyła go lekceważącym spojrzeniem, ignorując resztę szczerzącego zęby

zgrupowania.

Pogonił za nią szyderczy śmiech Ristkona.

– Ale opowiesz nam, co u niej znalazłeś, prawda? Być może będziesz musiał założyć kaganiec wilczycy... jej ugryzienie jest prawdopodobnie równie jadowite jak jej warczenie!

Dribeck uznał, że zaspokoił wollendańskiego renegata. Najwidoczniej zgodził się, że w tej chwili upokorzenie Teres jest dostateczną zemstą. Ważniejsze było dla Dribecka, że taki sposób rozegrania sprawy spodobał się jego ludziom. Był to wspaniały dowcip, pasujący do pijackiej uciechy tego wieczoru. Jutro lub pojutrze całe wydarzenie zblednie i stanie się tylko tematem zabawnej anegdotki będzie więc mógł realizować swe nowe plany bez przeszkód w postaci konsekwencji dzisiejszego wieczoru.

W innym skrzydle cytadeli Teres niespokojnym krokiet przemierzała pokój. Dwie pokojówki o zdecydowanymi wyglądem śledziły ją nerwowym wzrokiem, bardziej pilnując, by nie zamknęła drzwi na klucz, niż z jakiegokolwiek innego powodu. Komnaty Dribecka były bowiem położone na najwyższym piętrze zamku i daleko, daleko w dole pod ich oknami brukowane ceglami ulice Selonari jarzyły się święteczną iluminacją. Za drzwiami wartowało dwóch gwardzistów. Teres nie zamierzała wyskoczyć jak idiotka oknem; miała zamiar najpierw pokazać pazury Dribeckowi, gdyby chciał urzeczywistnić swą przechwałkę.

W ponurym nastroju rozglądała się po swym więzieniu. Mocny sznur lub jego ekwiwalent umożliwiłyby jej ucieczkę przez okno. Ale wątpliwe było, czy Dribeck trzymał coś takiego pod ręką. Strażnicy już wynieśli z pokoju kilka sztuk broni. Być może przeoczyli jeszcze jakieś i gdyby niepostrzeżenie dostała coś takiego do ręki... Ale obie kobiety nie spuszczały jej z oczu.

Gdyby jej myśli nie zajmowało coś innego, zauważyłaby że komnaty są interesujące. Urządzone były bogato, choć nie przesadnie, w męskim stylu, nadającym im swobodną, przyjemną atmosferę. W jednej z alków znajdował się mały gabinet z półkami zapchanymi mapami i książkami. Rzuciła okiem na mapy, szczególnie dokładnie obejrzała ukazującą Ziemię Południową, ale nie znalazła na niej nic, co miałoby znaczenie militarne. Książki nic jej nie mówiły z wyjątkiem jednej, której tytuł z trudem przesyłabizowała. Była to historia klanów Wollendanu. Jej lektury ograniczały się przede wszystkim do raportów wojskowych, gdyż uważała, że wszystko inne, przedstawiające jakąś wartość, mogą jej odczytać na głos pisarczykowie. A więc Dribeck rzeczywiście był tak uczony, jak mówiono. Niechętnie musiała przyznać, że nie brakowało mu zręczności w ważniejszych sprawach... widziała na własne oczy, jak potrafił walczyć. Łóżko – wbrew jej woli wciąż przyciągało spojrzenie – było ogromnym meblem, z kosztownymi futrami na materacach.

Wyglądało, że jeśli nie przetrząśnie różnych szaf i schowków, niewielkie ma szansę znalezienia jakiejś broni. Wątpiła też, czy jej dozorcynie pozwoliłyby na takie poszukiwania. Jedna z komódek zastawiona była kosztownymi damskimi przyborami toaletowymi, ozdobami, biżuterią.

– Pentri, kochanka milorda – odpowiedziała jedna z pokojówek na jej pytające spojrzenie. Wzruszyła ramionami. Przez całe życie zdecydowana była unikać tego rodzaju miłkiej elegancji. Leżało też przewrócone lustro i Teres mimochodem zauważyła, że twarz ma naprawdę brudną. By zająć się czymkolwiek, znalazła umywalkę i umyła się. Twarz miała całkiem niezłą.

Za drzwiami rozległ się pomruk i wszedł Dribeck. Gestem odesłał pokojówki. Podeszedł do Teres z odrobiną wahania w ruchach.

– A więc... czy pan na Selonari znalazł dość odwagi, by “poniżyć tę warczącą wilczycę”? – zaszydziła Teres z wymuszonym spokojem, jednocześnie mierząc wzrokiem odległość między nimi. – Niekiedy pijani kretyńscy próbowali mnie obmacywać. Niektórzy z nich mieli później dość szczęścia, by znaleźć sobie wygodne posady... jako tłuści strażnicy haremów pewnych zagranicznych cesarzy. A

może powinnam zemdleć na widok nieubłaganego wojownika... dumnie krocącego zwycięzcy, którego słowo nie trwa dłużej niż oddech, na którym je wypowiada!

Ku jej zdumieniu Dribeck padł na fotel i zmarszczył brwi, patrząc na nią poirytowany.

– Do diabła, gdybym chciał się mocować z megierą o ostrym języku, zapolowałbym na Gerwein. Ona przynajmniej nie nosi w łóżku ostróg... o ile mi wiadomo. Powiedziałem ci, że nic złego cię nie spotka, i słowa dotrzymam! Mogłem łatwo wydać cię Ristkonowi... i oszczędzić sobie trudnej chwili. Ale tego nie zrobiłem i jeśli idzie o mnie, możesz tu przespać sobie noc bez mojego towarzystwa. Jutro, gdy sprawa się załagodzi, możesz przenieść się na kwaterę, którą dla ciebie wybrałem... w każdym razie nie do celi więziennej. Do diabła, czy ty sobie wyobrażasz, że czuję do ciebie nieodparty pociąg seksualny? Ristkon chciał ciebie tylko dla jakiejś ponurej złośliwości, a ja wtrąciłem się jedynie po to, by cię ocalić przed jego zboczoną zemstą.

– Ale to *ty* dobierasz sobie tych, co ci służą! – odparła Teres, zastanawiając się równocześnie, czy wszystko to jest podstępem, by ją zaskoczyć znienacka. A także poczuła się obrażona jego szorstką odprawą – uczucie, które jej samej wydało się nielogiczne. – Pozwolę sobie powiedzieć, że myśl o dzieleniu z tobą łoża była dla mnie ledwie odrobinę mniej niesmaczna niż perspektywa objęć tęgi zdrajcy. A najlepiej zademonstrujesz, jak święte jest twoje słowo, jeśli natychmiast zabierzesz stąd dupę w troki. Twoja Pentri pewnie już jęczy z tęsknoty za tobą.

Dribeck drgnął. Przez jego wargi przewinał się leciuteńki uśmiech.

– Pentri? Hmm. Do Breimen docierają zjełczałe plotki... Ten kociak już mi się znudził. Jest tam na dole zapewne z Kane'em. Mój ponury przyjaciel wydał mi się niezadowolony, nie mając bitwy w bliskiej perspektywie wysłałem więc Pentri, by ulżyła jego melancholii.

– Nie musi długo pogrążyć się w czarnych myślach. Będzie następna bitwa, i to szybko! Czy naprawdę spodziewasz się, że Malchion zrezygnuje z tej wojny tylko dlatego, że przez twój podstęp ponieśliśmy chwilową porażkę? Nim śniegi nadejdą, twój obchód zwycięstwa będzie pośmiewiskiem dla wszystkich!

Dribeck złożył dłonie palcami, podparł kciukiem podbródek, a łokcie złożył na kolanach.

– Być może nie – sprzeciwił się, opuszczając ręce. – To właśnie mam nadzieję z tobą przedyskutować. Kontynuowanie wojny naprawdę nie ma sensu. Wasza klęska musiała was przekonać, jakim błędem była inwazja. Daj mi dokończyć! Breimen utraciło większość swej armii. Możecie opróżnić do dna swój skarbiec, uzbroić wszystkich parobków i męty miejskie, spróbować ponownie przeprowić się przez Macewen i doznać znów krwawej klęski. Dobrze... a założmy, że przypadkiem to wy odnieśliście zwycięstwo, pomimo porażki podczas swego największego wysiłku. Selonari łatwo nie upadnie. Zostaniecie ze zdziesiątkowaną ludnością, zbankrutowanym rządem, najemnikami szalejącymi w całym waszym kraju, a za wielką wygraną mieć będziecie wypalone do dna miasto-państwo. I to wszystko w najlepszym razie; a i tak wiele wskazuje, że nigdy nie przekroczycie Macewen!

I po co to robić? Breimen nie potrzebuje ani bogactw Selonari, ani naszych ziem. Być może tradycja wollendańska nakazuje zabierać ziemie, na które ma się ochotę. Ale, do wszystkich diabłów, powinniście już sobie zdać sprawę, że Selonari to nie jakieś prowincjonalne osiedle, które można ot tak sobie zająć, podobnie jak twoi rodacy kilka lat temu zagarnęli miasta północne. Jeśli uważacie za konieczne rozszerzyć swoje władanie, wątpliwa to zresztą konieczność, to pomaszerujcie na wschód. Między granicą Breimen i stokami Wielkich Ocalidad są tylko ciągnące się całymi milami lasy. Selonari nie jest zainteresowane zajmowaniem ziem Breimen. Gdyby tak było, moja armia stałaby pod waszymi bramami dzisiejszej nocy. Jakaż więc logika w kontynuowaniu wojny?

– Mówiono mi, że wojna rzadko bywa logiczna – odrzekła Teres. – To sprawa honoru mego

narodu, przede wszystkim... choć wątpię, czy jesteś w stanie zrozumieć ideę honoru. A wrogość Selonari wobec Breimen jest wystarczająco udowodniona. Wiemy, że chcesz umocnić swą władzę nad tym zdegenerowanym dworem, najeżdżając Breimen. Po cóż miałbyś tak starannie organizować zamordowanie dwóch naszych dowódców, nim jeszcze pomyśleliśmy o ataku na Selonari w obronie własnej!

– Zbieraliście swoją armię od miesięcy! I przysięgam ci, że te tak zwane morderstwa zostały dokonane całkowicie bez wiedzy czy współnictwa Selonari!

Ale nasi szpiedzy inaczej o tym mówią, pomyślała, uśmiechnąwszy się na myśl, że ma pewne środki obrony przed jego zbyt przekonującymi argumentami.

– Cóż, teraz już wiem, jak można ufać twoim słowom – odparła dwuznacznie.

Dribeck popatrzył na nią marszcząc brwi.

– Więc sobie to przemyśl. Będziesz miała dość czasu.

Próbowałem okazać ci dobrą wolę, niezależnie od tego, czy twój podejrzliwy umysł pozwoli ci to zauważyć, czy nie. A jeśli zastanawiasz się nad swoją przyszłością, to powiem ci, że zamierzam odesłać ciebie i innych jeńców do Breiemen i mam nadzieję, że zostanie to uznane za gest dobrej woli, który doprowadzi do traktatu pokojowego.

– Bez wątpienia po to, abys mógł knuć kolejne intrygi.

Wstał z miejsca.

– Nie mam zamiaru tracić nocy, przemawiając do głuchych uszu. Ale mimo wszystko pomyśl o tym... nie załamie to twego ducha, jeśli tak zrobisz. Zaśnij z tą myślą. Obie dziewczyny zajmą się tobą.

Przy drzwiach Dribeck obejrzał się. – Rzeczywiście interesująca twarz, gdy jest dość czysta, by widać było skórę.

Teres zakłęła za jego plecami. Pokojówki cicho weszły do środka. Podstawowa taktyka samca. Oszłomić kobietę komplementami, a wtedy uwierzy we wszystko, co jej powiesz. Przynajmniej niektóre kobiety. A następny mężczyzna, który nazwie jej twarz "interesującą", umrze okropną śmiercią.

XIII. KŁY WILCZYCY

Gdy oddalił się Dribeck, Teres zmęczyła się już przeszukiwaniem pokoju. Odrzuciwszy zasłony baldachimu, wyciągnęła się w poprzek łóżka, wbijając buty w futro i podpierając sobie plecy stosem poduszek. Pomimo katuszy wyczerpania, spowodowanego koszmarem ostatnich dni, spała niewiele. I pomimo odbierającego jej siły zmęczenia czuła zbyt wielkie napięcie nerwowe, spowodowane niepewnością sytuacji, w jakiej się znalazła, aby pozwolić sobie na odprężenie. Ponadto ta noc szaleńczego świętowania mogła dać jej najlepszą szansę na ucieczkę.

Podciągnęła kolana i objęła je dłońmi, by podnieść plecy z poduszek. Jedna z pokojówek zasnęła na kozetce, druga siedziała wyprostowana w fotelu. Objęła pierwszą wartę, pomyślała Teres. Dręczenie pokojówek należało do jej ulubionych rozrywek.

Nieruchomym wzrokiem Teres wpatrzyła się w oczy dziewczyny. Pokojówka odpowiedziała zaciekawionym spojrzeniem, a potem przestraszona opuściła wzrok. Palcami przebierała w fałdach swego ubrania, a później zaczęła rozglądać się po pokoju, by zająć czymś myśli. Co parę minut podnosiła wzrok, napotykała spojrzenie Teres i znów nerwowo spoglądała w inną stronę. Wreszcie zacięła usta i odważnie oddała spojrzenie, próbując zakończyć grę. Teres przez chwilę patrzyła jej w oczy, po czym złożyła wargi do pocałunku. Zapłoniona służąca odwróciła wzrok i bezradnie popatrzyła na koleżankę, która spała, spokojnie oddychając.

– Chodź, połóż się obok mnie, będzie ci wygodniej szepnęła Teres. – Nie musisz spędzać nocy sztywna ja żołnierz na warcie.

Dziewczyna zaczerwieniła się jeszcze bardziej i mruknęła coś poirytowana, zbyt cicho, by Teres mogła to usłyszeć. Wstała i pełna niepokoju zaczęła przeszukiwać komnatę, próbując znaleźć coś, co by odwróciło jej myśli od więźnia. Teres uśmiechnęła się złośliwie i zaczęła podśpiewywać urywki sprośnej ballady, popularnej wśród żołnierzy, swobodnie tłumacząc wersy zgodnie ze swym nastrojem.

Z holu dobiegł głos wartownika, wzywającego do zatrzymania się. Ktoś się upierał, że otrzymał rozkazy, ktoś inny wyjaśniał, że mają już ukończyć służbę, by mieć szansę udziału w świętowaniu zwycięstwa. Teres, przysłuchując się z zainteresowaniem przytłumionym głosom, zdecydowała, że właśnie nastąpiła zmiana warty. O ile pamiętała, postawiono w korytarzu tylko dwóch żołnierzy, ale gdy zastąpiła ich świeża para, jej szansę prześlizgnięcia się obok zmały zapewne do zera.

Zza drzwi doleciał dźwięk skradających się kroków i stłumionych głosów. Zaalarmowana Teres przestała drażnić się z pokojówką i zerwała na nogi. Drzwi zatrzeszczały i nagle gwałtownie odskoczyły. Zaparło jej dech.

Trzech mężczyzn weszło pośpiesznie do środka. Dwóch potężnie zbudowanych najemników i Ristkon, z krzywym uśmiechem tak złowrogim jak bicz owinięty na jego ramieniu.

Jego zbiry wyciągnęły noże.

– Ani słowa! – syknął ostrzegawczo do zaskoczonych pokojówek. – Krzyknijcie tylko, a moi ludzie wyrzną wam uśmiechy na szyjach! – Zwrócił rozpalony wzrok na Teres.

Najemnicy szybko związali i zakneblowali przerażone dziewczyny. Wrzuciwszy je do komórki, niechętnie opuścili pokój.

Ristkon pełnymi wyrachowania ruchami umieścił swój miecz i sztylet na podłodze koło drzwi, daleko poza zasięgiem więźnia. Jak skradający się wąż sunął ku niej przez pokój, rozwijając bicz.

– Powiedziałem, że życzę sobie sprawdzić, jak kalekie jest szczenię Wilka. – Wyszczerył zęby. – I wiem, że bat potrafi zmienić warczenie niejednej suki w skomlenie.

– A nie byłoby lepiej kazać twoim zbirom, by mnie najpierw związali? – Teres splunęła. –

Podejmowanie osobiście takiego ryzyka nie zgadza się z twoją reputacją!

Bicz leniwie musnął jej buty.

– Przekonasz się, że moje uderzenia tną tak ostro jak twój język – ostrzegł nie speszony. – Wkrótce będziesz płaszczyć się i skowyczeć jak dobrze wychowana suka przed swym panem.

– Dribeck ostro się rozprawi ze sługą, łamiącym przysięgę przełożonego! – stwierdziła z nadzieją. Próbując opanować falę paniki, cofnęła się w stronę łóżka.

Ristkon roześmiał się pogardliwie.

– A co Dribeck może zrobić? Moi ludzie zastąpili jego wartowników. Mój szlachetny pan i jego bezmózgi kuzyn wyszli w noc, by stukać się kubkami z jego żołnierzami... zdobywając w ten sposób, jak sądzi, ich miłość. Reszta pozostałych w zamku jest zamroczone winem i hulanką. Nikt ci nie poświęci ani jednej myśli, a gdy wkrótce dzięki mnie zaczniesz jęczeć, twoje krzyki pochłonie nocna orgia. Jeśli jutro Dribeck stwierdzi, że jego rozpieszczona zdobycz stała się nieco mniej wyniosła, cóż będzie mógł powiedzieć swemu najcenniejszemu dowódcy? Dureń dość jest sprytny, by zdawać sobie sprawę, że w tej wojnie potrzebuje mojej konnicy! Czy przypuszczasz, że będzie się rozwodził nad dobrym samopoczuciem swego jeńca kosztem kłótni ze swym najpotężniejszym sprzymierzeńcem? Roześmieje się i wzruszy ramionami, co zresztą od początku zamierzał!

Podszedł bliżej z twarzą posiniałą z nienawiści.

– Czy wiesz, że ten mięczak zamierza zawrzeć pokój z twoim ojcem? Obiecawszy mi przedtem gubernatorstwo Breimen w zamian za moje poparcie jego sprawy! Ale, choć zostałem wygnany z tego miasta jak pies, powrócę jako zwycięzca! A Wilk i jego zarozumiała familia będą skamleć na brzuchach u moich nóg!

Strzelił bicz, otaczając ją w talii. Uderzenie nie przeniknęło przez zbrojony żelazem skórzany kaftan, choć od jego siły zaparło jej dech. Ze śmiechem Ristkon szarpnął bat obracając ją w miejscu rozwijającymi się zwojami. – Czy sama zrzucisz te męskie skóry, wilczyco? Czy też ma zerwać je z ciebie?

Znowu bicz jej dosięgnął. Podniosła ręce, by osłonić twarz, łydkami dotknęła krawędzi łóżka. Wściekłość zwyciężyła przestach. Teraz myślała z błyskawiczną szybkością Ristkon podszedł bliżej, pociągając za bat. Teres zachwiała się i pozwoliła, by ją przyciągnął i objął. Jego pogardliwy uśmiech stał się szerszy. Przycisnął ją do piersi, nie wypuszczając rękojęści bata. Poczła przyspieszone bicie jego serca, jego oddech w swych włosach. – Łatwo przegrałaś tę walkę, co?

Objęła go ramionami. Jego zwinne ciało nie zwiotczało ani trochę przez lata.

– Lord nie potrzebuje zwykle takiej broni, by lady zrzuciła ubranie – wyszeptała niepewnie, nie śmiać spojrzeć mu w twarz.

– Tak szybko się podnieciłaś? – wychrypiał i przycisnął wargi do jej warg. Szybka kapitulacja pochlebila jego próżności. Zamknęła oczy, z wahaniem oddając brutalny pocałunek. – Moja suka schowała pazury... a może raczej zamyśla jakiś podstęp? Czy już boisz się mego bata? Ledwo go posmakowałaś.

– Żaden mężczyzna mnie nie ujarzmił – szepnęła Teres. – Zapinki są na plecach. – Przytuliła się do niego, Zwoje bicza opadły na ziemię.

Od wina w oddechu Ristkona zakręciło jej się w głowie, Na jego drwiącej twarzy odmalował się wyraz zadowolonego z siebie władcy.

– Być może za tymi kolczastymi, żelaznymi cyckami kryje się kobieta – zabełkotał chrapliwie, gmerając przy zapinkach jej kaftana. – Wkrótce obojesię dowiemy. Obsłuż mnie dobrze, dziwko. Jeśli mi się spodobaś, być może rankiem nie będą ci żebra świeciły na plecach.

Kaftan rozluźnił się przy jej karku. Posłusznie podniosła ramiona, pozwalając mu ściągnąć go

przez głowę. Pod spodem miała tylko cienką koszulę przyklejoną zimnym potem do ciała.

– Mimo wszystko nie chłopak – zauważył Ristkon stłumionym głosem. Przesunął cienkimi palcami po jej twardych piersiach, próbując objąć je dłońmi. Ale zarzuciła mu ramiona na szyję, przyciskając się doń z całej siły. Wypuścił z rąk bat, który padł na jej zrzucony kaftan. Brutalnie podciągnął jej koszulę, wsadzając pod nią ręce. Westchnęła gardłowo wprost do jego ucha, czując jak pulsuje mu tętnica szyjna.

Ściągnął z niej wiotką tkaninę. Gdy oglądał ją bezczelnie, rozluźniła przewiązki jego koszuli. – Cofnij się o krok – ostrzegł. Usłuchała go potulnie. Szybko ściągnął koszulę przez głowę, pełen podejrzliwej czujności, by nie zrobiła żadnego ruchu, gdy materiał na chwilę przesłonił mu pole widzenia.

Oparłszy się o kolumnę łoża w uwodzicielskiej postawie, Teres zrzuciła buty do konnej jazdy.

– Czy jestem tak niemiła twoim oczom? – szepnęła. Ristkon zrobił niecierpliwy gest. Jego palce wpiły się w klamrę jej spodni. Patrząc jej w twarz spod w półprzymkniętych powiek, zsunęła skórzane spodnie skrętem smukłych bioder i wyszła z nich zupełnie, gdy opadły na podłogę.

Ubrana tylko w maleńkie majteczki, Teres kołysząc biodrami przeszła przez pokój. Paliło ją spojrzenie Ristkona, ale nie przestała się uśmiechać. Spróbował ją objąć, ale roześmiała się tylko i sięgnęła do jego pasa. Palcami połaskotała jego twarde brzuch, a potem otworzyła klamrę. Nagłym szarpnięciem zsunęła mu spodnie aż do kolan.

– Twoje buty – szepnęła ochryple. Niecierpliwie, niezdarnymi palcami Ristkon mocował się ze swym ubraniem.

– Nie zbliżaj się! – wybełkotał, pośpiesznie próbując pozbyć się spodni i butów.

Teres cofnęła się o pół kroku. Wsunęła palce pod pasek swych majteczek i zaczęła zwijać cienki materiał w dół wzdłuż bioder. Ristkon łakomie przypatrywał się, jak obnażała bruzdę swego podbrzusza. Na w pół przysiadłszy pochylił się niezdarnie do przodu i na ślepo próbował zedrzeć z siebie krępujące go spodnie, uparcie zaczepione o buty.

Nie śmiejąc nawet pomyśleć o konsekwencjach, Terę błyskawicznie wystrzeliła kolanem w górę. Trafiała prosto w wyciągniętą ku niej twarz, łamiąc zęby i wbijając je w usta.

Ze zdławionym krzykiem – zbyt zdumiony, by zawrzeć w nim swój ból i wściekłość – Ristkon przewrócił się do tyłu z nogami uwięzionymi w ubraniu. Upadł ciężko na plecy, uderzając głową o podłogę. Nim zdołał otrzeźwieć po ogłuszającym uderzeniu, skoczyła na niego Teres.

Chwyciła bicz – nie miała dość czasu, by sięgnąć po jego miecz. Gdy wbiła mu kolana w klatkę piersiową, z jego zmiażdżonych ust trysnęła purpurowa krew. Biczem okręciła mu szyję, dławiąc jego gniewny ryk.

Wił się desperacko, usiłując ją zrzucić. Ale w smukłym ciele Teres kryła się prężna siła, a dziewczyna była wyćwiczona w subtelnościach walki wręcz. Nieugięcie walczyła o utrzymanie chwytu. Wstyd i wściekłość wzmacniały jeszcze jej dławiący uścisk.

Bezlitośnie skręcała duszące zwoje. Bicz wpił się głęboko w pokrytą plamami szyję Ristkona. Kolanami przyciskała jego ramiona, lecz jego nogi szarpały się w więzach ubrania. Ono stłumiło bębnienie jego pięt, aż wreszcie ich staccato ucichło.

Gdy w końcu puściła zaciągnięty bicz, drżały jej ręce. Przez chwilę przyglądała się posiniałej twarzy, czując, że trzęsie się z nienawiści. Gdy wstała, pokój zawirował jej przed oczami, ale myślała chłodno i jasno.

Ich walka odbyła się w milczeniu. Jeśli jakiegokolwiek dźwięki przedostały się na zewnątrz, wartownicy musieli być przekonani, że ich pan zabawia się z dziewczyną. Być może uda jej się zabarykadować drzwi...

A co potem? Nie można było przewidzieć, jak Dribeck! zareaguje na śmierć swego oficera. W najlepszym razie Teres pozostanie jego jeńcem. Padłszy na łóżko gryzła ulubioną kostkę palca, rozważając sytuację. Wmieszanie się Ristkona całkowicie zmieniło jej status. Fałszywi wartownicy czekali za drzwiami, broń Ristkona leżała koło niej, pokojówki były związane i bezradne. Tej nocy całe miasto ogarnęło szaleństwo, a jak powiedział Ristkon, cytadelę oddano pijanym biesiadnikom. Jeśli uda jej się przejść koło zbirów Ristkona, nigdy nie będzie miała lepszych szans.

Plan zaczął się zarysowywać. Ryzykowny, ale zmęczyła ją już pozycja zdobywcy wojennej Dribecka. Dopomoże jej jakieś przebranie.

Szybko weszła do alkowy, gdzie leżały rozrzucone rzeczy Pentri i uważnie zaczęła je przeglądać. Jeśli w Selonari znali ją tylko jako grubiańską młodą osobę w poplamionym stroju wojownika, być może powinna zmienić kostium. Niestety, Pentri niewiele tu pozostawiła z grubszej odzieży, a Teres nie śmiała rozwiązać jednej z pokojówek, by pożyczyć jej ubranie. W każdej chwili, przy najlżejszym podejrzeniu, ktoś może otworzyć drzwi i zajrzeć do środka.

Szybko obmyła się z potu i pyłu. Ciało miała poznaczone czerwonymi pręgami od bicia oraz na wpół zaleczonymi zadrapaniami i siniakami wyniesionymi z bitwy. Ale tej nocy nikt ich nie zauważył. Znalazła stanik i przepaskę biodrową, luźno leżące na jej szczupłej figurze – ekstrawaganckie wyroby ze srebrnego drutu i jedwabiu płomienistego koloru, w których poczuła się jak karczenna tancerka. Zielony jedwabny szlafroczek, przybrany futrem, był jedyną z pozostawionych przez Pentri rzeczy, mogących uchodzić za strój na ulicę. Zarzuciła go na ramiona i na widok swego odbicia w lustrze zmarszczyła brwi. W żadnym razie nie był to ubiór wojownika.

Najbardziej niebezpieczny problem przedstawiały jej włosy, ale na to niewiele mogła poradzić. Przecież już zauważyła wśród ciemnowłosych mieszkańców Selonari kilka blondynek. Szybko rozplotła ciężki warkocz, wyszczotkowała gładko włosy i ułożyła je pod wysadzaną klejnotami opaską. Na policzek przecięty blizną opuściła pasmo włosów. Niewielu mogło teraz ją rozpoznać z twarzy, chyba że zauważyliby złamany nos i przyjrzeliby się bliżej. Odrobina szminki na usta... Może się uda.

Wkrótce się dowie. Wytarłszy dłonie, Teres wyciągnęła miecz Ristkona i ukryła w fałdach szlafrocza. Spokojnie rozwarła drzwi.

– Mamy tu orgię. Wejdz i przyłącz się – zaprosiła żołnierza, który zagroził jej drogę.

Trzymała się w cieniu, z klingą schowaną za plecami. Szlafrok rozsunał się z przodu na całej długości. Nęcące zaproszenie.

Za sekundę żołnierz zatrzymałby się, aby pomyśleć. Alą na nieoczekiwane pojawienie się uwodzicielskiej dziewczyny zareagował automatycznie, nie podejrzewając niebezpieczeństwa. Gdy przekroczył próg i ruszył w stronę kobiety, jego rysy zaczęły wykrzywiać uśmiech.

Nie dawszy mu ani sekundy na refleksję, Teres pchnęła mieczem. Ostrze przeszło mu serce i wartownik padł z chrapliwym jękiem.

Ale wartowników było dwóch. Drugi stał z boku, dalej od uchylonych drzwi. W progu pojawił się w tym samym momencie, gdy Teres wyszarpywała klingę, pozwalając jego koledze zważyć się w agonii na podłogę.

– Co, u diabła! – parsknął. – Co, u diabła! – Objął wzrokiem dwa trupy i mściwą syrenę. Przez chwilę wahał się w oszołomieniu, powoli unosząc miecz i otwierając usta, by wrzasnąć na alarm. Klinga Teres spadła z dziką siłą, prawie odrąbując mu głowę. Padł na progu.

Przekroczywszy skulone ciała, ostrożnie wyszła na korytarz, unikając dzięki temu ataku trzeciego strażnika. Najemnik czekał po drugiej stronie holu, by odciągnąć Dribecka jakimś zmyślnym problemem, gdyby lord powrócił za wcześnie. Ich miecze zetknęły się z brzękiem, który

powinien postawić na nogi całą cytadelę.

Teres rozpaczliwie sparowała jego cios, a potem cięła w kierunku twarzy. Żołnierz odbił jej miecz i cofnął się zmieszany. Teres spodziewała się, że krzyknie on po pomoc i gdy otworzył usta, warknęła:

– Podnieś alarm, a wiesz, jak Dribeck wynagrodzi cię za niesubordynację Ristkona? Znałeś rozkazy twego pana... Dribeck cię powiesi, gdy tylko dowie się o zdradzie Ristkona!

– Uważam, że się nie dowie! – mruknął najemnik. – Właśnie przypieczętowałaś własną śmierć, suko! Nie potrzebuję pomocy, by wypatroszyć kobietę! – Skoczył do przodu.

Plącząc się w powiewnym szlafroku, Teres ledwie uchyliła się przed jego pchnięciem. Nieznajome odzienie owijało się wokół niej, krępując ruchy. I jak długo mogło trwać, nim ktoś usłyszy szcęk stali? Zrobiła brawurowy wypad, odpychając strażnika o kilka kroków. Jego klinga, mierząc w jej nagie ciało, szarpnęła fałdę jedwabiu.

Niespodziewanie wartownik potknął się i zgiął w bólu. Gdy tylko ostrze jego miecza się zachwiało, Teres odruchowo przebiła go na wylot, choć najemnik już umierał od sztyletu, wystającego mu z pleców. Gdy padł na twarz, Teres ze zdumieniem popatrzyła na wbity po rękojęść nóż.

– Ładnie – zauważył Kane, podchodząc boso. – Ach, naprawdę bardzo ładnie. Co jeszcze nawyrabiałaś?

Brutalnie chwycił ciało strażnika i wciągnął je do komnaty Dribecka. Uniósłszy brew przyjrzał się masakrze.

– Do diabła! *Naprawdę* miałaś bardzo pracowitą noc. Postarajmy się, aby przeszła nie zauważona, póki jeszcze to możliwe. Wytrę krew w korytarzu, ty wylej trochę wina na tę plamę, może nikt nie przyjrzy się jej z bliska. Możesz postarać się o wino, prawda?

– Jak się tu znalazłeś? – spytała Teres, przyniósłszy wino.

– Mój pokój znajduje się w tym samym skrzydle... Podziękuj twemu ognistemu bogu, że nikogo teraz tu nie ma! Miałem zamiar sprawdzić, co się z tobą dzieje, gdy nadarzy się okazja... Ristkon opuścił bankiet nazbyt trzeźwy. Więc kiedy się zastanawiałem, jak się z tobą zobaczyć, poczułem krew, wyszedłem na korytarz i zobaczyłem, że dostałaś amoku. Nie wydawało mi się celowe przedłużanie pojedynku, wobec tego mój nóż spotkał się z jego plecami. Zostaw nam jeden łyk, dobrze? A teraz szybko, do mojego pokoju! Odkrycie nas w tym miejscu byłoby niefortunne.

– Gdzie jest Pentri? – spytała z zażenowaniem Teres, zauważywszy krwawe zadrapania na nagich plecach Kane'a. Swoje ubranie i broń Ristkona niosła zwinięte w ramionach.

– Wejdz do środka. Jesteś dobrze poinformowana, Teres. Pentri śpi w moim łóżku, z uśmiechem na głodnych wargach. Dodałem narkotyku do jej wina i teraz przez całe godziny będzie swawoliła we śnie. Uzna, że zmogło ją wino i jutro będzie przysięgać z całym żarliwym przekonaniem, jakie podyktuje jej próżność, że przefiglowaliśmy we dwoje całą noc. A propos, masz godny uwagi kostium. A teraz co, u diabła, zdarzyło się w tamtym pokoju?

Teres złożyła mu krótką relację o przebiegu wieczoru.

– Kane, musisz mi pomóc uciec! – zakończyła. – Dribeck powiedział, że wychodzi na całą noc, ale zmiana warty... Z pewnością ktoś zacznie się zastanawiać, czego brak straży u drzwi. Zajrzy do środka i Dribeck przewróci zamek do góry nogami, żeby mnie znaleźć!

– Myślę, że potrafię cię stąd wydostać – odparł w zadumie Kane. – Sprawa całkiem nagła, ale wydaje się że posunęła się już zbyt daleko... i jak zauważyłaś, dyscyplina dzisiejszej nocy osiągnęła nadir. I pewne jest, że póki nie przedostaniesz się na ziemię Breimen, twoje życie je w niebezpieczeństwie.

– A co z przemówieniem Dribecka o pokoju?

– Kolejny jego podstęp. Straty nad rzeką miał większe niż się przyznaje. Wie, że Malchion może odbudować swą armię szybciej niż Selonari... i że następny marsz Wilka na południe nie będzie tak pochopnie zaplanowany. Ma więc nadzieję, że uda mu się zyskać na czasie... odbudować armię pod pozorem zawieszenia broni. Uśpiwszy czujność Breimen, zamierza bez uprzedzenia zaatakować wasze miasto, umacniając swoją pozycję tutaj inwazją odwetową i używając łupów z Breimen dla wynagrodzenia swych zwolenników.

– Podejrzałam, że on planuje coś perfidnego. – Terę zakłęła gorzko. – Potrzebuję dobrego konia, by uciec z miasta. Ale ty także jesteś w niebezpieczeństwie! Pojedziesz ze mną?

Kane potrząsnął głową.

– Jestem tutaj całkiem bezpieczny, jeśli sam się nie narażę. Ocaliłem Dribeckowi życie podczas bitwy, biłem się walecznie, przyczyniając się do zwycięstwa... w każdym razie on w to wierzy. Powiedz Malchionowi, że pozostanę u boku Dribecka, będę przekazywał wszystkie informacje, jakie zdobędę, i że ufam, iż hojność Wilka jest większa niż jego wroga.

Ale jadąc konno z pewnością napotkasz patrole Selonaryjczyków; pamiętaj, że Dribeck w euforii zwycięstwa nie pozostawił granicy nie strzeżonej. Gdy tylko się dowie o twojej ucieczce, zaraz każe cię wypatrywać wzdłuż całego pogranicza. Uważam, że istnieje mniej niebezpieczna droga. Słuchaj no, jak dobrze znasz geografię Ziemi Południowych?

– Tak dobrze, jak powinien ją znać każdy dowódca wojskowy! – Teres poczuła się dotknięta pytaniem.

– No, to dobrze. Jak wiesz, rzeka Neltoben płynie przez Selonari na zachód i łączy się z Macewen o jakieś dwadzieścia mil w górę od miejsca, gdzie ze strony breimeńskiej dopływa doń Clasten. Rzeka wezbrała od deszczów, ale nie jest zbyt niebezpieczna, by nią płynąć. Przypuśćmy, że ukradniemy małą łódź, załadujemy cię na nią... Przy takim szybkim prądzie o świcie będziesz już daleko za murami Selonari, a podczas deszczu nikt nie zauważy, co płynie rzeką. Po prostu dryfuj z prądem; jedyne rozgałęzienie jest tam, gdzie południowe ramię Neltoben wpływa do Kranor-Rill. Ale to jest tylko błotnisty strumyk, więc nie możesz się pomylić. Płyn dalej z biegiem Macewen aż do ujścia Clasten. Wtedy już będziesz poza ziemiami Selonari. Wyląduj w tym miejscu, bo jest tam osiedle, w którym możesz zarekwirować konia, a potem jedź na północ wzdłuż Clasten aż do Breimen.

– Brzmi to nieźle. Ale jak mam się stąd wydostać? Kane przyjrzał się jej z namysłem.

– Polegaj na kamuflażu, który już sobie wybrałaś. W tych jedwabiach nie wyglądasz na osławioną Teres. Poniosę cię, a ty ukryj twarz i swoje blond włosy w moim płaszczu. Jeśli ktokolwiek nas spotka, powiem, że jesteś Pentri i że mam zamiar otrzeźwić cię odrobiną świeżego powietrza. Tej nocy nikt nie myśli zbyt jasno, a podczas takiej zabawy na wpół goła dziewczyna nie zwróci niczyjej uwagi. A na dworze leje za mocno, by można coś zauważyć. Zmarnowaliśmy zbyt wiele czasu, mogliśmy już być na zewnątrz.

Kane naciągnął buty, nagie barki okrył peleryną i przypasał miecz. Przyjąwszy od Kane'a kilka monet i kawał mięsa, Teres zawinęła je wraz z własną odzieżą i bronią. Kane dodał do tego flaszkę wina i krytycznym wzrokiem obrzucił pakunek.

– Twoje buty także? – skrzywił się. – Postaraj się trzymać wszystko pod moim płaszczem. Nie chciałbym tłumaczyć się temu, kto by to zauważył.

Wziął ją na ręce, okrywając fałdą płaszcza jej głowę i ramiona, a pozostawiając odkryte jej gołe nogi, co wskazywało dostatecznie jasno, że ten ciężar jest ściśle prywatny. Przytuliwszy pod płaszczem twarz do barku Kane'a, Teres dodatkowo oparła się na swym sztylcie zaczepionym o jego

pas. Pod głowę podłożyła skóry. W tej pozycji poczuła, jak Kane otwiera drzwi i zdecydowanym krokiem idzie przez korytarz.

Usposobieniu Teres odpowiadało tylko bezpośrednie działanie; posługiwanie się podstępem przy jej wyczerpaniu nerwowym odczuła jako męczarnię. Musiała zebrać wszystkie siły, by zmusić się do leżenia bezwładnie w ramionach Kane'a, nie widząc, co się dzieje wokoło. Przy jej wyobraźni wszystkie dalekie, dolatujące z ciemności odgłosy były nie do wytrzymania. *Będę spokojna* – rozkazała sobie, czerpiąc otuchę z obecności miecza pod głową. Jeśli zostaną zaczepieni, wraz z Kane'em położą trupem setkę pijanych głupców, nim sami padną.

Ale potężna siła tego mężczyzny dawała jej poczucie bezpieczeństwa; dziwnie uspokajająca była gra jego szerokich mięśni, wyczuwana policzkiem. Tors i kończyny porastały mu czerwone włosy, jego ciało i rysy zdawały się prawie zwierzęce w swej brutalnej dzikości. Ale cudzoziemiec nie był przecież barbarzyńskim małpoludem. Czuło się w nim bezwzględna inteligencję; jego sposób mówienia, jego zachowanie zdradzały człowieka cywilizowanego, żadnego zarówno wiedzy, jak władzy. Zastanawiała się, do jakich granic.

Kane niósł ją bez wysiłku, choć nie tuliło się w jego ramionach delikatne dziewczątko. Kroczył bez pośpiechu, z pewnością siebie, a Teres przysięgła sobie, że jej zimna krew nie okaże się gorszej jakości.

Cytadela Dribecka była nieco większa niż twierdza jej ojca. Korytarze, których nie mogła widzieć, zdawały się ciągnąć bez końca. W ciemności zabelkotało parę głosów, Kane odmruknął coś w odpowiedzi. Nikt nie próbował ich zatrzymać ani nawet obdarzyć bliższą uwagą. A po cóż miałby ktokolwiek zaczepiać człowieka, o takiej pozycji jak Kane – pytać go o coś – gdy było jasne, że zajęty jest prywatną sprawą? To tłumaczyła jej logika, ale wyobraźnia malowała klęskę żywymi kolorami. A co, gdyby tak jakaś natrętna kompania pijaków zdobyła się na...

Wilgotny oddech wiatru poruszył rudawe fałdy płaszcza. Z bliska rozległo się niewyraźne pytanie. Głos Kane'a zagrział tuż przy jej twarzy, niewyraźny jak u pijanego.

– Zbyt słabe do prawdziwej orgii te dystygowane dziwki. Trochę zimnego powietrza na twarz powinno ją obudzić... albo znajdę sobie coś żywszego w tawernach. – W odpowiedzi rozległy się zmieszane głosy, śmiechy świadomych rzeczy, przyjazne wykrzykniki, rada, by popробować odwiedzić "Tańczącą Kobylę", gdzie są widoki, od których zadrzą uda dobrze wychowanej pani. – Rozwalę tę knajpę – mruknął Kane, przechodząc dalej.

Deszcz chlapał na jej nagie nogi, krople sływały po płaszczu Kane'a, tłumiąc dźwięki i nie pozwalając nic widzieć. Teres rozluźniła zaciśnięte szczęki, ulga ogarnęła ją jak fala deszczu. Wydostali się z cytadeli.

Kane szedł jeszcze przez pewien czas, a potem postawił ją na nogi. Rozejrzawszy się zrozumiała, że znajdują się w bocznej uliczce. Noc była mglista, zimny kapuśniaczek padał nieustannie. W mroku brnęły niewyraźne postacie poszukujące ciepłego schronienia lub w ogóle nieświadome swego stanu.

– Stąd pójdziesz pieszo – mruknął Kane. – Jak na tak miłe kształty w ramionach ciężka jesteś niczym zapaśnik. Teraz rozumiem, dlaczego Ristkon przegrał spotkanie.

Teres wstrzymała się od odpowiedzi, nie bardzo wiedząc, czy uważać to za komplement, czy wręcz przeciwnie. Zamiast tego zapytała:

– I co teraz?

– Chodź ze mną nad rzekę. Postaramy się znaleźć łódkę. Hej, włącz pod to. – Przyciągnął ją do swego boku, okrywając peleryną. – Nikt nawet nie zainteresuje się parą biesiadników, próbujących uchronić się od deszczu.

Pasowali do siebie doskonale – Teres była prawie tego wzrostu co Kane. Objął ją prawym ramieniem, przyciągnął, blisko do szerokiej piersi, a na ich głowy naciągnął połę płaszcza. Choć idąc trzymała przed sobą swoje zawiniątko udało jej się szturchnąć go pochwą miecza.

Na brukowanych cegłą ulicach woda rozlewała się wielkimi kałużami, chłodząc jej bosc stopy i spryskując nogi, gdy tak brodzili wśród nocy. Kane trzymał się cienia, choć skwierczące lampy uliczne, żółto błyskające okna i czarne od dymu bramy słabo oświetlały ulicę. Jak przewidział, nikt z niewielu brnących przez mroki nie zwrócił na nich uwagi. Szybko prześlizgnęli się przez świętujące miasto, zatrzymawszy się tylko raz, by nieprzytomnego pijaka obedrzeć z płaszcza.

Brzeg rzeki, daleko od ochryplych wrzasków w tawernach, był pusty. Brama nadrzeczna stała otworem, jej pijani strażnicy pogrążeni byli w grach hazardowych w zaciszu swych koszar. Maruderzy waleśali się tędy nie zatrzymywani, kierując się w stronę rozkoszy znajdujących wewnątrz murów Salonari albo w prymitywniejszych spelunkach, ciągnących się wzdłuż wybrzeża i zewnętrznych przedmieść. Uciekinierzy ostrożnie posuwali się wzdłuż nabrzeża, unikając zbliżania się do napotykaných ośrodków wrzaskliwej zabawy.

– Wygląda nieźle – orzekł Kane, wskazując przewróconą dnem do góry łódź wiosłową, wyciągniętą na brzeg. – A pożartym nie trzeba opróżniać jej z wody. ,

Łódka miała około osiemnastu stóp długości, zadarty dziób i szeroką rufę. Zwyczajna, podniszczona łódź rzeczna. Świeże wyłobienia w mule wskazywały, że jest stale używana – prawdopodobnie więc zdatna do żeglugi. Łańcuchem przymocowano ją do drzewa, a pod spód wsunięto poobijane wiosła. W pobliżu znajdowała się chałupa, ale bez światła w oknach – właściciele wypuścili się na noc do jakiejś tawerny.

Kane zajął się kłódką, umiejętnie otwierając ją wyciągniętym z buta kawałkiem metalu. W mgnieniu oka łańcuch opadł. Odwróciwszy łódkę chwycił za rufę i z łatwością podniósł ją do góry. – Możesz dźwignąć dziób, by nie szorowała po kamieniach? – zapytał. Teres wyteżyła siły i uniosła dziób wysoko nad błotem, podczas gdy Kane niósł stateczek nad samą rzekę. Wodowanie łodzi było bezdźwięczne.

– No, dobrze, znasz trasę. Nie nadziej się w ciemnościach na jakąś przeszkodę, i to wszystko – ostrzegł. – Trzymaj się nurtu, a dotrzesz do ujścia Clasten do Macewen około południa. Użyj wiosła, jeśli twoje ramiona to wytrzymają... ale chyba lepiej sterować rumplem. Za parę godzin będzie jasno, więc będziesz widziała nurt.

Teres, wrzuciwszy do środka swe zawiniątko i wszedłszy do łodzi, wyszeptła podziękowanie. Kane wręczył jej skradziony płaszcz.

– To cię ogrzeje. Szlafroczek mi oddaj. Ludzie widzieli, jak szedłem z dziewczyną w ramionach, zobaczą, jak wracam w taki sam sposób. Znajdę jakąś dziewczkę karczenną i poniosę ze sobą... nigdy niczego nie zrozumie, obudziwszy się w zamku Dribecka.

Oddawszy mu odzież, Teres okryła się płaszczem i padła na miejsce przy sterze.

– Teraz ogromnie ryzykujesz, Kane – ostrzegła go. – Mogli już odkryć ciało Ristkona... a Pentri nieprzytomną w twoim pokoju zamiast w twoim towarzystwie. Możesz wdepnąć prosto w pułapkę.

– Myślałem już o tym – przyznał Kane. – Ale za taką stawkę zaryzykuję. Życzę ci szczęścia.

– I ja ci życzę – odparła. Uśmiechnęła się z zażenowaniem. – Kane, dziękuję za wszystko, co zrobiłeś.

Wzruszył ramionami, mruknawszy coś niewyraźnie. Jednym pchnięciem skierował łódkę na nurt. Przez chwilę widziała, że patrzy za nią, a potem ciemność pochłonęła oboje.

XIV. UCIECZKA W KOSZMAR

Deszcz był zimny, mgła rzeczna jeszcze zimniejsza. Teres siedziała skulona pod mokrymi fałdami płaszcza, obejmując się rękami, by zachować choć trochę ciepła. Płaszcz przemókł na wylot, ale nie dopuszczał deszczu; pod spodem miała tylko maleńki stanik i przepaskę biodrową, a przez cienki jedwab czuła na skórze zimno srebrnego filigranu, łańcuszków i paciorków. Pomyślała o własnym odzieniu, ale pozostawiła je pod osłoną dziobową, gdzie przynajmniej mogło pozostać suche. Bardziej mokra już być nie mogła, a jeśli łódź by się przewróciła, to przynajmniej w ten sposób łatwiej będzie jej pływać.

Przez całą noc niosła ją rzeka. W ciemnościach nie sposób było ocenić z jaką szybkością, ale wyglądało na to, że łódź mknie wśród deszczu. Od czasu do czasu pojawiały się pniaki i szczątki wyrwane z brzegów przez wezbraną Neltoben. Początkowo serce Teres zamierało za każdym razem, gdy coś niesionego prądem ocierało się o burtę. Ale ich kurs i szybkość były prawie takie same jak łodzi, więc wkrótce zaczęła ignorować innych pasażerów fali powodziowej. Od czasu do czasu prąd znosił ją na tyle, że mogła rozróżnić ciemniejszy cień brzegu, a wtedy szybko kierowała łódź na środek rzeki. Natknęła się też na parę przeszkód, ale rzadko się to zdarzało, bo poziom rzeki wzrósł o kilka stóp i mknący prąd szybko przenosił łódkę dalej.

Deszcz padał nadal monotonnym kapuśniaczkiem. Ale zbliżał się świt, bo niebo zabarwiło się szarością. Linia brzegowa zmieniła się w czarną ścianę, sennie odpływającą w tył, a mgła zgęstniała i pobieliała od nadchodzącego dnia. Teraz już niewiele trzeba było pracy, by kierować łodzią; rzeka zdawała się chętna, by ponieść Teres do jej kraju, nie wymagając przy tym żadnego wysiłku. Nawet deszcz nie był już tak gęsty, by trzeba było wyczerpywać wodę z łódki.

Zmęczona skuliła się na rufie. Jej włosy tak ociekały wodą, że można je było wyzymać; znalazła w nich zimną poduszkę, gdy spróbowała wyciągnąć się w wygodniejszej pozycji. Bębnienie deszczu i chlupot rzeki kołysły, usypiały. *Kiedy spała po raz ostatni?* Zdawało się, że całą wieczność temu. Męka ostatnich paru dni wyczerpała ją zupełnie, wysssała siły fizyczne i psychiczne. Jak przyjemnie było leżeć tutaj, samotnej wśród rzeki, deszczu i nadchodzącego świtu.

Teres usnęła.

Przyszły do niej sny płynące jak rzeka. Splątane sceny bitewne z błyszczącymi klingami szukającymi jej ciała. Walczyła jak szalona, ale jej ruchy były powolne, niezdarne. Rąbała następujących napastników, lecz na ich skórze nie ukazywały się żadne rany i zbliżali się do niej coraz bardziej, choć dźgała i siekła ich nieustępliwe ciała. Wbijały się w nią miecze, darły skórę. Zdawało jej się, że czuje ból; leżąc jęczała i wiła się, niezdolna do pełnego przebudzenia.

Twarze płynęły koło niej jak dryfujące z prądem szczątki. Znajome, o znanych nazwiskach; anonimowe, które przemknęły jej przed oczami w szale walki. Malchion – zawsze drwiący, wyśmiewający się z niej, a równocześnie dodający odwagi. Ristkon – z twarzą ohydnie zsiniałą i krzywym złośliwym uśmiechem. Jego bicz trafił ją w twarz, raniąc policzek. Jego dłonie chwyciły ją, drapały, wreszcie zmieniły się w pełzające po jej ciele pająki. Dribeck – dumny i pełen pogardy – nie czyniący żadnego ruchu, póki jego przebiegły umysł nie podszeptał mu, jak działać z największą korzyścią. Jego słowa tak przekonujące, a jego serce czarne od kłamstwa. Kane – z twarzą ukrytą za maską. Tajemniczy. Wkraczający, gdy los miał się odwrócić, kiedy indziej bywał tylko zjawą. Jego działania zawsze i natychmiast wytłumaczane. A za maską... jakie motywy, jaki tajony śmiech?

Dziwny pierścień, który nosił. Jego złowrogi klejnot jarzył się w jej wyobraźni, nieprawdopodobnie wielki nieznośnie błyszczący, nie do pomyślenia zły. Przeświecał przez jego maskę, swym wrogim światłem zaćmiewając niebieski płomień żądzy mordy w jego oczach.

Przerażenie coraz większe, zmora budząca swym dotknięciem szaleńczy strach. Krwawnik był olbrzymi, ogromny jak słońce. Kane znikł w jego głębinach. Złowrogi blask pochłaniał ją szarpał jej umysłem, choć walczyła nieprzytomnie, wysysał, jej duszę z pasją wampira. W jego piekielnym świetle, majaczyły niewyraźne postacie... wijące się, ludzkie, humanoidalne, zupełnie nieludzkie. Byli to niewolnicy Krwawnika, ich dusze w wieczystej męce podsycające jego żar Klejnot był żywy, świadomy! Jego aura pełzała, zagarniając całą Ziemię w swe pulsujące płomienie. Już spostrzegł Teres, zapragnął jej, wyciągnął swe gorejące macki, by ją schwycić. Dotknięciami badał jej umysł!

Wrzasnęła i wyprostowała się nagle, niemal przewracając łódkę. W ustach miała gorzki smak trwogi. Trzęsąc się i czując mdłości oparła się przygarbiona o rufę, próbując w oszołomieniu zebrać myśli. W jej mięśniach kurcz palił ogniem. Jasność. Słońce stało wysoko. Deszcz przestał padać, mgła jeszcze wisiała w powietrzu. Była na rzece.

Nie była na rzece.

Zmieszana, zagubiona Teres rozejrzała się. Łódź nie płynęła już z bystrym prądem, nie widać było wysokich; brzegów. Zamiast tego jej stateczek dryfował apatycznie przez ciepławe bagno. Otaczała ją bezładna masa mulistego błota i duszących się od pnączy drzew.

Ostrzeżenie Kane'a! Ciemność, jej drzemka! Gdy rzeka Neltoben wezbrała nagle, jej zamulone południowe odgałęzienie zalała fala powodziowa. Gdy spała, łódź pochwycił ten płynący nieprawidłowo prąd.

Zdryfowała do Kranor-Rill!

W niewesołym nastroju przypomniała sobie ponure opowieści o tym niezdrowym moczarze... o morderczych stworzeniach, pełzających przez jego labirynty, zdradliwych połączeniach niezgłębionej kurzawki, o zrujnowanym mieście, wybudowanym jakoby w zapomnianym zaraniu Ziemi i o przeraźliwych Rillytich, odprawiających nad pochwyconymi ludźmi jakieś ohydne obrządki w głębiach moczarów. Zadrzała. Słońce późnego poranka przeglądało posępnie przez unoszącą się nad bagniskiem mgłę.

Nie czas na panikę, powiedziała sobie, ciągle jeszcze wstrząśnięta okropnościami swego snu. Strząsnęła z ramion pelerynę, związała swe skołtunione włosy. Na twarzy, gdzie dosięgła jej nisko zwisająca gałąź, odkryła krew. Jasny Ommemie, jak głęboko w Kranor-Rill zapłynęła jej łódź?

Wyglądało, że bardzo głęboko. Niewielki prąd poruszył jej łodzią. Rozglądając się dostrzegła tylko labirynt zalewów, prowadzących... *kto wie, dokąd prowadzących?* Wezbrane wody pokryły większość ławic błota, korzenie powietrzne cypryśników pogrążone były w wodzie; jaworowe zarośla zalewał płynny muł. Teres mogła tu zdryfować z tysięcy możliwych kierunków.

Ze stoickim spokojem ujęła wiosła i zaczęła posuwać się przez cętkowaną pianą wodę. Dopóki wiosłowała przeciw prądowi, jej kurs musiał prowadzić na zewnątrz bagniska. Niestety w tym miejscu prąd był taki nikły, że nie była pewna jego kierunku, a nawet jego istnienia.

Niespokojny sen prawie nie zmniejszył jej zmęczenia. Wkrótce plecy i ramiona miała sztywne z bólu. Dla człowieka nienawykłego wiosłować, łódź była ciężka. Ale tutaj groziło jej wielkie niebezpieczeństwo, zmusiła więc swe odporne ciało do wiosłowania, wiosłowania, wiosłowania.

Jeden z zalewów okazał się ślepą uliczką. Zakląła gorzko, zmuszona do zawrócenia z drogi. Jej rozmiękczone deszczem dłonie zaczęły ocierać się i pokrywać bąblami od wiosła. Trochę pomogło, gdy owiązała ich uchwyty pasami jedwabiu, oddartymi z przepaski biodrowej.

I nagle dziób uderzył w jakąś podwodną przeszkodę, wstrząsając łodzią. Rozszerzonymi ze zdziwienia oczami wpatrzyła się w deski. Z ulgą stwierdziła, że żadna nie została złamana. Ale łódź wyglądała jak zawieszona nad czymś -*jak?* Z pewnością nie wpadła na żadną łachę błota.

Pomimo swego opanowania Teres wrzasnęła na widok dłoni z błonami pływającymi, uderzających

w burty. Jak wywołane magicznie demony, Rillyti powstali z błotnistych głębin moczaru. Ilu? Dziesięciu, piętnastu... co za różnica? Otaczali jej łódź, okrążali z pluskiem, zostawiając smugi piany, wstawali zza płataniny korzeni cypryśników, wyslizgiwali się z ociekających wilgocią zarośli na błotnistych płyciznach.

Łódź zakołysała się gwałtownie. Teres rzuciła wiosła i skoczyła po miecz, leżący tuż pod ławką dziobową. Nagły przechył prawie wywrócił łódkę, cisnąwszy oszołomioną Teres na dno. Próbowwała podnieść się na nogi, ale prawie wypadła za burtę, gdy łodzią zatrzęsło znowu.

Płetwiasta dłoń wystrzeliła zza burty i chwyciła ją za ramię. Teres warknęła ze zwierzęcą nienawiścią, waląc pięścią unieruchamiającą ją łapę, zatapiając zęby w jej śmierzdzącej, łuskowatej skórze. Dłoń tylko mocniej się zacisnęła, wbijając pazury w jej ciało. Łódź przechyliła się mocno i przewróciłaby się, gdyby jej nie unieruchomiły płetwiaste dłonie. Na rufę chlapiąc wodą wygramolił się Rillyti i wybałuszył na nią szkaradne, wylupiaste oczy.

Teres wpadła w szal. Szarpała za szponiaste palce, które ją więziły i prawie wywichnęła sobie ramię, desperacko próbując dosięgnąć miecza. Leżał ledwie o cale od jej wyciągniętych palców. Następny płaz już sięgnął po nią. Zaczęła dziko kopać gołymi nogami. Walczyła drapiąc i gryząc jak zwierzę. Lecz jej pięści były bezużyteczne przeciw pancernym skórom. Jeszcze jeden płaz wpelzł do łodzi i unieruchomił jej ręce. Tylko twardy uchwyt zgromadzonych wokół Rillytich uchronił łódź od wielokrotnej wywrotki.

Znudzony jej oporem Rillyti szturchnął ją w twarz, prawie łamiąc jej szczękę. Teres zwiotczała, bliska utraty zmysłów od uderzenia, które odezwało się w jej głowie bolesnym wybuchem gwiazd, a usta wypełniło smakiem krwi. Potwory skrępowały jej nadgarstki i kostki u nóg rzemieniami, niezdarnie zawiązując węzły. Porzuciwszy ją złamaną na dnie łodzi, wyskoczyły za burtę.

Gdy przesłaniająca jej zmysły mgła zaczęła ustępować, Teres poczuła, że łódź się porusza. Rillyti holowali ją w głąb Kranor-Rill.

Przez chwilę leżała, zbyt odrętwiała z przerażenia, by się ruszyć. Krążące w oszołomieniu myśli, nieprzytomne od wstrętu i zmęczenia, malowały w jej wyobraźni zmieszane obrazy, pełne przemożnego strachu. Stwory nie zabiły jej od razu, tylko związały jak jagnię na rożen. Przez głowę przeleciały jej szeptane legendy o okropnościach Kranor-Rill. Ohydne obrzędy odprawiane przez Rillytich na schwytanych ludziach, bezimienny bóg zła starszego świata, któremu składali krwawe ofiary w bezksiężycowe noce. Przypomniała sobie ponure opowieści o ich najazdach na samotne przygraniczne osiedla, o zdeprawowanym bestialstwie, z jakim traktowali tych, którzy nie mieli szczęścia zginąć od razu, o niewyobrażalnym okrucieństwie, którego świadectwem były okaleczone trupy i przerażające majaczenia tych nieszczęśników, którzy postradawszy rozum potrafili tylko miauczeć i chichotać do swych spóźnionych ratowników. Teres w przerażeniu przypomniała sobie, że księżycyca ubywało poprzedniej nocy i prawie zvariowała, pomyślawszy, jaka śmierć ją czeka.

Nie było godne wilczycy spotkać śmierć czołgając się na brzuchu w nikczemnym strachu. Jej nieugięta, stalowa wola mogła zadrzeć pod ciosami diabelskiej paniki, ale nie pęknąć od jej przeraźliwego nacisku. Choć prawie sama się zadusiła, zdławiła płaczliwy wrzask, który, raz wyzwolony, nigdy by nie ucichł. Czowała się wojownikiem, a nie drżącą damą dworu; jeśli miał ją spotkać tak ponury koniec, Teres postanowiła umrzeć nie zadawszy kłamu wybranej przez siebie tożsamości.

Podniosła głowę, zmuszając się do rozejrzenia wokoło, wyrzucając ze świadomości przeraźliwe obrazy. *Jej miecz*. Potwory nie zainteresowały się pakunkiem. Nadal leżał na dziobie; zawiniątko z odzieżą, zapasami... i jej mieczem.

Teres obróciła się. Siedziała zgarbiona na rufie, miecz leżał o kilka stóp od niej. Być może uda

jej się go dosięgnąć, cichaczem wysunąć z pochwy, przeciąć swe więzy. Wiedziała dobrze, że nie ma nadziei ucieczki od Rillytich. Ale z mieczem w ręku spryska bagno ich krwią.

Będzie walczyć, aż zmusi ich, by ją zabili... umrze czystej śmiercią, z klingą ociekającą wrogą juchą.

Lecz przede wszystkim musi dosięgnąć miecza. Ostrożnie zmieniła pozycję. Jej zdobywcy płynęli obok łodzi, trzymając za burty; dzięki temu nie mogli dostrzec jej ruchów. Teres powoli podciągnęła kolana i popęzła po dnie do przodu. Z sercem walącym jak młot zaczęła chwilę nieruchomo, modląc się, by jej ruchy nie wzbudziły podejrzeń.

Prześlizgnęła się do przodu o dalszą stopę, docierając do środkowej ławeczki. Z pewnością Rillyti poczują, że środek ciężkości łodzi się przesuwają – kiedy się tym zainteresują? Przyciśnięta do dna, skręcając się, przepęzła pod ławką. Ręce miała związane na plecach, musiała więc całym ciężarem ciała sunąć po zniszczonych deskach. Żwir i drzazgi kaleczyły jej nagą skórę, ale w szarpiącej udręce oczekiwania nawet nie zauważyła ich ukłuć. Wysunęła się spod ławki. Już połowa drogi... Co się zdarzy, gdy jej ciężar wciśnie dziób w wodę?

Cał po cał Teres boleśnie dążyła w stronę dziobu, na zmianę pełznąć i odpoczywając, by uspić czujność potworów... Już prawie dotykała miecza... i to był najniebezpieczniejszy moment. Zawiniątka mocno wcisnęła pod ławkę dziobową, by je ochronić przed deszczem, a z rękami związanymi z tyłu musiałaby usiąść na dziobie i sięgnąć pod ławkę. W ten sposób jej podniesiona głowa znajdzie się w polu widzenia Rillytich; trudno było żywić nadzieję, że to nie zwróci ich uwagi.

A może zdoła przyciągnąć miecz do siebie? Ostrożnym skrzętem bioder Teres wyciągnęła stopy w stronę dziobu. Podpełzła bliżej. Palcami nóg dotykała już pakunku. Jeszcze cał. Teraz już czuła skórę zawiniątka stopami. Kostki u nóg miała mocno związane, ale mogła zaczepić palcem o pas, którym pakunek był spięty.

Podkurczyła nogi, próbując wyciągnąć zawiniątka. Miecz poszorował o kadłub. Teres zagryzła wargi czekając, aż ropusza twarz zajrzy przez burtę. Nic. Czyżby stwory schwytawszy ją nie zauważyły miecza? Uniosła stopy i znów przyciągnęła do siebie, starając się, by miecz nie zabręczał. Jego pochwa uwięzła skosem między wargami. Pot szczypał Teres w oczy. Ostrożnie wepchnęła zawiniątka w dziób łodzi, obróciła stopy, by uwolnić pochwę i znów przyciągnęła ją do siebie. Pochwa uwolniła się, pakunek wysunął. Teres zgięła kolana, przyciągając stopy do ud.

Nagły plusk. Z wody wynurzyły się płazie ramiona i korpusy. Łódź przepływała nad płycizną. Wrogie twarze spoglądały na nią z góry, widząc miecz ledwie o parę cali od jej dłoni.

Rzuciła się ku rękojeści, ale nie miała najmniejszych szans. Okrutne łapy podniosły ją z dziobu i zaciągnęły na rufę. Miecz został tam, gdzie go upuściła. Nie zwracając uwagi na ból, zadany jej nagiemu ciału przez wystające deski, Teres wpatrywała się w porzuconą broń z beznadziejną tęsknotą. Jeden z Rillytich zarzucił jej przez głowę skórzaną pętlę, zacisnął na szyi, a wolny koniec przywiązał do rumpla. Rozległ się grzmiący rechot – gniewny i szyderczy – lecz była zbyt wstrząśnięta, by zwrócić na to uwagę.

Powoli płynął dzień i płynęła łódź. Teres skuliła się na rufie, odrętwiała na ciele i duchu. Miecz był jej ostatnią nadzieją; teraz mogła już tylko oczekiwać śmierci na jakimś przeklętym ołtarzu, a może jeszcze bardziej przerażającego losu.

Ostatecznie żaden człowiek nie będzie się przyglądać jej umieraniu – być może taka nikomu nie znana śmierć będzie właściwym ukoronowaniem legendy, jaką sobie pracowicie zbudowała. Poeci i wojownicy przyszłych wieków będą się zastanawiać, co się stało z Teres, wilczycą z Breimen? Niewielka to była pociecha, ale myślenie o czymkolwiek innym prowadziło tylko do szaleństwa ze

strachu.

Słońce już stało nisko, ale Teres ledwie zdawała sobie sprawę z jego biegu. Od jego słabego ciepła skórzane więzy wyschły i zacisnęły się, wrzynając w ciało. Na dnie łodzi przelewała się woda, więc gdy ból obudził ją z odrętwienia, poląła nią rzemienie. Przez moment nawet się łudziła, że od namoczenia rozciągną się i poluzują. Ale skóra była już mokra, nim ją związano, i więcej rozciągnąć się nie dała. Po chwili dała spokój próbom.

Raz też rozległ się ryk bólu, a po nim plusk i odgłos straszliwej szamotaniny w wodzie. Teres wyprostowała się i ujrzała jednego ze swych zdobywców rzucającego się w splotch potwornego węża, który zatopił szczęki w ramieniu płaza. Inni Rillyti rzucili się na gada, siekąc go złotymi mieczami, tak że w wielu miejscach prawie go przerabali. Brocząc ciemną krwią, wąż wypuścił wreszcie swą ofiarę i zanurzył się pod powierzchnią, spienioną jego gwałtownymi skrętami. Ranny Rillyti unosił się na wodzie bez przytomności, od czasu do czasu spazmatycznie kopiąc nogami. Gdy podjęli przerwana podróż, dwa stwory holowały za sobą jego ciało. Teres miała nadzieję, że rany od węża nie okażą się śmiertelne.

W monotonnym cierpieniu upływały godziny. W jakiś wiadomy sobie sposób Rillyti znajdowali właściwą drogę przez gnijący labirynt. Parę razy musieli przepychać łódź przez błotne mielizny, ale na ogół po prostu ją holowali. Gdzieś po drodze wielkim łukiem okrążyli bezkresne grzęzawisko kurzawki, zbyt zdradliwe nawet dla mieszkańców moczarów.

Wreszcie przez płataninę roślinności zaczęło prześwitywać wzniesienie gruntu. Jego mglisty zarys stawał się coraz wyraźniejszy, aż wreszcie Teres mogła już widzieć wyspę wznoszącą się nad bagnem, a nawet zdawało się jej, że dostrzega ogromne mury z czerwonego kamienia, wznoszące się nad drzewami. Zaczęła się obojętnie zastanawiać, czy przed śmiercią nie przejdzie legendarnymi ulicami zaginionego Arellarti.

Dno poszorowało o kamienie, trąciwszy prośnięte mchem nabrzeże. Wygramoliwszy się z wody, Rillyti przycumowali łódź do zarośniętego dywanem zieleni nabrzeża i wspięli się na stromy brzeg wyspy. Jeden z nich bezceremonialnie przerzucił sobie Teres przez ramię i podążył za innymi.

Gdy odwróciła głowę, udało się jej rozejrzeć dookoła, choć widok miała do góry nogami. Niesiono ją na brzeg i dalej kamienną aleją. Wokół kręciły się setki Rillytich, śpieszących, by obejrzyć jeńca. Od murów odbijały się echem ich basowe krzyki – przytłumione ryki, zgrzytliwe rechoty, chrapliwe syki – oczywiście dla ich pozbawionych małżowin uszu były to zupełnie zrozumiałe przekazy. Sądząc z liczby, w jakiej się pojawili, musieli obozować w tym zrujnowanym mieście.

Zrujnowanym mieście? Teres rozejrzała się w zdumieniu. Mgła rozpacz zaczęła ustępować z jej umysłu. Legendy istnieniu tego zaginionego, przedludzkiego miasta mówiły prawdę. Cyklopowe mury z nieznanego kamienia, dokładna, nieludzka geometria jego promieniście rozłożonych ulic bezokiennych budynków, potworne istoty, włóczące się wśród mistrzowskiego dzieła zmarłego przed wiekami geniuszu – nie tylko te cuda spowodowały, że dech jej zaparło ze zdumienia. Arellarti nie było martwą ruiną, jak je opowiadały legendy.

Arellarti było w trakcie odbudowy.

Gdziekolwiek ją niesiono, wszędzie widać było odnowę na pełną skalę. Ulice oczyszczono z gruzu. Nie wdzierła się tu dławiąca, bagienna roślinność – choć ślady inwazji Kranor-Rill pozostawały w postaci kawałków pnączy, jeszcze tkwiących jak porzucone proporce w pęknięciach ścian czy widmowych śladów przyssawek, wrytych w kamienie, po których niegdyś się wspinały. Gdzieś tam leżały schnące fragmenty pędów, resztek ogromnych stosów, które stąd wymieciono.

A miasto odbudowywano. Rillyti trudzili się nad wymazaniem blizn pozostawionych przez czas.

Ogromne bloki dziwnego kamienia dźwigano na szczyt muru; złamane obeliski wznoszono ponownie; szarpane pęknięcia wygładzano i wypełniano. Wiele budynków otaczały rusztowania, tam zaś, gdzie budowle były spękane i pochylone, usuwano zniszczenia kładąc nowe bloki. Gdzie niszczące żywioły zatarły dziwaczne rytowania na ścianach czy odkruszyły część osobliwych płaskorzeźb i ornamentów, niezgrabni robotnicy z drobiazgową uwagą przywracali pierwotne wzory. Cała armia mieszkańców bagien w zgodnym zapale trudziła się nad usuwaniem niszczących śladów tysiącleci. Arellarti zmartwychwstało ze swej długiej śmierci, wynurzało się z pogrążonego w bagnie grobowca, otrząsając z pleśni i pajęczyn.

Ale ten cud budzenia się tytana starszej Ziemi nie mógł rozproszyć okropności jej położenia. Teres poczuła przytłaczającą obecność, nim zdołała ją ujrzeć, rozciągnięta bezradnie na ramieniu swego zdobywcy. Padł na nią jej cień – teraz, gdy słońce zaczęło zachodzić, cienie wypełniały już całe Arellarti. Ponieśli ją przez centralny plac, w dół po pochylni i do wnętrza potężnej kopuły.

Teres uchwyciła przelotny widok gigantycznych ścian które wzbijały się w górę i gubiły w ciemności, ogromnej przestrzeni w nich zawartej – kolumn dziwacznej kształtu, połyskujących cokołów z kamienia, kryształu i metalu; groźnych zwojów nieznanymi stopów. Była to fantastyczna konstrukcja o niewyobrażalnej złożoności. Panowała w niej atmosfera świątyni jakiegoś mrocznego i bezimiennego boga.

Rillyti położył ją teraz na ołtarzu – musiał to być ołtarz, bo ujrzała boga. Półkula Krwawnika, ogromna jak sklepienie niebieskie, rozmyślająca w centrum tej przedludzkiej kopuły. Teres patrzyła na nią z pełnym fascynacji lękiem, ledwie opierając się, gdy przeciąwszy jej więzy rozpięli ją, przywiązując do dziwacznie ukształtowanych drążków, wystających z półkolistego ołtarza, którego kamień miał na sobie plamy o przerażającym znaczeniu.

Krwawnik był żywy.

W przerażeniu przypomniła sobie swoją senną zmore, wiedząc już, że jej podświadomość musiała odczuć złowrogi wpływ tego myślącego kryształu, gdy znalazła się w jego zatrutym królestwie. Być może Krwawnik, wyczuwszy jej wtargnięcie, wysłał swe sługi, by przyniosły ją do jego świątyni. Odruchowo, nie licząc na uwolnienie, szarpała się w więzach. Dziwaczne pokręta i wypukłości ołtarza wbiły jej się w plecy, zaskakując swym niezwykłym kształtem.

Kryształ ożywiła energia. Zielona poświata czyniła jego wnętrze przezroczystym na nieprawdopodobną głębokość; szkarłatny płomień pulsował w żyłach, którymi był poznaczony. Zły blask kryształu rozświetlał całą kopułę, a wibrująca energia zdawała się promieniować z jego błyszczących macek z wielobarwnych metali, szumieć i tętnić w majaczących kolumnach maszynierii. Jak potworne oko jakiegoś cyklopiego boga Krwawnik wpatrywał się w otoczenie ze swej oprawy, oceniając swych niezdarnych czcicieli i przerażoną ofiarę przywiązaną do ołtarza. Z jakiej obcej przestrzeni, w jakiej mrocznej erze – zastanawiała się – przybył ten kryształ wrogiej energii na ten świat?

W cieniu gromadziły się tłumy Rillytich. Oderwawszy spojrzenie od Krwawnika Teres ujrzała zbliżającą się do niej postać – odzianego ceremonialnie płaza imponującego wzrostu. W palcach ścisnął nóż z białego metalu, odbijający migotliwy blask Krwawnika.

Kapłan, bo zapewne nim był, wzniósł ryczącym głosem inkantację. Zebrani Rillyti jak plugawy chór odpowiedzieli na jego inwokację, rechocząc rytmiczną litanie, odbijającą się nie milkącym echem w kopule. Do Teres ledwie docierał ich szwargoczący hymn, bo jej uwagę przykuwał błyszczący nóż, który unosił się i opadał, migocząc nad jej unieruchomionym ciałem. Gdy inwokacja przybrała na sile, ostrze zdawało się wisieć w powietrzu nad jej brzuchem. Po raz ostatni westchnąwszy błagalnie do Ommema – choć prawdę powiedziawszy wyglądało, że jej bóg o niej

zapomniał – Teres zacisnęła zęby i naprężyła mięśnie, śledząc migoczący nóż, który ciął nad nią powietrze w rytualnym tańcu. Zapowiadało się gorzej, niż sobie wyobrażała.

Hymn nagle się urwał. Teres zamknęła oczy w oczekiwaniu, że nóż opadnie. Przez chwilę, na którą nieświadomie wstrzymała oddech, nie uczynił tego. Otworzyła oczy, by zobaczyć, jakiemu nowemu występкови będzie musiała stawić czoło. Kapłan cofnął się o krok, zaczerpnęła więc powietrza, choć przez chwilę nie spodziewała się, że będzie jeszcze miała ku temu okazję. Nóż opadł – ale do boku stworzenia, nie w jej brzuch. Rillyti skurczył się ze strachu.

Trzeszczące światło musnęło jej twarz. Teres zaryzykowała odwrócenie wzroku do noża, by spojrzeć tam, gdzie były skierowane oczy uczestników obrzędu. W powietrzu nad Krwawnikiem zaczęła formować się postać z płomienia.

Bóg czy demon? Teres gubiła się w domysłach, niezdolna zgadnąć, co oznacza pełna przestachu reakcja Rillytich. Zauważyła, że postać ma kształty humanoidalne i tańczy jak zaczarowany płomień na szczycie żywego kryształu. Człowiek ze światła, z energii, z iskier siły życiowej, płonącej wewnątrz Krwawnika. Jego zarys zaczął się płynnie wynurzać – człowiek ze szmaragdowej, czerwono żyłkowanej energii stał się trójwymiarową sylwetką.

Gdy jego iskrzące kontury stały się mniej zamazane, wibrująca w nich energia ostygła i stężała. Postać spłynęła sponad Krwawnika, ześlizgnęła się po jego gładkich ścianach i zatrzymała przed ołtarzem. Rillyti zaczęli wymykać się w noc w tym samym momencie, gdy świecąca błonka energii odpadła od postaci jak zrzucona maska, ukazując człowieka, który wynurzył się z nieludzkiej mocy kryształu.

Ale Teres już wiedziała, że zna tę sylwetkę; rozpoznała istotę tego kryształu, który nie był Krwawnikiem mimo podobieństwa do kamienia, pamiętając dobrze, gdzie już widziała taki klejnot. Dlatego też nie było dla niej żadnym wstrząsem, gdy stanął przed nią mężczyzna – cudzoziemiec zwany Kane.

XV. PAN KRWAWNKA

Kane obrzucił spojrzeniem przerażonych Rillytich. Zachowywał się władczo, rozkazująco. Zdawało się, że człowiek wydał błaznom jakiś bezsłowny rozkaz, a Teres odczuła milczący gniew, który wypędził stwory w noc, oburzone, ale ujarzmione.

– Kim ty jesteś, Kane... człowiekiem czy demonem? – krzyknęła Teres.

Kane przez chwilę przyglądał się jej z namysłem. Jego niezadowolona mina wyrażała irytację pomieszaną z niezdecydowaniem.

– Nazywano mnie i tak, i tak – odpowiedział roztargnionym głosem – choć obie te rasy często mnie przeklinały. A ja nie zaliczam siebie do żadnej z nich... choć kiedyś ludzie nazywali mnie bratem. Z czasem sama zdecydujesz, jak jest; tymczasem wystarczy, że Rillyti są mi posłuszni.

Nożem przeciął jej więzy. Teres jęknęła i zsunęła się z ołtarza, rozmasowując nadgarstki i kostki u nóg. Tam, gdzie leżała na wystających prętach, miała napuchłe otarcia.

– To oczywiście nie jest ołtarz – mruknął Kane w roztargnieniu, przyglądając się jej zabiegom. – To konsola sterownicza Krwawnika. Rillyti od czasów, gdy zbudowano Arellarti, osunęli się w stan żalostnego zwyrodnienia, a ich przesądne obrządki zastąpiły to, co niegdyś było wiedzą o Krwawniku. Zakazałem tych bezsensownych ofiar... A to, że po stuleciach takich nadużyć aparatura sterownicza nie została kompletnie zablokowana, jest świadectwem kunsztu inżynierskiego Krelran. Ale, jak mówią, stare zwyczaje mają długie korzenie. Zbyt kuszącą byłaś dla nich ofiarą, by cię nie wykorzystać... co, jak przypuszczam, można uznać za miarę degeneracji ropuch, gdy się pomyśli, jaka przepaść ewolucyjna leży między człowiekiem i Rillytim.

Teres, w tym właśnie momencie coś mi skomplikowałaś. Ale nadal są sposoby, bym wyciągnął korzyść z tego zrzędzenia losu. Rozumiem, że musiałaś zabłądzić w południowe ramię Neltoben... powinienem wziąć pod uwagę przybór wód. Ale ty przecież powiedziałaś mi, że absolutnie polegasz na swej orientacji w terenie.

Nogi się pod nią zatrzęśły, ale zwróciła się do niego ze złością.

– Wygląda więc, Kane, że twoje intrygi są znacznie bardziej skomplikowane niż machinacje ambitnego awanturnika, za jakiego cię uważałam! Tu się odprawia czarnoksiężstwo i wydaje się, że jestem tylko pionkiem w jakimś diabelskim misterium... i że miałam nieszczęście zakłócić jakiś etap twojej intrygi. Jakąż piekielną grą zabawiasz się, Kane? Za pomocą jakiej magii zmaterializowałeś się z promieni Krwawnika? A ponieważ wątpię, byś pojawił się tutaj przypadkiem, czemu okradłeś swych pachołków z rozrywki? Wystarczyłoby trochę wody, by tu przywrócić czystość, a ty nie wzbudziłyś ich niechęci!

– Ropuchy są mi posłuszne lub padają martwe. Ich uczucia nie obchodzą mnie ani na włos. A jeśli idzie o moje przybycie, widzę to, co widzi Krwawnik, a Krwawnik widzi wszystko w Arellarti.

Przerwał, a potem dodał: – Wtrąciłem się, ponieważ... ponieważ twoja śmierć jest dla mnie bezużyteczna... i może dlatego, że mnie intrygujesz. Moja gra, jeśli ją tak nazywasz, jest przygodą, której cel wkrótce zrozumiesz. Błędzisz oskarżając mnie o czarnoksiężstwo, ale z drugiej strony prawdziwa natura mojej siły tak dalece wykracza poza zrozumienie człowieka, że ludzie będą ją nazywać magią.

Aby cię jednak uspokoić, powiem ci, że nie zamierzam zrobić ci nic złego. Oczywiście zostaniesz w Arellarti, dopóki moje plany nie osiągną pewnego etapu, a potem...? Cóż, nie będziesz już mogła przeszkodzić memu zamiarowi, więc sama podejmiesz decyzję. Tymczasem rozkazałem Rillytim, by nie czynili ci krzywdy... tak długo, dopóki nie spróbujesz oddalić się poza mury Arellarti. Przypuszczam, że wiesz, co by wówczas nastąpiło. I mądrze uczynisz unikając bliskości

Krawnika z przyczyn, które prawdopodobnie są dla ciebie zrozumiałe.

Teres rzuciła mu gorzkie spojrzenie, nienawidząc Kane'a za taką zdradę, ale równocześnie nie mogąc zapomnieć, jaki ma dług wobec niego. Jego słowa dolatywały ją niewyraźnie, postać zamgliała się. Teres zachwiała się oszołomiona, a potem chwyciła brzeg tablicy sterującej. Nieskończenie długie cierpienia wypaliły w niej prawie wszystkie siły.

– Czy możesz iść? – spytał Kane z cieniem troski. – Chcę cię zabrać tam, gdzie będziesz mogła odpocząć.

– Mogę iść... i to diabelnie lepiej niż pełzające węże, które przywłaszczają sobie postać człowieka! – warknęła.

Ale nie zaprzeczyła, że jest zmęczona.

Kane wyszczerzył zęby.

– Oczywiście możesz. Chodź więc ze mną... a jeśli się przewrócisz, zostawię cię śpiącą, gdzie upadniesz.

Dni, które nastąpiły, były jak jakiś fantastyczny, nieprawdopodobny sen, z którego nie potrafiła się obudzić. Jak we śnie pewne momenty odbiły się w jej pamięci z niezatartą jasnością, innych zaś Teres prawie nie mogła sobie przypomnieć, choć nastąpiły ledwie przed godziną. Kane powiedział jej, że padła ofiarą pewnej gorączki i kazał jej brać dziwne, gorzkie proszki, choć uważała, że one mącą jej w głowie jeszcze bardziej. Uznała, że to raczej obce zło tego miasta ze starszego świata zniekształca jej myśli i napęłnia mózg dziwnymi obrazami.

Gdy Teres obudziła się z długiego i miłosiernie pozbawionego marzeń snu, było już późne popołudnie. Przez chwilę leżała spokojnie, nie otwierając oczu. Pod posłaniem ze skór wyczuwała kamienie. Gdy zaś otwarła oczy, wiedziała, gdzie jest, choć poprzedniego wieczoru padła na prymitywne łożo nie rzuciwszy nawet okiem na otoczenie. Jej udręczone nerwy zwyciężyło skrajne wyczerpanie i niemal w mgnieniu oka zapadła w głęboki sen.

Zrozumiała, że musi to być pokój Kane'a, ponieważ był on oczywiście jedynym człowiekiem w Arellarti. Wśród prymitywnego umeblowania dostrzegła kilka ciekawych zabytków, które musiał znaleźć w ruinach miasta i przynieść dla zbadania. To, że blisko siebie znalazła swój pakunek z łodzi, znacznie ją uspokoiło, i po pobieżnym myciu Teres odrzuciła brudny haremowy strój i naciągnęła znajomą sobie odzież. Miecza oczywiście tam nie było, ale posiliła się winem i mięsem, które zapakowała wieki temu.

Czując, że wraca jej beztroski nastrój – bo przecież, co jeszcze mogło ją spotkać? – na próbę pchnęła drzwi pokoju. Otworzyły się łatwo, wyjrzała więc na korytarz, gdzie dwóch Rillytich odpowiedziało jej spojrzeniem. W ich zachowaniu nie było wrogości. Zdecydowała, że czas wypróbować wartość słowa Kane'a i wyszła do holu.

Gdy tylko się tam znalazła, strażnicy gestem polecieli jej iść za nimi. Posłuchała ich nonszalancko, kończąc zaplatanie warkocza z miną całkowitego braku zainteresowania otoczeniem. Zeszli stromymi, spiralnymi schodami – tymi samymi, jak sobie przypominała, których dziwnie rozstawione stopnie sprawiły jej nieco trudności zeszłego wieczoru. Na swe legowisko w Arellarti Kane wybrał wieżę; później zorientowała się, że skłonność do przebywania na wysokości była dla niego typowa.

Kane klęczał wewnątrz kopuły, skupiwszy uwagę na zespole grawerowanych tabliczek z brązowego stopu, leżących tuż przy jednej z pałających kolumn. Spojrzał w górę i pozdrowił ją, zachowując się z całkowitą swobodą w centrum tego starożytnego miasta obcej magii.

– Teres... wreszcie przebudzona! – Uśmiechnął się, zauważywszy, że się przebrała. – Czy mam

ci powiedzieć, że wyglądasz jak nowy człowiek?

Jej uśmiech był jadowity.

– Jakiś złodziej ukradł mój miecz.

– Nie mam tyle ropuch, byś sobie urządziła ich rzeź. Ponadto będziesz chroniona przed wszelkimi drapieżnikami, które mogą się wślizgnąć za mury. – Nie zwracając uwagi na jej odpowiedź odesłał strażników. – Sądzę, że zainteresuje cię wycieczka po Arellarti. Bo przecież jesteś jedną z niewielu istot ludzkich, które kiedykolwiek weszły do miasta ropuch. I sądzę, że tamci nigdy nie mieli dość czasu, by zainteresować się architekturą Krelran.

Chciał ją wziąć pod rękę, ale Teres odsunęła się. Wzruszywszy ramionami ruszył przed siebie. Dziewczyna szła przy nim. Gdy przemierzali miasto, Kane opowiedział jej co nieco o historii Arellarti, własnych związkach z jego tajemnicą, przyczyn, dla których zaczął tu działać – wypowiadając się raz ostrożnie, kiedy indziej entuzjastycznie – jak lord wychwalający jakąś świeżo podbitą domenę. Przez większość czasu Teres słuchała w milczeniu, nie potrafiąc wyciągnąć go na słówka w sprawach, na które zdecydował zarzucić zasłonę złowieszczego milczenia. Pomimo trawiącej ją złości i niepokoju opowiadanie ją zafascynowało, podobnie jak niesamowita wspaniałość Arellarti.

Zatrzymał się przy wyniosłych obeliskach, gdzie ciężkie bramy Arellarti, na nowo odlane w brązie w ryczących piecach hutniczych miasta, zawieszano na starożytnych zawiasach. Z tego punktu widać było panoramę zaginionego miasta, Teres mogła więc podziwiać jego podobny do sieci pajęczej układ. Wyraźnie widać było gorączkową odbudowę kolistej metropolii, trwającą, jak się dowiedziała, dzień i noc, rozświetlaną jasnymi pochodniami, zasilanymi energią Krwawnika. Teres przejęła zwyczaj Kane'a określania okropnego kryształu imieniem własnym "Krwawnik", gdyż zapewnił ją, że kamień jest istotą rozumną o boskiej potędze.

W dole widziała niezmordowanych Rillytich, pochłoniętych różnorodnymi zadaniami od dźwigania olbrzymich bloków kamienia do drobiazgowego odtwarzania delikatnie rytowanych spiral lub wolut. W gęstniejącym zmroku płonące chwiejnym, pełgającym blaskiem piece hutnicze Arellarti rzucały dziwaczne światło na ulice. Zasilane straszliwą energią kryształu, płonące szaleńczym ogniem piece rodziły nieznanne stopy i podobne do obsydianu kamienie, pozwalające podnosić Arellarti z tysiącleci upadku. Surowcem był odzyskany gruz i kopce wielobarwnego mułu, wydobywane przez płazy z bagna.

– Dziwne, że ci dzicy mieszkańcy moczarów są zdolni do tak dobrze zorganizowanej i skomplikowanej pracy – rozmyślał na głos Kane. – Trudno pojąć, że rasa o takiej wspaniałości, jaką musieli osiągnąć Krelranie w zapomnianej epoce, mogła się zdegenerować do nieszczęsnych ropuch. Zastanawiam się, co by się stało z ludzkością, gdyby jakaś kosmiczna klęska obróciła naszą cywilizację w opuszczone stopy gruzu. Być może powrócilibyśmy, jak nasi zwierzęcy przodkowie, na drzewa i do jaskiń... jako czyhające w ukryciu małpoludy, które niegdyś kaprys szalonego stwórcy przekształcił w ludzi... i nawet legendy nie przekazałyby wieści o utraconym majestacie naszej rasy.

– W jaki sposób Rillyti mogą wykonywać taki plan i czemu się tym zajmują? – wypytywała Teres. – Z tego, co mówisz, wynika, że musieli być w pełni zadowoleni z życia w prymitywnych wioskach, do chwili gdy ty wyzwoliłeś to uśpione zło!

– Z dawien dawna Arellarti było ich domem – odparł Kane. – Teraz go odbudowują. Krwawnik jest ich bogiem; słuchają jego rozkazów. Nie są niczym więcej niż niewolnikami kryształu, armią pracujących ciał, których mózgiem jest Krwawnik. Modlą się do niego, a Krwawnik jak prawdziwy bóg kieruje swymi sługami tak, by osiągnąć swe własne cele. Krwawnik rozkazuje, ropuchy wykonują jego wolę. Wątpię, czy mają wolność ignorowania jego telepatycznych poleceń. Cóż,

kiedyś władali Krwawnikiem, teraz mu służą. Jeszcze jeden dowód, jak głęboko ich rasa upadła. Teraz ja jestem Panem Krwawnika i poprzez mego sługę także Rillyti są moimi niewolnikami.

Teres roześmiała się ironicznie.

– Czy naprawdę jesteś Panem Krwawnika, Kane? Jaka siła pozwala ci żądać jego hołdów? Jak może istota ludzka wierzyć, że jest panem tego demona, którego potęgę nazywasz boską? Dla każdego zdrowego umysłu on jest wcieleniem kosmicznego zła!

Popatrzył na nią płonąącym wzrokiem, bardziej rozzłoszczony jej insynuacjami, niż chciał okazać. Teres roześmiała się w duchu, zadowolona, że przełamała jego drażniącą postawę obojętnego spokoju.

– Przez ten pierścień jestem Panem Krwawnika! – oświadczył z emfazą. Zacisnął pięść, ukazując złowrogi klejnot. Teres spojrzała nań obojętnie.

– Widziałam już obdartych głupców, którzy przysięgali, że dysponują potężnymi siłami magicznymi dzięki sygnetom noszonym na brudnych palcach – zadrwiła. – I znam kilka takich talizmanów, które mają w pewnym stopniu siłę magiczną. Ale twoje przechwałki sprzeczne są z prawami fizyki, skoro twierdzisz, że Krwawnik nie jest tworem magii. Jak okrucieństwo kamienia może cię czynić panem krystalicznego monolitu, którego siły pochodzą z gwiazd?

– Wielkość nie jest czynnikiem decydującym nawet w prawach fizyki – parsknął Kane. – Iskra może spalić miasto, koło może przesunąć głaz, odłamek żelaza może zabić smoka. Nie próbuj narzucać własnych praw pozaziemskich fizyce.

Mnóstwo jest spraw związanych z Krwawnikiem, których nawet ja nie znam. Moja wiedza ma luki... znaczne luki, to mogę przyznać... które odnoszą się do tajemnic przekraczających moje zrozumienie. Niekiedy mądrość Krwawnika nie ma odpowiedników w ludzkim pojęciu; innym razem wiem, że kryształ ukrywa swe myśli i wspomnienia przede mną.

Mój związek z Krwawnikiem jest symbiotyczny. Mogę czerpać z jego mocy, ale beze mnie... a ściślej mówiąc bez pana tego pierścienia, Krwawnik jest tylko martwym kryształem. Z przyczyn, których nie jestem w stanie pojąć w pełni, siła życiowa Krwawnika wynika z połączenia dwóch źródeł. Niekiedy karmi się strumieniem energii kosmicznej, trzymającej nasz świat w równowadze, zarówno jego przestrzeń, jak wymiary. Ale potrzebuje także siły życia organicznego, którą otrzymuje dzięki...

Zawahał się, odkaszlnął, jakby chciał oczyścić gardło, i zmienił temat.

– Tak więc więź między Krwawnikiem i nosicielem tego pierścienia ma zasadnicze znaczenie. Sam pierścień jest dogodnym sposobem podtrzymywania kontaktu fizycznego; kryształ w pierścieniu jest najważniejszym czynnikiem. Zarówno Krwawnik, jak klejnot w pierścieniu są półkulami. Choć wydaje się to sprzeczne z twoimi "prawami fizyki", te dwa kryształy są równymi połówkami jednego organizmu. Kryształ w kopule czerpie z sił energii kosmicznej, kryształ w pierścieniu przekazuje organiczną siłę życia. Dwie te siły... dwie połówki... stanowią myślącą całość, którą jest Krwawnik. Mój umysł i umysł Krwawnika są połączone tym łańcuchem i czerpiemy energię wzajemnie przez siebie.

– A więc jesteś niewolnikiem tego dwoistego wampira! – zadrwiła Teres.

– Nie! – wybuchnął Kane z taką siłą, że sądziła, iż ją uderzy. – Nie! Nasze umysły są rozdzielone, niezależne! Nie potrafię dotrzeć do tych myśli Krwawnika, które ukrywa za zasłoną tajemnicy, ani on nie może kierować moją wolą tak, jak kieruje hipnotyczne zaklęcie czarownika! Mój umysł należy do mnie i to ja jestem panem w tym układzie! I to nie dlatego, że jestem niezbędny dla jego istnienia. Krelranie, którzy stworzyli, a przynajmniej okiełznali Krwawnik, wbudowali do jego krystalicznejistoty zewnętrzne sterowanie. Ten "ołtarz", na którym moi ropuchowaci przyjaciele

chcieli zeszłej nocy złożyć cię w ofierze, jest centralną sterownią całego kryształu. Kto zna naturę Krwawnika, może manipulować tym, co znajduje się na tej tablicy i w ten sposób kontrolować energię wewnątrz kryształu. Dla Krelran Krwawnik był tylko maszyną, skomplikowaną i potężną maszyną, a żadna maszyna nie może sama sobą kierować. Gdybym chciał, mógłbym wyłączyć energię Krwawnika, uczynić go takim drzemiącym kryształem jakim był, gdy go znalazłem!

Dostrzegł jej spojrzenie i dodał zgryźliwie: – Nie trzeba nawet wspominać, że tablicy sterowniczej nie brak pewnych urządzeń, chroniących przed ignoranckim manipulowaniem czy złośliwym niszczeniem. Gdyby Krwawnik uruchomił we wrogich intencjach ktoś nie chroniony przez pierścień, zostałby zniszczony.

– A więc kryształ leżałby uśpiony, aż wreszcie Kranor-Rill pochłonałby te zapomniane ruiny! – zawołała zdziwiona Teres. – Jakież szaleństwo popchnęło cię do obudzenia tego zabytku zła starszego świata!

Kane odpowiedział sarkastycznym śmiechem.

– Nazywasz to złem? Krwawnik istnieje poza ludzkimi pojęciami dobra i zła. Nieziemski kryształ jest ogniskiem energii kosmicznej i jako taki Krwawnik jest kluczem do potęgi przerastającej ludzkie zrozumienie. Zamierzam wyzwolić tę potęgę, użyć jej dla własnych celów. Mając takie ambicje nie jestem bardziej "panem zła" niż jakikolwiek inny zdobywca... który zawsze jest szatanem dla swych wrogów, a bogiem dla zwolenników.

– Kto pójdzie za tobą, Kane? – W głosie Teres dźwięczała nienawiść.

Jego odpowiedź była pełna ufności.

– Mocny człowiek pójdzie za silnym przywódcą. Gdy potęga Krwawnika ogarnie Ziemię Południową, wielu będzie takich, którzy sprawę zwycięstwa uczynią własną sprawą. Znacznie lepiej jest przyłączyć się do armii zdobywcy, niż dać się jej zdeptać w marszu! A moja potęga nie zatrzyma się na wybrzeżach Ziemi Południowych!

– Imponujące plany, jak na samotnego awanturnika, ukrywającego się wraz z ropuchami w gnijącej posiadłości! – odparła z gryzącą ironią. – Człowiek, który jest podwójnym zdrajcą, śni o podboju kontynentu!

Jej drwiny go zapiekły. Zachowanie Kane'a stało się mniej wyniosłe.

– Ja tu tylko czekam na właściwy moment! Krwawnik w tej chwili ma maleńki ułamek swej potencjalnej siły. Moi niewolnicy pracują nad naprawą zniszczeń stuleci po to tylko, by przywrócić siłę do jej dawnego poziomu! Krelranie nigdy nie dokończyli Arellarti; zostali zniszczeni przez swych wrogów, nim mogli ukończyć miasto. Gdyby ich praca dosięgła szczytu doskonałości i gdyby starożytny Pan Krwawnika w jakiś sposób nie zdezaktywował kryształu, jak na to wskazują pewne aluzje w ukrytych myślach Krwawnika, Arellarti byłoby nie do zdobycia, nawet za pomocą przepotężnych broni starszej Ziemi!

Zamierzam ukończyć to przedsięwzięcie, rozpoczęte w zapomnianych epokach... doprowadzić Krwawnik do szczytu jego potęgi! Dziś nie jestem jeszcze zabezpieczony przed ciosem, chętnie to przyznaję. Gdyby moje zamiary zostały odkryte, skoncentrowany atak mógłby przynieść mi porażkę. Ale tego rodzaju zjednoczony wysiłek nigdy nie nastąpi. Państwa u moich granic są w stanie wojny. Będą nadal marnować swe siły aż do chwili, gdy mój pierwszy wypad podbije je z łatwością, niczego nie podejrzewające i wyczerpane swymi nędznymi potyczkami! Zamierzam położyć fundament mego imperium tutaj, na Ziemiach Południowych, a wśród tych, co przeżyją, znajdę lojalnych poddanych. Wkrótce nie będzie człowieka, który ośmieli się nazwać moim wrogiem. Bo gdy tylko Arellarti zostanie ukończone według swego pierwotnego projektu, potęga kosmosu będzie potęgą Krwawnika! A wtedy nie będzie armii, miasta czy ludzkiej siły zdolnej mnie powstrzymać!

- Inni już się tak przechwalali! – warknęła Teres. Jego oczy pełne były lodowatego płomienia.
- Tak, a niektórzy z nich utworzyli imperia, istniejące do dziś!

W nocy sen zatruwały jej dziwaczne i niezdrowe marzenia, a gdy Teres otrząsnęła się z przerywanej drzemki, zrozumiała, że nocne zmory nadal trzymają ją pod swym zaklęciem. Z ciemności łypały na nią widmowe kształty, powoli rozplływające się, gdy wpatrywała się w noc rozgorączkowanym wzrokiem, tłumiąc pięścią krzyk, wrywający się z jej ust. Oblewał ją zimny pot, a czoło paliło przyłożone doń chłodne palce. Nawet futrzane okrycia nie wystarczyły, by ukoić jej zimne dreszcze. Aż do wschodu słońca to traciła, to odzyskiwała przytomność, zbyt słaba, by sięgnąć po wodę, której łaknęło jej spieczone gardło.

Gdy Teres nie pojawiła się aż do późnego ranka, Kane zdecydował, że pójdzie ją obudzić. Kiedy jej ochrypły głos odpowiedział na jego ostrożne pukanie, wszedł do pokoju. Gdy ujrzał, że powaliła ją gorączka, na jego twarzy pojawił się ślad niepokoju.

– Wracaj do swych ropuch i czarnoksięstwa, a mnie daj spokojnie umrzeć! – poskarżyła się jękliwie Teres. Wilgotnymi dłońmi odpychała go, lecz nie było siły w jej ramionach.

– Głowę masz gorącą jak gotowane jajko – skomentował Kane, cofając dłoń z jej czoła. Wypytywał ją troskliwie, ale odpowiedzi otrzymywał niejasne.

– Do diabła, Kane! Daj mi spokój! – warknęła, próbując go bezsilnie uderzyć, gdy ściągnął z niej futra i przyłożył ucho do jej nagich pleców.

– A ty, do diabła, bądź cicho! – odpalił. – Próbuję zrozumieć, co się z tobą dzieje! – Zaczął starannie ostukiwać jej plecy palcami obu rąk.

– Nie jesteś lekarzem... choć tylko Thoemowi Przekłętemu wiadomo, czym jeszcze możesz być!

– Skąd wiesz, czym jestem i czym nie jestem? Mam więcej lat, niż sobie wyobrazasz, a człowiek uczy się z wiekiem, czego potrzebuje, jeśli chce stawić czoło zarówno śmierci, jak nudzie.

Teres była zbyt przygnębiona, by dalej na niego krzyczeć. Dotykał jej łagodnie, troskliwie i choć podejrzewała, że gra komedię, by pozyskać jej zaufanie, jego opieka nie była jej niemiła. Zresztą w tej chwili wątpiła, czy cokolwiek może pogorszyć jej nastrój bardziej niż to gorączkowe odrętwienie.

– Twoje płuca wyglądają całkiem dobrze – oświadczył Kane. – Nie sądzę, byś miała zapalenie płuc, przynajmniej jak dotychczas. Wygląda to raczej na gigantyczne przeziębienie, spowodowane przemoknięciem w stanie wyczerpania. Albo może nawdychałaś się jakichś -szkodliwych oparów bagiennych; sam oddech Kranor-Rill jest w wielu miejscach zatruty.

Pomrukując do siebie zaczął przeszukiwać skromne wyposażenie pokoju.

– Jak widzisz, przeniósłem do Arellarti tylko to, co absolutnie niezbędne – wyjaśnił. – Ale mam pod ręką pewne przyteczne leki. – Odmierzył porcję szarawożółtego proszku i wymieszał ją w kubku wina.

– Jeśli mogę wybierać, wolałabym miecz od trucizny.

– Teraz rozumiem, dlaczego Malchion wygląda o dziesięć lat starzej, niż ma w rzeczywistości – warknął zniecierpliwiony Kane. – Twoje sądy są równie pośpieszne, jak logika kapryśna. Znam trucizny, które wysłałyby cię do piekła w szponach niewysłowionej ekstazy, a tylko zabity wie, jak bolesne jest ugryzienie białej broni. Od tego leku przejdzie ci gorączka. Jest to subtelna kompozycja kory, pleśni, korzeni i innych medykamentów, o których zapewne nie słyszeli wasi zacofani wollendańscy medycy. Uśmiechnij się i wypij to albo zwiędnij od gorączki. W tej chwili godziny, które mogę spędzać z dala od Selonari, są bardzo ograniczone, a nie podoba mi się myśl o pozostawieniu bredzącej w gorączce dziewczyny samotnej w Domu Ropuch.

Napój był gorzki i zapewne zawierał środek uspokajający, bo wkrótce potem Teres zasnęła, zastanawiając się, skąd Kane ma taką wiedzę o tajemnych lekach.

Zaglądał do niej wielokrotnie tegoż popołudnia, w nocy i następnego dnia. Lek był skuteczny, bo gorączka wkrótce ustąpiła, a także znikło pulsowanie w głowie. Sypiała po wiele godzin, nadal nawiedzana dziwnymi snami, które mieszały się z jej myślami po obudzeniu. Bardzo mętnie przypominała sobie dotknięcia Kane'a na rozgorączkowanej skórze, jak gdyby stała obok siebie, przyglądając się powalonej gorączką dziewczynie, tulonej w wielkich ramionach, gdy Kane podnosił kubek do warg tej obcej kobiety. Przemawiał do niej, choć niewiele mu odpowiadała, słysząc tylko chaotyczny monolog, za którym nie mogła nadążyć myślami. Zapamiętała tylko ogólne wrażenie imion, ziem i miast na odległych kontynentach, w zapomnianych epokach. Ile z tych urywków, które później odtwarzała w pamięci, pochodziło z jego słów, a ile z jej wyobraźni, Teres nigdy nie zyskała pewności.

Któregoś dnia gorączka ją opuściła; przynajmniej na pewien czas. Jej członkom wróciła siła, zastępując tępe zmęczenie, które trzymało ją tak długo w swym wampirycznym uścisku. Depresja zniknęła wraz z gorączką, choć pozostało jeszcze trochę słabości. Czując, że dusi się w pokoju na wieży, Teres zdecydowała pokosztować trochę porannego powietrza. Chociaż do Kane'a żywiła mieszane uczucia, stanowił intrygujące towarzystwo, wyruszyła więc na poszukiwania.

Niezdarni strażnicy ewidentnie odgadli jej zamiar lub też działali na rozkaz Kane'a, bo gdy opuściła komnatę, wskazali jej drogę. Trzymając się z dala od groteskowych stworów, poszła jednak za nimi do niskiego budynku, stojącego naprzeciw centralnego placu.

Kane był wewnątrz, przykucnięty nad głębokim pęknięciem, które przecinało ścianę i podłogę zasypanego gruzem budynku. Światło było skąpe, Teres nie mogła więc od razu dostrzec, czym Kane się zajmuje. Gdy podeszła bliżej, zaczęła się zastanawiać, czy to nie jest nadal gorączkowe przywidzenie.

Ogromna i niekształtna sieć pajęczna wynurzała się z uskoju w podłodze, rozciągając się skośnie nad pagórkami dziwnych szczątków. A w sieci siedział potworny pająk, większy niż jakakolwiek tarantula z Kranor-Rill; jego grube, czarne łapy miały większą rozpiętość niż nawet ogromne dłonie Kane'a. Jego opasłe ciało o dziwnych proporcjach przypominało dwie męskie pięści złożone końcami, a rzadko usiana szczecina chityna połyskiwała jak kropla czarnej krwi.

Kane tak zajęty był stworzeniem, że nie podniósł wzroku, gdy weszła Teres. Klęcząc koło pajęczyny, podsuwał coś pająkowi. Teres odniosła niesamowite wrażenie, że mężczyzna szepcze coś do owada, choć oczywiste też było, iż pogłos tego miejsca płata figle jej słuchowi, bo zdawało jej się, że słyszy dwa ciche, świergoczące głosy.

Już prawie dotykała jego ramienia, gdy Kane zauważył jej obecność. Pająk wydał zaniepokojony, zgrzytliwy dźwięk i na swych krótkich nogach spiesznie pobiegł do głębokiego pęknięcia w kamiennej podłodze; ale przedtem jego opalizujące oczy spojrzały na Teres wzrokiem pełnym zbrodniczej inteligencji. Krzyknęła i chwyciła Kane'a za ramię.

– On cię nie lubi – mruknął Kane i pokazał jej otwartą dłoń. – Poszedł, nie skończywszy jedzenia. – Na jego dłoni leżały kawałki melona.

– Pajaki nie jadają melonów – rzekła drwiącym głosem Teres, niezdolna ocenić, czy nie było to jeszcze jedno gorączkowe przywidzenie.

– Ten jada. – Kane roześmiał się z siebie tylko znanego żartu. Oczy miał rozszerzone, przez chwilę błędne. – Szczególnie, gdy mu się go przyprawi do smaku. – Z rozcięcia na jego kciuku sączyła się krew.

Teres uciekła ze zrujnowanego budynku, jakby ją goniły krążące cienie szaleństwa. Na zewnątrz błądziła bez celu, sama nie wiedząc jak długo, póki nie poczuła, że Kane idzie u jej boku.

Choć twarz miał dziwnie zaczerwienioną, zachowywał się jak zwykle z ironią. Obserwując jego swobodną postawę, Teres zaczęła się zastanawiać, czy to, co widziała, było snem gorączkowym, czy za zimną żądzą mordy w niesamowitych oczach Kane'a krył się chwilowy obłęd. Zrozumiała wreszcie, że pyta o jej zdrowie – uprzejme zainteresowanie, w absolutnym kontraście z ponurą aurą Arellarti. Odpowiedziała coś bezmyślnie.

– Miejmy więc nadzieję, że wyzdrowiałaś na dobre – kontynuował Kane. – Bo teraz muszę cię opuścić na pewien czas. Niekiedy trudno mi wytłumaczyć swą nieobecność u boku Dribecka, a tym razem za długo tu siedziałem. Jednak nie chciałem cię opuścić, nim całkowicie dojdiesz do siebie. Dlatego wkrótce wracam do Selonari, choć wolałbym powłóczyć się wokół Domu Ropuch i korzystać z jasnego słońca.

– To cholernie uprzejme z twojej strony, że narażasz swe czarne intrygi tylko po to, by obetrzeć mi czoło – mruknęła Teres. – Jak ci idzie ze spiskiem?

– Całkiem dobrze – uśmiechnął się Kane. – Malchion wierzy, że jego córka została potajemnie zamordowana, Dribeck uważa, że kryjesz się gdzieś w granicach Selonari i wysiłki dla wznowienia konfliktu toczą się gorączkowo. W chwili, gdy Krwawnik osiągnie szczyt swej potęgi, kraj będzie w takim chaosie, że będę w stanie zająć go z setką dobrych ludzi.

– To doprawdy przerażające.

Kane rzucił jej ostre spojrzenie.

– Jak długo, Teres, będziesz kiśła w tym rozdrażnieniu? Czy zasługuję na większe lekceważenie niż jakikolwiek inny zdobywca?

– Jesteś skażony złem, nad którym chcesz panować dzięki twej zdradzieckiej taktyce – odparła natychmiast.

Popatrzył na nią niecierpliwie, zacisnąwszy szczęki.

– Człowiek używa takiej broni, jaką potrafi kierować. Potęga armii, potęga Krwawnika... narzędzia zniszczenia, narzędzia imperium. Człowiek umiera od brzeszczotu równie pewnie jak od... Krwawnika.

Jesteś niezwykłą dziewczyną, Teres, a znałem wiele kobiet. Gdybym opowiedział ci więcej, uznałabyś mnie za szaleńca, ale nie jesteś podobna do nikogo, kogo spotkałem przez lata moich wędrówek. Zbędne nawet mówić, że uważam cię za fascynującą. Jesteś mocną kobietą... taką, która podziwia siłę, gdy ją ujrzy u innych. Być może jesteśmy podobni.

Poprzez Krwawnik rozkazuję siłom potrzebnym, by wyrąbać sobie na Ziemi imperium, którego granicami będzie tylko moje własne zainteresowanie tą grą! Mój triumf już nie musi być skażony samotnością. Podzielę się moją potęgą z kimś dość na to silnym!

– Jeśli sądzisz, że ci zaprzędam duszę, to zwariowałeś!

– Doprawdy? – Kane spojrzał jej prosto w oczy. – W twoich oczach jest coś, co widzę, gdy na mnie patrzysz... coś, co starasz się ukryć. Pomyśl o tym, Teres. Dla tych prostaków jesteś monstrum; w najlepszym wypadku być może uda ci się rządzić przez parę lat tym prowincjonalnym miastem-państwem jako ktoś obcy dla twych poddanych i obcy dla samej siebie. Co w tym chwalebne? Moja będzie taka potęga, jakiej człowiek nigdy jeszcze nie posiadał, nie mdła przyjemność rządzenia podbitymi narodami ludzkimi! Ofiarowuję ci miejsce u swego boku, a ty mówisz, że zwariowałem, by cię kusić. Jakaż tania, romantyczna głupota!

– Twoje wysokie mniemanie o cudzej etyce świadczy o oczywistym braku własnego sumienia – skomentowała chłodno Teres.

– Etyka! Twoje skrupuły moralne to bezsensowne wysypisko sprzeczności i głupoty! – wybuchnął. – Ja służę Kane'owi, a nie żadnym innym bogom czy mglistym wartościom!

– Oczywiście.

– Gdzie były twoje wysokie zasady, gdy tak radośnie prowadziłaś armię najezdniczą, by zniszczyć Selonari? – odparował.

– Dribeck spiskował przeciw nam! Broniliśmy się, jak przystało na ludzi: uczciwą siłą i siłą mięśni, a nie nieludzką magią! – odpowiedziała bez wahania.

– Żołnierze, którzy padli, bez wątpienia robili to z uśmiechem na myśl, że słusznie umierają. – Sarkazm Kane'a był jadowity. – Śmierć to śmierć. Zwycięstwo to zwycięstwo. Różnicę stanowi siła... ludzi, broni, strategii, czegokolwiek. Krwawnik jest moją siłą, siłą większą niż jakakolwiek armia. A zwycięstwo zawsze decyduje o moralności wojny... po fakcie.

Teres mruknęła z oburzeniem. Ale gdy ją opuściło, w godzinach spędzanych samotnie w obcym mieście, słowa Kane'a nie dawały jej spokoju, urzekały jej myśli.

– Krwawnik staje się silniejszy z każdym dniem – zauważył Kane pewnego popołudnia. Właśnie powrócił po wielu dniach nieobecności i Teres jego towarzystwo przyniosło pożądaną ulgę. Rillyti ją ignorowali, jeśli nie zbliżała się do murów miasta. Ale prześladował ją dręczący niepokój, czy nie zlekceważą rozkazów Kane'a, a dłuższa znajomość nie zmniejszyła jej odrazy do płazów.

– Nie rozumiem, w jaki sposób ta obsesyjna odbudowa Arellarti może mieć jakikolwiek wpływ na twego krystalicznego demona – drażniła się Teres. – Jasne, że chcesz mieć mury zabezpieczone przed oblężeniem, a grobla musi zostać oczyszczona, abyś mógł wyprowadzić swą armię z bagna. Ale po co marnować tyle wysiłku dla rekonstrukcji błahych ornamentów? I w ogóle po co naprawiasz niepotrzebne budynki? Jest ich tu o wiele więcej, niż potrzeba dla ciebie i tych stworów, a wiele tych budowli wygląda na zupełnie niefunkcjonalne, niektórym brak nawet okien albo drzwi!

– Krelranie nie byli rasą rozrzutników – odparł wymijająco Kane. – A Krwawnik nie jest usposobiony poetycko. Arellarti zostało zaprojektowane jako jednostka funkcjonalna; Krwawnik kieruje jego ukończeniem zgodnie z pierwotnym planem. To, co wydaje się człowiekowi zbędne, dla Krwawnika może być istotne.

Teres zadrżała.

– W nocy, patrząc z wieży, widzę jego złowrogą aureolę unoszącą się nad kopułą.

– Blask nasila się wraz ze wzrostem energii – wyjaśnił Kane. – Tętno życia Arellarti bije silniej. Unikaj tej części miasta, Teres, szczególnie w bezksiężycowe noce.

Uszczypliwy komentarz na temat jego troskliwości uwiązał jej w gardle. Zamiast tego stała milcząco u jego boku, spoglądając na rozświetlone miasto.

– Czemu nadal wykonujesz ten szaleńczy plan? – spytała wreszcie. – Zarówno Malchion, jak Dribeck zapewniliby ci bogactwa i zaszczyty, gdybyś im lojalnie służył. Cóż więcej możesz osiągnąć spuszczac z łańcucha przeciw ludzkości tę potworną siłę? Nie będę zaprzeczać, że potęga i bogactwo warte są walki dla ich zdobycia. Ale iluż z ludzi, którzy w dziejach planowali i walczyli, by zbudować imperia, przekonało się, że ich zdobycz była tego warta? Każdy z lordów Wollendanu zna większe szczęście: ma fortunę i potęgę większą niż potrzebuje, a troski niewdzięcznego i buntowniczego narodu go nie obchodzą.

Nie będę przeczyć, że czuję pociąg do ciebie, Kane. Mówiąc, że jesteśmy bardzo podobni, powiedziałaś prawdę. Oboje jesteśmy obcymi wśród ludzi, którymi zamierzamy rządzić. Ja także podziwiam siłę, a choć wiem, że jesteś bezwzględny demonem, jesteś silniejszy niż którykolwiek z mężczyzn, jakich znałam.

Kane, porzuć to przeklęte przedsięwzięcie! Zniszcz Krwawnik, jeśli rzeczywiście to potrafisz! Wróc ze mną do Breimen! Przysięgam, że nigdy nie wspomnę o twojej zdradzie, o twych czarnoksiężskich intrygach; powiem tylko Malchionowi, że pomogłeś mi uciec od Dribecka, a gdy w Selonari zaczęto cię podejrzewać, zabrałeś mnie z ukrycia i uciekłeś ze mną do Breimen. Nikt w to nie będzie wątpił.

Jeśli będziesz nam służył wiernie, Malchion da ci wszystko, czego zechcesz. Mój ojciec nie będzie rządził wiecznie, a z mocnym człowiekiem u boku moja władza nad Breimen będzie pewna. Uciekaj z tego przeklętego miasta, Kane! Uciekaj wraz ze mną! Będziemy rządzić razem... nad Breimen, Selonari i wszystkimi innymi miastami-państwami, przeciwko którym dobędziemy miecza!

Ich dłonie spotkały się na krawędzi okna. Kane przemówił cichym głosem.

– Prawie słyszę siebie przychyłającego się do twoich myśli, Teres. A gdyby moje motywy były tak proste i bezpośrednie, jak je malujesz, mógłbym zniszczyć tę potęgę, którą tu wyzwoliłem z okowów, i opuścić Arellarti, by wyrąbać sobie królestwo u twego boku.

Twarz miała zagniewaną, ale w jej głosie dźwięczał gorzki ból.

– Ale oczywiście tego nie zrobisz! Żądza władzy jest znacznie bliższa twemu czarnemu sercu niż jakaś tam miłość, którą, jak twierdzisz, do mnie czujesz!

– Teraz zaczęłaś mówić jak kobieta. Postaraj się zrozumieć, że moimi poszukiwaniami kieruje coś więcej niż ślepa żądza władzy.

– A ty mówisz jak mężczyzna... bronisz swej pychy błagając mój słabszy umysł, by zrozumiał!

– Nie jestem pewien, czy jakakolwiek istota ludzka może zrozumieć mój umysł! Najpierw uważałaś mnie za ambitnego awanturnika; później uznałaś za zdradzieckiego demona... Thoem jeden wie, co myślisz o mnie w tej chwili! Teres, ty pojmujesz ledwie cień cienia moich myśli, moich motywów!

– Dziś wieczorem będę lekkomyślna! Błagam, rozjaśnij ciemności mojej nędznej ignorancji.

Milczał długo. Nad Arellarti gęstniał mrok wieczoru, a w sercu miasta świeciła ciemna gwiazda. Teres przesunęła palcem po oknie wieży, walcząc z męczącą sprzecznością złości i miłości, jakie odczuwała dla Kane'a.

– Ile mam lat, Teres? – spytał nagle.

Pytanie wydawało się bezsensowne.

– Wyglądasz na może dziesięć lat starszego ode mnie.

Ale twoje zachowanie wskazuje na większe doświadczenie, pozwolę sobie więc obciążyć twoje barki jeszcze dziesięcioma latami niesławy.

– A gdybym ci powiedział, że moje ciało nie zmieniło wyglądu przez więcej niż dziesięć razy tyle lat, ile mi przypisujesz?

Teres wpatrywała się w niego z niewiarą, zastanawiając się, jaką prowadzi wobec niej grę. Ziemię Południową leżały na granicach powstającej ludzkiej cywilizacji; magia nie była tu czymś tak znajomym, jak na większych kontynentach. Teres słyszała niezliczone ponure opowiadania, ale miała niewiele bezpośredniej wiedzy o magii, jeśli nie liczyć trywialnych popisów wioskowych szamanów... oraz przerażających tajemnic, jakich mieli strzec kapłani Ommema.

– Nie wyglądasz jak ci pokręceny i wiekowi czarownicy, o których słyszałam, że przez całe pokolenia siedzą skuleni w swych wieżach, bełkocząc plugawe zaklęcia i pasąc swe zdeprawowane umysły tajemną i przeklętą wiedzą. Choć z oczu wycziera ci szaleństwo, uważam cię za całkiem ludzkiego. Tego dnia nad Macewen broczyłeś krwią nie mniej czerwoną niż wszyscy.

Kane zrobił niecierpliwy gest. Zaczął obnażać przed nią część swej duszy, a ona pozostała obojętna.

– Masz ograniczoną znajomość utajonych potęg; sądzę, że się z tym zgodzisz. Człowiek może być nieśmiertelny w tym sensie, że niszczący oddech Czasu nie jest w stanie zniszczyć jego istoty cielesnej. Dopóki takiemu człowiekowi udaje się uniknąć gwałtownej śmierci, może żyć i wędrować przez stulecia... Patrząc, jak terażniejszość staje się historią, historia przechodzi do legendy, a legendy blakną i znikają z pamięci ludzkiej. Jeśli zostanie zraniony, jego ciało może uleczyć się bez blizny, nieustannie odmładzane do stanu, w jakim się znajdowało w chwili przekleństwa szalonego boga.

– Nieśmiertelność nie jest uważana za przekleństwo.

– Co śmiertelni o tym wiedzą? Ciało może się uleczyć, ale dusza pozostanie zraniona! Być skazanym na wędrówkę przez wieczność... Napiętnowany jak wyrzutek, bez ziemi, którą nazwałbym domem, i bez człowieka, którego nazwałbym przyjacielem! Cokolwiek pragnie pokochać, objąć, wyslizguje się nieuchronnie z jego objęć. Lata niszczą sam fundament jego nadziei. Samotność! Tylko wspomnienia, zimne fantomy, torturujące go we śnie. I ta ohydna, niszcząca nuda, która z każdym dziesięcioleciem dławi coraz bardziej, gdy w jego duszy smak wściekłych rozkoszy i przelotnych zainteresowań życiem staje się suchy i stęchły! To przekleństwo, które coraz trudniej znieść z każdym mijającym rokiem. Wyobraź sobie, jeśli potrafisz, jak bezcenna staje się dla tego człowieka jakakolwiek szansa znalezienia nowej przygody!

– Samobójstwo bywa nierzadko lekarstwem na rozpacz – odparła cynicznie.

– I samobójstwo byłoby ostateczną kapitulacją przed złośliwą wolą boga, który go przeklął! – oświadczył dzikim głosem.

– Czemu ten człowiek został skazany na taką egzystencję? – spytała niepewnie Teres, zastanawiając się, do jakiego stopnia może uwierzyć chaotycznemu przemówieniu Kane'a.

Ale Kane stał się nagle oporny, wyraźnie żałując swego wybuchu emocji. – Być może mam w sobie coś z ducha takiego człowieka – odparł niejasno. – Chcę od Krwawnika czegoś więcej niż jadowych zębów majestatu władzy, choć nie przeczę, że gra o imperium mnie intryguje. Potęga Krwawnika jest tak nieograniczona, jak energia napędzająca wszechświat, utrzymująca wymiary innych wszechświatów na ich oddzielnych planach. Istnieją niezliczone kanały, w które mogę skierować tę siłę. Widziałas, jak jego energia przekształca pospolite materiały w cudowne substancje; jego piece mogą tryskać złotem czy diamentami tak łatwo, jak przemieniają bagienny gnój w brąz twardy jak stal. Potęga Krwawnika może zniszczyć cały naród lub wynieść nowe lądy z głębin morza. Jesteś świadkiem, jak odbudowuje martwe miasto. Wkrótce ujrzysz zniszczenie całych armii!

Ale inny aspekt potęgi Krwawnika zawiera większe obietnice i fascynacje. Są pewne usterki i sfałdowania w strukturze płaszczyzn między wymiarowych... Punkty, gdzie linie siatki kosmicznej zderzają się ze sobą. Kosmos jest dziedziną, przez którą Krwawnik wędruje jak statek na jakimś fantastycznym morzu. Jego twórcy okiełznali jego energię, aby dać kryształowi kontrolę nad tymi bramami przez wszechświat. Tak więc potęgą tego pierścienia mogę nakazać Krwawnikowi, by przerzucił moje ciało swym polem energetycznym przez bramy międzywymiarowe oraz do punktów ogniskowych, gdzie przejścia otwierają się na nasz świat. Dzięki tej samej sile mogę wracać do Arellarti, kiedy pragnę. Już widziałas, jak to uczyniłem tej nocy, gdy wróciłem z Selonari, by ocalić ci życie, i przy innych okazjach, gdy odchodziłem stąd i wracałem znowu. Na Ziemiach Południowych jest tylko osiem punktów, w których znajdują się te ogniska, a trzy z nich są jeszcze zbyt daleko, by Krwawnik mógł mnie tam przenieść. Na szczęście jeden z nich znajduje się w piwnicy opuszczonego pałacu w Selonari, inny w jaskini o parę godzin jazdy konno do Breimen. Ciekawe, że wszystkie te ogniska znajdują się w miejscach, o których zrodziły się makabryczne

legendy.

Gdy Krwawnik uzyska swą pełną siłę, będę mógł podróżować przez wszystkie te bramy... gdziekolwiek się pojawię na Ziemi. W pierwszych dniach swego odrodzenia Krwawnik nie potrafił przenieść mego ciała poza te mury. Ale niedaleki jest czas, gdy będę mógł podróżować poza Morze Zachodnie, na każdy z bajecznych kontynentów naszego świata, do krajów, na które ledwie zaczął padać cień człowieka! I jeśli się nie pomyliłem co do aluzji przebłyskujących z tajemnych myśli Krwawnika, jego siła może przenieść mnie do gwiazd i poza nie! Krwawnik jest kluczem do nieograniczonego kosmosu, z którego czerpie energię; gdy klucz będzie do końca wykuty, może otworzyć drzwi nieskończoności... a ja będę panem jego tajemnic! Jakiż wpływ będzie miało na mnie widmo nudy, gdy tajemnice kosmosu otworzą się za moim dotknięciem!

Pełny zakres potęgi Krwawnika jest nie do zmierzenia. Nawet wyobraźnia tak doświadczona jak moja waha się w niedowierzaniu wobec obrazów, które błyskają jak gasnące gwiazdy w ciemności jego umysłu! A potrafię pojąć tylko te ukryte znaczenia jego myśli, które może objąć umysł człowieka! Jakie jeszcze tajemnice pulsują w tej krystalicznej głębi, przekracza wszelkie zrozumienie!

Pomyśl o tym dobrze, Teres! Czy jestem szaleńcem lub zdrajcą, ponieważ posiadam klucz do tak niewyobrażalnej potęgi... i śmiem się nim posłużyć? Czy jakikolwiek człowiek może ci zaoferować udział w takiej wizji jak moja?

Gdy potęga zapału Kane'a opanowała myśli Teres, złe przeczucia wydały się jej mniej istotne. Jego argumenty były podstępne; instynktownie zdawała sobie sprawę, że wynikają z logiki bezdusznego zła, ale rozum nie potrafił odrzucić ich racjonalnej konstrukcji.

– Nie wiem, Kane – odpowiedziała niepewnie. – W jakiś sposób zdaję sobie sprawę, że twoje myśli to podstępna trucizna, nienawistna wszystkiemu w co wierzę.

– A dzięki jakim świętościom twoje ukochane wartości potrafią stawić czoło napływowi rzucających im wyzwanie idei?

– Pozwól mi pomyśleć, Kane. Pozwól, żebym sama o tym pomyślała.

Gdy już nadeszła, pozostała. Być może była wcześniej, tylko powstrzymywana ciągłym zaprzeczaniem. Być może przyszła do niej stopniowo. Teres wiedziała tylko, że ona istnieje, niemożliwa do stłumienia od chwili, gdy dała się rozpoznać.

Kane wrócił w nocy. Jasne było, że wykrada się, gdy tylko może, choć jego nieobecność zauważona mogła stać się przyczyną klęski. A Teres wiedziała, że jego pobieżne zainteresowanie sprawami Arellarti nie tłumaczy ryzyka podejmowanego przez tak częste powroty.

Przyniósł trochę wina, odrobinę zapasów żywności, by przyprawić niesmaczne jedzenie, jakie podawali Rillyti. Siedzieli blisko siebie, czując jak wino idzie im do głów. Kane zrobił jakąś przypadkową uwagę, która wywołała śmiech Teres.

Kiedy śmiałam się po raz ostatni? – zastanawiała się oszołomiona, nie mogąc wyjść z podziwu, że tak ludzki dźwięk mógł zabrzmieć w tym nieludzkim mieście. Ich spojrzenia spotkały się i nie odwróciły, gdy przestała się śmiać.

Kane pochylił się i ujął jej głowę w swe dłonie. Teres automatycznie pomyślała, że powinna się cofnąć, ale czując, jak coś budzi się w jej piersi, nie poruszyła się. Ich wargi zetknęły się miękko. Zamknęła oczy do pocałunku. Gdy poczuła, jak ogarnia ją czar jego obecności, jej myśli zawirowały, szarpane sprzecznymi uczuciami.

Połowa jej natury zwyciężyła i Teres namiętnie oddała pocałunek. W tym samym momencie zrozumiała, że nie uchyli się przed jego dotknięciem ani nie opanuje uczuć, przemożnie ją

ogarniających. Jej ramiona otoczyły jego barki, jakby był kotwicą, gdy dawno powstrzymywana burza uczuć pochłonęła ich oboje.

Tej pierwszej nocy kochali się dziko i niezdarnie – jak gdyby zdumieni nowością tego, co znaleźli w sobie wzajemnie i każde samo w sobie. Siła przyływu uczuć, jaki ich ogarnął, była intensywna prawie do brutalności, a ich ciała przewalały się na futrach jak w walce. A później namiętność, którą dzielili, pozostawiła ich oboje wstrząśniętych, oczyszczonych i nagle wypełnionych.

Dziwna ociężałość zaspokojenia grzała Teres, leżącą na piersi Kane'a, z głową pod jego brodą. Jej rozrzucone włosy leżały na ich ciałach jak skradzione promienie słońca, falując w palcach Kane'a, gdy wygładzał ich splątane pasma. Zapomniany w szale sztylet Kane'a leżał na stosie zgniecionych ubrań. Tak łatwo byłoby go schwycić i wbić ostrze w serce tego zaspokojonego, niczego nie podejrzewającego zwierza.

Ale Teres wiedziała, że tego nie robi. Jakiegokolwiek łotrostwa Kane knuł na dzień dzisiejszy, tej nocy byli razem jak dwoje ludzi złączonych miłością. *Miłość?* – pomyślała. Ckliwe słowo, synonim słabości – tak przynajmniej uważała. To, co ich łączyło, nie mogło być miłością, bo przynosiło siłę, a nie jęklive drżenie serca.

Kane popatrzył jej w oczy. Wiedziała, że jego spojrzenie podążyło za nią do pobliskiego sztyletu, a myśli towarzyszyły jej myślom. Gdy poczuł, jak odrzuca pokusę, uśmiechnął się.

Zauważywszy jego uśmiech, Teres uklękła niczym jeździec nad jego udami i pochyliła się do przodu, jakby chciała przycisnąć jego ramiona do ziemi.

– Mruczysz, ty wielki uśmiechnięty kocurze? – syknęła mu w twarz. – Ponieważ postanowiłam się z tobą przespać, nie wyobrażaj sobie w swym kołtuńskim zadowoleniu, że stałeś się moim panem. Będę cię trzymać za słowo, Kane, że jak równi sobie dzielimy wszystko, co każdemu z nas los przyniesie. Ale w dniu, w którym będziesz dla zadowolenia własnej próżności oczekiwał od Teres posłuszeństwa, zabiję cię gołymi rękami.

– Uszanuję twoje ostrzeżenie! – Kane roześmiał się i zamknął jej usta pocałunkiem. A wtedy, czując jak ich namiętność rozpala się na nowo, otuliła go swym aksamitnym uściskiem, a jego urywany oddech miał dla niej urok dźwięku stali.

Jesień miała się ku końcowi i noce zapadały teraz wcześniej niż wówczas, gdy Teres wyjeżdżała ze swą armią z bram Breimen. Tak niewiele tygodni, pomyślała, leżąc bezsennie, wsparta o ramię Kane'a. Jakiż zamęt nastąpił w jej życiu. Aby zniszczyć wzór, jaki tkąła przez całe życie, potrzeba więcej czasu.

Przez okno wieży wpadały zielone smugi złego światła. *Przygląda się nam tutaj* – pomyślała Teres. Gdy zawiesiła zasłony na oknie, Kane tylko się roześmiał. Ale ona uważała, że ten zgubny blask profanuje chwile, gdy się kochają. Światło Krwawnika sięgało teraz nieba, jakby jakiś oszalały księżyc, który spadł na ziemię, ciągle jeszcze rzucał niezdrową poświatę. Wzdłuż granic ludzie z niepokojem opowiadali o dziwnym świetle, sączącym się przez nocne mgły Kranor-Rill. Tak powiedział jej Kane. Ale to mało go obchodziło, bo z absolutną pewnością siebie przepowiadał swój triumf, nim zima nadejdzie.

Druga faza niszczącej wojny między Breimen i Selonari nie była odległa i niewiele też miało upłynąć tygodni, nim Arellarti zostanie ukończone zgodnie ze wzorcem, stworzonym wieki temu przez zaginionych krelrańskich założycieli.

Lecz z każdym mijającym dniem nastrój Teres pogarszał się coraz bardziej. Przedsięwzięcie Kane'a mogło tylko rozpętać na Ziemi zło, o tym była przekonana. I choć jego oślepiające marzenia o

niezmierzonej potędze usilnie ją kusiły, musiałyby działać wbrew samej sobie, chcąc mu dopomagać w tej próbie. Nie mogła w żaden sposób uciec przed świadomością, że Kane zamierza obalić znany jej świat... by uczynić ludzi niewolnikami tej okropności z dzikiego zarania Ziemi.

Kochała Kane'a – jeśli to, co ich łączyło, nie było miłością, nie chciała dowiadywać się, czyni może być miłość. Przez pewien czas wmawiała sobie, że będzie w stanie odwieść Kane'a od zła, które zamierza wyrządzić – wyperswadować mu, by porzucił to szaleństwo i odszedł stąd wraz z nią. Ale nawet gdy użyła wszelkich podstępów, wszelkich chytrych, jakie potrafiła wymyślić, obsesja Kane'a pozostała nieugięta. Z goryczą Teres przyznała, że w tej bitwie poniosła porażkę, a świadomość przegranej wtrąciła ją w męki niezdecydowania.

Ukradkiem wysunęła się z objęć Kane'a, by bardziej zaciągnąć nieposłuszne zasłony. Przez powiewające fałdy dostrzegła błyszczącą kopułę. Jej skrzący się blask majaczył nad Arellarti, omywał ich wieżę jak fala przyływu.

Gdy poprawiała futra, by się do niego przytulić, Kane poruszył się niespokojnie przez sen. Z niechętnym grymasem popatrzyła na złowieszczy pierścień na jego ręce. Także i on rozsiewał słaby blask, złowroźny w ciemności. Zwykle unikała spoglądania na wrogi pierścień, którego kamień, jak twierdził Kane, był bratem gigantycznego kryształu w kopule. Ale tej nocy popatrzyła na niego z bliska, widząc z rosnącym przerażeniem, że w szkarłatnych żyłkach światło pulsowało w rytmie bicia serca, wyczuwalnego w piersi Kane'a.

Tej nocy Kane zasnął tak głęboko, że nasunęło jej to pewną myśl. Ostrożnie dotknęła pierścienia, zastanawiając się, czy potrafi go ściągnąć nie budząc mężczyzny. Pasował bardzo dokładnie, ale może uda się go zsunąć i zmiażdżyć jednym ciosem, nim Kane pojmie jej zamiar. Klejnot odepchnął jej dotknięcie niezmiernym mrozem. Ostrożnie spróbowała obrócić pierścień na palcu.

Zagryzła wargi, by stłumić wrzask. Bo srebrzystobiały metal obrączki zrósł się z ciałem palca Kane'a.

XVI. GDY ŚMIERĆ ZOSTAJE ZDEMASKOWANA

Gdy Kane obudził się, by pocałować ją w świetle poranka, Teres miała twarz wybladłą i gorącą, a oczy zaczerwienione.

– Co się stało? – zapytał z niepokojem, gdy jej wargi dotknęły jego ust z niezwykłą apatią. – Czy nie spałaś?

– Przeleżałam bezsenne większą część nocy – odrzekła. – Obawiam się, że wraca gorączka.

– Więc trzeba było mnie obudzić. Mój sen nie przyniósł odpoczynku, bo utonałem w wizjach, których nie chcę sobie przypominać. – Łagodnie pogłaskał jej twarz palcami, odgarniając jasne pasma włosów, kryjące jej zmizerowaną twarz. Zadrżała pod wpływem zimnego dotknięcia pierścienia.

– Twą twarz masz gorącą i ściągniętą, serce bije ci szybko. Do diabła! Miałem nadzieję, że te nawroty gorączki skończyły się na dobre, choć zauważyłem, że twój normalnie rześki nastrój pogarsza się ostatnio. Zaczekaj, coś przyniosę. – Przeszedł po kamieniach w stronę skrzynki, w której trzymał swoje rzeczy.

– Nie chcę już żadnych twoich tajemniczych leków – poskarżyła się. – Jestem chora od zamknięcia w tym cuchnącym mieście, gdzie nawet powietrze zatruwają smrodliwe opary Kranor-Rill! Kane, czy możesz zabrać mnie ze sobą poprzez Krwawnik?

Spojrzał na nią znad skrzyni z odrobiną nieufności.

– Poprzez Krwawnik przenosiłem przy sobie różne przedmioty. Jego moc wzrosła obecnie do poziomu, przy którym mogę przenieść ze sobą inną osobę, pod warunkiem, że będziemy przytuleni jak kochankowie przed rozstaniem. – Popatrzył na nią pytającym wzrokiem.

– Więc weź mnie ze sobą! – poprosiła Teres. – A może uważasz mnie tylko za pozycję w inwentarzu? Atmosfera tego niezdrowego miejsca dusi mnie za każdym oddechem, wysysa ze mnie siły życiowe jak łakoma pijawka. Kane, zabierz mnie do lasu. Pozwól mi odetchnąć świeżym powietrzem, poczuć ciepłe słońce... spędzić popołudnie poza zasięgiem skażonej aury tej okropności ze starszego świata. Proszę, Kane, zbyt długo przebywałam w cieniu!

Wyglądało, że Kane żałuje swej poprzedniej podejrzliwości.

– Oczywiście, Teres – zgodził się. – Atmosfera Arellarti jest deprymująca. Było z mojej strony bezmyślnością, że wcześniej nie pozwoliłem ci odpocząć od tego niezdrowego moczar. Nie ma co się dziwić, że twoje zdrowie osłabło, gdy cię tu trzymałem w niewoli przez tyle dni. Istnieje ognisko siły kosmicznej, otwierające się w lesie niedaleko na północ stąd. Siła Krwawnika powinna wystarczyć do przeniesienia nas obojga w tamto miejsce.

Gdy weszła do cienistej kopuły, przeżyła chwilę przerażenia. Ogarnęło ich szmaragdowe światło, zabarwiając skóry jak ciała upiornych trupów. Teres stłumiła swój pełen nienawiści strach i widząc, jak Kane pewnym krokiem zbliża się do złowieszczonego kryształu, chwyciła się jego ramienia.

Ruchami, których nie potrafiła dostrzec, przesunął kryształowe pokrętła na tablicy sterowniczej. Uśmiechając się dla dodania jej ducha, podprowadził ją przez pulsujące światło do jarzącego się kryształu.

– Nadal masz na to dość odwagi? – zapytał. Teres uraził jego kpiący ton. Zgrzytnęła zębami.

– Potrafię wytrzymać wszystko co ty!

– Więc stań blisko mnie – zarządził. – Musimy wspólnie znaleźć się w polu siłowym pierścienia.

Teres ochoczo przytuliła się do jego potężnego ciała i otoczyła go ramionami, jakby to był ich

ostatni uścisk. W Krwawniku wysoko zahuczwała energia, odczuwalna w głowie, choć nie słuchem. Poczwała elektryczne mrowienie i w przerażeniu dostrzegła tańczącą sieć zielonego ognia, ogarniającą ich sylwetki. Teres spazmatycznie zacisnęła ramiona, tuląc się do Kane'a, gdy wybuchnął nad nimi wir energii, wsysając ich w głąb... w głąb...

Ohydny zawrót głowy. Ciemność. Spadanie w wieczność. Spadanie w wieczność.

Błysk białego światła. Poczując coś twardego pod podszewkami, Teres zachwiała się. A potem upadła, przewracając Kane'a. Walczyli, by chwycić równowagę, wijąc się na zasypanym liśćmi kamieniu. Krwawnik, Arellarti, Kranor-Rill, wszystko znikło. Otaczał ich złotożółty jesienny las, gdzie ciepłe, znajome promienie słońca sączyły się przez wspaniałe ubarwione drzewa.

Szara, krętym wałem wypiętrzona ponad ziemię skała, której pochylone i dziwacznie zwietrzałe kolumny wskazywały, że nie tylko jest dziełem natury, znaczyła to ognisko międzywymiarowych prądów. Gdy Teres próbowała przytrzymać się Kane'a, zaczepił butem o strzaskany postument i przerażona dziewczyna runęła na niego, przewracając na kamień. W panice przycisnęła jego ramiona starając się złagodzić swój upadek i pchnięciem barku odrzuciła go na złamaną kolumnę. Uderzył czaszką o kamień, tracąc przytomność we mgle oślepiającego bólu.

Teres przyjrzała mu się z niepokojem. Tam, gdzie uderzył się o kamień, ciemniejsza czerwień splamiła mu gęste włosy, ale jego pierś podnosiła się regularnie. To był prawie przypadek, pomyślała Teres, choć jej czyn nie był skutkiem paniki.

Przekonała Kane'a, by ją zabrał z Arellarti, nie mając jeszcze żadnego jasnego planu czy zamiaru – prócz czmychnięcia, ucieczki od złowrogiej poświaty Krwawnika, ale też i od Kane'a, gdy odmówił wyrwania się z tych przeklętych więzów. Teres chciała tylko przedostać się do świata poza tymi zamglonymi rozlewiskami, świata ludzi, prawdziwego światła słonecznego i twardego gruntu. Świata, gdzie wieki temu dzika dziewczyna siłowała się opanować sztuki wojenne, o których śpiewały ballady minstreli, i nigdy nie śniła nawet, że może pogрузić się w czarnych dziedzinach starszej Ziemi, której legendy wspominano w tajemniczych poematach. Niech tylko Kane zabierze ją z powrotem do jej świata, wtedy będzie nadzieja ucieczki przed tym trawiącym ją lękiem. Nie było innej szansy na ucieczkę z Arellarti z jego bestialskimi strażnikami i Kranor-Rill, otaczającym miasto jak zatruta fosa. Ale jak wymknąć się Kane'owi? Przez głowę przelatywały jej setki fantastycznych możliwości. Ale oprócz przemożnej chęci ucieczki, Teres nie mogła się na nic zdecydować.

Swą szansę dostrzegła, gdy pochłaniający ich podczas przechodzenia między planami czasu i przestrzeni wir wypluł ją na tym poszarpanym kopcu, chwiejącą się na nogach i mrugającą oczami od gwałtownego wstrząsu. Potrzeba ucieczki spowodowała, że jej działania były prawie odruchowe. Przewróciła Kane'a, gdy chwiali się razem, i uderzyła jego głową o skłon skały. I co teraz?

Drżącą ręką wyciągnęła sztylet Kane'a. Rękojeść chłodziła jej dłoń; klinga była jak promyk rozpalonego do białości światła. Teraz, gdy leżał bez zmysłów, mogła go zabić. Tchórzliwy sposób zadania śmierci tak potężnemu wojownikowi, ale nie było nadziei, by mogła go pokonać w równej walce. I z pewnością należało go zabić. Niezależnie od jej uczucia dla tego człowieka – bo był człowiekiem, choć jego myśli i motywy mogły się zdawać nieludzkie – nie można było zaprzeczyć, że jego działania są zdradzieckie, ani temu, że zamierzał przywołać obce zło pochodzące z gwiazd świecących nad Ziemią u jej świtu. Jeśli ta groza ma zostać powstrzymana, on musi umrzeć. Prawda, że kilkakrotnie ocalił jej życie; prawda, że wierzyła, iż go kocha, a on odpowiadał jej miłością. Porównując to z bezmiernymi cierpieniami, które jego szaleńcze sny mają sprowadzić na ludzkość... Musi umrzeć, a jej ręka może wymierzyć cios. Legendarni bohaterowie, którym pragnęła dorównać, nie zawahaliby się. Tylko Jasny Ommem wie, jakich zbrodni ten człowiek się dopuszczał, jeśli w jego aluzjach do nieśmiertelności kryła się prawda. Lepiej, by kochająca ręka trzymała nóż i uderzyła

w serce, przynosząc mu szybką, czystą śmierć, nim się obudzi.

Huragan sprzecznych myśli i uczuć. Ale minęły ledwie sekundy, a opuściła nóż, niezdolnym ciężarem sprawiający ból w ręce, jakby trzymała go przez całą wieczność. Niemal pogardzając własną słabością zrozumiała, że nie potrafi w taki sposób zabić Kane'a.

Na jego dłoni pierścień płonął blaskiem posępnym i nienaturalnym w promieniach słońca. Zdawał się ją śledzić. Być może tak i było. Parsknąwszy niewesołym śmiechem, Teres ujrzała rozwiązanie swego dylematu. Bez pierścienia Kane nic zrobić nie może. Jeśli go zniszczy, siła Kane'a zniknie, a jego czarne intrygi rozsypią się jak piasek. Zapewne nigdy jej nie wybaczy, ale lepiej żyć z przekleństwem jego nienawiści niż z plamą jego krwi.

Skurczonymi palcami dotknęła pierścienia, chwytając go zdecydowanie, jak żmiję za gardło. Jej odkrycie ubiegłej nocy nie było koszmarnym złudzeniem: w świetle dziennym widziała, że metal pierścienia łączy się z ciałem jego środkowego palca. Na próbę pociągnęła za pierścień. Nawet nie drgnął.

Nieważne. Jeśli pierścień nie chce opuścić palca, palec może opuścić dłoń. Makabryczna robota, ale w tych straszliwych okolicznościach palec był bardzo drobną stratą. Szybko, nim się ocknie.

Zebrawszy odwagę Teres przycisnęła kolaniem lewą rękę Kane'a do ziemi i wyprostowała jego środkowy palec. Klejnot błyszczał jak niewyobrażalny ogień, uwięziony w głębinach zielonego morza. Przyłożyła ostrą jak brzytwa klingę do podstawy palca i zaczęła naciskać.

Teres wrzasnęła. Nóż wypadł dymiąc z jej bezwładnej ręki z ostrzem poczerniałym i nadtopionym w miejscu, które się zagłębiło w skórę Kane'a. W chwili nacięcia spazm piorunującego bólu popłynął klingą i uderzył jak niewidzialna błyskawica wzdłuż jej ręki. Upadła na plecy oszołomiona i chora z szarpiącego bólu.

– Co, u diabła? – ryknął Kane, nagle wyrwany z odrętwienia. Rozejrzał się dookoła w zmieszaniu, zauważył płytkie nacięcie na ręce, osmalone ostrze, półprzytomną dziewczynę. Z przerażającą szybkością jego umysł odtworzył przebieg wydarzeń.

Gdy z trudem wstawał na nogi, w jego oczach mordercy płonęła śmiertelna wściekłość.

Teres oprzytomniała szybciej. Nie było przyjemnie patrzeć, jak na twarzy Kane'a gniew walczy z bólem. Pozostała jej tylko ucieczka.

Wydostała się ze stosu pochyłonych kamieni, skoczyła w otwarty las i oddaliła się znacznie, nim Kane otrząsnął się z oszołomienia i rzucił w pogoń. Jego ciężkie kroki rozlegały się tęnym rytmem na leśnym podłożu, gdy ją ścigał. Raz ją zawołał, ale nie tracił oddechu na dalsze nawoływania.

Teres była zwinna jak lisica. Długie nogi miała wytrzymałe, ufała więc, że zyskawszy na starcie, będzie mogła szybko zdystansować Kane'a. Jego krzepkie ciało wydawało się o wiele za ciężkie na pieszy wyścig, nawet biorąc pod uwagę zauważoną przez Teres nagłą szybkość jego poruszeń. Niemniej wiedziała, że jest szybszy niż większość mężczyzn i miała nadzieję, że zgubi swego prześladowcę, nim odbiegną daleko.

Ale już na krótkim odcinku przekonała się, że jej nadzieja była złudna. Kane zeskoczył ze skały i ruszył za nią jak szarżujący byk. Od razu zmniejszył dzielącą ich odległość. Ale potem, przekonawszy się, że nie może doścignąć jej natychmiast, przyjął tempo pozwalające mu podążać tuż za nią. Jego masywne nogi nadawały mu potężny pęd, a szeroka pierś oddychała regularnie. Trzymał się jej tropu jak ogromny, milczący pies na niedźwiedzie.

Teres rozpoczęła bieg z taką szybkością, na jaką mogła się zdobyć, a potem starała się utrzymać takie samo tempo. Potężne pnie drzew przelatywały koło niej szarymi błyskawicami, czasem wyskakując przed nią jak wywołane czarami. Korzenie i martwe gałęzie czepiały się jej stóp, ale

jakoś zdołała ich unikać. Leśny półmrok powodował, że gleba była wolna od podszycia, a wysokie pnie pozbawione dolnych gałęzi; inaczej ich wyścig miałby inny przebieg. Teres nie była w stanie przebijać się przez podszycie tak łatwo jak jej nieubłagany prześladowca. Niczym dzieci grające w berka w jakiejś fantastycznej świątyni o niezliczonych kolumnach, mknęli przez gęsty las, a odgłos ich kroków tłumiły zgniłe liście. Tym głośniejszy słychać było dyszenie ich płuc, bicie serc.

Teres ze smutkiem zdała sobie sprawę, że nie pozbędzie się łatwo Kane'a. Z nie słabnącą siłą biegł za nią z głośnym tupotem, czasem zbliżając się nieco, niekiedy zostając w tyle. Ale nigdy nie stracił z oczu swego łupu, a w miarę jak polowanie się przeciągało, widać było wyraźnie, że powoli zmniejsza dzielący ich dystans. Gorączka i tygodnie beczynności podkopały odporność Teres. Teraz już z trudem chwytła powietrze, jej drugi oddech zaczął się wyczerpywać, mięśnie skręcały się od bolesnego zmęczenia, odbierając grację jej jelenim skokom.

Jedno z nich musi wkrótce paść na leśną glebę, o tym wiedziała, a wszystko wskazywało, że osobą tą będzie Teres. Chyba że nastąpi jakiś cud i to prędko. Straciła chwilę próbując uskoczyć w labirynt pni, by zniknąć mu z oczu, może nawet zgubić go w lesie. Ale na taki manewr Kane był już zbyt blisko, jej zaś nie starczało tchu ani ruchliwości, by pobiec zygzakami.

Las nagle ustąpił miejsca drodze. Z sercem walącym zbyt boleśnie, by potrafiła jasno myśleć, Teres skręciła na gościniec i wykorzystwała jego twardszą nawierzchnię, by zyskać parę kroków przewagi nad Kane'em. Teraz już tylko strach był źródłem siły jej umęczonych kończyn, a pierś bolała zbyt okropnie, by zaczerpnąć tchu. Popędziła traktem na uginających się nogach. Kane z bezlitosną cierpliwością mknął za nią krok w krok i zdawało jej się, że niemal czuje jego chrapliwy oddech na swym karku. Choć nie miała nadziei, że mu tu ujdzie, na otwartej drodze bieg był odrobinę lżejszy; może pozwoli jej jeszcze na sto jardów ucieczki, nim zwali się na ziemię w oczekiwaniu gniewu Kane'a. A jeśli bogowie szczęścia pozwolą, może za drzewami leżeć ukryta wioska.

Zwisające gałęzie drzew, których arkada przykrywała drogę, przepuszczały oszłamiającą, ruchomą mozaikę światła i cienia, okrywającą gościniec i miękką ziemię. Kołyszącą się ziemię.

Koń zarżał i stanął dęba. Zaskoczeni ludzie wyrzaskiwali przekleństwa. Na ślepo wzięła zakręt i wpadła na oddział zbrojnych. *Żołnierze!* Zbyt kręciło jej się w głowie i zbyt mąciło w oczach, by mogła odróżnić, czyi to byli ludzie, ani nawet o to zbytnio nie dbała w swym śmiertelnym wyczerpaniu.

Padła na kolana przed tańczącym wierzchowcem, wciągając ze szlochem wielkie hausty powietrza w falującą pierś.

– Co tu, u diabła, się dzieje?! – spytał znajomy głos. Lord Dribeck uspokoił swego bijącego kopytami ogiera i wlepił wzrok w dyszącą postać, zagrządzającą mu drogę. – Na cycki Shenan! To Teres! Tej twarzy nigdy nie zapomnę! Sądząc z wyglądu, przerażona śmiertelnie! I Kane! Następna twarz dobrze zapamiętana! Co ty tu robisz, Kane? Co się dzieje?

Kane nie okazywał najmniejszego zmieszania.

– Złapałem dla ciebie uciekiniera, milordzie – wyjaśnił powoli, by zaczerpnąć tchu. Teraz żałował, że nie zakończył pogoni w lesie, ale wówczas sycił się beznadziejnym strachem Teres, choć nawet przez ostatnią milę czy więcej mógł ją dogonić. Mógł zakończyć jej ucieczkę w inny sposób, ale pomimo gniewu nie zamierzał jej zabijać.

– Myślałem, że prowadzisz zwiad wzdłuż granicy – odezwał się Dribeck.

– Tak i było... do chwili, gdy przechwyciłem pewne informacje, które ujawniły, iż Teres ukrywa się na skraju Kranor-Rill. Nie chciałem dać jej szansy nabrania podejrzeń i wyślizgnięcia się znowu, więc natychmiast pojechałem na południe. Zajeżdżwszy konia dostałem się do opuszczonego gospodarstwa, gdzie się schowała, nim miała czas cokolwiek przedsięwziąć. Próbowала uciec mi

przez las, a reszta jest oczywista. Widzę, że także dowiedziałeś się o jej ukryciu, bo prowadzisz oddział żołnierzy, by ją schwytać. – Kane z niepokojem zastanawiał się, jak wnikliwe badanie wytrzyma jego wypowiedziana bez zająknięcia historyjka.

– Nie, prowadzę mych ludzi do Kranor-Rill, by zapoznać się z rosnącym niepokojem wzdłuż południowej granicy i o ile możliwe, uciszyć go. Nieustannie dochodzą do nas wieści o dziwacznie błyszczących światłach, emanujących w nocy z bagiennych mgieł, a także, że Rillyti budują jakąś drogę przez kurzawkę... No, ty też je słyszałeś. – Dribeck popatrzył badawczo i z namysłem na Kane'a. Prawdę powiedziawszy na pierwszy rzut oka wszystko zdawało się potwierdzać zdumiewającą opowieść Kane'a.

– Dribeck, jeśli jeszcze przez chwilę będziesz wierzył kłamstwom tego złoczyńcy, zasłużysz na zgubę, jaką planuje dla nas wszystkich! – warknęła Teres, która wreszcie odzyskała dość tchu, by przemówić.

Przez twarz Kane'a przemknął błysk cierpienia, nim zdążył przybrać swą zwykłą maskę. Dribeck to zauważył. Teraz Kane miał minę uważnego rozbawienia.

– Co te brednie oznaczają? – spytał Dribeck.

– Jej język jest jadowity jak zawsze – zauważył Kane. – Po tygodniach samotnego ukrywania się zdolna jest zadziwić nasze uszy długo gromadzoną trucizną.

Teres kontynuowała uparcie.

– Wierzysz, że Kane jest twoim zaufanym dowódcą, prawda, Dribeck? Otóż nie jesteś jedynym głupcem na Ziemiach Południowych; Malchion uważa, że Kane jest jego najbardziej pomysłowym szpiegiem. A ten wąż na naszych piersiach ukąsił nas oboje. Kane, wygrywając nas wzajemnie przeciw sobie, pozostawał panem własnej gry! W Arellarti odkrył jakąś monstrualną siłę, którą ma nadzieję opanować... Złą siłę, która zniewoli cały rodzaj ludzki, jeśli uda mu się ją wypuścić! A my mamy być pierwszą zdobyczą jego podboju!

– Otóż i zabawny pomysł – skomentował sardonicznie Kane. – Zwrócić swych wrogów jednego przeciw drugiemu, czy o to chodzi, Teres? Twoje kłamstwa są dowodem wielkiej imaginacji, ale wymyśliłaś je zbyt szybko... i zbyt są ekstrawaganckie, by w nie uwierzyć. Lepiej by ci się udało, gdybyś uczyniła swe fantazje prostszymi, mniej pretensjonalnymi.

Ale już zwątpienie szeptało mu do ucha: *Jeśli to pociągnie się dalej...*

– Jestem zdumiony, że dziewczyna może opowiadać tak nieprawdopodobne baśnie – zauważył uszczypliwie Dribeck. – Chyba że przyjmiemy, iż jej niespójne oskarżenia zawierają jakieś ziarno prawdy.

– Tylko rozpacz i sprawną imaginację – wtrącił się pośpiesznie Kane. – Twoje opowiadanie o widmowym zielonym promieniowaniu i tym podobnych zjawiskach dały jej podstawę do pośpiesznych zmyśleń.

– Zdemaskuję nikczemnego kłamcę! – Teres zaklęła, wstając niepewnie na nogi. – Ten szczególny pierścień, jaki nosi. Używa go do sterowania Krwawnikiem, a przynajmniej w to wierzy! Ale pierścień jest wtopiony w jego ciało, a jego dusza jest złączona z Krwawnikiem! Rozkaż, by Kane zdjął pierścień i wręczył tobie! Wtedy zobaczysz, jak gładki jest jego język!

– Sprawa jest więc łatwa do rozstrzygnięcia. Kane, podaj mi ten dziwny pierścień, jaki nosisz.

Kiwnąwszy potwierdzająco głową, Kane pociągnął za pierścień. – Do diabła! Jest bardzo ciasny od chwili, gdy poleciłem jubilerowi go dopasować. Dlatego tak rzadko go zdejmuję. A więc, jak widzisz, nie jest to nic więcej, niż dziwnego kształtu pierścień, który mi się spodobał. – Wyciągnął dłoń, pokazując klejnot. – A teraz, dość już pobłażałaś kaprysom naszego jeńca...

– On nie może zdjąć pierścienia! – upierała się Teres. – Pierścień jest zrośnięty z jego ciałem!

Niech ci to pokaże!

– Daj mi obejrzyć pierścień, Kane. Podaj mi dłoń, jeśli pierścień nie chce ci się prześlizgnąć przez kłykieć – zdecydowanym głosem rozkazał Dribeck.

– Milordzie – zaczął Kane czując, że przegrywa pojedynek – wydaje mi się bezsensowne dalsze uleganie mało pomysłowym oszczerstwom twego więźnia. Z pewnością przypominasz sobie, jak luźny był, nim poleciłem jubilerowi, by się nim zajął... zbyt gorliwie, jak się okazuje.

Dribeck nie odwrócił wzroku. Wielu żołnierzy stojących za nim położyło dłonie na rękojeściach mieczy. Teraz lord przypomniał sobie znaczący fakt, że zmiana w pierścieniu nastąpiła w czasie, gdy Kane rzekomo błędził w Kranor-Rill.

Kane uśmiechnął się słabo, widocznie uświadamiając sobie przegraną. A potem jego twarz skurczyła się od innej emocji.

– Jeśli żądasz, dam ci ja mój pierścień! – ryknął. Wyciągnął lewą dłoń z zaciśniętą pięścią, z której krwawnik spoglądał jak mściwe oko.

Jakiś strzép wspomnień oraz instynkt ostrzegł Teres. Wrzasnęła, dała susa w bok i uderzyła konia Dribecka. Wierzchowiec spłoszył się i odskoczył.

Z krwawnika wystrzelił skrzący się promień energii, szmaragdowego światła z czerwonymi żyłkami i trzasnął w miejsce, gdzie przed chwilą się znajdowali.

Za nimi ktoś zakrzyczał w agonii, ludzie wyli ze strachu. Zaplątawszy się we własne kończyny, żołnierz zwałił się na twarz z ciałem poczerniałym jak od trafienia piorunu. W powietrzu rozległ się smród ozonu i spalonego mięsa. Kane zaklął z furją.

Teraz wszystko potoczyło się szybko. Kane zwrócił się do Teres i Dribecka. Dwaj konni gwardziści zaszarżowali na niego z wyciągniętymi mieczami, odwracając jego uwagę ku nowemu zagrożeniu. Znów piorun energii wytrysnął z pierścienia i gwardziści skrzyli się w dymiący, bezładny kłęb. Najbliżsi z rębaczy Dribecka przyskoczyli do niego i zginęli okropną śmiercią od błyszczącej włócznie energii.

Dribeck nie był tak głupi, by stawić czoło temu, czego nie mógł zwalczyć. W tych kilku sekundach, które dało mu odwrócenie uwagi Kane'a, wciągnął Teres na siodło i dawszy koniowi ostrogi popędził w las. Gdy tylko opuścili drogę, śmiercionośny promień błysnął koło ich głów, roztrzaskując drzewo na płonące drzazgi. Koń, popędzany strachem, rzucił się pod zwisające gałęzie.

– Schył się! – krzyknął niepotrzebnie Dribeck. Ogier ledwie unikał zderzenia z przelatującymi obok pniami. Znów strzelił za nimi promień energii, niszcząc szereg drzew. Ale spudłował. Kane zgubił ich w lesie.

Na gościńcu nie ludzka śmierć bezlitośnie pożerała ofiary. Gdy szaleńczy atak na samotnego demona zniszczenia obrócił połowę z nich w poczerniałe trupy, Selonaryjczycy złamali szeregi i zaczęli się cofać. Kane przeczesywał las swą morderczą bronią, obracając ich wycofywanie się w bezładną ucieczkę. Kosiła ich straszliwa broń.

Ale gdy zniknęli, jego morderczy szal zgasł. Poczując nagłą słabość zaprzestał rzezi i zaczął cofać się w stronę koła pochylnych kamieni, skąd Krwawnik mógł przenieść go znów do Arellarti. Samotnego.

Maska opadła. Kraj powstał przeciw Kane'owi. Jedyńemu spadkobiercy sił starszej Ziemi.

XVII. JAKI RODZAJ CZŁOWIEKA...

– Uważam, że mieliśmy szczęście, iż Kane nie posiadał łuku – zauważył Lord Dribeck z wymuszoną swobodą. – Bo wykluczone, by nas wtedy nie trafił.

– A gdyby twoi ludzie ustali w miejscu jak zdyscyplinowane wojsko, łucznicy przeszyliby strzałami jego zdradzieckie serce – zwrócił uwagę Crempra.

– Łatwo się mówi, gdy się tam nie było – zadrwiła Teres. – Gdybyś widział ciała... Rzucił z pierścienia diabelskie pioruny! Wyszkolenie ani odwaga waszych ludzi nie miały znaczenia. Zaskoczeni na otwartej przestrzeni przez nieznaną broń, spalającą i niszczącą każdym uderzeniem! Do diabła, każdy by wziął dupę w troki!

Szaleńczy galop doprowadził wieczorem Dribecka i Teres do Selonari. Podczas jazdy Teres ostatkiem tchu zdołała opowiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się od jej zniknięcia z komnat Dribecka. Dribeck już domyślił się roli Ristkona w owej krwawej ucieczce i nie miał do Teres pretensji o zamieszanie, jakie sprawiła tamta śmierć. Biorąc pod uwagę zmienione spiskiem Kane'a okoliczności, Teres znalazła się obecnie w roli przypuszczalnego sprzymierzeńca.

Gdy dotarli do Selonari, załamała się z wyczerpania i zapadła w sen na całą noc. Dribeck tymczasem zbierał w całość fragmenty informacji, wynikających z tego odwrócenia sytuacji.

Rankiem nadeszło uprzejme zaproszenie na zwołaną przez pana Selonari radę wojenną, mającą rozważyć nowe zagrożenie, wynikłe ze zdrady Kane'a.

Nieco odświeżona Teres przywdziała koszulę z ciemnoniebieskiego jedwabiu z szerokimi rękawami i spodnie z wiśniowej irchy, przygotowane dla niej. Nowa odzież spodobała się jej i staranniej niż zwykle zaplotła warkocz, dziwiąc się równocześnie, jak mogła mieć tego rodzaju światowe zainteresowania po okropnościach, jakich doznała. Do sali rady odprowadziła ją eskorta. Oczekiwało ją tam w zdenerwowaniu zgromadzenie, złożone z Lorda Dribecka, Crempry, Asbralna, Ovstala i kilku innych oficerów i doradców, których nazwisk nie pamiętała. W uzupełnieniu do opowiadania Teres Dribeck przedłożył zebrane przez siebie informacje.

– Spóźnione żale nie na wiele nam się przydadzą – zauważył, przerywając rozpoczynającą się między Teres i Crempra sprzeczkę. – Na nieszczęście jest to jednak wszystko, czym dysponujemy w tej chwili. Zestawiając fakty dochodzimy do oczywistego wniosku, że Kane naprawdę wygrywał Breimen przeciw Selonari we własnych celach. Sprowokował inwazję Malchiona, która w końcu równie dobrze mogła nastąpić, jak nie nastąpić, karmiąc go wszelkimi strachami, kłamstwami i plotkami, którym Wilk chętnie nadstawiał ucha. Aby zaś doprowadzić sprawę do końca, Kane udał, że ostrzega Malchiona przed morderczym spiskiem, a potem bezczelnie otruił Ossvalta i próbował tego samego z Lutwionem. Teres opowiedziała nam o jego znajomości niezwykłych trucizn. Gdy splątała sieć, którą zarzucił na Lutwiona, Kane wytropił go w nocy, a następnie zabił wraz z jego ludźmi mocą pierścienia.

– A potem znaleziono inne ciało zabitego w ten sam sposób – wtrąciła Teres. – Ale nigdy nie zidentyfikowaliśmy go, bo ścierwniki i rzeka zrobiły swoje.

Dribeck kiwnął głową.

– Myślę, że mogę zaryzykować domysł. Wspomniałaś, że jeden ze służących Lutwiona wymknął się owej nocy. Uznałaś, że to morderca. Rzeczywiście miałem szpiega umieszczonego wśród służby Lutwiona, a mniej więcej w tym czasie człowiek znikł bez śladu. Jeśli wolno mi teoretyzować, być może mój agent jakoś rozpoznał Kane'a, ale i Kane był tego świadom. Człowiek próbował ucieczki, by przekazać tę informację, ale Kane podążył za nim z dworu Lutwiona i tej nocy pierścień z krwawnikiem odebrał kolejne życie.

– W takim razie czemu Kane walczył w naszej sprawie? – chciał się dowiedzieć Ovstal. – To jego miecz i jego dowodzenie w bitwie nad rzeką najbardziej ze wszystkich ludzi przyczyniły się do zwycięstwa Selonari.

– Słusznie, i do tego ocalił mi życie – dodał Dribeck. – Być może było to pociągnięcie dla umocnienia mego zaufania do niego. – Przez chwilę w głosie lorda zabrzmiało coś dziwnego. – I oczywiście jego pozycja tutaj pozwalała na przekazywanie Malchionowi ułamków informacji, w większości bezużytecznych.

Ale pamiętajcie, że Kane ma umysł pełen chytrych pomysłów. Widać to z całej jego strategii; łatwości, z jaką manipulował nami wszystkimi od chwili, gdy przekonał mnie, bym mu dał oddział ekspedycyjny, którego potrzebował, aby dotrzeć do Arellarti. Mógł nawet sam napisać tę książkę o dyplomacji, którą podarował mi przy pierwszym spotkaniu. Nie, motywy Kane'a były bardziej pokretnie i jeśli mogę się odważyć na taką śmiałość, powiedziałbym, że rozumiem jego logikę. Kane zapewne wywnioskował, że jeśli bitwę pozostawi się na los wojennego szczęścia, Breimen podbije Selonari... i zapewne miał rację. Ale uznał, że niewiele zyska na tym zwycięstwie, pragnął bowiem kosztownej i długotrwałej wojny, zbyt wyczerpującej siły obu państw, aby mogły mu zagrozić. Kane więc otwarcie walczył za Selonari, by odwrócić szansę. Wielkie to było ryzyko, ale jak wynik udowodnił, uzasadnione. W tym celu przekazał Malchionowi dezinformację, że nasza armia rozłożyła się obozem wzdłuż brodów na Macewen i w ten sposób skusił Wilka do zgubnej próby z mostem. I choć taktyka ataku kawaleryjskiego, która odwróciła los bitwy na naszą korzyść, była dziełem Ristkona i moim, pierwotny pomysł należał do Kane'a. Uważałem wówczas, że jego skromność jest bezinteresowna.

Po bitwie niesubordynacja Ristkona zagrała Kane'owi na rękę. Poufnie oświadczyłem, że mam nadzieję po klęsce inwazji Malchiona zakończyć tę wojnę traktatem pokojowym. Możecie sobie wyobrazić, jaka była reakcja Kane'a na taki rozwój wypadków. Jego zamiarem było przedłużyć wojnę. Tak czy inaczej zapewne próbowałby uwolnić Teres, ponieważ była ona kluczem do mojego proponowanego zawieszenia broni. Ale zdarzyło się, że Ristkon przygotował wszystko tak, że Kane mógł przejąć inicjatywę. Dopomógł Teres w ucieczce, wysłał ją do Breimen z zapewnieniem, że moja propozycja pokojowa jest tylko maską dla mej własnej inwazji Breimen, a potem śmiało zapewnił mnie, że jej ucieczka w oczywisty sposób oznacza odrzucenie jakiegokolwiek zawieszenia broni. Pokojówki opowiedziały o próbie zgwałcenia Teres, ale gdy Kane przybył, były zamknięte w alkowie. Tak więc jego udział w ucieczce nigdy nie wyszedł na jaw, a ja po prostu przyjąłem, że Teres w jakiś sposób nam się wymknęła w zamieszaniu owej nocy, co oczywiście właśnie tak się rozegrało.

Ale Kane nie wziął pod uwagę kaprysów rzeki. Teres zabłądziła do jego legowiska i z przyczyn, które nie są całkiem jasne, Kane trzymał ją żywą w Arellarti. Tymczasem musiał poinformować Malchiona, że ja potajemnie dokonałem egzekucji jego córki, w ten sposób rozdmuchując płomień nienawiści między nami. Teres opowiedziała nam, jaką groźbę stanowią poczynania Kane'a w Arellarti. Gdyby nie miała dość odwagi, by spróbować ucieczki, najprawdopodobniej nadal tańczylibyśmy jak kukielki, pociągane przez tego mistrza intrygi... aż do momentu, w którym zdecydowałby wypuścić to czarnoksiężstwo starszych na nasze niezdolne do oporu i zmęczone wojną kraje.

– Niewiarygodne, co za człowiek! – wykrzyknął Asbraln. – Patrząc obiektywnie, jego intryga jest majstersztykiem bezwzględnej sprytu, dziełem geniuszu! Ale niezależnie od jego machinacji politycznych, jest jeszcze jego obłąkańczy plan ożywienia jakiejś pogrzebanej od wieków nieludzkiej magii! Za jakimż to człowiekiem walczymy?

– Ta tajemnica może okazać się głębsza, niż przypuszczamy – odezwał się Dribeck. – Pewne niejasne odezwania się Kane'a... na pozór wypowiedzi szaleńca... które Teres opowiedziała nam, obudziły w mej pamięci pewne stare widma. Część nocy spędziłem na przeszukiwaniu mojej biblioteki i znalazłem coś, co być może jest jeszcze bardziej złowieszcze, niżby na to wskazywał zbieg okoliczności. Zastanawiałem się, czy ktokolwiek z was czytał prace Kethrida?

Crempra skrzywił się.

– Kuzynie, to nie jest odpowiedni czas, by popisywać się swoją...

– Ależ jest! – przerwał niecierpliwie Dribeck. – Być może nieco więcej szacunku dla historii dobrze by nam wtedy posłużyło. A więc szybko, nim was znudzę. Kethrid był zapewne największym umysłem swej epoki. Bardziej niż ktokolwiek wpłynął na rozkwit Carsultyalu, pierwszego wielkiego miasta ludzkości. To właśnie ludzie z Carsultyalu, a szczególnie Kethrid, ocalili z ruin cywilizacji starszej Ziemi fantastyczne zasoby wiedzy, która z dnia na dzień podniosła nasz ząbkujący gatunek z półbarbarzyństwa, które nastąpiło po Złotym Wieku, do stanu rozwiniętej cywilizacji, w którym obecnie żyjemy. Nie poświęcając żadnej myśli ani nie dziękując tym, którzy dali nam tę wiedzę, dodałbym.

Kethrid pływał po dziwnych morzach niemowlęstwa ludzkości, badał nieznane wybrzeża, nowe ziemie... znajdując tam zwaliska miast starszych ras Ziemi. Jego przygody to cała epopeja. Wiedza, którą przywiózł do Carsultyalu z wypraw, stała się jądrem jego cywilizacji, a stamtąd odkryte przez niego na nowo umiejętności rozszerzyły się na całą ludzkość. O ostatniej podróży Kethrida nie wiemy nic, bo ani jego, ani jego załogi, ani ich wielkiego statku *Yholsal-Monyr* nikt już na oczy nie oglądał.

Dribeck zajrzał do bogato oprawionego tomu.

– Kethrid miał bliskiego przyjaciela; doradcę, kolegę, towarzysza broni; obcokrajowca, który podróżował wraz z nim i w oczywisty sposób odgrywał zasadniczą rolę w odkryciach Kethrida. Przyjaciel nazywał się Kane, opisywano go jako "olbrzymiego wojownika, świadomego dziwnych tajemnic", który był "leworęczny, o przystojnej, lecz okrutnej twarzy, z rudymi włosami i zimnymi, niebieskimi oczami, których spojrzenie nasuwało wspomnienie morderczej furii, jaką okazywał w bitwie". O jego przeszłości Kethrid nie wiedział, a przynajmniej nie pisał niczego, z wyjątkiem intrygującego fragmentu, który brzmi: – "Wtedy wspomniałem Kane'a o bezecnym imieniu, którego dusza była z ciemności starszej Ziemi, którego dusza poszukiwała wiedzy starszych stworzeń, które przecież chodziły śmiało, a nie w ciemności, bogów i demonów, których chwała zbladła; tego, który rzucił wyzwanie swemu stwórcy w zapomnianej epoce raju; który został skazany na nieustanną wędrówkę przez dziki świat przez niego stworzony, goniony swym przekleństwem, napiętnowany jako wyrzutek znakiem śmierci, płonącym w jego oczach".

Ten Kane towarzyszył Kethridowi w ostatniej podróży, z której nikt nie powrócił. A fragment, który przetłumaczyłem, wyszedł spod ręki Kethrida ponad cztery wieki temu. Jak powiedziałaś, Asbraln... z jakimż to człowiekiem walczyliśmy!

Milczenie przerwał Ovstal.

– Interesujące, milordzie. Nawet złowrogie. Ale wątpliwej dla nas wartości. Bardziej mnie niepokoją te krelrańskie bronie, jakich Kane zamierza użyć przeciw nam. Czy twoje książki mówią coś o tym?

Dribeck pokręcił głową.

– Tego rodzaju informacje należą raczej do zakresu nauk magicznych których nie darzę zainteresowaniem. Mam nadzieję, że Świątynia może coś wiedzieć o Arellarti... kapłanki Shenan chwalą się posiadaniem wiedzy tajemnej, choć ich talenty ujawniają się raczej w intrygach politycznych oraz gromadzeniu bogactw. Próbowałem dzisiajszego ranka sprowadzić tu Gerwein, ale

otrzymałem lakoniczną odpowiedź, że arcykapłanka udziela audiencji, a nie jest na nie wzywana. Więc powiedzcie mi, co robić.

Krótko mówiąc nasza wiedza o planach Kane'a, jego mocy i jego środkach opiera się w całości na tym, co Teres nam powiedziała. Cóż więc wiemy? Kane odbudował fortecę pośrodku Kranor-Rill. Rozkazuje armii około tysiąca czy więcej Rillytich. W dodatku dysponuje bronią o nieznanym, lecz zapewne straszliwej potędze, która obecnie osiągnęła jedynie ułamek swej siły potencjalnej. Kane zamierza wyruszyć na podbój Ziemi Południowych... i Shenan jedna wie, dokąd jeszcze jego złowrogie ambicje go zaprowadzą.

Co z tego możemy wywnioskować? Siła Kane'a jest ograniczona, przynajmniej w tej chwili, dlatego obawia się połączonych potęg Breimen i Selonari. Stąd jego wysiłki skierowane na zmniejszenie naszych sił do takiego stopnia, by mógł je rozbić pierwszym uderzeniem.

Nasz tryb postępowania, panowie, jest oczywisty dla nas wszystkich. Musimy zebrać wszystkie siły, jakie zdołamy, i dokonać najazdu na Kranor-Rill. Musimy zniszczyć Kane'a i zło, jakie wyzwolił, zanim Krwawnik osiągnie taką moc, że ani magia, ani stal nie będą mogły stawić czoła Kane'owi!

– Trudne oblężenie – rozważał Ovstal. – Rillyti są w bitwie przerażającymi przeciwnikami. Aby ich dosięgnąć, musimy przejść przez nieprzebyte moczary. A gdy już tam dotrzemy, Arellarti jako forteca jest skrajnie trudne do zdobycia, a długie oblężenie nie wchodzi w rachubę. Shenan wie, jakich diabelskich broni Kane może użyć w swej obronie.

– Oczywiście wiemy, że ta bitwa będzie nas wiele kosztować. Niemniej Kane musi mieć w tej chwili słabe miejsca, inaczej nie spiskowałby tak usilnie, by zapobiec tego rodzaju atakowi. Możemy podejść po grobli, którą jego stwory odbudowały, by nas zaatakować, a więc będziemy w stanie przeprowadzić maszyny oblężnicze. Nie mamy wyboru. Dajmy Kane'owi czas na ukończenie jego prac w mieście, a wtedy żadna armia nie będzie mogła go powstrzymać. Każda godzina opóźnienia przybliży zwycięstwo Kane'a!

– A Breimen? – przypomniał Asbraln.

– Walczymy we wspólnej sprawie. Zapewne walczymy o wolność ludzkości! Nasza sprzeczka utraciła sens... faktycznie to Kane był podżegaczem do naszej wojny. Ufam, że Teres potrafi Malchiona o tym przekonać. Poznawszy prawdę o oszustwie Kane'a, o groźbie, jaką stanowi dla obu naszych krajów, Malchion może tylko zaakceptować zawieszenie broni i połączyć się z nami dla zniszczenia Arellarti. Nasze połączone siły to właśnie to, czego Kane obawiał się przez cały czas. Miejmy szczerą nadzieję, że jego lęk był dobrze uzasadniony!

Później tegoż popołudnia Teres krytycznie poprawiała uprzęż swego ogiera, bo Dribeck polecił go osiodłać, choć wolałaby sama się tym zająć. Rumak zarzął jej miłe pozdrowienie, a Teres rozjaśniły się oczy, gdy otoczyła ramieniem jego szyję. Przy siodle wisiał jej miecz i reszta zdobycznego ekwipunku. Dla niej znaczyło to więcej niż ponowne spotkanie; był to powrót do sposobu egzystencji, który знаła, nim Kane wciągnął ją do własnego, mrocznego świata.

Wskakując na siodło zauważyła, że Dribeck zaczął podawać jej pomocną rękę, ale się rozmyślił.

– Dribecku – oświadczyła poważnie – gdybym nawet nie miała lepszego powodu, zawsze będę pamiętać, jak uprzejmie zająłeś się Gwellinesem. Wyszkoliłam go osobiście i jest on, do cholery, najlepszym koniem bojowym, jakiego ten kraj nosił.

– On *jest* wspaniałym zwierzęciem – zgodził się Dribeck, pomyślawszy równocześnie, że były to pierwsze miłe słowa, jakie Teres w ogóle do niego skierowała. – Ja na nim jeździłem, ale on, do cholery, niemal zabił pierwszego z moich ludzi, który próbował go dosiąść.

– I zwróciłeś mi także miecz – szepnęła Teres. Jego mniejsza niż normalnie rękojeść i jego równowaga zostały z najwyższą starannością wypracowane zgodnie z jej wymaganiami. – Do diabła, kazałeś nawet naprawić moje buty w ciągu nocy! Wiesz, ile czasu potrzeba, by para butów zaczęła dokładnie pasować? Nie ma lepszego przyjaciela, gdy je tak sobie rozciągnąć. Dribeck... dziękuję.

O mały włos, a zdradziłby się ze swym zdziwieniem. Miał nadzieję, że pozyska sobie jej zaufanie; dlaczego wobec tego jej nieoczekiwane ciepło tak go poruszyło? Mruknął jakąś lekceważącą formułkę.

– Miałem nadzieję, że tym razem będziesz miała lepsze wspomnienie o gościnności Selonari, choć nadeszły dla nas ponure dni. Nie podoba mi się twój natychmiastowy odjazd, bo nie zdążyłaś wypocząć, ale biorąc pod uwagę kryzysową sytuację, mogę tylko podziwiać twoją odporność.

Czy ta odzież ci odpowiada? Całkiem ładnie wyglądasz wierzchem na tym ogierze.

Tego nie należało dodawać. Teres lekko zmarszczyła brwi.

– Powiedziano mi, że moją twarz łatwo się zapamiętuje – odrzekła z większą goryczą, niż zamierzała. Znow pomyślała o Kanie, ale brutalnie usunęła jego portret ze swej pamięci. Już podjęła decyzję.

Dribeck wzruszył ramionami, niespodziewanie przygnębiony jej cierpkim wyrzutem. – A więc moi ludzie będą cię eskortować do granicy, a dalej jeńcy, których zwolniłem, powinni ci zapewnić dostateczną ochronę, byś dotarła do Breimen. Przy nielicznych znanych nam bramach przestrzennych Kane'a rozstawiłem łuczników, ale istnieje możliwość, że zdoła się przedrzeć gdzie indziej i spróbuje cię uprowadzić. Wątpię, czy to podejmie, ale ze strony tego człowieka można oczekiwać nieoczekiwanego.

Życzę szczęścia z Malchionem. Liczę, że twoje świadectwo doprowadzi do zawieszenia broni. Daj mi znać, jaką pomoc nam przyśle. Dla ataku na Arellarti musimy zebrać przeciw Kane'owi wszystkie siły, jakie zdołamy. Ty najlepiej z nas wszystkich wiesz, co oznaczałaby klęska.

– Wiem – odrzekła cicho Teres. Dotknęła Gwellinesa piętami.

XVIII. WILK UKŁADA PLANY

Teres gapiała się w osłupieniu, niepewna, czy przestyszała się, czy też jej ojciec postradał zmysły.

Ale jej słuch nie był tu niczemu winien. Malchion osuszył kubek, trzasnął nim w stół i powtórzył:

– Nic nie zrobimy.

Cosmallen napełniła kubek ponownie i niepewnie uśmiechnęła się do Teres, która zakryła kielich dłonią.

– Nie rozumiem – oświadczyła zmieszana Teres. Dzień był wyczerpujący. Gdy niespodziewanie powróciła do Breimen, Malchion, którego znalazła w stanie jeszcze większego rozkładu, niż pamiętała, omal nie połamał jej żeber w powitalnym uścisku. Ufając słowom Kane'a uznał, że córka nie żyje, a odnalezienie jej żywej i bezpiecznej w twierdzy... z pewnością wymagało stosownej uroczystości. Teres miała wielkie trudności, by mu wytłumaczyć wagę przyniesionych wieści, i dopiero po wielu wysiłkach uzyskała prywatną rozmowę z władcą Breimen.

Gdy wreszcie udało jej się zwrócić uwagę ojca na swe opowiadanie, jego dokończenie stało się prawdziwą męką. Przy każdej nowej informacji Malchion wybuchał wściekłym potępieniem i wykrzykiwał pośpieszne rozkazy do Embroma, którego Teres musiała wstrzymywać, by móc opisać następne wydarzenie. Malchion przerywał jej nieustannie, puszczał mimo uszu sprawy istotne, bez przerwy kazał jej powtarzać, wyprzedzał opowiadanie, rzucał bezsensowne pytania. Gdy Wilk bez ogródek odmówił uwierzenia pewnym częściom relacji, przestała panować nad sobą.

Wreszcie jakoś dokończyła opowiadania, wyjaśniając sprawy tak dokładnie, że nawet Malchion potrafił zrozumieć wszystko, co się stało. Sądziła nawet, że ojciec jej uwierzył – przynajmniej na tyle, by rozpoznać prawdziwe zagrożenie dla swych rządów. Ale wtedy usłyszała jego na pozór irracjonalną odpowiedź:

– Nic nie zrobimy.

– Więc nie wierzysz w to, co ci opowiedziałam? – spytała.

Malchion mruknął i otarł wąsy wierzchem dłoni.

– Nie, wierzę ci... przynajmniej w to, że Kane naprawdę szykuje jakieś plugawe czary w tamtym zrujnowanym mieście, a Dribeck gotów jest narobić w portki ze strachu na myśl, co te ropuchy mogą zrobić z jego armią. Swoją drogą nigdy nie ufałem Kane'owi... po prostu wykorzystywałem go na tyle, ile się dało. Nie, wierzę twoim słowom, Teres. Idzie tylko o to, że pozwoliłaś, by ten mięczak w Selonari wypaczył ci zdolność oceny w sposób odpowiadający jego projektom.

Pochylił się do przodu i wymierzył w nią palec. – Posłuchaj, Teres. Mówisz, że Kane sprowokował wojnę między nami i Selonari. No, może sprowokował mnie do ataku wcześniejszego, niżbym zamierzał, może ustawił sobie nas obu. Ale rzecz w tym, że tak czy inaczej planowałem inwazję na Selonari, wcześniej albo później. O tym wiesz, a jak pamiętam paliłaś się z niecierpliwości, by ją rozpocząć. Selonari ma ziemię i bogactwa potrzebne naszemu ludowi, a te czarnogłowe karły zawsze będą zagrażać naszym granicom. Jeśli Wollendan ma być potęgą na Ziemiach Południowych, nie możemy mieć wśród nas niepodległych miast-państw jak Selonari, i to wszystko. To, co tu się toczy, to konflikt kultur, a wcześniej czy później ich kultura musi zostać połączona przez naszą.

– Ale Kane zamierza podbić cały kontynent. Thoem wie, co on jeszcze planuje! – przekonywała Teres, nie chcąc sprzeczać się z decyzjami ojca.

– No cóż, być może Kane to zamierza, a być może nie.

Nie chcę uwłaczać twemu rozsądkowi, ale ta cała gadanina o niezwycięzonych czarach Kane'a... By ocenić ich moc, mamy tylko twoje słowa. Ależ nie wrzeszcz na swego rodziciela! Powiedz mi, co ty wiesz, ale tak naprawdę, o rasach starszego świata, ich miastach, broni i magii? Hmmm? No dobrze, więc masz tylko słowo Kane'a, że wielkie i potężne będą jego siły, a słowo Kane'a nie jest warte śliny na języku. I jakież człowiek nie przechwalałby się i nie blagował, próbując zrobić wrażenie na łatwowiernej dziewczynie... w każdym razie w takich okolicznościach?

– Do diabła z twoją tępą głową! *Widziałam*, co potrafi zrobić samym tylko pierścieniem! Wyrznął, do cholery, prawie pięćdziesięciu ludzi!

– Bo żaden z tych Selonaryjczyków nie miał dość jaj ani mózgu, by schować się za osłoną, wyciągnąć strzałę, naciągnąć łuk i zabić tego skurwysyna jak należy. Oczywiście nie twierdzę, że Kane nie jest niebezpieczny. Z tego, co słyszałem, sami Rillyti to już groźna banda w bezpośredniej walce. Chcę przez to powiedzieć, że nie wiemy z całą pewnością, czy Kane stanowi jakąś rzeczywistą groźbę dla Breimen czy reszty Wollendanu.

Ale wiemy za to, że Kane zagraża Selonari, a Dribeck zebrze, byśmy mu pomogli. A gówno! Oczywiście opowiada, że ludzkość jest śmiertelnie zagrożona; chce, aby nasi żołnierze walczyli w jego bitwach. Dopiero potem dowiemy się, co naprawdę oznacza selonaryjskie gadanie o pokoju. Ale Wilk nie po to rządził tak długo, by dać się wystrychnąć na dudka temu słabowitemu intrygantowi! Kane i Dribeck mogą się bić ze wszystkich sił; nawet Dribeck powinien umieć pokonać jednego człowieka i bandę mułóżernych ropuch. Jeśli się wyrzną wzajemnie, tym lepiej; wybuduję pomnik, by uczcić pamięć Kane'a. Myślę, że jeżeli Kane podejmie poważną walkę, Selonari wyjdzie z niej zbyt okaleczone, by zdobyć się na cokolwiek poza lizaniem ran. A w takiej miłej sytuacji wątpię, czy napotkamy poważniejszy opór, gdy nasza armia pomaszeruje na południe, by pomścić wcześniejszą porażkę. Czy teraz rozumiesz logikę Wilka, wilczku?

– Całkiem jasno. A co się zdarzy, gdy Kane zwycięży Dribecka i podbije Selonari dla siebie? – spytała ponurym głosem Teres.

Malchion machnął ręką, by mu nalano następny kubek. Znów był w znakomitym nastroju.

– Dribecka zmartwienie, nie moje. Bo wtedy po prostu odbierzemy Kane'owi Selonari, i już. Chcę przez to powiedzieć, że nawet jeśli broń Kane'a czyni go tak niebezpiecznym, jak twierdzisz, to i tak Selonari sprawi mu lanie, nim zdoła wypełznąć ze swego błota. Sprawa geografii: z Kranor-Rill do Breimen jest długi marsz, a po drodze znajduje się Selonari. Nim wyruszy na północ, musi wziąć Selonari albo ryzykować odcięcie tyłów i wtedy walkę na dwa fronty. Jeśli Kane ominie Selonari, to zmęczona walką armia ropuch musi odbyć długi marsz po suchym lądzie, aby dotrzeć do Breimen. A wtedy my będziemy gotowi. Jeśli zaś Kane okaże się prawdziwą groźbą dla Wollendanu... cóż, spotka tu masę mieczy i krzepkich chłopców umiejących nimi machać, czekających, by pokazać Kane'owi, jak potrafią walczyć prawdziwi mężczyźni!

– Więc nie zgadzasz się nawet na zawieszenie broni? – powiedziała przygnębiona Teres.

Wilk zrobił szeroki gest.

– Oczywiście przyjmę od Dribecka zawieszenie broni, jeśli to ma ci sprawić przyjemność. Czemu nie? W tej chwili nie jestem przygotowany do wznowienia wojny. Później... ależ oczywiście będziemy wiedzieli, jak to rozegrać, gdy już inni rzucą kości. Nigdy nie zawierano rozejmu, którego nie planowano zerwać.

– Więc przekażę twoje słowa Dribeckowi: zgadzasz się na zawieszenie broni, ale nie możesz poświęcić wojska na inwazję Arellarti, ponieważ obchodzi cię przede wszystkim obrona Breimen. – A potem dodała z nadzieją w głosie: – Czy mogę powiedzieć, że będziemy gotowi walczyć z Kane'em, jeśli zagrozi naszym granicom?

– Powiedz, co ci się tam spodoba. Niech mnie diabli wezmą, jeśli twój pobyt u tych przebiegłych skurwysynów nie ogładził ci języka. Ale nie ma powodu, byś cokolwiek mówiła Dribeckowi; mogę z łatwością wysłać tam jakiegoś zgrzybiałego ambasadora. – Wymierzył potężnego klapsa w obnażone udo Cosmallen, aż rozlała wino na stole.

– Wolałabym pojechać osobiście – powiedziała głuchym głosem Teres.

– Przecież nigdy nie odmawiałem memu szczenięciu zaspokajania jego kaprysów, nawet jeśli były wyraźnie bezsensowne. A ponieważ to kończy sprawę owego “poważnego kryzysu”, co byś powiedziała na temat solidnego pijaństwa? Po twoich przygodach Wilk uważa, że Breimen powinno we właściwy sposób uczcić powrót jego szczenięcia.

– Niezbyt mam ochotę – wykręciła się Teres. – Ostatnie dni były dla mnie wyczerpującą próbą i jedyne, czego teraz chcę, to wyciągnąć się we własnym łóżku i przespać kilka dni.

Popatrzył na nią w zdumieniu. – Jak sobie życzysz... choć niepodobne jest do ciebie uchylanie się od całonocnej, piekielnej pijatyki. No cóż, będę świętował za nas oboje.

– Jestem tego pewna – zgodziła się Teres i odeszła. Cosmallen spotkała ją przy drzwiach.

– To piękna koszula, milady. Czy mogę dotknąć jedwabiu? – Szczupłymi palcami pogłaskała jej ramię.

Teres doszła do wniosku, że dręczy ją zbyt wiele myśli i zbyt wiele ma wspomnień, by przywoływać je przez całą noc.

– Przyjdź, Cosmallen, i przynieś nam wina. Może pozwolę ci ją przymierzyć.

XIX. SNY W ARELLARTI

Nad Arellarti stała głęboka noc; księżyc i gwiazdy przyćmione były i odległe. Skryte mgłą przed ich słabym światłem miasto przysiadło czerwonymi murami o doskonale pięknej, nieludzkiej geometrii pośrodku gnijącego kraju. Dla przerażonego oka księżyc Arellarti zdawało się jakimś monstrualnym i śmiercionośnym pajakiem, którego niekształtną postać zabarwiała i jednocześnie przyćmiewała opalizująca bańka krwi, w której zawisł. Grobla ciągnęła się w stronę puszczy jak nitka pajęczyny, trzymająca Arellarti zawieszona nad trującym stawiskiem. Powoli pająk wspinał się po swej sieci, wyciągając łapy w stronę uspionego kraju w oddali.

Skrzący się blask Krwawnika rozświetlał całe niebo i wylewał na mroczny muł bagniska. W jego szmaragdowych promieniach plamiste czerwony kamień nabierał niezdrowej barwy, teraz już w widoczny sposób nakrapianej w jego głębi zielenią. Bo w ciemności nawet kamienie Arellarti zdawały się przeświecać, jakby promieniowanie Krwawnika nie tylko oświetlało miasto, ale i prześwietlało. Ściany kolosalnej kopuły były żywe od przenikającej je jasności – przejrzyste do tego stopnia, że można było dostrzec przez ściany gęstszy cień myślącego kryształu. Jego lśnienie miało kolor krwawoczerwonej gwiazdy, umierającej nowej w jadowitym blasku.

Skąpany w strasznym świetle, zmęczony Kane oparł się o półkoliste wzniesienie. Obok niego wśród rozsypanego szarego popiołu leżała jeszcze ciepła fajka. Ciężkie były myśli Kane'a, a jego nastroj ponury jak chmurna noc poza zasięgiem posępnego lśnienia Krwawnika.

Zacząło się to jako przygoda, a przynajmniej tak sądziłem. Nie myślałem o tym jak o czymś więcej, niż tylko sposobie zgromadzenia armii dla podboju; jako mej podstawowej broni opartej na pozaludzkiej nauce, a nie starszej magii; za żołnierzy zaś miałem mieć te zwierzęce bagienne stwory zamiast ludzkich wojowników. Ludzie walczyli już za magów i zdobywców w przeszłości; tłumaczyłem sobie, że gdy tylko moja moc stanie się znana, ludzie równie chętnie walczyć będą pod moim sztandarem. Ale teraz groza, w jakiej się pogrążyłem, przesącza się przez mroki mego ducha, tak więc nawet ja czuję emanującą z ciebie przeraźliwą siłę. Czyżbym tym razem posunął się za daleko? Czyżby odraza, jaką ludzie odczuwają wobec mojej mocy, miała się okazać głębsza, niż ich żądza uczestnictwa w łupach podboju? Czy mam stać się jeszcze samotniejszy niż przedtem, a cały mój gatunek chwyci za broń przeciw mnie, lżąc imię Kane'a?

Czyżby to było tak odmienne od twego obecnego losu? Jedyłą ucieczką przed twym przekleństwem była nieustanna wędrówka przez kraje, gdzie twoje imię zbladło w krótkiej pamięci człowieka, i znów przed siebie, gdy ludzie mieli już nowe powody, by cię zapamiętać. Zawsze będziesz obrzucany obelgami, ale moja potęga sprawi, że będą się ciebie bali; nigdy już nie będziesz pędzony przez Ziemię jak ścigany wilk. A z tego, co wiem o twym nędznym gatunku, wielu będzie takich, których dusze kupić można za żółty metal, który tak dziwacznie cenicie, lub za możliwość zawładnięcia majątkiem innego człowieka bez obawy odwetu.

Myślałem, że ją rozumiem. Kochała mnie przez chwilę, a potem znenawidziła. Zdobywcy oddałyby swe serce, ale nie tylko siły pragnęła. Gdy rozpoznała nieludzkie zło, z którym związałem swą duszę, oddaliła się ode mnie ze wstrętem... oszukała mnie, pogodziła się ze swym wrogiem, by mnie zniszczyć. A przecież kiedyś mogłem porzucić tę przeklętą przygodę, podążyć z nią do jej świata, znaleźć szczęście u jej boku.

Na jak długo, o nieśmiertelny? Do chwili, gdy będzie stara i pomarszczona, podczas gdy ty zostaniesz takim, jakim jesteś? Do chwili, gdy raz jeszcze znudzi cię odgrywanie roli wodza tych tępych kreatur – drobnego władcy kresowego kraju? Widzę w twym umyśle, że w dawnych czasach zniżałeś się aż do takiej głupoty – i nieustannie żałowałeś jej gorzko we wspomnieniach. Czyżbyś

więc postanowił zapomnieć nauk swej skazanej na zatracenie egzystencji? Czyżbyś zdecydował pozbawić się męskości za pomocą fałszywego tchórzostwa, skomlącego zwątpienia w siebie, które twój gatunek dumnie określa sumieniem? To nie twoje myśli, Kane. To ta kobieta zatrula cię, zwiódła... zdradziła. Czy możesz teraz zaprzeczyć, że miłość jest najbardziej rakowatą z ludzkich słabości? Gatunek, którego emocje górują nad racjonalnym myśleniem, powinien wyplenić w sobie tę ułomność i okiełznać silniejsze uczucia. Nienawiść i strach są o wiele silniejszymi podstawami niż miłość, one budują imperia, a ona je obala.

Mógłbym cię teraz zniszczyć.

A zrobiłbyś to?

Nie. Postawiłem wszystko na potęgę, którą masz mi dać. I chociaż obecnie zdobycz wydaje mi się mniej wspaniała niż poprzednio, moim celem jest nadal stworzenie nieśmiertelnego imperium, z całym rodzajem ludzkim uznającym banitę Kane'a za pana. Jeśli mi się uda, być może znudzi mnie ta gra, jak wiele poprzednich. Być może nawet te nowe światy, które obiecujesz przede mną otworzyć, z czasem utracą swą nowość. A w tej odległej epoce być może ucieszy mnie równie mocno zniszczenie wszystkiego, co stworzyłem, jak nadzieja rozkoszy, jaką niesie wysiłek jego zdobycia!

Jeśli więc taka rozrywka uwolni cię od tych pełnych zwątpienia rozmyślań, zbierz odwagę. Nasi nieprzyjaciele gromadzą się, by nas zniszczyć, ale moja potęga wzrosła tak bardzo, że już nie potrzebujemy się ich obawiać. Wkrótce sieć zostanie ukończona, a ja nie będę ułomnym, niedoskonałym istnieniem. Mogę czerpać z bezgranicznej energii kosmosu, wyrwać tę planetę spod rządów jej słabowitego Słońca, poszukać w nowym wszechświecie innych.

Jakich innych?

Innych z mej rasy, którzy mieszkają za gwiazdami. Ja też znam samotność – schwytyany na tysiąclecia wśród tego gnijącego pustkowia, bo taki był mój los. Gdy wreszcie będę całością, będę mógł rozmawiać z moimi braćmi, gdziekolwiek czekają w strukturze kosmosu. Tak niewielu nas było i tak dawno... dobrze będzie rozmawiać znowu z moim własnym gatunkiem.

A więc ukryłeś ludzkie uczucia we wszystkich tych zamkniętych zakątkach twojej świadomości? Cienie myśli, które próbujesz skryć przed moim poznaniem? Odwróć więc twoje szyderstwo: nie pozwól swym słabym emocjom przeszkadzać w bitwie, którą właśnie zaczynamy.

Szmaragdowe światło pulsowało i przygasało jak tańczący płomień, ale Kane zerwał kontakt z żyjącym kryształem i już nie słuchał jego dwuznacznych myśli. Opar unoszący się z fajki ukołysał jego umęczony umysł w coś podobnego do snu, gdzie wśród płonących wizji zdawał się słyszeć wirujący wokół niego potężny śmiech.

XX. NOC KRRAWNIKA

Zakładając, że jeśli Kane zrobi pierwsze posunięcie, to każdy atak wychodzący z Arellarti musi nastąpić wzdłuż odbudowanej grobli, Lord Dribeck postawił mały oddział żołnierzy blisko tego punktu wyjściowego. Dribeck zamierzał polegać na swym wysuniętym posterunku w zakresie informacji o ruchach Kane'a do chwili, gdy będzie mógł zebrać dość sił, aby rozpocząć oblężenie ukrytego miasta. Ale wątpliwe było, żeby ci ludzie potrafili utrzymać lesisty wylot grobli w starciu z jakimikolwiek siłami, które wyruszą z Arellarti.

Tak więc, gdy ziemia zadrżała pod ich stopami, a powietrze rozdarł długi ryk gromu – choć południowe niebo było prawie bezchmurne – żołnierze niepewnie popatrzyli na swą broń i mruknęli parę modlitw, prosząc bogów, aby byli z nimi w misji, która może okazać się samobójcza. Ale gwałtowny gruchot zamarł, jego następstwem nie było nic bardziej groźnego niż przyciszony szmer jakby pędu dalekich wód. Ludzie przestali oczekiwać w bolesnym napięciu i odprężyli się, by zastanowić się nad dziwnym zjawiskiem i pokwitować paru nerwowymi śmieszkami lęk, który ich owionął przed chwilą.

Wreszcie ich dowódca polecił, by grupa zwiadowców okrążyła moczary w kierunku, gdzie, jak się zdawało, nastąpił wstrząs. Nim zdolali powrócić, zaskoczyła ich noc, tak więc raport złożyli dopiero następnego dnia. W cudowny sposób pojawił się szeroki kanał, biegnący w prostej linii przez Kranor-Rill do południowego ramienia Neltoben i dalej do głównego nurtu. Woda wpłynęła do bagniska, tworząc głęboki kanał aż do środka Kranor-Rill.

Dowódca długo zastanawiał się nad tą informacją, niepewny, jak ją ma zinterpretować. Sumiennie wysłał kuriera do Selonari, by poinformować Lorda Dribecka o tym tajemniczym działaniu magii. Ale w chwili, gdy goniec dotarł na miejsce, przyczyna nagłej budowy kanału nie była już tajemnicą.

O szarej godzinie przed wschodem słońca Breimen obudziło się w kleszczach grozy. Pod osłoną mgły przedświtu dziwna flota odbiła od odbudowanych nabrzeży Arellarti, których kamienne mola po raz pierwszy od stuleci poznały pieszczotę głębokiej wody. Wśród błyszczących wałów ze spiętrzonego mułu i gnoju, poszarpanej roślinności i parującego błota, wzdłuż nadal ociekającej rany w brzuchu Kranor-Rill, flotylla posuwała się świeżo wyrwanym kanałem, otwierającym się na nieruchome wody południowego ramienia Neltoben, aż do głębszego północnego, ciągle wzburzonego od katastrofalnej zmiany kierunku prądu. Wypłynawszy wreszcie na otwartą rzekę, dziwne statki pomknęły przez zgwałcony nurt z fantastyczną szybkością, ledwie ją zmniejszając, gdy opuściły spływ Neltoben i Macewen i skierowały się w górę rzeki Clasten.

Okolice wzdłuż rzeki była dzikim pustkowiem, przerywanym tylko przez parę maleńkich osiedli, które przysiadły na brzegach jak wyschnięte strupy. Gęsta mgła zasłaniała koryto rzeki, księżyc w ostatniej kwadrze już zaszedł. Z wyjątkiem istot, do których należała noc, ludzie spali.

Tak więc niewielu było takich, którzy ujrzeli przepływanie piekielnych statków spowitych w mgłę. Widać było jedynie niewyraźne kontury, niejasne mignięcia tam, gdzie nagłe porywy nocnego wiatru rozwiewały opary. To zaś, co można było zobaczyć, wystarczyło, by widzowie uciekali z brzegów poganiani strachem.

Widmowa flota płynęła rzeką, a jej pokłady wypełniały diabły. Długie, błyszczące kadłuby ze srebrzystego metalu nadawały statkom kształty olbrzymich grotów włóczni, których ostre jak topór dzioby drżały w górze nad smukłymi zastrzałami. Strumienie piany płynęły wzdłuż płatów nośnych, połykane przez wirującą kipieli za rufami, gdzie ciche turbiny napędzały dwie niewidoczne śruby.

Widmowe pokłady były otwarte, a ich płyty niosły na sobie ciężar trzydziestu i więcej potwornych pasażerów – niezgrabnych wojowników Rillyti w pełnych zbrojach bitewnych. Blisko dwadzieścia tych dziwacznych statków mknęło przez noc z szybkością przekraczającą galop najszybszego konia. Płynęły rzędem za czołowym, który sunął nurtem, nie powstrzymywany ani ciemnością, ani mgłą. Potężną męską sylwetkę w powiewającym płaszczu można było przelotnie dostrzec na dziobie prowadzącego statku.

I tak zguba dosięgła Breimen.

Strach szybko zastąpił zdumienie w oczach strażników, którzy sprawowali senną wartę nad breimeńskimi murami z kamienia i drewna. Z wirującej mgły wynurzyła się diabelska flota; srebrne płyty nośne zanurzyły się pod kadłubami, gdy dziwne statki zwolniły i wbiły swe obce dzioby w brzeg rzeki. Z ich pokładów wylały się hordy Rillytich, a ciszę przedświturodziałły dzikie ryki i grzmiące pluski, gdy stwory zeskakiwały przez burty. Gdy armia płazów zbliżała się do zaciemnionego miasta, gdzie pierwszy wrzask alarmu przerwał jego ludności sen, by pogрузić ją w koszmarnym czuwaniu, mętnie zabłysły w powietrzu miecze z brązowego stopu.

Przerażający widok oczekiwał zdesperowanych żołnierzy, pośpiesznie obsadzających mury miejskie. Otuleni mgłą jak widma z narkotycznego zwiudu, żabiokształtni najeźdźcy człapali ku bramie nadrzecznej. Potężną belką zaryglowano zagrożone wrota, których grube bale zabezpieczały przed wszystkim, z wyjątkiem ciężkich machin oblężniczych – a najeźdźcy takich nie mieli. Łucznicy zmrużywszy oczy wypatrywali celów w ciemności i wypuszczali chaotycznie strzały w następujące szeregi. Na swych guzowatych ciałach błotne stwory niosły ciężkie pancerze i strzały trafiały z niewielkim skutkiem. Od nich zaś wleciało na mury nieco zatrutych włóczy, zmuszając obrońców do skrycia się za osłonami. Ale ta broń lepiej nadawała się do pchnięć niż do celnych rzutów.

Choć nie spodziewano się ataku, wieści o zdradzieckim spisku Kane'a stały się w ostatnich dniach tematem większości rozmów i powtarzano sobie barwne relacje o dokonanej przez niego rzezi ludzi Dribecka, o przerażających możliwościach jego magicznych sił. Dlatego też, pomimo początkowego przerażenia, żołnierze Breimen szykowali się do odparcia nieludzkiego najazdu. Łucznicy, trzymając strzały w gotowości, czujnie wypatrywali wśród mroku sylwetki Kane'a, którego śmierć przerwałaby szturm Rillytich.

Ale mimo przeraźliwych opowieści, nikt nie był przygotowany na to, co ujrzano, gdy Kane wreszcie się pojawił. Na czele ataku ziemnowodnych stała płonąca postać – człekokształtne widmo, uformowane z żywej energii – a może człowiek zamknięty w drgającej zbroi przerażającego, zielonego ognia. Migocząca postać podeszła jak mściwy demon do bramy nadrzecznej, z armią oszalałych od żądy krwi szatanów za plecami. Łucznicy posyłali strzałę za strzałą w lśniącą sylwetkę, stanowiącą w ciemnościach pewny cel. Ale nie powstrzymali jej złowieszczonego marszu, choć trzaskające błyski na jej energetycznej powłoce dowodziły dokładności strzałów. Żołnierze popatrzyli na swą broń, by nabrać odwagi, rzucili okiem na ciężkie drewniane wrota – i czekali, aż stwory zaatakują mury. Ich oczekiwanie niedługo trwało.

Ledwo zaalarmowani strażnicy zdążyli wybiec z koszar i dopaść murów, gdy dosięgnął ich koszmar. Demoniczna postać zatrzymała się przed barbakanem i wyciągnęła lewe ramię. Z ognistego koła na jego pięści trysnął płomień skrzęcej się energii – lanca świetlna barwy szmaragdu nakrapianego szkarłatem. Gdy ten niezwykły piorun światła uderzył w barbakan, całą ścianę rozdarł wibrujący wstrząs. Wrota z poczerniałymi i roztrzaskanymi belkami zapadły się do środka, a żelazne zasuwki zmieniły się w rozżarzony do czerwoności żużel. Żołnierzy stojących obok rozwalonej bramy wybuch odrzucił do tyłu.

Przez tłącą się wyrwę przypuścili szarżę Rillyti, wielkimi susami spadając na osłupiałych

obrońców. Nim oszołomieni i przerażeni żołnierze pomyśleli, by powstrzymać ich atak, płazy były już pośród nich, siekąc morderczo złościami klingami i dżgając zatrutymi grotami bezładne szeregi. Nagły atak zaskoczył Breimen niemal nie przygotowane, a teraz Rillyti w szale bitewnym przebili sobie przejście do zaskoczonego miasta. Wobec tej krwiożerczej przemocy obrońcy cofali się prawie zdruzgotani.

Gdy tylko błotne stwory zapewnią sobie swobodne wejście do Breimen, ciężki los obrońców stanie się beznadziejny. Z tą ponurą świadomością żołnierze bili się desperacko, by powstrzymać napór nieprzyjaciela. Z determinacją przeciwstawiali się Rillytim, których wielkość i siła czyniła morderczymi przeciwnikami, nawet gdyby nie mieli swych wielkich mieczy i brązowych pancerzy. Żołnierze, otrzymawszy posiłki świeżych oddziałów i nadbiegających mieszkańców miasta, zgromadzili się, by odepchnąć płazich najeźdźców. Walka przybrała na sile; ludzie rzucali się na Rillytich nie dbając o życie i samą przewagą liczebną obalali potwory.

Przez chwilę wydawało się, że obrońcy zdołają odeprzeć Rillytich. Ale wtedy w dymiących ruinach bramy pojawił się Kane. Śmierć uderzyła z jego pięści, rozszarpując zbite szeregi obrońców jak błyskawica z piekła. Takiej przemocy żadna odwaga nie mogła stawić czoła. Ludzi ciskało w powietrze, miażdżyło o kamienie jak osmalone i poskręcane bryły mięsa, z bronią stopioną z ich martwymi dłońmi. Znowu i znowu śmiertelne pioruny szukały życia, niweczyły je unicestwiającym muśnięciem. Przerazenie na twarzach zabitych odbierało odwagę żywym, a wrzaski dzielnych ludzi umierających w strachu nie podnosiły na duchu. Żołnierska masa ugięła się i rozpadła, pchnięta do panicznej ucieczki przed niszczącymi promieniami.

Jeden z wojowników, oszalały od buszującej wokół grozy, przepelzł przez storturowane trupy i skoczył na Kane'a z tyłu. Pchnął mieczem w plecy Kane'a, wbijając klingę w połyskliwą siatkę energii, która go otaczała – dotknął jej, ale nie przebił. W mgnieniu oka broń z trzaskiem zmieniła się w stopiony żużel, a jej nosiciel w jednym błysku stał się płonącym popiołem, który rozsypał się w powietrzu. W obliczu niedosięgalnej dla ciosów istoty, która zbliżała się do nich z bronią siejącą piekielne zniszczenie, na chwilę przegrupowani obrońcy rozpierzchli się w popłochu. Za uciekającymi skakali szaleni od krwi Rillyti, kosząc ich i nie napotykając już oporu wobec swego ataku na serce miasta.

Gdy padły mury Breimen, bitwę zastąpiła bezlitosna rzeź. Malchion jeszcze się nie dźwignął z klęski poniesionej przy przekraczaniu Macewen, a pogrążony w samozadowoleniu wywołanym desperacką prośbą Dribecka o zawieszenie broni, zrezygnował z czujności wojennej, która utrzymywałaby jego miasto w gotowości – jeśli jakiegokolwiek przygotowania przeciw napaści magii starszego świata były możliwe. Dlatego zmniejszona armia breimeńska została zaskoczona i rozproszona przerażającą potęgą Krwawnika oraz dziką nienawiścią Rillytich. A najlepsi już polegli w walce o bramę nadrzeczną. Teraz najeźdźcy napotykali tylko sporadyczny opór ze strony zdeorganizowanych posiłków z innych koszar i obudzonych mieszczan, niepewnie trzymających miecze w osłabionych snem dłoniach. Gniewni ludzie, walczący wbrew prądowi paniki, by stawić czoło nieludzkim grabieżcom, ginęli od ich nieodpartej broni albo zawracali, by przyłączyć się do uciekających.

Szarzejącą noc rozświetlały płomienie towarzyszące masakrze. Próbując oszczędzać rezerwy sił Krwawnika, już poważnie naruszone wyrwaniem kanału przez bagnisko i napędzaniem statków floty inwazyjnej, nie licząc wykorzystywania jej na własne potrzeby, Kane wyłączył otulający go ekran energetyczny. Otoczony przez swych ciężkich wojowników, ukazał się w zbroi z brązowego stopu. Chroniła go też ciemność i panujące zamieszanie, choć od czasu do czasu pośpiesznie wymierzona strzała padała blisko niego lub odskakiwała od twardych metalowych płyt. Jak fantastyczny posąg z

żywego brązu kierował bezlitosnym atakiem na wijące się w bólu miasto. Jego błyszcząca zbroja rzucała wielobarwne odbłaski ognia i krwi i błyski złej zieleni.

Piekielna armia kroczyła w przedświcie przez ulice, mordując każdą żywą istotę, która nawinęła się pod jej klingi czy to w walce, czy beznadziejnej ucieczce. Rillyti nie pozostawiali nietknięci. Pomimo panującego chaosu zrozwaczeni ludzie zbijali się w grupy i próbowali wznosić barykady w poprzek ulic. Ich miecze odważnie zderzały się z większymi klingami wroga; maczugi i topory rąbały i młóciły, a w walce na krótki dystans ich włócznie i strzały uderzały z morderczą siłą. Co pewien czas któryś z wyniosłych płazów był obalany i rozrywany na strzępy przez okrutny tłum, kaleczony lub patroszony dobrze wymierzonym ciosem miecza, może nawet przebijany zatrutym pazurem zdobytej włóczni. Ale zwierzęcych najeźdźców były setki, a ceną ich śmierci bywały często całe góry ludzkich trupów. Okoliczności, w jakich Kane zaatakował, nie pozwalały obrońcom skutecznie wykorzystać swej przewagi liczebnej, a wszędzie tam, gdzie opór tężał, śmiertelna potęga pierścienia Kane'a zmieniała go w pełną lęku ucieczkę.

Breimen było młodym miastem, dlatego też większość jego konstrukcji była drewniana. Teraz świt powitały strzelające z niezliczonych miejsc płomienie, wzniecone piorunami energetycznymi Kane'a i pochodniami Rillytich. Prerażeni mieszkańcy szukali schronienia w swych domach – szukali, ale nie znajdowali. Z czystej żądzy niszczenia błotne stwory wybijały wejścia do pomieszczeń i wyrzynały wszystkich wewnątrz – wolnych i niewolników, kobiety i dzieci – pozostawiając tylko płonące ruiny i nie zadając sobie trudu zabierania łupów. Rozdmuchiwane porannym wiatrem płomienie przeskakiwały z budynku na budynek i nie było nikogo, kto by mógł przeciwstawić się ich pożerającej sile. Szwargoczący i chaotyczny pochód maszerował ulicami Breimen, znacząc swoje przejście ścieżką gruzu i szkarłatu.

Blisko centrum miasta czekał na nich zamek Malchiona, przysadzista, brzydka budowla z kamienia i drewna, otoczona palisadą i rowem z okutym żelazem ostrokołem. Tu wreszcie ludzie znaleźli schronienie, a obrońcy ośrodek oporu. Obudzony z pijackiego snu Wilk wysłuchiwał ponurych sprawozdań tych, którzy uciekali przed naporem nieprzyjaciela. Malchion pośpiesznie rzucał rozkazy. Wszyscy zdolni do walki mężczyźni mieli być wprowadzeni do zamku i uzbrajani dla jego obrony aż do chwili, gdy bliskość straży przedniej Kane'a zmusi do podniesienia zwodzonego mostu. Jeśli mury i rów z ostrokołem powstrzymają atak, zyska się czas na przegrupowanie reszty napadniętego miasta i sprowadzenie sił z podmiejskich koszar. Wysłano gońców, by przekazali rozkazy Malchiona. Gdy tylko zmasowany atak zagrozi tyłom Kane'a, Wilk poprowadzi wypad z zamku. Kane zostanie wzięty w kleszcze zorganizowanych ataków z dwóch stron, a miasto, któremu, jak sądzi, brzuch rozplątał, zamknie się jak pułapka dla nieludzkiej armii.

Ale Kane, który planował błyskawiczny rajd, a nie długie oblężenie, jasno zdawał sobie sprawę, że jego szyk może się okazać nazbyt rozciągnięty. Nie przybył tu, by podbijać, lecz niszczyć, i gdy w zamku Malchiona okrzepła obrona, wystąpił, by rozprawić się z nieprzyjacielską fortecą za pomocą siły, której rozkazywał. Silny ostrzał łuczników zmusił go do ponownego włączenia płaszcza ochronnego z pulsującej energii. Strzały rozpryskiwały się jak płwocina na rozpalonej blasze, trafiając w jaśniejącą postać widma ze szmaragdowego płomienia, kroczącego przez zasnuty dymem świt.

Z opancerzonej płomieniem pięści Kane'a trysnęła diabelska błyskawica, najpotężniejsza ze wszystkich, jakie dotychczas wypuścił. Jej jaśniejące uderzenia trafiały opalisado-wane mury ze wstrząsającym grzmotem. Drewniane belki rozjarzyły się pożerającym je płomieniem, kamienie eksplodowały rozszarżonymi do białości odłamkami. Kto mógł, uciekał w ślepej panice od rozpalonych murów; mniej szczęśliwi tańczyli spazmatycznie wśród trzaskającego śmiertelnego

stosu. W parę sekund energia pierścienia Kane'a przeorała niszcząco ściany fortecy, zapędzając niedobitki obrońców w ukrycie.

Zaden Rillyti nie skoczył przez rozżarzone szczątki rozbitej palisady, choć nie było już nikogo, kto mógłby przeciwstawić się ich atakowi. Kane szybko skierował swe zainteresowanie na otoczoną blankami twierdzą. Znowu energia Krwawnika strzeliła z jego pierścienia. Jaśniejsza niż kiedykolwiek przedtem lanca ognia uderzyła w fundament muru. Od potwornego wstrząsu zadrżała cała forteca; obrońcy kładli się pokotem na rozkołysanych podłogach, spadali z zajmowanych wyżej stanowisk. Niszczący promień jak zrodzony przez piekło młot wbił się w fundamenty i rozplątał skałę tak łatwo, jak rozpalone do białości ostrze rozcina brzuch dziewczęcia. Kane stał nieruchomo, a z jego wyciągniętej pięści płynęła rzeka zrodzonej w gwiazdach energii. Za nim rechotali przerażeni Rillyti, cofając się przed wybuchającymi szczątkami. Odłamki wirując wypadały z zielonej burzy, która ogarnęła mury.

Zdawało się, że nawet kamienie krzyczą dyszkantem w śmiertelnej agonii, akompaniując pieśni żałobnej gromowych eksplozji, trzaskającej energii, przerażonego wycia. Ściana fortecy, na połowie długości rozplomieniona, z wyrwanymi fundamentami, powoli osiadła na swej ranie. Z rosnącą szybkością cała forteca padła na stos pogrzebowy, waląc się na spaloną ziemię ze śmiertelnym rykiem, podobnym do ostatnich grzmotów piorunu podczas gwałtownej burzy. Jej korytarze były zapchane setkami oszalałych ze strachu ludzi, uciekających bez nadziei od palących promieni. Z wyjątkiem tych, którzy wywalczyli sobie drogę do wyjścia lub skoczyli z chylących się okien, by znaleźć ucieczkę przez pełen okropności świt – wszyscy oprócz tych niewielu zostali zmiażdżeni przez wyjące ruiny. Forteca rozpadła się w płonący, pogruchotany tłuczeń. Obiecywane przez nią bezpieczne schronienie teraz zatrzaśkiwało się nad ludźmi jak śmiertelna pułapka. Dymny całun zagłady zaciemniał poranne niebo, barwiąc rubinowe wschodzący półkrąg słońca na tle pobrużdżonego płomieniami horyzontu.

Gdy kłujący promień energii zniknął, wyłączyła się też pulsująca siatka energetyczna, bo forteca już nie istniała. Zmęczony Kane szedł powłócząc nogami, ledwie zdolny unieść ciężar swej zbroi. Zniszczenie zamku Malchiona obniżyło rezerwy energetyczne Krwawnika do niebezpiecznego poziomu, tak więc powrót do Arellarti byłby narażony na niebezpieczeństwo, gdyby Kane nadal czerpał siły z kryształu.

Ale jego cel został osiągnięty. Breimen było teraz złamanym kaleką, a potęga jaką zademonstrował spowoduje, że zrewidują swą decyzję rzucenia mu wyzwania. Odwołując swą grasującą armię, Kane nakazał odwrót na statki.

Breimen stało w płomieniach wzdłuż trasy, którą weszli, a pożoga rozszerzała się na całe miasto. Zmuszeni byli do powrotu nad rzekę inną, okrężną drogą, przez którą przebili się z niewielkimi trudnościami – bo zniszczenie fortecy Malchiona wraz z głównymi siłami pozostałej mu armii złamało kręgosłup oporu. Ci, którzy samobójczymi szarżami próbowali zatrzymać pochód, byli doraźnie zarzynani i nigdy najeźdźcy nie byli aż tak naciskani, by Kane musiał korzystać z ostatnich rezerw energii Krwawnika – siły, której potrzebowali dla napędu silników oczekujących statków.

Flota opuszczająca umierające miasto niosła ledwie połowę załóg. Ale potęga Breimen rozpląnęła się w całunie dymu, zasnuwającym poranne niebo.

XXI. NIE BYŁO ŁEZ W SELONARŁ

Ktoś pukał do jej drzwi. – Teres?

Usiadła, zdumiona nieznajomym otoczeniem, przez chwilę myśląc, że obudziła się na wieży Kane'a. Nie, była sama. To była cytadela Dribecka, gdzie spędziła kilka ostatnich dni od powrotu do Selonari z przesłaniem od Wilka i eskortą dwudziestu pięciu jej własnych ludzi. Dribeck potrafił przeczytać między wierszami decyzji Malchiona – i zauważył także świętę Teres – choć zatrzymał swe myśli dla siebie. Teres w poczuciu winy chciałaby, aby jej ojciec pozwolił na przyprowadzenie więcej ludzi, których uważała za lojalnych, ale Wilk podejrzewał, jakie są jej motywy. Przynajmniej będzie garść mieczy, aby zmyć tę plamę na honorze Breimen.

– Teres? – Nadal stukanie. – Teres? Tu Dribeck. Muszę z tobą pomówić.

Poznała jego głos. – Chwileczkę – zawołała niepewnie.

Za oknem jasno świeciły gwiazdy; spała niewiele godzin. Teres usiadła na łożu, naga w słabym migotaniu jedynej lampy. Wciągając jedno z futrzanych okryć, jeszcze ciepłe w miejscu, gdzie pod nim leżała, otuliła się nim i bosko skierowała do drzwi.

– Co się stało? – szepnęła niepewnie, odsuwając rygiel. Pociągnęła twarz Dribecka wyrażała troskę.

– Lepiej, żebym wszedł do środka – powiedział. – Właśnie przyniesiono mi ponure wieści.

Gdy precisnął się koło niej, nie zwracając uwagi na jej brak ubrania, Teres zmarszczyła brwi. Lord zachowywał się jak nawiedzony przez ducha; był sparaliżowany jakimś druzgocącym nieszczęściem.

– Kane...? – zaczęła z wysiłkiem.

– Tak.

Dribeck patrzył na nią z wyrazem oszołomienia. Jej serce jest sercem wojownika – pomyślał – więc powiedz jej wszystko po prostu, i miejmy to za sobą.

– Wieści właśnie do nas dotarły, gdy zaczęły przybywać niedobitki. Dwa dni temu Kane zaatakował Breimen na czele armii Rillytich. Była dzika rzeź, a zamek Malchiona został zniszczony. Gdy Kane się wycofał, pół miasta stało w płomieniach. Pokonane Breimen leży w ruinie, a Kane wrócił do Arellarti z nie tkniętą większością armii.

Pod Teres ugięły się kolana. Oparła się o ścianę z poszarzałą twarzą, kłykcie zaciśniętej na okryciu dłoni zbiegły z wysiłku. Przez chwilę milczała nie wierząc własnym uszom. Jej wargi drżały, wreszcie wydobyło się z nich słowo.

– Jak? – udało jej się wykrztusić.

Dribeck posępnie zrelacjonował jej treść pełnych grozy sprawozdań, jakie złożyli mu pierwsi docierający do Selonari. Teres słuchała nie przerywając, biała na twarzy, nieruchoma jak odziany w futro posąg. Zdawało się, że ściana musi się ugiąć pod straszliwym ciężarem, który się o nią wspierał.

– Mój ojciec? – spytała słabym głosem.

Ton Dribecka był pełen współczucia. – Był wewnątrz fortecy, gdy jej mury rozpadły się w gruzach. Wątpliwe, aby... – Nie dokończył zdania ani nie było takiej potrzeby.

Choć twarz zachowała spokojną, w jej oczach i głosie był ból. – Wilk zasługiwał na lepszą śmierć – wyszeptała. Po chwili dodała: – Ale może uważasz, że zasłużył sobie na taki los. Przecież odmówił ci pomocy... zdawało mu się, że Selonari i Kane będą walczyć aż do śmierci, a Breimen zabawi się w sępa.

To samo pomyślał sobie Dribeck, ale zaprzeczył jej słowom, mówiąc tylko: – Człowiek walczy

według znanych sobie reguł. Wojownik powinien spotkać śmierć w otwartej walce, a nie jako ofiara czarnej magii.

– Czemu Breimen? – spytała losu Teres. A po namyśle dodała: – Czy to była zemsta?

– Nie sądzę – zapewnił ją Dribeck. – Kane myśli zbyt racjonalnie, by zaryzykować wszystko dla emocjonalnej satysfakcji. Wątpliwe, by wiedział o neutralności Malchiona. Zapewne uznał, że Breimen sprzymierzyło się z Selonari i chciał przeciwdziałać tej groźbie, nim Malchion pomaszeruje na południe. Sądząc z jego taktyki, chciał również obezwładnić strachem swych możliwych nieprzyjaciół, za pomocą pokazu niszczącej siły.

– Być może – mruknęła Teres, myśląc, że Dribeck zna tylko jedną stronę spaczony psychiki Kane'a.

Wydawała się opanowana do tego stopnia, że Dribeck odważył się wysunąć następną sprawę, choć z pewnym poczuciem winy.

– Oczywiście zbieramy informacje tak szybko, jak napływają. W tej chwili obudzono moich doradców... oczywiście zwołałem posiedzenie nadzwyczajne. Twoja obecność będzie miała wielką wartość, ale biorąc pod uwagę okoliczności rozumiem twoje pragnienie, by...

– Rzucić się na twarz i histerycznie płakać? – zgrzytnęła Teres, pokazując białe zęby w jeszcze bielszej twarzy. Dwie szkarłatne plamy wystąpiły na jej policzkach upodabniając je do diabelskiej maski. – Tak powinna głupia dziewczyna uczyć swe zamordowane miasto i rodzinę! Ale wojownik ostrzy miecz zemsty! Przyjdę na twoją cholerną radę!

– Jak sobie życzysz – pochwalił ją Dribeck, który miał nadzieję, że usłyszy taką właśnie odpowiedź. – Przyjdź więc, gdy będziesz gotowa. Wiesz już wystarczająco dobrze, gdzie znajduje się sala rady.

Z holu zawołał go Asbraln, ale lord zatrzymał się na chwilę dość długą, by dodać: – Teres, wiesz, że moja szczerłość bywała niekiedy wątpliwa, ale... Przyjmij dziś wyrazy mojej prawdziwej sympatii... i szacunku.

Teres ledwie dostrzegła jego odejście. Przez długą chwilę trwała wsparta o ścianę, ramionami przyciskając futro do ciała. Wreszcie opadła na łóżko, gdy świadomość tego, eo się stało, wreszcie przedarła się przez zaporę niedowierzania. W pustej komnacie rozległ się wtedy dźwięk, spazmatyczne chwytnie powietrza, długie i przeszywające. Ale w oczach Teres nie pojawiły się łzy, więc stłumione dźwięki musiały być tylko przekleństwami.

Mechanicznymi ruchami wciągnęła na siebie odzież. Ta czynność wydała jej się tak zwyczajna jak zawsze. Może nic innego w jej życiu się nie zmieniło?

Zbliżając się do sali obrad usłyszała gniewny głos Dribecka. A więc już zaczęli; samotna ze swymi myślami zwlekała dłużej, niż sądziła. Znajome twarze spoglądały na nią poważnie, gdy wchodziła, ale sądząc z zewnętrznych pozorów, Teres była niezwykle opanowana. Nad kręgiem posępnych twarzy wisiał strach jak ciężki opar.

Dribeck szybko przekazał jej ostatnie doniesienia, ale kiedy wznowiono konferencję, Teres miała poczucie, że jej temat uległ zmianie.

– Najistotniejsze jest, a późniejsze informacje nie są w stanie tego zmienić, że Kane zdołał obrócić Breimen w dymiącą perzynę w ciągu paru godzin, a następnie wycofać się do swej fortecy ze względnie niewielkimi stratami. Oczywiście Malchion nie oczekiwał ataku. Niemniej Breimen było miastem nie gorzej bronionym niż Selonari i choć zaskoczona i dezorientowana, armia Wilka była zapewne tej samej wielkości, co nasza. Mówiąc bez ogródek, siła, jaką posiada Kane, czyni z wojny takiej, jaką znamy, śmiechu wartą, morderczą zabawę. Jeśli Kane... *kiedy* Kane zdecyduje się pomaszerować na Selonari, głupcami bylibyśmy wierząc, że naszemu miastu powiedzie się lepiej

przeciw tej nieziemskiej magii. Nie możemy pozwolić, by sam wybierał moment uderzenia! Twierdzą, że powinniśmy natychmiast zaatakować Arellarti!

– Powiem wprost, że to samobójstwo! – oświadczył Ovstal.

– Wiesz, co nastąpi, jeśli będziemy czekać, aż Kane podejdzie pod mury! – odparował Dribeck.

– Naszą najlepszą szansą jest przeprowadzić atak na niego. Do diabła, już o tym mówiliśmy!

– Ale wtedy liczyliśmy na poparcie Breimen – przypomniał Ovstal.

– Możemy zablokować kanał Kane'a w bagnach – podsunął Aion, jeden z najpotężniejszych stronników Dribecka wśród szlachty. – Zabarykadować kanał balami, aby nie mógł wypływać swoimi statkami. Po długim marszu przez puszcze te ropuchy nie będą wiele warte.

– Do diabła, Aion, rusz mózgiem! – odparł gorzko Dribeck. – Kane wyrąbał ten kanał przez całe Kranor-Rill w czasie krótszym, niż trzeba na jego przepłynięcie! Jaką barierą chcesz go przegrodzić?

– Powinniśmy wstrzymać się przynajmniej na kilka dni – upierał się Ovstal. – Jeśli dojdzie do oblężenia, potrzeba nam będzie wszystkich ludzi, jakich zdołamy zebrać. Przedtem Malchion nie chciał nam pomóc, ale może teraz przyłączy się do nas niektórzy z breimeńskich uciekinierów.

– A ilu ich będzie? – wtrącił się Crempa, drgnawszy od wlepionego weń spojrzenia Teres.

– Uwaga niegrzeczna, ale słuszna, kuzynie – przyznał Dribeck. – Nie możemy czekać, aż napłyną tu oszołomione grupki uciekinierów. Ale Kane potrzebuje czasu bardziej niż my. Przypuszczam, że w napadzie na Breimen niebezpiecznie rozciągnął swe siły. W przeciwnym bowiem razie, sparaliżowawszy swego nieprzyjaciela, nie wycofałby się. Raczej zniszczyłby miasto do szczętu, albo może nawet okupował. Uderzmy teraz, a być może uda nam się wymierzyć mu cios, zanim odzyska siły. A przynajmniej zaatakujemy go, nim siła Krwawnika zwiększy się do najwyższego poziomu, jaki kryształ zdolny jest osiągnąć.

– Moi ludzie i ja przyłączymy się do waszego ataku – warknęła Teres, po raz pierwszy zabierając głos. – Aż nami pomaszerują wszyscy ludzie z Breimen, którzy jeszcze mają dość odwagi, by unieść miecz.

– Jestem pewien, że wszyscy docenią ducha twojej propozycji – odparł dwuznacznie Ovstal. – Ale istnieje inny problem. Nie wystarczy odwaga i stal, by walczyć z bronią, jaką ma Kane. Nasza armia pójdzie naprzeciw niepojętego niebezpieczeństwa i ludzie o tym wiedzą. I choć sprzeciwia się to twojej wychwalanej logice, w naturze ludzkiej leży jednak ufność do grubych murów i znanej broni.

– Chcesz przez to powiedzieć...?

– Chcę powiedzieć, że ludzie mogą się zbuntować, jeśli spróbujesz w tej chwili oblegać Arellarti. Są odważni, ale nie możesz od nich żądać zbyt wiele. Tu, w Selonari, mogą walczyć na znanym sobie terenie,

– A może uda nam się coś wytargować u Kane'a? – pośpiesznie wtrącił Arclec widząc, że Dribeck zaczerwienił się ze złości.

Dribeck skierował swą złość przeciw najbogatszemu z doradców. – Po tym, co Kane zrobił z Breimen, wiedząc, z jakimi siłami się sprzymierzył, ty możesz poważnie brać pod uwagę targowanie się z Kane'em?

Wszyscy obecni zacisnęli wargi w milczeniu.

– Ponieważ musimy walczyć, walczyć tam, gdzie będziemy mieli choćby słabą szansę zwycięstwa – kontynuował Dribeck. – Nie ma co zaprzeczać, że nasze straty będą bezprecedensowe. Ale człowiek wbity na miecz wroga, umierając rozbraja go... i wtedy zostaje pomszczony przez swych towarzyszy. Mam obrzydzenie do takiej propozycji, lecz aby zabić węża, trzeba wycierpieć

jego ukąszenia, aż jego zęby wyczerpią jad. Jeśli nikt nie potrafi zaproponować lepszej strategii, to oprzeć się możemy tylko na tak bezlitosnej.

Co zaś się tyczy buntu, uważam, że gdy tylko wiadomość o masakrze w Breimen stanie się powszechnie znana, ludzie uświadomią sobie, jak próżne jest ich zaufanie do murów Selonari. Kane kiedyś powiedział, że odwaga i desperacja bywają niekiedy nierozdzielne. Są uwagi?

– “Jednakowo ginie się w ataku jak w obronie” – zacytował ponuro Ovstal. – Przy dobrym planowaniu, mając szczęście... być może potrafimy zrównoważyć choć część przewagi Kane'a. Podzielić nasze siły, zmusić go do marnowania siły uderzeniami w małe cele. A jeszcze lepiej wejść w zwarcie z jego pachołkami, aby musiał zawahać się przed użyciem ognia. O ile wiemy, te błyskawice energii są jego najbardziej morderczą bronią. Jeśli nie będzie mógł użyć pierścienia, my w otwartej walce jesteśmy dość liczni, by rozsiekać jego armię na sztuki. A najlepiej by było, gdybyśmy potrafili wyciągnąć go z jego fortecy. Wywabić na otwarty teren, a potem zaatakować wszystkimi siłami, jakie zgromadzimy. Byłby to dobry chwyt, gdyby nam się udało... ale Kane sam jest cholernie bystrym strategiem, to mu trzeba przyznać.

– Czy nie możemy znaleźć jakiegoś kontrzakęcia, by uchronić ludzi przed czarami Kane'a? – spytał Arclec, pomyślawszy, że jego pozycja znajduje się w straży przedniej armii.

– Pewną nadzieję możemy mieć – oświadczył Dri-beck. – Będę znowu rozmawiać z Gerwein. Ostatnim razem dała do zrozumienia, że Świątynia może uzyskać dostęp do sił magicznych równie potężnych, jak krystaliczny demon Kane'a. Wyrażała się niejasno, więc albo pragnęła zyskać na czasie, albo naprawdę jest niepewna, jakiej pomocy może udzielić. Nie potrafię tego określić. Jeśli szło o to drugie, miała już dość czasu, by przebadać zapleśniałe podziemie Świątyni w poszukiwaniu zapomnianych sekretów. Ale jeśli tylko grała na zwłokę, miejmy nadzieję, że masakra w Breimen na tyle zagrzeje jej serce, by zapomniała o naszych bezdennie głupich politycznych rozgrywkach.

Asbraln niewesoło potrząsnął głową. – Poproś Świątynię o pomoc, a cena będzie niemała. Aby pohamować ambicje Gerwein na tyle, ile nam się udało, trzeba było ciężkiej walki.

Dribeck skrzywił się z goryczą. – Jak już powiedzieliśmy, przed nami rozpaczliwe dni. Jeśli Gerwein może nam udzielić pomocy przeciw Kane'owi, nie możemy sobie pozwolić na jej zignorowanie. Mam tylko nadzieję, że cena nie zaciemni blasku naszego zwycięstwa. Ale porażka byłaby jeszcze czarniejsza.

XXII. PODZIEMIA ŚWIĄTYNI

Jak na tak wczesną porę poranną, Gerwein była wcieleniem władczej łaskawości. Tajemniczo wyglądała w długiej sukni z jedwabiu koloru czerwonego wina, z naszytym wzorem z kremowej skóry i równocześnie sprytnie rozciętej tak, by sugerowała ukryte pod nią piękno. Kruczoczarne włosy uczesane miała w długie, miękko wijące się sploty, czarne oczy patrzyły z tak nieprzeniknionym wyrachowaniem, jak spojrzenie kota w słabo oświetlonym pokoju. Chłodny, bezosobowy wyraz jej delikatnie wyrzeźbionej twarzy nie spodobał się Teres.

– Dzika wilczyca – oświadczyła arcykapłanka, obrzucając spojrzeniem prostacko odzianą dziewczynę.

Teres popatrzyła wyzywająco w jej nieruchome oczy. Gerwein nie mogła być od niej starsza więcej niż o pięć lat.

– Czy przyprowadziłeś ją tu w charakterze straży przybocznej, Lordzie Dribeck... czy też przypuszczasz, że zdobędziesz moją sympatię z pomocą kogoś tej samej płci, co bogini?

– Uznałem, że może ci się przyda rozmowa z jedyną osobą, która zna z pierwszej ręki tajemne moce Kane'a – odparł Dribeck, z trudem zachowując spokój po bezsennej, pełnej niepokoju nocy.

– Być może. Tak, możliwe, że będziemy miały o czym rozmawiać. Ale dzisiejszego ranka zauważam, że twoje zwykle uprzejme zachowanie, milordzie, skażone jest męczącą i pilną potrzebą, a krzyki dobiegające z ulicy informują nas o najnowszym bezceństwie Kane'a. Czy obłąkaniec, którego tak chętnie powitałeś wśród nas, już przystąpił pod nasze bramy?

Dribeck w żywych barwach opisał jej wszystko, czego się dowiedziano o losie Breimen, wpatrując się w jej twarz w poszukiwaniu oznak niepokoju. Ale doznał rozczarowania. Arcykapłanka ani przez chwilę nie utraciła wyrazu drwiącej wyższości, choć bardzo dokładnie wypytywała oboje o szczegóły.

Wreszcie Gerwein zamilkła, rozważając uzyskane informacje. Jej piękna twarz zupełnie się nie zmieniła, lecz arcykapłanka podjęła decyzję.

– Bądźcie łaskawi pójść ze mną – poleciła, wstając z tronu. – Rzadko się zdarza, by laicy przeniknęli poza sale modlitw Świątyni, ale uznaję, że nastąpiły dziwne czasy.

Weszli za nią do tajemnych obszarów Świątyni, przez kręte korytarze biegnące obok pomieszczeń pełnych woni kadzidła i grup dziewcząt w jasnych tunikach, zajętych niezrozumiałymi obrzędami lub zwykłymi zajęciami gospodarskimi. Przejście zmieniło się w biegnące w dół schody, znikły otoczone zygzakowatymi gzymsami okna, zastąpione płonącymi pochodniami. Teraz częściej trafiały się pokoje zamknięte na klucz; niektóre z nich miały drzwi aż do przesady masywne. Zza jednych z nich dobiegł stłumiony płacz, a Teres zdawało się, że na wargach Gerwein zaigrał okrutny uśmiešek.

Byli już głęboko pod ziemią, gdy kapłanka zatrzymała się przed okutymi żelazem wrotami.

– Zastukaj – powiedziała. Dribeck posłuchał.

W judaszu ukazała się twarz o ostrych rysach, zniknęła i ze zgrzytem rygli drzwi się otworzyły. Za nimi ukazała się zaskakująco wielka izba. Znękana twarz Dribecka rozjaśniła się podziwem na widok bogactwa ksiąg i manuskryptów, rozmieszczonych na obszernych półkach. Trójka posuniętych w latach kapłanek wertowała liczne zmurszałe woluminy, rozłożone na ciężkim stole. Srebrnoszary dysk z polerowanego metalu, około pięciu stóp średnicy, leżał płasko na środku stołu. Dribeck pomyślał, że jest to lustro, póki nie pochylił się nad nim i nie dostrzegł, że wypolerowany krąg nie daje żadnego odbicia.

– Archiwum Świątyni – oświadczyła Gerwein. – Przechowalnia gromadzonych przez całe

stulecia nudnych zapisków oraz wiedzy tajemnej. W naszej epoce upadku my, córki Shenan, prawie utraciliśmy zdolność odróżniania błahych formalizmów od bezcennej wiedzy, którą nasz kult niegdyś posiadał. Moje siostry trudyły się nieustannie w ostatnich dniach, aby z całym poświęceniem wycisnąć z tej zbutwiałej sterty starożytnych pergaminów wiedzę o starszej rasie krelrańskiej i ich demonie Krwawniku. Na szczęście dla Selonari, a także, jak się zdaje, dla świata poza nim, nasze poszukiwania nie były całkiem daremne.

– Co wiecie o Arellarti? – nie potrafił powstrzymać się od zapytania Dribeck.

– Wiele. Mamy nadzieję dowiedzieć się jeszcze więcej, gdy znajdziemy pewien starożytny manuskrypt, datujący się z najwcześniejszych dni naszego miasta. Jak dotąd ten tom nam się wymyka.

– Uśmiechnęła się z chłodnym triumfem. – Ale już dowiedziałyśmy się niemało ze wzmianek w innych pismach, by rozpoznać naturę tego krystalicznego szatana, zwanego Krwawnikiem. A co najważniejsze, dowiedziawszy się, odkryłyśmy sposoby zwalczania jego mocy. Prawdopodobnie będziemy w stanie unicestwić energię morderczych piorunów, które Kane rzuca za pomocą pierścienia... i widzę, że w tym momencie mój uprzejmy Lord Dribeck zdradza zainteresowanie!

– Jeśli potraficie zneutralizować ową broń, możemy zniszczyć Kane'a! – zapewnił Dribeck, zbyt przejęty, by wdawać się w szermierkę słowną z arcykapłanką.

– O ile Krwawnik nie posiada innych mocy i to bardziej zabójczych. Ale myślę, że wiemy już dość, by walczyć z Kane'em jak równi. Z twojego opowiadania, Teres, wynika, że Kane raz ujawnił ważny aspekt krelrańskiej potęgi, choć twój niepiśmienny umysł nie zdołał pojąć znaczenia jego słów. Mówiłaś o mocy Krwawnika jako "czarnoksięstwo", a Kane powiedział, że się mylisz, i umyślnie czy też przez pogardę dla twojej ignorancji nie zadał sobie nigdy trudu, by wyjaśnić ci różnicę.

Siła Kane'a ma źródło w nauce, nie magii, choć jeśli idzie o starszy świat, różnica między nimi się zaciera. Ale niewykształconym umysłom trudno ją pojąć, bo to wymaga zrozumienia działających sił i praw, które nimi rządzą. Na przykład, by wyprodukować morderczy miecz bojowy, mistrz kowalski posłużył się tajemnicami swego rzemiosła, by przetopić wyborowe żelazo na stal, ze stali wykuć hartowane ostrze, a następnie wyważyć, wyostrzyć i oprawić klingę według najlepszych zasad jego sztuki. Podobnie mag może wykuć miecz z ognia gwiazd i zakłęb. Jakiemuś wymachującemu pałką małpoludowi, według legend zamieszkującemu nieznane nam ziemie, oba miecze wydadzą się magiczne. Ale jasne jest, że jeden zrodziła nauka, drugi czarnoksięstwo. Wam pozostawiam ocenę, który z nich okaże się skuteczniejszy.

– Ja tam zaufałamby ucziwej stali – warknęła Teres, rozżłoszczona drwinami Gerwein. – Znam legendy o waszych magicznych mieczach i zawsze okazywało się na koniec sagi, że taka broń źle służyła swym panom!

– Ona mnie zrozumiała dosłownie – szepnęła Gerwein z uprzejmym zdziwieniem.

– Ja nie uważam się za niewykształconego – przerwał Dribeck, również poirytowany. – A teraz, gdy już się wypowiedziałaś, do czego to ma prowadzić?

– Zechciej wybaczyć, milordzie. Prowadzi to do wojny między nauką i czarnoksięstwem. Daje to nam tę przewagę, że my już co nieco rozumiemy z podstaw krelrańskiej nauki, natomiast można wątpić, czy Kane posiada poważną wiedzę o magicznych siłach Shenan.

– Nie byłbym gotów dać za to głowy – ostrzegł Dribeck.

– Ależ to robisz. Istotne jest, że krelrańska nauka stoi na pograniczu tego, co my, ludzie, uważamy za magię... więc być może moja analogia z małpoludem pozostaje trafna. Nauka ma prawa, magia jest posłuszna prawom. Każda z nich odwołuje się do innych źródeł siły. Ale czy są tak różne, jeśli należycie się w to wgłębić? To sprawy zbyt zawiłe, abyśmy je dziś rozważali. Ale z tego, co

wiemy o potędze Krwawnika, wynika przekonanie, że jest ona blisko spokrewniona z magią, i dlatego leży w naszej mocy pobicie Kane'a magią Shenan.

Ten dysk, który, jak już zauważyłeś, nie jest zwierciadłem, wieki temu złożono w podziemiach Świątyni. Sposób posługiwania się nim został prawie zapomniany... jak to było z tak wielu artefaktami z epoki naszej minionej chwały. Może on okazać się poszukiwaną przez ciebie obroną przeciw promieniom śmierci Krwawnika.

Dribeck sceptycznie przyjrzał się metalowemu kręgowi.

– Podnieś go – zaproponowała Gerwein.

Był chłodny w dotknięciu. Jak zimny, Dribeck nie poczuł do chwili, gdy końce jego palców pokryły piekące białe stygmaty. Z bolesnym wysiłkiem wsunął dłonie pod skraj dysku, a choć jego masa nie powinna przekraczać paru dziesiątków funtów, krąg z nieznanego metalu okazał się tak ciężki jak potężny dębowy stół.

Śmiech kapłanki był jeszcze zimniejszy. – Wygląda, że jest obrazem czegoś. Odkryliśmy ponownie jego tajemnicę i zapewne Kane wkrótce przekona się, że potęga Krwawnika nie jest niezwycięzona. I dowiedziałyśmy się jeszcze o wielu innych sprawach, które przyniosą Kane'owi rozczarowanie, gdy bitwa się rozpocznie. Oczywiście obrzędy są skomplikowane, ponieważ występują tu potężne siły. Będziemy potrzebowały czasu i wielu rzeczy, których wiemy, gdzie szukać.

Będziesz jednak musiał odwołać zakaz ofiar ludzkich; chyba że chcesz walczyć z Kane'em tylko mieczem. Nie patrz tak ponuro, milordzie. My wiemy, gdzie szukać potrzebnych nam dziewic; wątych kwiatów, które wyhodowałyśmy od urodzenia. Szczegóły nie będą cię dotyczyć; wystarczy, że żadne dziecko znane poza tymi murami nie zginie.

Dribeck zaczął się rozpaczliwie zastanawiać, czemu Świątynia utrzymywała taką ohydłą rezerwę, gdy ofiary z ludzi były od dawna zakazane... i skąd brała niemowlęta. A jeszcze mniej przyjemne były rozważania o zapłacie, jakiej Świątynia zażąda za swą interwencję. Te myśli zaczęły wywoływać w nim obrzydzenie, zatruwając budzącą się nadzieję. Ale jakież miał wybór?

– Zastanawiam się, co chcesz tym zyskać, Gerwein – powiedział posępnie. – Altruizm nie należy do cech charakterystycznych Świątyni, więc wiem, że nie pomagasz mi z miłości do Selonari.

Gerwein odpowiedziała tak spokojnie, jakby dyskusja dotyczyła nakrycia stołu bankietowego.

– Ja też nie jestem naiwna, Dribeck. Oczekuję położenia kresu twoim obsesyjnym próbom opodatkowania Świątyni, to oczywiste. Innych obietnic czy koncesji politycznych nie będę żądać, ponieważ wiem, że odwołasz je, gdy tylko niebezpieczeństwo zostanie zażegnane.

Niech magia córek Shenan ocali nasz kraj od strasznego losu, jaki Kane chce nam zgotować. Sądzę, że ludzie dobrze zapamiętają, z czyich rąk przyszło wybawienie. I uważam, że potem będą o wiele mniej entuzjastycznie nastrojeni do twoich wykalkulowanych ataków na nasz powrót do władzy. Celem tej gry, milordzie, jest, jak dobrze wiesz, to, co nazywa się prestiżem.

XXIII. GIGANCI NA CIEMNYM NIEBIE

– W powietrzu unosi się śmierć, a ludzie czują jej oddech – zauważył melancholijnie Dribeck. – To mi nie przypomina wstępu do żadnej z bitew, jakie stoczyłem.

W blednym świetle pan Selonari stał nad opadającym brzegiem Kranor-Rill. Wprawdzie znajome dźwięki siekier, łopat i hałasów towarzyszących rozbijaniu przez wojowników obozu uspokajały, ale zwykłe szorstkie okrzyki wydawały się stłumione i stonowane przez ogarniającą wszystkich atmosferę nieznaną grozy. Zabrawszy ze sobą wszystkich zdolnych do noszenia broni, Dribeck wyruszył na południe o świcie następnego dnia po konferencji z Gerwein. Niewiele czasu zajęły ostatnie przygotowania, bo już zebrał armię i wszyscy ludzie byli w gotowości bojowej. U schyłku trzeciego dnia rozbito obóz i należycie go obwarowano. Miał kształt wielkiego klina, skierowanego ostrzem ku wylotowi grobli.

– Niewiele radości daje bitwa, w której czarna magia i pozaziemska nauka walczą ze sobą jak giganci na ciemnym niebie, a dzielni ludzie nie są niczym więcej niż rozbieganymi mrówkami, które giną nie zauważone pod ich stopami – odparła posępnie Teres.

Ona i Dribeck w owych dniach szukali swego towarzystwa, znajdując ulgę w tej bliskości. Zaczął się między nimi pojawiać milczący, wzajemny podziw – między dwojgiem ludzi tak różniących się charakterami, lecz podobnych tym, że oboje byli wyobcowani w swych kręgach społecznych.

Teres uważała się obecnie za władczyńnię Breimen, a stu czy więcej uciekinierów, którzy stanęli pod wollendańskim sztandarem, nie kwestionowało jej przywództwa, choć wątpliwe było, czy dziedzictwo wilczycy jest czymś więcej niż stertą ruin. Jeśli przeżyje tę bitwę, jeśli Krwawnik zostanie zniszczony, wówczas, jak zamierzała, zajmie się Breimen. Ale najpierw musi spróbować pomścić jego upadek.

– Moja szansa zwycięstwa – ponownie podkreślił Dribeck – może zależeć od tego, czy Kane nas zaatakuje. Tutaj czarnoksiężstwo Gerwein może nas uchronić przed wybuchami energetycznymi Kane'a, a przynajmniej ludzie gotowi są w to wierzyć. Natomiast gdybyśmy musieli oblegać Arellarti, sam nie wiem, w jakim stopniu mogłaby nam dopomóc.

Objął zmęczonym wzrokiem leśny obóz, otoczony drewniano-ziemnymi wałami, szeregi namiotów, grupki kręcących się żołnierzy. Pod ciemniejącymi drzewami zaczynały mrugać ogniska, na których gotowano strawę.

– Wątpię, czy Kane ma jakiegokolwiek skuteczne sposoby dokonania zwiadu, by dowiedzieć się czegoś więcej ponad to, że się tu znajdujemy. Jego ropuchy nie mogą wkraść się nie zauważone między ludzi, a ja pocieszam się myślą, że żaden człowiek nie upadł tak nisko, by stać się jego szpiegiem. Mam też nadzieję, że prócz wynikających z naszego szyku korzyści taktycznych, formacja w klin zmyli go co do naszej prawdziwej siły. Być może obróci się na naszą korzyść jego ufność we własną moc, jeśli zdecyduje zaatakować pierwszy, by uniknąć naszego planowanego oblężenia mogącego spustoszyć miasto, które tak pracowicie odbudował.

– Myślisz, że Kane zaatakuje tej nocy? – spytał Crempra, podchodząc do nich w towarzystwie Asbralna – srogiego, postarzałego orła w stroju bojowym, który ostatni raz widział bitwę przed dziesięcioleciem.

– Tego można w granicach rozsądku oczekiwać, jeśli w ogóle zaatakuje – oświadczył zdecydowanie Dribeck. – Im dłużej czeka, tym mocniejsze możemy zbudować fortyfikacje. Ponadto jest istotą nocną, a ciemności będą korzystne dla Rillytich. Choć wątpię, czy byłby w stanie oskrzydlić naszą pozycję, bagienne stwory przedkładają podstęp nad bezpośrednią konfrontację.

Pamiętajcie, że atak na Breimen tak zaplanował, by nastąpił przed świtem.

– W nocy, gdy siły Ommema są najslabsze – dodała Teres. – Kane'owi świat tajemny nie jest obcy; być może chciał uniemożliwić jakiegokolwiek wezwanie, które moje miasto mogło skierować do świetlistego boga Wollendanu. A jeśli tak, to dzisiejszej nocy mamy nów; Kane wspomniał, że to czas, w którym potęga Krwawnika sięga szczytu. Jak wasza księżycowa bogini Shenan dopomoże wam takiej nocy?

– Gerwein ostrzegła nas, że pora nie jest sprzyjająca, ale na to nic nie możemy poradzić. Niemniej ona nadal wierzy, że ich magia okaże się potężna. – Dribeck zwrócił spojrzenie na namioty kapłanek.

Teres poszła za jego wzrokiem. Córki Shenan zaskakująco sprawnie uporządkowały wielką masę przyborów, które zajmowały liczne, kopiasto wyładowane wozy. Na rozkaz Lorda Dribecka każde ich żądanie było natychmiast spełniane i oczyszczono dla nich z drzew niewielki pagórek. Żołnierze trudzili się nad rozstawianiem ich namiotów i rozmieszczaniem ekwipunku, w otoczeniu ruchliwych postaci kobiecych, odzianych na różne sposoby – od prostych tunik akolitek do bardziej eleganckich sukni wyższych kapłanek. Na szczycie pagórka robotnicy mozolili się nad wywindowaniem dziwaczego metalowego kręgu na jego podstawę u szczytu niskiego, kamiennego ołtarza. Ten ołtarz z czarnego kamienia bez skazy przetransportowano z głębin Świątyni, z której podziemi wydobyto też inne rzeczy, nie znające dotąd światła dziennego.

Teres zmarszczyła brwi, widząc bladokóre dziewczyny, pośpiesznie zapędzane do namiotów przez kapłanki, prowadzące je za kajdany otaczające nadgarstki i szyje. Szły zrezygnowane, ale w mrugających oczach odbijał się strach.

– A my twierdzimy, że nasza sprawa jest sprawiedliwsza niż Kane'a. – Splunęła z obrzydzeniem. – Zastanawiam się, czy nasze zwycięstwo będzie warte jego ceny!

Dribeck miał zdecydowaną minę, choć jego oczy wyrażały konsternację. – Jak powiedziałaś, niewiele będzie radości z tej bitwy. Nasza broń musi być niegodziwa, jeśli mamy powstrzymać jeszcze większe zło.

Półmrok gęstniał, zmieniał się w noc. Kordony wartowników nerwowo patrolowały okolicę. A do obozu, gdzie zaniepokojeni żołnierze szeptali ostrząc stal, sen nie zawitał. Demony bitwy powiewając skórzastymi skrzydłami budziły nocny wiatr i nie było nigdzie człowieka, który by nie odczuł rosnącego napięcia.

– Nadchodzi! – szepnęła Gerwein ze wzrokiem błędnym od skupienia. Nikt nie kwestionował jej wiedzy.

– Przyciągnięty zapachem twego czarnoksięstwa – rzuciła półgłosem Teres, czując, jak jeżą się jej włosy na widok rozgrywającego się przed nimi niesamowitego widowiska.

Zabłyły zapalone pochodnie. Jedwabne szaty kapłanek łopotały w chłodnym powiewie jak proporce. Za oświetlonym pochodniami kręgiem namioty trzepotały jak złowrogie skrzydła. Teres zadrżała i to nie całkiem od chłodu powietrza; chociaż wobec zbliżającej się bitwy odrzuciła ciepły, ale krępujący ruchy swymi fałdami płaszcz. Dribeck powiedział coś po cichu do Ainona, który odszedł, by dopilnować zapalenia ognisk otaczających skraj Krenor-Rill.

Naga dziewczyna przywiązana do ołtarza szarpała się tam rozpaczliwie. Nie mogła mieć wiele więcej niż piętnaście lat – niewinny, kruchy kwiat wyhodowany w tajnych komnatach Świątyni, by zostać zerwany w chwili, gdy jego dozorcynie uznają, że gotów jest zakwitnąć. Strach już ją opuścił i zdawało się, że leży zhipnotyzowana coraz głośniejszym zaśpiewem kapłanek. Teres próbowała pocieszyć się myślą, że to dziewczę nigdy naprawdę nie poznało życia, ale to nie zmniejszyło odczuwanej przez nią odrazy. Dziewczyna nawet nie zapłakała.

Wyżej i bardziej nalegająco wznosiły się inkantacje, teraz śpiewane w języku, jakiego Teres nigdy nie słyszała. Gerwein szczupłymi palcami wrzucała dziwne substancje do płonącej kadzielnicy, z której sączyły się słodko-gorzkie opary, snujące się jak mgła nad wijącymi się w tańcu kapłankami. Dziewczyna leżała teraz nieruchomo jakby uśpiona – gdyby nie zbyt pośpieszne wznoszenie się i opadanie jej piersi w oddechu. Gerwein wrzuciła do ognia ostatnią szczyptę proszku, a potem z ostrym krzykiem opuściła pięść tuż nad lewą piersią dziewczęcia – choć Teres mogłaby przysiąc, że ta dłoń była pusta. Ofiara szeroko otworzyła oczy, jej usta wykrzywił bezgłośny krzyk, ciało szarpnęło się w więzach – i w tym samym momencie kadzielnica wyrzuciła fontannę isker i zgasła!

Równocześnie metalowy krąg nagle zabłyśł. Słup upiornego światła, zrodzonego na jego bladej powierzchni, padł na skrzyżowaną w więzach ofiarę. Na jedną chwilę otulił jej jasną postać; przez blask przeleciał, zdało się, widmowy kształt. Powoli upiorne światło cofało się od dziewczyny, wciągane przez krąg polerowanego metalu, teraz świecącego mocniej. Żłocistym, bladym światłem śmierci. *Jakże podobnym do księżycowego* – pomyślała przerażona Teres.

Na ołtarzu leżała pusta łupina dziewczyny.

Na pięknej twarzy Gerwein pojawił się zimny, okrutny uśmiech triumfu, choć wyglądała na nieco wstrząśniętą własnymi czarami.

Od strony wartownika dały się słyszeć krzyki na alarm.

– Teraz niech twoja magia nas chroni, jeśli potrafi! – zgrzytnął Dribeck, rzucając się, by poprowadzić swych ludzi. Kordon gwardii świątynnej szczelnie otoczył wzgórze kapłanek.

Teres zauważyła, że Arellarti promieniowało jeszcze jaśniej zgubnym, zielonym światłem, sączącym się przez wszechobecne mgły. Nawet kamienie grobli, leżące jak wstęga krzepnącej krwi, promieniowały pulsującym światłem. Przez mgłę widać było niezgrabne kształty, człapiące po osobliwej drodze jak ciemne widma na tle szkarłatnego światła.

Bliskie ostrzegawcze krzyki. Tryskające płomieniami ogniska ukazały tuziny monstrualnych płazów, powstających z gnoju i mułu bagna. Zbliżywszy się ukradkiem, Kane rozwinął szyk swych pachołków. Teraz zaś, gdy Rillyti zaczęły zalewać leśny teren, wysunął swą główną kolumnę, aby z miażdżącą siłą wsparła atakującą niespodzianie straż przednią.

– Oto wasze cele! – zawył przeraźliwie Crempra. – Na tle światła! Teraz ich macie! – Przez noc z sykiem poleciały strzały.

Ryki bólu i wściekłości świadczyły o celności łuczników, jeśli nawet ciemności skrywały uderzenia ich strzał. Z wzniesionymi do góry morderczymi mieczami, Rillyti wielkimi skokami wynurzali się z bagna. Strzały grzechotały i zarysowywały ich błyszczące zbroje, przebijając je tylko w bezpośrednim, bliskim trafieniu. Inne jednak wbijały się w twardą skórę odsłoniętych kończyn, raniąc przeciwników.

– Starajcie się trafiać ich w oczy! – poradził Crempra, zauważywszy, że rozszerzone źrenice płazów odbijają światło ognisk. Jego własna strzała trafiła dokładnie i z trzaskiem zwała w błoto ropuchę, wijącą się w męce przesywającej jej mózg.

Bagienne stwory rzuciły się w stronę wałów, w szale zabijania nie bacząc na padających. Z dzikim wyciem zderzyły się z zaporą, przeskakując ją potężnymi susami. Ludzie padali pod ich wykutymi obcą siłą klingami lub odpowiadali równie morderczą stalą.

Crempra szybko wycofał swych łuczników znad utraconego okopu, aby dać przejście ciężkozbrojnej piechocie, szarżującej na napierających Rillytich. Zatruta włócznia szarpnęła rękawem księcia. Na chwilę jego serce stanęło ze strachu, póki się nie przekonał, że ramię nie zostało zadraśnięte. Ostrożnie odciął splamioną trucizną część tkaniny, po czym pośpieszył, by przesunąć łuczników na nowe pozycje.

Główne siły hordy Rillytich zaczęły się wysuwać z grobli do lasu. Tu natknęły się na szczyt klina. Rozpoczął się ciężki bój, gdzie siły jednych i drugich to zyskiwały, to traciły teren. Łucznicy nieprzerwanie podtrzymywali niszczący ostrzał błyszczącej grobli, wyrządzając ziemnowodnym wielkie straty pomimo ich ciężkich pancerzy z brązowego stopu. Ale gdy coraz więcej Rillytich wychodziło na suchy ląd przy wsparciu tych, którzy dobrnęli tu przez moczary, walka u szczytu klina stawała się coraz bardziej zacięta i krwawa. Za każdym razem, gdy zdawało się, że płazy są bliskie przełamania linii umocnień, świeży przepływ mieczy i władających nimi mięśni odrzucał ich wstecz po krwawym polu śmierci. W wyjąłym kłębowisku walczących łucznicy byli bezradni; groziło przy tym, że dalsze posuwanie się Rillytich pozostawi groblę poza zasięgiem ich łuków.

A po niej kroczyło coś dziwnego i morderczego. Demon z zielonego płomienia zabłysnął we mgle, siejąc przerażenie w trzech tysiącach serc groźbą palącej śmierci. Strzały dotykały tajemniczej postaci nie wstrzymując jej nieubłaganego marszu. Rillyti zaryczeli radośnie i odsunęli się od obleżonego obozu.

Nadszedł Kane. Pan Krwawnika przybył, by zniszczyć tych, którzy ośmielili się rzucić wyzwanie jego potędze. A za nim maszerowały główne siły jego nieludzkiej armii, trzymane w rezerwie, podczas gdy straż przednia rozpoznawała obronę Dribecka.

Kane wyciągnął lewe ramię i wojowników wzdłuż umocnień opuściła odwaga. W panice opuszczali teren, którego tak dzielnie jeszcze przed chwilą bronili. Włócznia niszczącej energii wytrysnęła z otulonej płomieniem pięści. Z gromowym wstrząsem przednia linia fortyfikacji Dribecka wyleciała w powietrze, zasypując nocne niebo gradem rozżarzonych odłamków i spieczonych brył ziemi. Ci, którzy nie zdążyli uciec, ginęli z krótkim krzykiem ostatecznego bólu, gdy padał na nich szmaragdowy bicz. Znowu groza starszej Ziemi wyciągnęła rozpalone pazury, by w bezlitosnej furii chwytać dusze ludzkie.

Ufny w swą potęgę Kane dumnie kroczył przed siebie. Tej nocy zamierzał zmiażdżyć wszelki zorganizowany opór w okolicy, by rozciągnąć swe rządy strachu na wszystkie miasta-państwa. Kane spodziewał się, że gdy tylko stanie się oczywiste, że opór wobec Krwawnika równa się śmierci, zbierze armię ludzi, którzy zastąpią Rillytich, armię wojowników, których posłuszeństwo zapewni mu wzbierająca fala zwycięstwa.

Krwawnik szeptał, że od urzeczywistnienia tego planu dzielą go ledwie godziny. Wystarczyło kilka dni, by potencjał energetyczny kryształu osiągnął poziom jeszcze wyższy, niż przed rozpoczęciem ataku na Breimen. W tych warunkach, nawet odczuwając obecność magii i uznając, że Dribeck ma w tym miejscu o wiele silniejszą pozycję, niż gdyby pokusił się o obleżenie Arellarti, Kane w swej arogancji zdecydował, że zniszczy siły Selonari tak, jak mu się spodoba. Miała to być lekcja pogładowa na temat daremności oporu wobec bezmiernej potęgi Krwawnika.

Pośpiesznie wybudowane fortyfikacje selonaryjskie w pierwszej chwili powstrzymały napór Rillytich. Pan Krwawnika zamierzał unicestwić całe leśne obozowisko palącymi uderzeniami energii, a następnie rzucić swą żarłoczną armię płazów na rozproszonych niedobitków. Straszliwa włócznia płomieni wystrzeliła z pierścienia i wysunięty dziób umocnień zapłonął w ostatecznym zniszczeniu.

Nagle wyrosła przed nim tajemnicza i nieoczekiwana przeszkoda. Stromym hakiem magiczny krąg wypłynął na ufortyfikowane obozowisko w poszukiwaniu pozaziemskiej siły, posłuszny zakłębionemu kapłanek. Błyszczącego dysku nie poruszało nic widocznego; jak miniaturowy obraz księżycy popłynął po nocnym niebie i zawisnął na wysokości wzrostu człowieka, zagradzając przejście Kane'owi.

Kane zatrzymał się w momencie niepewności. Martwo biały jak zimowy księżyc w pełni, wisiał

przed nim w powietrzu zimny krąg światła, sprzeciwiając się jego marszowi naprzód. Tu zagrażała magia, potężna magia nie znanej Kane'owi natury. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że jej obecność stanowi groźbę, ale charakteru i potencjału tej groźby nie był w stanie odgadnąć.

Zniszcz to! – rozległ się pogardliwy szept w jego umyśle.

Nie wahając się dłużej, Kane uderzył. Piorun połyskującej potęgi wystrzelił z pierścienia z krwawnikiem i ugodził w sam środek unoszącego się kręgu.

Świetliste koło zawibrowało jak niewyobrażalny srebrny gong, który pod uderzeniem wydał dźwięk o częstotliwości daleko wykraczającej poza słuch człowieka, a jego blask nasilił się na chwilę. Powinien był zamienić się w bezkształtną masę stopionego metalu, ale na jego polerowanej powierzchni nie pojawiła się żadna skaza.

Kane odskoczył. Jego ramię osłabło od przejmującego zimna. Zbroja energetyczna zamigotała i przygasła. Z chciwością wampira blade krąg wchłonał niszczący promień, wysysając strumień siły z namiętym pragnieniem, by wypić jej jeszcze więcej. Zdawało się, że niemal sięga po Kane'a w przerażającym nienasyceniu.

Poczuwszy po raz pierwszy cień przerażenia, Kane wznowił atak. Znów skoczyła włócznia zieleni, jaśniejsza, mocniejsza niż przedtem. Wybuch rozbiłby potężną kamienną ścianę w rozpalony proch, ale świetlisty krąg tylko wzmocnił swą bladą jasność. Przygotowana na jego głodny uścisk błyszcząca zbroja energetyczna Kane'a osłoniła go przed tą ssącą jak pijawka siłą.

Kane cofnął się, świadom, że stoi w obliczu zguby. Uciekający żołnierze zatrzymali się, owładnięci nadzieją, że magia Selonari może przyjść im z pomocą. Rillyti, wstrząśnięci faktem, że ich bogowi nie udało się zniszczyć czarodziejskiej tarczy, zarechotali nerwowo. Bitwa ustała na chwilę.

Kane ze złością dał swym sługom znak, zastanawiając się, czy w tym wypadku siła fizyczna okaże się skuteczna. Na błyszczący krąg posypały się włócznie i maczugi. Jego zimny blask przybrał na sile, a mknące ku niemu pociski bezgłośnie zniknęły zetknąwszy się z jego powierzchnią.

Kane musiał rozstrzygnąć ten problem. Jak dotychczas owa magiczna tarcza zdawała się jedynie bronią defensywną, choć już to samo czyniło ją wystarczająco niebezpieczną. Bez pomocy niszczącej siły pierścienia z krwawnikiem jego nieludscy sprzymierzeńcy stali wobec ogromnej przewagi liczebnej armii Dribecka. Zwycięstwo łatwo mogło mu umknąć.

Jego uwagę przyciągnął oświetlony pochodniami pagórek z namiotami w jaskrawe wzory pod proporcem Świątyni, otoczony liczną strażą. Fantastycznie odziane kapłanki stały kręgiem wokół jaśniejącego ołtarza. Ich dalekie śpiewy były tu niesłyszalne, ale ich postawa, gdy wznosiły inwokacje, dostatecznie wymowna. Zrozumiawszy, gdzie znajduje się źródło przeciwstawiającej się mu siły, Kane zareagował zdecydowanie. Odwróciwszy się od metalowego dysku, skierował straszliwy płomień energii w stronę postaci na wzgórzu.

Szybciej niż myśl zabłysnął przed nim świetlisty krąg. Niszczący szmaragdowy piorun uderzył w stojący między nim i celem dysk i został pochłonięty przez magiczną tarczę. Zachwiawszy się od jego obezwładniającej, ssącej siły, Kane ponowił atak. Znów i znów zabójcza włócznia wystrzeliwała z jego pięści. Nieustępliwy jak cień, pływający w powietrzu krąg podążał jak magnes za każdym jego ruchem, wchłaniając płonącą energię.

Kane odczuł pełną zdumienia wściekłość Krwawnika. – *Zniszcz to! Dziś moja potęga urosła już prawie bezgranicznie!*

Postanowiwszy zakończyć wreszcie ten impas, Kane zwrócił się znów przeciw zawieszonemu przed nim kręgowi światła. Tym razem nie miała to być wstępna próba sił ani przechwycenie uderzenia. Niech ich magia poczuje przerażającą potęgę Krwawnika!

Z pięści Kane'a wytrysnął oślepiający strumień skrzęcej się siły, energii znacznie większej niż ta, którą zniszczył fortecę Malchiona i większej niż ta, która wyrwała głęboki kanał przez całą szerokość Kranor-Rill. W zawieszony krąg uderzyła cała niszcząca siła Krwawnika. Kane zniknął w okrywającym go przypląwie pożerającej energii; stał się ludzkim punktem świetlnym, stojącym u źródła niszczącego wybuchu niewyobrażalnej siły.

Metalowy dysk w niewiarygodny sposób wytrzymał atak, stawiając czoło ciągłemu strumieniowi niszczącej mocy o średnicy większej niż blade krąg. Teraz zaiste wyglądał jak zmniejszony sztuczny księżyc. Jego trupio blade światło stawało się coraz jaśniejsze, sięgając w przestrzeń. *Czy dysk także robił się coraz większy?*

Nagle Kane zrozumiał, że błyszczący krąg nie tylko pochłaniał pioruny energetyczne. On się nimi żywił! Niewyobrażalna siła Krwawnika nie zwyciężała go; to właśnie artefakt czerpał siłę z jego promieni. Jak nieprawdopodobny wampir dysk wsysał kosmiczną energię Krwawnika, stawał się coraz większy, jaśniejszy, potężniejszy. *Głodniejszy.*

Srebrzystobiały blask pełził w stronę Kane'a, sięgał po niego, spragniony nawałnicy energii, która zaspokajała jego żądzę. Kane już poczuł jego chłodne muśnięcie; nawet przez ekran energetyczny odczuwał zabójcze, pożerające zimno. Blade światło piekielnego księżyca pieściło go, nieustępliwie próbując wciągnąć w swój zabójczy wir.

Kane krzyknął. Krwawnik zrozumiał pułapkę, w jaką wpadł, wiedział, że wampiryczna podobizna księżyca karmi się tą samą siłą, która powinna ją zniszczyć...

Z druzgoczącą nagłością ustał atak ognistej energii. Zapadła martwa cisza; oczy oślepione płonącym strumieniem ujrzały bolesne powidoki, czarne gwiazdy.

Księżycowy krąg wisiał samotnie nad groblą. Po władcy Krwawnika nie było nawet śladu.

– Co się stało? – spytał Dribeck. – Czy Kane nie żyje?

– Jeśli nie jest martwy, to w każdym razie pokonany... na razie – oświadczyła ponuro Teres. – Sądzę, że Krwawnik porwał go do Arellarti w ostatnim momencie. Kane wspominał, że grobla jest przedłużeniem promienia potęgi Krwawnika. Jeśli tak, zapewne ujrzemy znów Kane'a, nim noc przeminie.

Dribeck spojrzał na wiszący krąg księżycowy. – Jeśli wróci, nasza tarcza go oczekuje. Tymczasem jednak nadal nam grozi jego armia.

Pozbawieni wodza Rillyti otrząsnęli się z wywołanego zaskoczeniem wahania i znowu podjęli atak. Bojąc się przemykać blisko jaśniejącego dysku, który zadał klęskę dotychczas nie zwyciężonej potędze ich pana, płazy złąziły z grobli tam, gdzie nie sięgało groźne światło, i gramoląc się przez brzeg moczarów wpełzały na suchy grunt. Przeróżające legiony Kranor-Rill natarły zdecydowanie, posłuszne niesłyszalnemu rozkazowi Krwawnika.

Teraz bitwa stała się szaleńcza. Ludzie biegiem powrócili na jeszcze dymiącą ruinę wałów obronnych, tnąc mieczami z dziką energią. Potęga Krwawnika została złamana, nieodparte pioruny energii odrzucone magią ich bogini. Po zniknięciu tej okropności żołnierze wpadli w prawie historyczne uniesienie. Po takim kataklizmie, jak spotkanie niezemskiej wiedzy i strasznej magii, nawet niegdyś przerażający Rillyti wydali się im niczym więcej jak kalekami, zwierzęcymi szermierzami.

To nie była kręcąca się beładnie tłuszcza otępiałych od snu, nie przygotowanych żołnierzy ani oszalały ze strachu tłum, porażony lękiem przed morderczą potęgą Krwawnika. To były oddziały w pełnej gotowości bojowej, w pełni uzbrojone i walczące z dzikim zapałem, od zahartowanego weterana do młodzika z pierwszym puchem na policzkach. Teraz Rillytich wciągnięto w desperacką bitwę przeciw ludziom, którzy walczyli o więcej niż życie. Bili się, by uchronić swój kraj i naród od

złowrogiego cienia Krwawnika.

Płazy rzuciły się ku rozżarzonym wałom, z nienawiścią do rodzaju ludzkiego wymachując złocistymi klingami. W ich dzikich mózgach płonął nieustanny rozkaz:

Zabijajcie ludzkich najeźdźców! Zabijajcie mięczaki o słabych dalach! Zabijajcie ich wszystkich!

Walka przetoczyła się przez rozbite umocnienia, ludzi odpychały kolejne grupy Rillytich wyłaniające się z bagniska. Zakute w pancerze i uzbrojone w miecze dłuższe niż u ludzi, mordercze ropuchy przedierały się przez szeregi żołnierzy jak chciwe krwi szatany. Dzięki większym rozmiarom i nieludzkiej sile połączonej z całkowitym lekceważeniem osobistego bezpieczeństwa, każdy ze stworów mógł równać się z czterema ludzkimi wojownikami.

Stal przeciw obcemu brązowi! Parująca ludzka krew zmieszana z zimną posoką płazów w coraz większych plamach na poszarpanej ziemi. Żołnierze walczyli uparcie, atakując płazy małymi grupami, podczas gdy każdy z Rillytich walczył sam za siebie. Ludzie mieli przewagę inteligencji nad zwierzęcymi dzikusami, ponadto pomagała im większa zręczność. Niezdarne płazy były nie do powstrzymania w walce oko w oko, kiedy ich potężne cięcia mogły pokonać każdą gardę, rozrąbując człowieka na pół. Ale jeśli udawało się uniknąć ich niebezpiecznych skoków, szybkie pchnięcie klingą mogło sięgnąć głęboko i cofnąć się, nim stwór zdołał je odparować. Gdy tylko taka taktyka się sprawdziła, żołnierze rzucali się na górujące potwory jak gryzące, warczące stado i przeciwstawiali im swą broń tak długo, aż któryś inny podcinał nogi płaza. Gdy tylko zraniony padał na ziemię, nie upływało wiele czasu, nim dosięgała go śmiertelna zemsta rozsiekujących kling.

W tej dziwacznej, desperackiej bitwie zdegenerowane resztki starszej rasy, która kiedyś władała gwiazdami, szepiły się w walce na śmierć i życie z młodą rasą, która głosiła, że jest nowymi panami Ziemi. Bili się w ciemności, w jeszcze gęstszym cieniu drzew, gdzie nie docierało ani słabe światło gwiazd, ani dymiące płomienie ognisk. Na polu bitwy zapanował chaos. Walczący siekli na oślep, z rozmachem tnąc mieczami, umierając od nie dostrzeżonych ciosów. Tutaj przewagę mieli Rillyti, bo ich wyłupiaste oczy łatwiej niż ludzki wzrok przenikały ciemność. Ale nawet przy całkowitym braku światła nie można było przeoczyć ich potężnych ciał. W ślepych szale okrucieństwa człowiek rzucał się na płaza, zabijał lub był zabijany. Ziemię zasłali powaleni, choć nikt nie wiedział na pewno, ilu jest zabitych, ani nie był świadkiem ich śmierci.

Już na początku walki Crempra wspiał się na drzewo i stąd starał się dostrzec tyle z kłębiącej się bitwy, ile mógł. Zwinny kuzyn Dribecka był słabym szermierzem i nie podobała mu się hałaśliwa bijatyka. Umieścił się wygodnie na swej wysokiej grzędzie wraz z pięcioma kołczanami pełnymi strzał i używał łuku z zabójczym efektem wobec każdego Rillyti dość nieostrożnego, by pojawić się w świetle ognisk.

Tak się zdarzyło, że gigantyczny płaz, którego z trudem odparty cios rzucił oszołomioną Teres na kolana, wstrzymał mordercze uderzenie w połowie zamachu i zawył w śmiertelnej agonii, gdy upierzona strzała utkwiała mu w oku, rozbryzgując czarną posokę. Teres odtoczyła się po ziemi, dalej od walącego się na nią potwora, niewiele mając czasu na zastanawianie się nad ocaleniem w ostatnim momencie.

Znów otoczyły ją resztki jej żołnierzy, pozwalając otrząsnąć się z zamętu w głowie i odzyskać miecz. Klinga była lepka od płaziej juchy, a tarcza Teres porąbana i powgniatana. W licznych pojedynkach z niezgrabnymi napastnikami, trzykrotnie przewyższającymi ją wagą, tylko jej umiejętność błyskawicznych poruszeń ocalała jej życie. Nie wzruszona faktem, że znów otarła się o śmierć, obrzuciła swych ludzi obelgami za to, że przerwali na chwilę walkę dla odpoczynku, gdy mordercy ich narodu przyszli tu po to, aby ludzie mogli ich zabić. Jej słowa zagrzały ich do boju.

Prowadziła ich mściwa, warcząca wilczyca z widoczną na twarzy blizną, przypominającą o dawnych bojach. Teres nie okazywała nawet cienia zmęczenia, które oni tak boleśnie odczuwali. Więc nędzna resztką startej z powierzchni ziemi armii breimeńskiej znów rzuciła się do walki.

Dribeck walczył ramię w ramię z Asbralnem, który jawnie okazywał, że uważa pana Selonari za anemicznego wyrostka, oddanego mu pod opiekę. Lecz nadal mocne były ramiona starca – a raczej to Dribeck zawsze myślał nim jak o starcu – i dzielny szambelan posługiwał się swym archaicznym, szerokim dwuręcznym mieczem zręczniejszy, niżby to potrafił Dribeck. Młody mężczyzna zapomniał jednak, że martwi go ta sytuacja, gdy dwukrotnie cięższa broń Asbralna odbiła klingę Rillyti, gotową rozrząbać go na pół.

Pan Selonari zabrnął w gąszcz bitwy; jego gwardia przyboczna była coraz szczuplejsza w miarę tego, jak ryk brzęk bitewny przeciągał się do późnej nocy. Strategia? Tylko jedna: zabijać, zabić wroga, nim sam umrzesz. Nie mogło być innej strategii; ciemności skrywały tę walkę na śmierć i życie, gdy zaś obie armie w całości wkroczyły do bitwy, było to już tylko dzikie współzawodnictwo brutalnych zmagania. Dribeck nienawidził prymitywnej dzikości bitwy; obrażała jego rozumną naturę. Ale nie poświęcał już ani jednej myśli taktyce, ponieważ walczył z instynktowną logiką przetrwania.

Kto żył? Kto leżał martwy? Żyjący byli nierozpoznawalnymi sylwetkami szarpiącymi się gdzieś blisko w mroku, a spoza niewielkiej, dostępnej dla wzroku przestrzeni dolatywały tylko bestialskie przekleństwa i wrzaski. Umarli zaś byli miękkimi i śliskimi szczątkami, skręconymi pod podszewkami butów. Tylko tam, gdzie pagórek kapłanek rzucał krąg światła, można było wyraźniej widzieć toczącą się bitwę. Jak z ulgą zauważył Dribeck, kordon żołnierzy nadal stał nierozzerwalnym pierścieniem wokół wzgórza, teraz już otoczonego wałem z tuzinów zabitych.

Dawno temu starannie zaplanował tę bitwę, przeliczając siły, kierując przygotowaniem. Wówczas zdawało się, że jego armia znacznie przewyższa liczbą pachołków Kane'a, że wystarczy skusić Kane'a, by do niego wyszedł, że bez Krwawnika bitwa zostanie stoczona na ludzkich warunkach. Ale w tej kryjącej wszystko ciemności zwycięstwo zdawało się niewidzialną nagrodą, a stwierdzenie, czyja ręka ją pochwyty, wymagało rozważań, na które nie miał czasu. Zamęt światła i cieni nie pozwalał na nic więcej niż męczące domysły. Dribeck mógł być tylko pewien, że on i jego ludzie walczą samotnie i są jak wysepka zagubiona w fali przyływu Rillytich.

Asbraln potknął się i cofnął przed atakiem płaza. Jego wielki miecz zadzwonił, parując opadającą brązową klingę, ale szambelanowi brakło już tchu. Dribeck automatycznie ciął mieczem i odrąbał płetwiastą rękę z połową przedramienia. Stwór zaryczał, oślepił go tryskającą krwią, a w chwili gdy Dribeck się zawahał, trzymana w drugiej łapie dzida wyminęła jego tarczę. Grot pchnięto z taką siłą, że rozdarł mu koleczugi i zranił w bok.

Z jękiem przerażenia Asbraln rozpruł brzuch Rillyti pchnięciem od dołu, od samego krocza. Nie zwracając uwagi na przedśmiertne drgawki potwora, szambelan chwycił lorda za ramiona. Dribeck usłyszał wyrrywające się z ust Asbralna imię swego ojca, o którym starzec rzadko wspominał.

– Dzida! Milordzie, jest pan martwym człowiekiem! – jęknął Asbraln.

Dribeck otarł oczy ze szczypiącej krwi, czekając w otępieniu, aż pierwsze szarpiące bóle wywołane trucizną Rillytich zaczną pełznąć przez jego ciało. Ale odczuwał tylko ból zmęczenia, a płytka rana na żebrach wydawała się mniej bolesna niż znużenie aż do utraty tchu. Jego ludzie przyglądali mu się z osłupieniem i litością. Wydawało się właściwe, by jego ostatnie słowa wstrząsnęły przyszłymi pokoleniami, jeśli potrafi wypowiedzieć jakieś nieśmiertelne zdanie, nim opuści go świadomość.

– O, do diabła – mruknął, niezdolny do zebrania myśli.

Asbraln odnalazł dzidę i uniósł ją w bezwładnych z żalu dłoniach. Ze zdławionego gardła

wydarł mu się śmiech. – Jedna z naszych własnych – oświadczył, pokazując palcem żelazny grot.

Dribeck pokwitował wydarzenie wzruszeniem ramion. Nieustanne tej nocy stawianie czoła gwałtownej śmierci wprowadziło go w takie odrętwienie, że nie potrafił odczuwać już żadnych prawdziwych emocji. Logika mówiła mu, że łoś raz jeszcze oszczędził mu okropnej agonii, ale był zbyt wyczerpany, by z tego powodu odczuć ulgę.

Hałas bitwy przycichał. Dribeck zdał sobie sprawę, że jego ciężko dyszący oddziałek stał w miejscu od kilku minut, przytłoczony zmęczeniem, bandażując rany. Nie atakował ich żaden Rillyti. Głosy innych ludzi zaczęły dobiegać z bliska. Na zrytym polu bitwy zabłyśły pochodnie.

– Sądzę – zaryzykował Dribeck – że gdy się rozjaśni, może się okazać, że wygraliśmy bitwę.

Ale inne jeszcze oczy przyglądały się walce, obce spojrzenie, dla którego ciemność nie była żadną przeszkodą – złośliwa siła, przenikająca przez noc, ogarnęła wzrokiem zdeptane i zasiane trupami pole bitwy. Ujrzała swą armię pobitą, dzikie legiony powalone na ciała ich zabójców lub rozrzucone w ucieczce w głębie bagniska.

Rillyti zostali złamani. Twoja moc powstrzymana. Jak mam obronić te mury, gdy ze słońcem ich armia stanie przeciw nam?

Sionce nie ujrzy nikogo prócz umarłych. Za niewiele godzin wszystko się dokona. Moja istota już czerpie z energii napędzających kosmos, więc ich słabowite czary przeszkodziły mi tylko na chwilę. Czy wyobrażasz sobie, że ujawniłem ci całą zawartą we mnie potęgę? Teraz przekonasz się, arogancki człowieku, że istnieją tajemnice przekraczające nawet twoją zdolność pojmowania!

Przez puszcę przewalała się armia Selonari. Niosąc pochodnie żołnierze przeszukiwali las, zatrzymując się przy stosach ciał, aby pomóc rannym kolegom lub wykończyć ukrywającego się płaza. Wobec beznadziejnej przewagi przeciwnika rozbite resztki armii Rillytich brnęły do Kra-nor-Rill, poganiane jak piana na wznoszącej się fali. Jeszcze w ciemnościach walczyły desperacko grupki ludzi i płazów, lecz gdy przybywali koledzy, stał rozbłykiwała w tuzinach rąk i pojedynków zmieniał się w rzeź. Pomimo to ludzie nie posuwali się gładko przed siebie. Niezliczone ogniska wirującej przemocy wyznaczały miejsca, gdzie niektóre oszalałe od krwi płazy opierały się samobójczo, a ich klingi potrafiły jeszcze dziko ciąć i rozdzierać długo po odniesieniu przez Rillytich ran, z którymi nie potrafiłaby walczyć żadna istota.

Lecz takie wysepki walki, choć niebezpieczne, nie mogły powstrzymać miażdżącego ataku. Zbliżywszy się do brzegu bagna, zmęczone, lecz radosne oddziały ujrzały, jak ostatni Rillyti zawracają w ucieczce, gdy ich bezmyślne okrucieństwo pokonała wreszcie ludzka siła.

A wtedy uderzył bełkoczący koszmar, coś tak niewyobrażalnie strasznego, że umysły przerażonych ludzi opuszczał rozsądek.

Z mgły wynurzyły się widmowe postacie, ciągnąc strumieniem po ponurych kamieniach grobli; armia widziadeł wyrzyganych na martwy język jakiegoś nieprawdopodobnego węża. Upiorne były ich kształty z zielonego płomienia, tajemnicze formy, których substancją była iskrząca się energia Krwawnika. Jak rozdzierające wszystko ostrze z ognia płynęła po czerwonym kamieniu nie kończąca się armia zniewolonych dusz.

Tajemne stwory Krwawnika. Demoniczna armia z migotliwego płomienia; potworne widma istot umarłych, którym nie dozwolono się rozpaść. Ich przeświecające ciała miały dziwaczne i straszliwe kształty. Niektóre przerażały obcością pochodzenia z epok, do których nie sięgała ludzka pamięć, inne budziły równą odrazę wyglądem zbyt znajomym.

Były tam stwory podobne do Rillytich, ale o wyższej i bardziej wyprostowanej budowie, ze szczuplejszymi kończynami, wysklepionymi czaszkami i inteligentnym wyglądem. *Gady*. Byli to Krelranie, martwi od wieków budowniczości Arellarti. Ale nie oni jedni byli cieniami przepadłych

ras starszej Ziemi. Wiły się wzdłuż grobli podobne do ośmiornic potwory; sześć grubych macek wyrastających z opasłych tułowi umożliwiało nienaturalne posuwanie się istot przywodzących na myśl głębinę oceanu. Dwie inne, cienkie jak bicze macki, groźnie wyciągały się z garbatych barków, nad którymi wyrastała okrągła głowa, uwieńczona jak diademem sześciorgiem pozbawionych powiek oczu, poniżej nich zaś, tam gdzie powinna być twarz, ziała bezzębna czeluszka.

W atakującej hordzie znalazły się też inne, mniej liczne, dziwaczne postacie. Chitynowe pajęczaki wielkości konia klusowały po kamieniach na czterech wrzecionowatych kończynach. Jeszcze cztery podobne kończyny wystawały do przodu z zagiętego do góry głowotułowia, trzaskając metalicznie szczypcami. Trzepocząc w powietrzu ognistymi skrzydłami nocnych motyli, nadlatywały humanoidalne postacie z ciałami najeżonymi łuskami. Ich wielkie, złożone oczy błyskały jak mozaiki. Włochate bestie, podobne do kalekich małp, wlokły się naprzód z ramionami kołyszącymi się tuż nad ziemią.

Nadchodziły stwory z dalekiej przeszłości, niewolnicze cienie Krwawnika od świtu Arellarti. Zdawały się ognistymi widmami na obraz swych utraconych przed tysiącletkami ciał. Ale nie tak wyglądał główny trzon armii, która się wyroiła przeciw ludziom. Tam były kształty, które zniszczył i poskręcał drążący je rozkład – zniekształcone, kościotrupie twory odlane z tej samej iskrzącej się energii, która nadawała im wygląd postaci okrytych pożerającym płomieniem. Większość z tych trupiokształtnych cieni była plazma, lecz ich odmienność ukazywała dziwaczne uwstecznienie od starszych Krelran do zwierzęcych Rillytich. Ale wiele też było widmowych wizerunków ludzkich larw, których stworzone z energii kształty ukazywały rasy od półzwierzęcych epoki świtu aż do tuzinów mężczyzn, kobiet, a nawet dzieci współczesnych ludów Ziem Południowych.

Bo Kane nie miał oczywiście racji, zbywając ofiary obrzędowe Rillytich określeniem nieużytecznych zabobonów.

To bowiem były istoty, których dusze skradł pałacy język energii Krwawnika, trzymał w niewoli przez całe wieki jako niedoskonałe cienie tych, których dusze ofiarowano krystalicznemu monolitowi w okresie, gdy drzemał – w ten barbarzyński sposób, za pomocą piekielnych obrzędów ofiarnych, Rillyti karmili swego boga. Ale w tej armii okropności było jeszcze wiele innych kształtów, a te były najstraszniejsze ze wszystkich.

Ramię w ramię z nieludzkimi przeraźliwymi stworami maszerowała masa nagich postaci ludzkich – ludzi, których dusze Krwawnik schwytał z pomocą niszczącej potęgi pierścienia Kane'a. Wiele z tych kształtów było przerażająco znajomych: to ci, których poczerniałe ciała leżały jeszcze ciepłe na wysadzonym w powietrze wale obronnym. Byli też tu martwi z Breimen – ludzie, którzy poginęli od palącej energii pierścienia z krwawnikiem – oraz żołnierze z Selonari, którzy zginęli, gdy Teres wyjawiała Dribeckowi zdradę Kane'a. Śmierć od ognistego dotknięcia Krwawnika była o wiele straszniejsza, niż się kiedykolwiek zdawało, bo ci, którzy padli muśnięci jego połyskującą energią, karmili swymi duszami jego piekielną moc. Krwawnik głodny był zarówno życia organicznego, jak siły kosmicznej...

Teres zadrżała z nienawiści. Wśród straszliwej hordy niewolniczych cieni Krwawnika rozpoznała płonący profil Lutwiona. I choć ludzie jeszcze nie w pełni i nie od razu pojęli, jaka nowa okropność im zagraża, nawet ta fragmentaryczna wiedza groziła, że porażony strachem rozum poszuka schronienia w ochronnych mrokach obłąkania.

Przez oleistą mgłę maszerowały zmory z pulsującej energii, nagie, milczące, z wytrzeszczonymi oczami jak kałuże ognia. Szły tysiącami, ale nie miały żadnej broni prócz wyciągniętych kończyn, ziejących iskrzącymi się płomieniami. Opanowawszy przejmujący lęk, armia Dribecka oczekiwała tej nowej potworności; tysiąc zaciętych twarzy przygotowywało się, by sprawdzić, czy stał jest w

stanie zwalczyć te przerażające widma starszego zła.

Jak nagły przyptyw runęli na zalęknionych ludzi – groteskowa fala szmaragdowych, pożyłkowanych szkarłatem cieni. Ich pierwszą linię zaczęły siec i rąbać miecze. Ciała, które zdawały się widmowe, teraz okazały się materialne. Choć nie były z mięsa, stawiały opór szukającym ich klingom. Ludzie cięli stałą płomieniste postacie z obrzydliwym wrazeniem, jakby składały się z lepkiej galarety z chrząstkowymi szkieletami, z odrażającej substancji, której konsystencja nasuwała myśl o niewyobrażalnym zgęszczeniu trującej mgły. Bezkrwiste fantomy z elastyczną siłą kończyn, a kłami i szponami jak zaostrzony róg.

Stwory cienia nie dawały się zabić.

Poddawały się prującej je potędze stali, ale nie padały. W bezmyślnym szale rzucały się na żołnierzy, wystawiając się na desperackie ciosy kling z przerażającą obojętnością wobec własnego bezpieczeństwa. Miecze je przecinały, lecz szermierze chwiali się od niespodziewanego oporu, na jaki natrafiały ich ciosy. Ale z ciężkich okaleczeń nie wypływała krew ani nieznaną posoka, ani też stwory nie padały od żadnej liczby śmiertelnych ran.

Krwawnik potężnie wzrósł w siły, teraz z każdą chwilą nadal rosnące do nieprawdopodobnych granic. Osiągnął zdolność transmutacji kosmicznej energii w materię. Krystaliczna istota odziała swe zniewolone dusze w podobieństwo materii – niewyobrażalną substancję pierwotną, która nie była w pełni ani materią, ani energią – w bluźnierczą karykaturę życia, która nie żyjąc, nie mogła umrzeć.

Teres poprowadziła swój zdziesiątkowany oddział przeciw pierwszej linii odrażającego ataku. Wrzasnąwszy z obrzydzenia, pogрузyła miecz w niewrażliwą pierś kogoś, kto jeszcze przed paru dniami był jej rodakiem. Klinga przebiła go i wycofała się. Ledwie zachwiał się od uderzenia, widmo sięgnęło po nią. Teres odskoczyła skonsternowana i cięła chwytające ją ręce. Ostrze przeleciało przez nie, odrabując jedną w barku, drugą w łokciu. Odcięte kończyny upadły, ale napastnik nadal następował, machając bez-krwistymi kikutami. W wybuchu nienawiści odrabiała głowę stwora. Spadła na ziemię, ale bezgłowa postać nie zaprzestała natarcia. Teres zamarła w osłupieniu na moment, a zjawa skoczyła na nią. Teres zrobiła unik i cięła maskarę przez udo. Noga odpadła; zmasakrowana postać z cienia zwała się na ziemię, dalej ślepo pełznąć na brzuchu przed siebie.

Teres w skrajnym przerażeniu stwierdziła, że jej towarzysze broni byli w podobnych opałach. Silne uderzenie obaliło ją na ziemię, gdy obok przeleciał jeden ze stworów o motyli skrzydłach. Owad uderzył na żołnierza za nią i zwałił go z nóg. Szpony na łapach przeorały leżącemu twarz i gardło, a klinga żołnierska bezskutecznie kłuła napastnika. Inny stwór z cienia, w postaci zdechłej ropuchy, sięgnął po Teres. Odcięła mu nogi i zręcznie odtoczyła się spod walącego się na nią ciężaru. Że siła tych potworów nie jest złudzeniem, zrozumiała rozrabując upiora sięgającego po nią z ziemi.

Kolejny ludzki cień – czyżby znajomy? Teres z dziką siłą opuściła klingę łukiem, przecinając głowę i barki, piersi aż do brzucha, nim gumowate ciało zatrzymało stal. Oswobodziła miecz, a potem już nie wierzyła własnym oczom. Dwie połowy larwy zbliżyły się do siebie, a straszliwa rana zarosła. Zaciśnięwszy szczęki znów uderzyła i wreszcie rozsiekła zjawę na kawałki.

Połykująca postać młodej dziewczyny zaczęła się do niej podkradać. Teres przypomniała sobie, jak sama o mało nie znalazła śmierci na ołtarzu Krwawnika i przerażenie wstrzymało jej ramię. W tej samej chwili coś schwyciło jej but, a gdy spojrzała w dół, dostrzegła odrabianą dłoń, zaciśniętą na jej kostce z siłą stalowego imadła. Na ziemi roilo się od poodcinanych szczątków widmowych stworów, pełzających ślepo przed siebie z obłąkańczym uporem. Zaczęła rąbać odrażającą rzecz, oddzielając przedramię w nadgarstku. Dłoń jak pajak wspięła się na jej udo. A

wtedy dziewczęca zjawa skoczyła na nią, zagiętymi w szpony palcami próbując wydlubać jej oczy i równocześnie sięgając po miecz. Teres gorzko pożałowała swego mimowolnego wahania i odparła atak widmowej dziewczyny. Zimna siła mieszkała w ramieniu, próbującym wyrwać jej miecz, a szpony, które przeorały jej policzek, były niebezpiecznie realne. Okręciwszy się w miejscu, Teres trafiła butem w brzuch napastniczki i odrzuciła ją. Wstrząs zrzucił pełznącą dłoń z jej uda i na chwilę Teres była wolna. Teraz już bezlitośnie zaczęła siec mieczem, aż pokryte piętnami zgnilizny widmo padło w kawałkach na ziemię.

Cofnąwszy się, by odzyskać oddech i opanować wstrząsające ją mdłości, Teres rozejrzała się po ogarniętym nocnymi zmorami polu bitwy. Kipiącym strumieniem widmowe stwory Krwawnika szturmowały wzdłuż płonącej grobli. Oczywiście jak dotąd niewielki ułamek z ich tysięcy zaatakował ludzką armię i zdawało się, że nie istnieje sposób, by tysiąc, a nawet więcej wojowników mogło długo się opierać tak przeważającej liczbie wroga. Już teraz żołnierze cofali się przed bezlitosnym naporem energetycznych fantomów.

Strzały i włócznie były bezużyteczne. Poganiane lękiem miecze zbierały straszliwe żniwo wśród nie uzbrojonego wroga, *ale z jakim pożytkiem?* Porąbane i rozczłonkowane widmowe stwory ciągle pełzły do przodu, spychając przed sobą żołnierzy. Leśne podłoże rozjarzyło się od obrzydliwych, rojących się tworów. Ich atakiem kierowała złośliwa inteligencja, tak więc nawet odrąbane części spiskowały przeciw stojącym w szyku ludziom. Owadzi tors, bez kończyn i głowy, mimo wszystko fruwał wzdłuż linii bojowej, uderzeniami rzucając nieostrożnych w uściski czyhającego wroga, póki ktoś go nie strącił odcinając skrzydła. Obok Teres przewrócony żołnierz umarł z gardłem rozszarpanym płaskimi kłami odciętej ropuszej głowy. Zmasakrowany tors potoczył się pod nogi innego cofającego się żołnierza i obalił go na pokrytą okropnościami ziemię. Podobne do wielkiej małpy, przecięte w pasie widmo, nie przestawało makabrycznie pchać się do przodu z torsem zwisającym między ramionami, a biodrami kiwającymi się w innym kierunku.

Od ataku widmowych stworów ginęli ludzie. Świecących postaci nie można było zabić, tylko okaleczyć w wytężonej walce, pochłaniającej wszelkie wysiłki człowieka, podczas gdy jeszcze więcej upiorów rzucało się na niego. Oszalałe widma uderzały rojami na zdesperowanych wojowników, drąc pazurami, gryząc i dusząc swe ofiary w śmiertelnym uścisku, nie zwracając uwagi na rany, rozdzierające ich nieprawdziwe ciała. Los selonaryjskiej armii już był w wielkim niebezpieczeństwie, gdy musiała walczyć przeciw zjawom ludzkim i ropuszym, ale przerażająca obecność innych stworów, pochodzących z zapomnianej starożytności Ziemi, miała miazdzące skutki.

Najniebezpieczniejsze były monstrualne ośmiornice. Masą przewyższały o połowę człowieka, a większość z niej mieściła się w potężnych mackach walących wokoło, by miazdżyć i dusić. Te węzowate macki odcięte, pełzły przed siebie jak ogniste pytony, ani odrobinę mniej niebezpieczne, póki nie porąbano ich na drobne kawałki. Równie groźne, choć mniej liczne, były pajęczaki, poruszające się z błyskawiczną szybkością i wymachujące chitynowymi szczypcami. Zjawy na motylich skrzydłach, także bardzo nieliczne, groziły nieoczekiwanymi atakami z powietrza, przy czym ich pazurzaste kończyny i pyski jak sztylety czyniły z nich straszliwych przeciwników. A kudłate małpoludy w swych przygarbionych ciałach miały dość siły, by rozerwać człowieka na sztuki.

Taka więc była szalejąca wśród drzew ohydna bitwa. Żołnierze niechętnie ustępowali pola, ale mimo wszystko byli spychani do tyłu. Nieubłagany szturm widmowych stworów prześlizgiwał się nad nowymi stosami trupów, różniących się od zabitych wcześniej rodzajem okaleczeń. I choć świt ciągle był odległy o całe godziny, noc rozświetlało niesamowite, złe lśnienie widmowych hord.

W szmaragdowym świetle Teres na chwilę dostrzegła Dribecka. Pan Selonari walczył odważnie w obliczu najczarniejszej klęski. Zapragnąwszy nagle znaleźć się obok niego, zaczęła wyrąbywać

sobie drogę przez niezmordowaną awangardę widmowych stworów Krwawnika.

Klinga cięła w jej kierunku. Niezdarny cios był tak nieoczekiwany, że ledwie zdołała go odparować. Jej zaskoczenie nową groźbą szybko minęło, gdy zmierzyła się z brązowym mieczem przeciwnika, bronią Rillytich trzymaną w dłoni, która parę tygodni temu była ludzką. Tęsknie wspomniawszy tarczę, którą wcześniej odrzuciła na rzecz długiego sztyletu – tarcza była bezużyteczna przeciw nie uzbrojonym napastnikom – Teres skoczyła do ataku. Jej wróg niezręcznie odparował; kierująca nim inteligencja była wyraźnie zbyt ograniczona jak na zawilosci szermierki. Odruchowo wbiła ostrze miecza w jego pierś i prawie straciła ucho, gdy na śmiertelny zwykle cios upiór odpowiedział niezdarnym cięciem. Teres przeklęła swój chwilowy błąd – znużenie bitewne stępiło jej refleks – i odcięła wyciągniętą w jej stronę prawicę. Metodycznie rąbiąc ranionego stwora zauważyła, że i w innych miejscach linii bojowej fantomy podnoszą upuszczoną broń Rillytich. Stalowej nie tykały. Skrzywiła się. Nawet przy ich niezdarnej szermierce stwory będą niebezpiecznymi przeciwnikami, niewrażliwymi na wszystkie rany, z wyjątkiem rozrąbania na części.

Upadł Dribeck. Pełzająca ręka, odcięta w barku, zacisnęła pletwiaste palce na jego kostce. Zaklął, dziko rąbiąc ciągnący go ciężar i wtedy widmo o ludzkich kształtach rzuciło się na niego. Spętany upartym chwytem, stracił równowagę i upadł przygnieciony przez widmo zaciskające dłonie na jego szyi. Przeciął mieczem płonące ramiona przeciwnika; nagłym ruchem zwałił z siebie pozbawione oparcia stworzenie. Z trudem podniósł się na nogi, ale dławiące dłonie nadal zaciskały się na jego długiej szyi. Walcząc o oddech odrąbał przedramiona od nadgarstków – bez skutku. Ogarnięty paniką odrzucił miecz, próbując oderwać duszące dłonie. Jego spocone palce ześlizgiwały się z elastycznej jak guma substancji widma.

Gdy Teres dotarła do Dribecka, język już zaczął wychodzić mu z ust. Ci, którzy pozostali z jego gwardii przybocznej, byli zbyt ostro naciskani przez wroga, by zauważyć, w jakich opałach znalazł się ich władca. Bez nadziei na przełamanie dławiącego uścisku, Teres wbiła ostrze sztyletu między kciuk i palec wskazujący upióra i zaczęła piłować odporne ciało. Nie znajdując już oparcia, rozdzielone części dłoni odpadły. Cisnęła je w ciemność.

Oslabiony, ale nadal przytomny, Dribeck chwiejnie wstał na nogi, Teres zaś odparła atak następnego widmowego niewolnika. Odnalazłszy swój miecz i podtrzymywany przez Teres wycofał się z walki, by zebrać siły.

– Dziękuję, Teres! – wyszeptał bez tchu, rozcierając zgniecioną szyję. – Ale myślę, że ocalałaś życie, które nie przetrwa do świtu! Ludzie walczą dobrze, ale wysiłek w tej chwili jest już dla nas męką. Kolejno padamy pod nieustannym atakiem tej piekielnej hordy... i nie wstajemy znów z nienaturalną żywotnością, którą posługuje się przeciw nam nieśmiertelny przeciwnik.

– Czy zarządysz odwrót? – spytała. – Jeszcze możemy stąd uciec.

Lord Dribeck ze zmęczeniem potrząsnął głową.

– Bezcelowa ucieczka. Siła Kane'a już przekroczyła moje najbardziej pesymistyczne przewidywania. Jeszcze godzina, jeszcze dzień... kto to wie! Kane przechwalał się, że potęga Krwawnika stanie się bezgraniczna! Zapewne ta bitwa jest ostatnią szansą ludzkości, by uratować się od cienia Krwawnika. Póki jeszcze nasza garstka pozostaje przy życiu, nie śmiem zrezygnować nawet z najmniejszej szansy zwycięstwa!

Ostro nacisnęliśmy Kane'a, zdobyliśmy nad nim przewagę. Skutecznie przeciwstawiliśmy się jego najgroźniejszej broni, zadaliśmy jego armii Rillytich krwawą porażkę, a teraz zadajemy straty tej widmowej hordzie. Nie potrafię policzyć, ilu ludzi straciliśmy, ale jeszcze mam nadzieję, że jakoś potrafimy trwać dłużej niż te mordercze zjawy. Rozsiekać je wszystkie na wijące się kawałki, a być może uda nam się przejść po tej świecącej szumowinie i przekonać się, że Arellarti nie ma już

obrońców.

I jest jeszcze Gerwein – dodał po chwili. Pagórek kapłanek stał jak bastion wśród chwiejących się szeregów Selonaryjczyków, ale widmowe stwory nie opanowały go. W okolicy obozu córek Shenan Dribeck skoncentrował swe główne siły, bo oceniał, że ich magia może stanowić jedyną szansę na zwycięstwo. Atakowany jak nigdy dotychczas kordon bił się dzielnie, by powstrzymać bezlitosny szturm. Dribeck potrafił stąd odróżnić wysoką postać Gerwein, przewodzącą rozszalałym kapłankom przy jakichś nieodgadnionych zaklęciach. Nieruchome białe kształty, rozciągnięte na ziemi, świadczyły o ponurym głodzie ołtarza. A więc Gerwein nie pogodziła się z porażką.

– Znów mogę oddychać – oświadczył Dribeck, prostując szczupłe barki. – Próba utrzymywania linii bojowej nie ma sensu i nie chcę, by pagórek Świątyni został odcięty. Chodź, cofniemy nasze szeregi pod wzniesienie i zajmiemy pozycję u jego podnóża.

Teres nie słuchała. Jej oczy rozszerzyły się z niewypowiedzianej zgrozy.

Podążywszy za jej wzrokiem, Dribeck odczuł taki sam lęk.

Porąbane kawałki energosubstancji już nie wiły się w ślepym chaosie. Zmartwychwstające szczątków pozostałych po szturmie widmowych niewolników, kształtowały się niemożliwe potworności. Odcięte członki pełzły ku poszarpanym tułowiom, przyciskały się do siebie i stawały jednością. To okropne jednoczenie następowało najpierw zupełnie przypadkowo, ale teraz zespalanie się miało jakiś szaleńczy zamysł.

Jednoręki tors słaniający się na dwóch nie pasujących do siebie nogach, przycisnął do kikuta przedramienia inne ramię, odcięte nad łokciem i tą niezdarnie połączoną kończyną sięgnął po toczącą się głowę i dołączył ją do kikuta karku. I tak działo się na całym polu bitwy, zasianym koszmarnymi szczątkami. Nie próbowano dopasowywać do siebie składników, więc pojawiały się niewyobrażalne parodie spójnie zorganizowanego życia. Ludzkie głowy i kończyny przylepiały się do płazich korpusów i odwrotnie. Przerażające, uskrzydłone zlepierce trzepotały się po ziemi, niezdolne wznieść się w powietrze. Małpi stwór potykający się o macki ośmiornicy wyrastające mu z ramion; ludzki korpus z rękami pająka. Wiele z tych zdeprawowanych połączeń nie było w stanie poruszać się w postawie wyprostowanej, na ślepo połączywszy zbyt różne członki lub też przylepiwszy ramiona do kolan, uda do barków. Te podrygiwały w miejscu, nie mając siły, by rozerwać tak nieprawdopodobne połączenie, lub nieświadome tak nienaturalnego dopasowania.

Inne okropieństwa, chwiejnie poruszające się po lesie, były jeszcze większą obrazą naturalnego porządku. Rozcięty na pół kształt człowieka, rozrąbany potężnym ciosem od barków do krocza, sunął naprzód na wzór stonogi, z niewiarygodnym szeregiem kończyn, wystającym z rany. Najstraszliwsze były ośmiornicowate stwory, pozlepiane w bluźnierczy, pełzający chaos macek, pazurów, ludzkich i płazich kończyn oraz ludzkich głów, wystających jak rakowate narośla z ich gumiestego ciała. Niewiele mniej potworne były odtworzenia pajęczaków. Także kłapiące paszczęki, przymocowane do odrąbanych kończyn, nie stanowiły przyjemnego widoku, gdy gramoliły się jak kraby po trupach.

Kształtując się nieustannie, w miarę jak pełzły naprzód, te płonące, niewyobrażalnie poskładane potworności bezlitośnie zbliżały się, by wzmocnić rojącą się widmową armię, której natarcie w każdej chwili groziło zmiażdżeniem szeregów żołnierskich.

Lord Dribeck oderwał spojrzenie od przyprawiającego o mdłości widoku pełznącej obłąkańczo tłuszczy.

– Teraz do obozowiska kapłanek! – rozkazał łamiącym się głosem. – Tam, obawiam się, musimy dać ostateczny odpór.

Pociągając za sobą żołnierzy, oboje zaczęli wyrąbywać sobie drogę do pagórka. Nieugięte następujące szeregi widmowych stworów zatapiały ich jak wszystko pochłaniająca kurzawka,

przywierają nieustępliwie, miażdżąc swą przewagę liczebną. Kurcząca się linia Selonaryjczyków zostawiała za sobą ślad w postaci okaleczonych ciał, uwięzionych w lawinie szmaragdowych okropności.

Przerabali się już na połowę odległości do ufortyfikowanego pagórka, gdy dosięgła ich ostateczna zguba. Nagły napływ jeszcze większej liczby potwornych widm przemógł ich odwrót, przebijając się przez szeregi znudzonych walką żołnierzy. Linia załamała się, pagórek był odcięty. Połyskujące pacholki Krwawnika przelały się przez wyrwę i popłynęły, by otoczyć rozdzieloną armię ludzi.

– Musimy dotrzeć do wzgórka świątynnego! – wrzasnął Dribeck. – Próbujcie przebić się do pozostałych!

Desperacja wlała nowe siły w zmęczone członki i dążącym ku sobie wojownikom jakoś udało się zamknąć wyrwę. Ale przy nieustającym wysiłku ich odporność załamywała się. Nie było między nimi człowieka nie podrapanego i nie poranionego szponami fantomów lub nie pociętego jeszcze głębszymi ranami od brązowych mieczy. Kolumna wojska zwarła się w miejscu, opierając się atakowi potworów, ale widmowe kształty już otaczały ludzkie szeregi, siejąc zniszczenie na tyłach, dokąd odesłano rannych.

Teres zdała sobie sprawę, że nie ujrzą już świtu i choć często spodziewała się zginąć w bitwie, nie było żadnym bohaterstwem dać się rozszarpać tym bezmyślnym stworom. Teraz walczyła bezlitośnie, zbyt wyczerpana, by kląć, lecz warcząc morderczo przez skrwawione wargi. Ach, gdybyż tu był Gwellines... Jego kopyta posiałyby zniszczenie wśród tego świecącego ścierwa! Ale ogier był uwiązany wraz z innymi wierzchowcami, uznanymi za bezużyteczne w nocnej walce. Miała smutną nadzieję, że koń zostanie oszczędzony; był chyba ostatnią pozostałością jej niegdyś uregulowanej egzystencji.

W uścisku sięgających po nią rąk Teres upadła. Miecz Dribecka rozciął ramiona jej napastnika, a wtedy z tyłu niekształtna ludzko-ropusza hybryda skoczyła mu na plecy. Zawzięcie opierał się jej ciężarowi; nieskładne członki stworu powodowały, że jego atak był niezdarny, choć złośliwy. Oddawszy duszące ją palce, Teres skoczyła do niego, lecz zachwiała się, gdy beznogi tors schwytał jej but w swą pletwiastą pięść. Zwróciła się przeciw okaleczonemu kadłubowi rąbiąc, gdy próbował wspiać się na jej nogi. Dribeck padł na kolana, teraz zaatakowany przez jeszcze jednego niekształtnego wroga, który unieruchomił jego rękę z mieczem. Ku Teres, walczącej z pełznącymi rękami trzymającymi w pułapce jej nogi, wystrzeliła macka. W ostatniej chwili jednym ciosem przecięła na pół węzowy splot, sięgający do jej gardła, ale nagłe uderzenie pajęczych szczypiec wytrąciło miecz z jej omdlałej dłoni.

Skoczyła po leżącą na ziemi broń, potknęła się o nie wypuszczający jej nóg ciężar i dała szczupaka, by chwycić miecz. Z wściekłością rąbała trzymające ją obrzydliwe szczypce, ale nie pozwalały jej wstać. Potwór z mackami pochylił się nad nią i jeszcze raz sięgnął do jej szyi. Teres zadała cios od dołu, prawie już bezsilna, i z niewysłowioną zgrozą ujrzała, że na szczycie pajęczego tułowia znajduje się głowa Lutwiona.

A wtedy zaświecił księżyc.

Sądziła, że w tej przerażającej chwili jej zachwiany umysł ogarnęło obłąkanie. A księżyc, co było niemożliwe, stał w pełni. Z jego zimnego, bladego jak popiół kręgu, płynęło w dół jasne promieniowanie, rzucające cienie na umęczoną ziemię.

Ale nie był to księżyc, który przepływa po zwykłych niebiosach – zrozumiała ze zdziwieniem. Biały blask raził ją w oczy, bił w jej zwróconą ku górze twarz z wyczuwalną siłą. W dotknięciu promienia księżycowego światła poczuła nieziemski mróz, chłód wysysający wszelkie ciepło z jej

oblanej potem skóry.

I świecąca nad nimi kula nie ukazywała martwej powierzchni księżyca, znanej ludziom. W jego bladym oku wiły się niejasne kształty. W nagłym przestraszu Teres odwróciła wzrok.

Atak, nieubłagany szturm widmowych stworów, zatrzymał się. Bezmyślne twarze zjaw zdawały się kurczyć z przerażenia, gdy spoglądały na to nienaturalne promieniowanie.

Teres ujrzała, jak szmaragdowa substancja ich ciał czernieje, zaczyna odpadać w trądowych bliznach płatami, znikającymi w locie ku ziemi.

Widmowa armia załamała się i rzuciła do ucieczki. Biegając, pełzając, wijąc się – jak tylko potrafiła – cofała się przed nie wierzącymi własnym oczom ludźmi, pierzchała w stronę grobli. Ale choć nie było to daleko, nie miała tam dotrzeć.

Jak mściwe lance, nazbyt jasne promienie księżyca kłuły z góry rozgromioną tłuszcę. Nienaturalne ciała więdły i spalały się w zimnym promieniowaniu, jak gdyby były robakami, wijącymi się w nieznośnym gorącu. Pierwsze znikaly rojące się szczątki, podobne do poczerńiałych ślimaków skręcających się w agonii, rozpadających w proch i wsiąkających w ziemię. Większe fragmenty trwały dłużej, ale nie przedostawały się dalej. Nie lepiej powiodło się stworom, uciekającym na chwiejnych odnóżach. Pod bezlitosnym promieniowaniem ich osmalone kończyny załamywały się, a widma padały, gdy płonąca zgnilizna przeorywała ich substancję. Gdy tak słaniały się i toczyły przez las, ich walka ze śmiercią pozwalała im przebyć niewielką tylko drogę, nim ogarniał je rozpad. Niektóre na ślepo poszukiwały ukrycia w cieniu drzew, ale bezskutecznie. Promienie księżyca, wbrew prawom natury, zdawały się dążyć za uciekinierami. Niektóre z potwornych zlepków obcej i ludzkiej widmowej substancji prawie dotarły do wejścia na groblę. Tam padały ostatnie z nich jako bezkształtne grudy spalonego, kurczącego się mięsa, oddającego skradzioną siłę życiową w milczącej agonii. Zapadały się w kruche, zwęglone sterty, roztapiające w ciemne plamy na ziemi, z wolna obracające się w nicość, która zrodziła widmowych niewolników.

Świt rozjaśnił horyzont, a obcy księżyc powoli pociemniał. Oszołomione i okrwawione resztki armii Dribecka, nie wierząc własnym oczom poszukiwały wroga, który zniknął. A jeśli zwycięstwo należy do tych, którzy przeżyli, niewielu było zwycięzców tej koszarnej bitwy.

XXIV. SPADA OSTATNIA MASKA

W przeciągu tej nocy twarz Gerwein postarzała się o dziesięć lat.

O świcie zmordowane bitwą niedobitki zajęły się rannymi jak potrafiły, a potem padły na leśną ziemię w całkowitym wyczerpaniu. Gdy siły powróciły, zaczęto przeszukiwać pole bitwy, lecz ludzie jeszcze zbyt byli zmęczeni, by pogrzebać niezliczonych zabitych. Po widmowych stworach nie pozostał nawet ślad, ale ziemię gęsto zaścielały ciała ludzi i Rillytich. Po tej bitwie zostanie wzniesiony szereg kurhanów tak wielkich jak kamienne szczyty Wężowego Ogona.

Ruinom fortyfikacji przywrócono uporządkowany wygląd, ale o wiele mniej liczne były namioty, stojące teraz pod łopoczącym sztandarem zwycięstwa. Rozmieszczono posterunki, wstępnie omawiano strategię – choć nad głowami świeciło poranne słońce, ludzi interesowało raczej wciągnięcie z ulgą powietrza do płuc i lizanie ran.

Już opatrzony, zmizerowany Lord Dribeck, siedział pogrążony w myślach przed swym namiotem. Wewnątrz na sienniku niespokojnie drzemała Teres. Asbrałn, z udem mocno obandażowanym, odpoczywał w słońcu. Dribeck rozkazał, by szambelana wycofać z bitwy, gdy unieruchomiła go głęboka rana na nodze. Crempa, który spadając z drzewa zwichnął nogę w kostce, spoczywał obok niego, pławiąc się w ciepłe zwycięstwa i nie okazując żadnej troski o dzień jutrzejszy.

Gerwein przybyła do lorda. Sam fakt, że czuła się zmuszona złożyć wizytę Dribeckowi, zdradzał powagę sytuacji. Pośpieszył pogratulować arcykapłance magicznego zwycięstwa nad widmowymi bandami Krwawnika, ale przekonał się tylko, że Gerwein upadała z wyczerpania, wywołanego jej zakłęciami. Wyrażając swą wdzięczność, Dribeck zamierzał po upływie południowej godziny udać się do obozowiska Świątyni, by przedyskutować projektowane oblężenie Arellarti.

Dumna twarz Gerwein była ściągnięta wysiłkiem; w jej wspaniałych oczach błyskało coś, co mogło być lękiem. Wyglądało, że jej chłodną pogardę złamał jakiś przemożny niepokój. Jego słowa podzięką pominęła milczeniem, choć kiedyś oddałaby własną duszę, by dożyć tego momentu. Być może już to zrobiła.

– Muszę z tobą pomówić – oświadczyła nieswoim głosem.

– Oczywiście – zgodził się Dribeck. – Wobec tego w moim namiocie. To są wszyscy, którzy pozostali z moich doradców, więc równie dobrze możemy odbyć formalną radę. Musimy się zastanowić nad następnym posunięciem przeciw Kane'owi teraz, gdy jego potęga została zmiażdżona twoją magią.

Gerwein zacisnęła usta w twardą linię, weszła do namiotu i padła na krzesło. Reszta podążyła za nią. Budząc się z odrętwienia, Teres wyciągnęła do połowy miecz z pochwy, nim wróciła do przytomności. Zakłopotana usiadła. Jedna z pomocnic Gerwein wręczyła kapłance księgę o kruchych stronicach i usunęła się w milczeniu.

– To jest ów zaginiony tom, o którym wspominałam podczas waszej wizyty w archiwum Świątyni – zaczęła Gerwein, zanim jeszcze wszyscy zajęli miejsca. – Na stronicach naszych rozsypujących się woluminów znajdowały się wzmianki o jeszcze starszym manuskrypcie, opowiadającym o historii Arellarti i Krwawnika, o tyle, o ile ktokolwiek zdołał przeniknąć ich tajemnice. Część tych wiadomości została przeniesiona jako cytaty do starszych kompendiów nauki naszej Świątyni. Z nich pochodziła wiedza, którą posłużyliśmy się do zwalczania sił Krwawnika; tajemnica jego unicestwiającej energii, która jest w jakiś sposób spokrewniona zarówno z energiami kosmosu jak życia, wysysając jak wampir istoty żyjące, które niszczy. Widmowi niewolnicy Krwawnika to skradzione dusze, które zniewolił na takiej płaszczyźnie, gdzie starsza wiedza miesza

się z magią. To właśnie były te martwe stwory, którym nadano zdeprawowane pseudożycie i przez to były wrażliwe na promieniujący gniew Shenan, bo tego rodzaju urągawisko żyjącej śmierci nienawistne jest oczom prawdziwych bogów.

Złożyła ciężkie tomisko na zniszczonym stole obozowym Dribecka i jednym ruchem ręki otworzyła jego stronicę.

– Moje siostry odkryły to, gdy przygotowywałyśmy się do opuszczenia Selonari. Jest to palimpsest, w przeciwnym razie wiedziałybyśmy o nim wcześniej. Nie potrafię odgadnąć jego wieku, choć jest dawniejszy niż pięćsetletnie posiadanie tych ziem przez nasz naród. Napisany został w Starej Mowie, języku tych, których dni świetności trwały, zanim powstał gatunek ludzki. Sądzę, że ta historia pochodzić musi od gigantów, którzy sięgali dalekich zakątków Ziemi w jej zaraniu i znali wiele tajemnic o jeszcze wcześniejszych epokach. Ktoś jednak musiał to zapisać, bo gigantów niewiele interesowało pisanie. Jedna z moich oszczędnych poprzedniczek, nie umiejąca czytać Starej Mowy albo oceniająca tę wiedzę jako mało wartościową, wyskrobała pergamin, by zanotować swoje wspomnienia. Wiele ze starożytnego zapisu jest nadal czytelne; moje siostry zdołały je jakoś odtworzyć, ja zaś mogłam odczytać te zaginione stronicę podczas naszej podróży.

To, czego się dowiedziałam, zaniepokoiło mnie. Ale w mej pysze nie dałam pełnej wiary tym zblakłym linijkom. Wydawało mi się, że moja magia potrafi zatriumfować nad owym zmartwychwstałym demonem obcej nauki, pomimo ponurych napomknien manuskryptu. Dlatego też przemilczałam nowo nabytą wiedzę, uważając, że korzystne będzie, jeśli po zwyciężeniu Kane'a moją magią, ujawnię ją w dramatycznym geście.

Ale bitwa nie przebiegała tak, jak myślałam. Potrzeba było o wiele potężniejszej magii, niż przewidywałam... Nie możecie sobie nawet wyobrazić, jakie siły zderzały się niewidzialnie, jak straszliwymi ofiarami okupiliśmy to ledwie wywalczone zwycięstwo! A teraz zrozumiałam, że ten starożytny zapis nie zawiera fantastycznej przesady! Że stanęliśmy przeciw siłom, które w przerażeniu widzieliśmy ledwie na jedno mgnienie oka! Że cena naszej porażki jest wiele ohydniejsza, niż kiedykolwiek domyślaliśmy się!

– Chcesz przez to powiedzieć, że Kane naprawdę może podbić Ziemię? – spytał Dribeck. – Wziąć w niewolę cały rodzaj ludzki?

Gerwein zaśmiała się gorzko. Jej śmiech był ostry i nieprzyjemny.

– Kane! On nie ma pojęcia, jaką moc obudził! Zguba, której mówię, jest o wiele głębszym złem niż imperium światowe z Kane'em jako tyranem. Dla większości ludzkości to by oznaczało niewiele więcej niż zmianę panującego!

Ale pozwólcie, że przeczytam. Będę tłumaczyć, jak potrafię, te archaiczne linijki, ponieważ wątpię, czy nawet Lord Dribeck zna Starą Mowę.

“I w tych zamierzchłych czasach do naszego świata i do tego kraju przybył Krwawnik zza gwiazd, które świeciły na starszym niebie. W ucieczce przybył, wypędzony bezmierną wojną między jego braćmi i gwiazdnymi rasami, które powstały przeciw straszliwemu głodowi krystalicznych istot i uczyniły bitwę, by zerwać duszące okowy obrzydliwej tyranii, którą ta nienaturalna rasa rozprzestrzeniała wśród gwiazd. Szukając schronienia przed ich gniewem, Krwawnik postanowił zamieszkać w naszym świecie i ostatnimi zasobami energii wyrwał z ładu ogromną płonąca ranę i do owej rany wpłynęły wody morza i utworzone było morze wewnętrzne, na którym wykroił wyspę i na tej przystani spoczął. Tam, w kryjówce wyspy, Krwawnik rozkazał swym krelrańskim niewolnikom, by wybudowali dla niego umocnione miasto, wzniesione z dziwnych elementów, które moc Krwawnika przemieniała z pewnych substancji, które zaczerpnął z ziemi i z morza, i z powietrza, i z ognia. Nie było zaś to miasto jak którekolwiek znane Ziemi przedtem i potem, bo jego planem było

nie tyle stworzenie budowli dla schronienia kryształowi i jego niewolnikom, ile ściągnięcie z gwiazd bezgranicznych energii, które były siłą życiową Krwawnika. Tak więc jego pacholkiwie trudzili się długo i usilnie, poświęcając całą uwagę najdrobniejszym szczegółom wielkiego planu ich pana, czy to dokładności kątów pewnych gigantycznych i pozbawionych wejść budowli, czy też drobnymi rytami na jakimś dziwnie ukształtowanym rzeźbieniu. Bo gdy owo przedłużenie jego siatki energetycznej byłoby ukończone, wtedy mógłby Krwawnik pić swobodnie z owych niezmiernych energii, które utrzymują razem wszechświat, znany i nieznan, które rozdzielają tę płaszczyznę istnienia od wymiarów i światów poza tym, który znamy, i które są pierwiastkiem życiowym całej natury, czy to skały i płomienia, czy istoty żyjące.

Następnie zamiarem Krwawnika było przywołanie swych braci spoza gwiazd, gdzie ich niebezpieczeństwo było teraz wielkie jak gniew ich nieprzyjaciół i wezwanie swej krystalicznej rasy, tyle z niej, ile przeżyło, by przybyła do naszego świata, gdzie jej nieprzyjaciele nie ścigali, i tutaj się opuściła i wykonała okropny zamysł, od którego została odpędzona potęgą swych nieprzyjaciół. W ten sposób Krwawnik i podobni jemu sprowadziliby z gwiazd potworną zgubę na nasz świat, odżywiając się starszymi rasami, które tu zamieszkiwały, i zniewalając je w taki sam sposób, jak on swych krelrańskich niewolników i żadna siła na Ziemi nie zaprzeczyłaby ich potędze. Ale starsze rasy Ziemi miały wiedzę o diabelskich zamiarach Krwawnika, ani nie były te różne od nas stworzenia bez własnej magii, niektóre bowiem z nich przybyły z gwiazd w wielkich maszynach ich pomysłu, inne zaś miały pochodzenie, o którym nie śmiemy mówić. Najwięksi z nich, Scylredi ze swych zamków pod morzem i Tuhchiso, którzy mieszkają na dalekich pustyniach, i Breveen, których domem są urwiska, gdzie Głowa Wielkiego Węża opada na słone bagna, uczynili tedy pokój od ich tłących się wojen i uczynili też przymierze między sobą, aby zniszczyć dzieło Krwawnika. Nastąpiła więc potężna i straszna wojna między tymi starszymi rasami i Krwawnikiem i wielkie było zniszczenie w tej przeraźliwej walce, chociaż Krwawnik był bardzo osłabiony przez swą ucieczkę i swą budowę Arellarti, a jego sieć energetyczna nie była ukończona, tak więc nie mógł czerpać z energii, których był tak niezmiernie głodny. Nawet wówczas mogło tak być, że Krwawnik wytrzymałby ich atak, ale kiedy jego siły skupione były na swej obronie, wówczas to pan Krelran, główny sługa Krwawnika, który nosił w dziwnie wykutym pierścieniu na swej pięści dwoistą jaźń istoty Krwawnika, zbuntował się przeciw niewoli, w której Krwawnik trzymał jego lud, nie bacząc na wysokie stanowisko, jakie dźmierzył wśród nich. Ten więc wódz krelrańskich niewolników podszedł do Krwawnika z sekretnymi myślami i tak poprzestawiał główny układ sterowania zasilaniem kryształu, by odciąć cienki strumyk energii, która karmiła ów kryształ, czyniąc to, nim Krwawnik zdołał raz jeszcze wziąć jego umysł pod jarzmo. A tu był Krwawnik nieodporny na ciosy, bo zgodnie z jego dwudzielną naturą krystalicznego i organicznego życia, nie mógł kierować własną siłą wprost przez samego siebie, lecz tylko za pośrednictwem swego niewolnika, który pod władzą Krwawnika był zarówno przedłużeniem, jak organiczną tożsamością świadomości kryształu. Niczyja ręka, jak tylko głównego niewolnika, nie mogła dotknąć mechanizmów tablicy sterowniczej i żyć, ani też nie mógł Krwawnik zniszczyć swego zbuntowanego niewolnika, bo był on częścią struktury życia kryształu. Dlatego został Krwawnik okaleczony przed swymi nieprzyjaciółmi, a jego zbuntowany sługa poszukał podówczas drogi ucieczki wraz z innymi ze swego gatunku, w wielkim statku, który przyniósł ich do naszego świata. Ale w swej wściekłości owe starsze rasy nie oszczędzały żadnego z dzieł Krwawnika i podążyły za uciekającym statkiem i zniszczyły go i wraz z nim zginął sługa Krwawnika. Tak więc życia została dla Krwawnika złamana, a pierścień, który zawierał jego dwoistą jaźń, został zagubiony i ogromny kryształ pograżył się we śnie w środku swego spustoszonego miasta, którego starsze rasy nie były w stanie całkowicie zniszczyć, jak to uczyniły z

jego zaziemskim statkiem. I oto od stuleci spoczywa Krwawnik milcząco w ruinach Arellarti, zaś wielkie starsze rasy, które go zwyciężyły, upadły ze stanu swej starożytnej potęgi i mówi się, że Krwawnik nie leży martwy, lecz spoczywa, śniąc o dniu, w którym, przez jakiś zły cud, jego potęga znów będzie mogła rzucić okropne światło na naszą Ziemię".

Gerwein zamknęła i odepchnęła księgę.

– Dalej opisuje ona Arellarti, mówi o siłach Krwawnika i podobnych sprawach; to właśnie były fragmenty, które w postaci streszczeń i cytatów znalazły się w tomach odkrytych przez nas wcześniej. Ale część, którą wam przetłumaczyłam, mówi, w jakiej jesteście sytuacji.

Krótko mówiąc, uważasz, że potęga Kane'a została złamana. To podwójny fałsz. Prawdę powiedziawszy, mówimy przecież o potędze Krwawnika, bo Kane nie jest niczym więcej, jak jego pionkiem. Mylił się, jak i my wszyscy, wierząc, iż Krelnanie okiełznali moc Krwawnika, by służyła ich gatunkowi. Zarozumiałość nie pozwoliła nam dostrzec, na czyjej szyi naprawdę wiszą okowy. Teraz rozumiemy, jak niewiele znaczy nasze puste zwycięstwo... jeśli po takich stratach możemy nazywać to zwycięstwem! Poświęciliśmy prawie całe swe siły, by zyskać ledwie powstrzymanie ataku Krwawnika tej nocy. Broniliśmy życia... życia naszej małej garstki i jakie mamy teraz siły, by zaatakować Krwawnik? A przecież bardzo bliski jest ukończenia swego planu i osiągnięcia potęgi, która może okazać się bezgraniczna! Czy sądzicie, że ta błaha porażka, jaką poniósł w nocy z naszej ręki Krwawnik, mogła sparaliżować taką moc?

Ale ostateczna rozpacz płynie ze zrozumienia, jaką zgubę szykuje Krwawnik dla całej ludzkości! A taka groza może sięgnąć jeszcze dalej. Wezwani zostaną inni z jego gatunku i człowiek stanie się bezrozumny niewolnikiem tych pożerających wszystko bogów. I jakaż jest nadzieja, że da się zerwać te łańcuchy? Wierzyłam, że moje żalosne czary zdołają zwyciężyć Krwawnik. Ale zeszłej nocy trzeba było użyć najpotężniejszych zaklęć, by zahamować jego leniwe pchnięcie! Gdy osiągnie szczyt potęgi, żadne znane człowiekowi siły magiczne nie oprą się Krwawnikowi! Potrzeba było niezmierzonej siły trzech tytanów starszego świata, by pobić Krwawnik w chwili, gdy jego siły były najmniejsze, a nawet oni nie potrafili zniszczyć go całkowicie!

– Jesteśmy zgubieni – oświadczyła spokojnie. – Stańliśmy wobec wroga, którego potęga zaiste przekracza nasze wyobrażenie. Nie ma nadziei, by tak niezmierzonej sile oparł się rodzaj ludzki.

Zdawało się, że ponura cisza, która zaległa po jej słowach, nigdy już nie zostanie przerwana. W namiocie nie było słyhać nawet głosów ptaków czy krzyków żołnierzy, jakby został on hermetycznie odcięty od świata ich rozpaczą.

– A więc zgińmy w walce – powiedział wreszcie Dribeck.

Pozostali zachowali milczenie. Nie mieli żadnej odpowiedzi.

– Mam nie więcej niż parę setek ludzi zdolnych do marszu – kontynuował lord zdławionym głosem. – Ale poprowadzę ich pod mury Arellarti, choć jesteście tylko dziećmi, ciskającymi kamieniami w zamek ludojada. Zapewne zginiemy wszyscy od jakiejś nowej i straszliwej broni, zanim dotrzemy do bram miasta. Ale jest też szansa, że się przedrzemy, dotrzemy do przybytku Krwawnika, w jakiś sposób go zniszczymy, sam nie wiem jak; może zmusimy Kane'a, by nam pokazał, jak to zrobić. Ryzyko jest tak wielkie, że nawet nie będę się nad tym zastanawiał, ale lepszy taki hazard niż oczekiwanie, aż Krwawnik zrobi z nami, co zechce.

Przynajmniej te nieszczęścia, które poznaliśmy, zostały powstrzymane. Widmowa armia jest zniszczona, zaledwie niewielu Rillytich gdzieś tu się ukrywa, a my potrafimy przeciwstawić się morderczemu pierścieniowi Kane'a. Zakładam, że możemy zabrać ze sobą księżycowy krąg. Czy twoje czary mogą nam jeszcze jakoś dopomóc?

– Postaram się, aby wizerunek mógł wam towarzyszyć, choć wątpię, czy jego magia długo zdoła

wytrzymać furję niezmiernie energii Krwawnika. – Gerwein podniosła głowę z wyrazem determinacji, widocznej także w jej spojrzeniu, choć nie było w nim nadziei. – Jest jedno rozpaczliwe zaklęcie, które może się okazać skuteczne, i ono tylko nam pozostało. Zaklęcie, które zepchnie Krwawnik do defensywy. Ale jest to magia straszliwej potęgi. Miałam nadzieję, że nie będzie trzeba do niej się odwoływać, bo wyzwolone wówczas siły znajdą się nieomal poza granicami władzy magii. Ale wydaje się, że nie ma wyboru.

Jak wiecie, Shenan, bogini Księżycy, jest panią pływów oceanicznych. Nim Kranor-Rill stało się zgniłym moczarem, było morzem i dlatego jego obszar należał niegdyś do władztwa oceanu. Istnieje zaklęcie, najbardziej niebezpieczne ze wszystkich, które skieruje pradawny przyptyw na tereny, gdzie niegdyś panował. Zamierzam skierować wody Morza Zachodniego do Kranor-Rill... rzucić potęgę przyptywu przeciw Arellarti!

– Czy morze jest w stanie zniszczyć Krwawnik? – spytał Dribeck z zainteresowaniem pełnym rozpaczy.

– Kto to wie? – odparła Gerwein. – Pływy są największą siłą znaną naszemu gatunkowi. Być może ocean potrafi pokonać Krwawnik, albo przynajmniej tak zrujnować jego mury, że sieć energetyczna zostanie zniszczona i nasza zguba ulegnie opóźnieniu. A przynajmniej Krwawnik będzie musiał skierować swą siłę na odpieranie groźby i w tym czasie być może będziesz miał szansę wymierzenia ciosu w jego płonące serce.

– To więcej, niż śmiałem marzyć – powiedział niewesoło Dribeck. – Gerwein, rzuć twe czary z największym mistrzostwem! Ja zaś powstrzymam się z atakowaniem do chwili, gdy się dowiemy, jaka jest wola losu.

– Jaka jest wola bogini – poprawiła Gerwein, z cieniem dawnej pewności siebie. Wstając sięgnęła po księgę.

– Czy mogę się z nią zapoznać? – spytał Dribeck. – Stara Mowa nie jest mi całkowicie obca. Kapłanka wzruszyła ramionami.

– Jak sobie życzysz, milordzie. Ale ostrzegam cię, w tych stronicach zawarta jest tylko rozpacz, a tej i tak dość jest w powietrzu, którym oddychamy.

XXV. GDY UMIERAJĄ SZALEŃCZE SNY

Zamyślona Teres siedziała w milczeniu przez długi czas po odejściu Gerwein. Dribeck niewiele się zastanawiał nad jej niezwykłym nastrojem. Swego kulejącego kuzyna wysłał, by nadzorował przygotowania do ostatecznej bitwy. Jego armia była straszliwie okaleczona; to zaś, co z niej pozostało, było zmęczoną i sponiewieraną garstką, walczącą o ostatnią nadzieję ludzkości. Licząc, że dotrze do jakiegoś jeszcze nie odkrytego śladu wiedzy, zapomnianego sekretu, który zapewni zwycięstwo, pan Selonari skupił całą uwagę na butwiejącym manuskrypcie. Z trudnością tłumaczył starożytne pismo.

Tak się w tym pogрузił, że ledwie zwrócił uwagę na nagłe i bezsensowne pytanie Teres.

– Czy sądzisz, że Kane potrafi czytać w Starej Mowie? Zdezorientowany Dribeck podniósł wzrok.

– Jeśli jakikolwiek człowiek w promieniu tysiąca mil stąd to potrafi, to jest nim właśnie Kane – odpowiedział w roztargnieniu. – Zaczynam wierzyć, że Stara Mowa jest jego językiem ojczystym!

Teres nie komentowała jego odpowiedzi, więc Dribeck natychmiast powrócił do poprzedniego zajęcia. Nie zauważył nawet, kiedy wyszła z namiotu zaciskając zęby.

Zauważył natomiast jej powrót, bo sfrustrowany właśnie odepchnął tom na bok bez cienia szacunku i zapatrzył się ponuro na błękitne niebo i zieloną puszcę. Dziewczyna osiodłała Gwellinesa i podprowadziła niespokojnego siwego ogiera w pole widzenia lorda. Ujrzawszy, że nieposkromiona Teres stoi dumnie w lekkiej kolczudze, Dribeck dziwnie na nią popatrzył.

Weszła do namiotu, a płomień jej warkocza nabrał tonów złota, gdy z pełnego słońca znalazł się w półcieniu. Popatrzyła prosto na lorda swymi błękitnymi, nieustraszonymi oczami. Płonęło w nich zdecydowanie.

– Zabieram tę księgę do Kane'a – oświadczyła.

Mina Dribecka świadczyła, że nic z tego nie rozumie.

– Przemyslałam to wszystko – wyjaśniła po prostu. – Kane jest kluczem do potęgi Krwawnika. Jeśli Kane umrze, kryształ znów zapadnie w sen. I Kane ma siłę pozwalającą zniszczyć Krwawnik, jeśli tego zechce. Przynajmniej powiedział mi, że to potrafi.

Kane nie zdaje sobie sprawy, że w złowroziej duszy kryształu czai się zguba, choć wie, że Krwawnik pewne rzeczy trzyma przed nim w tajemnicy. Krwawnik go zdradził. Kane nigdy by nie ożywił tej pozaziemskiej okropności, gdyby znał jej prawdziwą naturę; wierzy, że kryształ jest niezwyciężoną bronią, którą może się dowolnie posługiwać. Do dziś wszyscy w to wierzyliśmy.

Zamierzam ujawnić Kane'owi, jaka upiorna prawda ukrywa się za jego szaleńczym snem. Jeśli zwątpi w moje słowa, to starożytna księga będzie dowodem prawdy. Już kiedyś sługa Krwawnika przeciwstawił się swemu panu i unicestwił jego ponury zamysł. Jestem zdania, że Kane nie będzie zadowolony, gdy się dowie, że był błaznem tego stworu.

A jeśli nie będzie chciał... lub nie będzie mógł... zniszczyć kryształu... może uda mi się wbić mu nóż w żebra – dokończyła ponurym głosem.

Dribeck zmarszczył brwi. W jego wzburzonych myślach ostro zwarły się emocje z logiką.

– Po pierwsze zginiesz, nim dotrzesz do Arellarti. Po drugie, sam Kane zabije cię, gdy tylko mu się pokażesz. Powinnaś pamiętać, że twoje wmieszanie się zniweczyło jego drobiazgowo opracowaną intrygę i gdy nagle od niego uciekłaś, Kane myślał tylko, by cię zamordować.

– Zaryzykuję jedno i drugie – spokojnie odpowiedziała Teres. – Tych niewielu Rillytich, jacy pozostali, zapewne wycofano do obrony murów; co do spotkania z innymi niebezpieczeństwami bagna, to takie ryzyko muszę podjąć. Gdy zrobię pierwszy krok na grobli, Kane będzie wiedział, że

przybywam. A jeśli będę sama, sędzę, że da mi bezpieczną drogę choćby z samej ciekawości, jeśli nie z innych powodów. A może zechce spotkać się ze mną właśnie z tych innych przyczyn. Myślę, że jego reakcja na moją ucieczkę wynikała z nagłego przystępu morderczego szału. My... wiele znaczyliśmy dla siebie wzajemnie... przez krótką chwilę. On to pamięta.

– A czy Kane nadal znaczy coś dla ciebie? – zgrzytnął Dribeck, zdumiony swoją zazdrością.

– Nie wiem – mruknęła Teres. – Pomimo całego zła, jakie wyrządził, nadal nie wiem. Ty sam, jak się zdaje, nadal go podziwiasz... Nie wiem.

Niejasno zdał sobie sprawę, że to prawda.

– Gerwein wezwała starożytne przyptywy. Morze Zachodnie rzuci się na Kranor-Rill i pochłonie Arellarti. Zginiesz tam ze wszystkimi.

– Czary Gerwein nie przemogą Krwawnika – warknęła. – Znam jego potęgę, bo widziałam Arellarti. Zaklęcia więdźmy to próżne nadzieje i stracony czas. Ale nawet gdyby nie były daremne, zaryzykuję. Kane ma decydujące znaczenie dla zwycięstwa, a ja jestem jedynym człowiekiem, który może do niego dotrzeć.

Nie mogę pozwolić, aby w tej chwili moje uczucia wpłynęły na mój rozsądek – pomyślał Dribeck, ale pomimo to powiedział:

– Nie mogę pozwolić, byś podejmowała takie ryzyko.

– Słuchaj no, do diabła! – wybuchnęła Teres. – Nie proszę cię o pozwolenie na cokolwiek! Zawiadamiam cię, jakie są moje zamiary, i zaraz je zrealizuję! Bądź łaskaw zapamiętać, że nie należę do twoich dowódców ani twojej szlachty! Moje miasto może być w ruinie, moją armię może stanowić tylko garstka, ale teraz ja rządę Breimen i jestem w stosunku do ciebie równoprawnym sprzymierzeńcem! Więc w tym charakterze zawiadomiłam cię o moim planie bitwy i nie potrzebna mi twoja zgoda na przyjęcie własnej strategii!

– W porządku, zgadzam się, że masz prawo kierować własnymi czynami w sposób, jaki uważasz za najlepszy – mruknął Dribeck. – Idzie tylko o to, że...

– Że jestem kobietą, a ty mężczyzną; mężczyzna chroni i rozkazuje, a kobieta jest posłuszna i wdzięczna swemu obrońcy! No więc wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić takie pomysły! Zabieram tę księgę do Kane'a, a jeśli umrę, to umrę jako pani samej siebie! Zaufam opiece mojej dobrej prawicy i lepiej na tym wyjdę!

To go ugryzło najbardziej.

– Odczep się ode mnie, Teres, do diabła! Nie zamierzam cię zatrzymywać! Nie zaprzeczam nawet, że twój plan to najlepsza strategia, jaka nam pozostała. Chciałem po prostu upewnić się, że wiesz, jakie ryzyko podejmujesz. Ruszaj, gdy będziesz gotowa, i życzę szczęścia!

Teres, nadal gniewna, chwyciła palimpsest i dumnym krokiem wyszła z namiotu. Umieściła księgę w juku i wskoczyła na siodło, nadal nie spojrzawszy na Dribecka.

– Powodzenia, Teres! – zawołał, tym razem szczerze. Ale nie miał pojęcia, czy go usłyszała.

Gwellines parsknął i płoszył się, gdy jego kopyta dotknęły stratowanej, błotnistej ziemi wokół wylotu grobli. Teres z niepokojem stwierdziła, że purpurowy blask ogniwych kamieni stał nad nimi jak mgiełka, widoczna nawet przy świetle dziennym. Przemówiła uspokajająco do ogiera, pogłaskała jego pulsującą szyję, a gdy dotknęła ostrogami jego boków, Gwellines wskoczył na niezwykłą nawierzchnię. Kiedy cwałował przed siebie wśród gnijącej ziemi, iskierki dziwacznie tańczyły w miejscach, gdzie jego podkowy rysowały szkliste kamienie.

Grobla biegła przez głębie Kranor-Rill jak pasmo płynnego światła. Ciągnęła się mila za milą prostą linią; ponad cuchnącym mułem i labiryntem kęp roślinności. Nawet w takiej chwili Teres znalazła dość odwagi, by podziwiać to mistrzowskie dzieło nadnaturalnej inżynierii. Miecz trzymała

w pogotowiu przeciw wszelkim niebezpieczeństwom, jakie mogły przeszkodzić jej wdzieraniu się coraz dalej, ale nie widać było niczego, co by chciało jej zagrozić. Nad moczarem stała dziwna cisza. Nic się nie poruszało w splątany, trędotatym podszyciu. Ani jeden wąż nie wygrzewał się na grobli, a oczekiwane roje złośliwych insektów znikły. Wyglądało, jakby jadowici mieszkańcy Kranor-Rill wycofali się w głąb moczarów, w odwrocie przed nieziemskim złem, promieniującym z lśniących kamieni.

W miarę jazdy jej gniew zaczął wygasać, a myśli powróciły do Lorda Dribecka. Teres pożałowała, że ich ostatnie słowa były tak zjadliwe; pan Selonari był najlepszym z przyjaciół, jacy jej pozostali, i bolała nad tym, że to gorzkie wspomnienie będzie jej ostatnim.

Nie! Nie podda się łatwo śmierci!

Dookoła ciągnęło się bagno, kipiące, otulone mgłą pustkowie. Jego czysta, surowa linia wkrótce zaczęła nużyć monotonią, horyzont zakrywała stojąca nieruchomo mgła. Teres wkrótce utraciła poczucie czasu i odległości. Zdawało jej się, że bez końca jedzie rozżarzonym tunelem wśród krwawych oparów, gdzie majaczące, groźne kształty kryją się w otaczającej ją niesamowitej ciszy. Dławiła ją świadomość niepokonanego niebezpieczeństwa, zaciskającego się jak stryczek kata z każdym uderzeniem kopyt Gwellinesa. To wyobrażenie szarpało zatrutymi kłami jej nadwerężone nerwy. W ciężkiej atmosferze wisiało nieznośne poczucie zagrożenia, mroząc krew w żyłach.

Zanim jeszcze znajome mury zamajaczyły w przejmująco wilgotnym oparze, Teres dostrzegła aureolę diabelskiego zła, promieniującego z Arellarti.

Potężny monolit spiżowej bramy stał otworem. Ogromna postać z założonymi na piersiach rękami wsparta o obelisk, wyglądała przy niej jak karzełek. Powitał ją arogancki uśmiech, ale jego potężne ciało, zawsze tchnące zuchwałą siłą, było teraz zmizerowane, wychudłe, wyniszczone jakąś bezimienną, lecz wysysającą jak wampir nocą.

– A więc wróciłaś, wilczyco – powiedział Kane ze znużeniem.

Przez chwilę nie mogła wydobyć głosu, zapomniawszy słów nieustannie w myśli układanych i powtarzanych podczas jazdy.

Kane wiedział o jej przybyciu od pierwszej chwili, gdy skierowała wierzchowca na groblę. Z mieszanymi uczuciami pozwolił jej się zbliżyć. Wściekłość, jaka go ogarnęła po zdradzie Teres, była przelotną urazą, którą zastąpił wspomnieniem ich bliskości. Bo w świecie Kane'a nienawiść była siłą tak wszechobecną, jak nieogarnione masy piasku, przesypującego się na pustyni. Po tak długim istnieniu wśród jej ruchomych wydm prawie nie odczuwał kłującego, jałowego wiatru, nieustannie przeobrażającego oblicze niewzruszonej pustki. Miłość była wyjątkowym, ulotnym zjawiskiem. W swej przeklętej wędrówce Kane rzadko ryzykował miłość, a jeszcze rzadziej zdarzało się, by dotknął jej nieuchwytnych tajemnic.

Pragnął Teres i to wystarczyło. Ale nawet potrafiąc odrzucić swą złość na dziewczynę, zdawał sobie sprawę, że z nią może być inaczej. Teres już raz go odepchnęła, a od tej chwili Kane dał jej więcej powodów do nienawiści. Z goryczą zrozumiał, że jej powrót do niego niczego pewnego nie oznacza. Niemniej powitał ją serdecznie, choć w jego myślach podstępny głos Krwawnika nalegał, by ją zabić.

– Ciekaw byłem, czy powrócisz – kontynuował Kane. – Czyżbyś więc przemyślała moją propozycję? Dwie armie, które mi się przeciwstawiały, zostały zniszczone, a rozpaczliwe czarodziejstwo córek Shenan nie osłoni Lorda Dribecka po nadchodzącej nocy. A może przybyłaś w jego imieniu? Dribeck zawsze robił na mnie duże wrażenie swoją inteligencją. Jeśli uznaje, że jego sytuacja jest beznadziejna, gotów jestem do ugody z Selonari. Jak sama widzisz, niewiele z moich ropuch powróciło z nocnej potyczki. Ale i tak planowałem zastąpienie mych paskudnych sług ludzką

armią. Dla wszystkich nas byłoby korzystne, gdyby Dribeck stanął po mojej stronie. Nie chciałbym niszczyć nadal mojej przyszłej własności.

Gdy Kane przemawiał, Teres zsunęła się z siodła. W jego oczach błyszczała ironia, która ją zastanowiła. W zasięgu wzroku było tylko paru wojowników Rillyti, pomyślała więc o możliwości szybkiego pchnięcia mieczem. Sardoniczna, drwiąca mina Kane'a wskazywała, że zna jej myśli. Pamiętał, że już raz cofnęła się przed zabiciem go, gdy leżał bezsilny i teraz ponownie rzucał jej wyzwanie. Teres nie była pewna, czy potrafi... mimo wiszącej nad wszystkimi zguby. Najpierw musi spróbować przekonać Kane'a, jeśli zaś to się nie uda... wtedy, jeśli stał może go zabić, jej ręka musi podjąć taką próbę.

– Kane, Dribeck nadal będzie z tobą walczył – oświadczyła z pewnością siebie. – Jeśli wierzysz, że bitwa zeszłej nocy zniszczyła nasze siły czy postanowienie zmiążdżenia tej nieludzkiej okropności, której służyysz, wkrótce przekonasz się, jak się mylisz. Nie wróciłam też, by stać się współniczką twych niegodziwości. Przybyłam, by ostrzec cię, Kane; ostrzec przed złem, które twoja chorobliwa ambicja wyzwoliła.

– Powtarzasz słowa, które nazbyt często wymienialiśmy – zwrócił sarkastycznie uwagę.

– W przeszłości opierałeś się na połowicznej wiedzy, która jest pułapką bardziej zabójczą niż otwarte kłamstwa! Egoistyczna wiara w siebie uczyniła cię ślepym na prawdę o twojej sytuacji. Co ty wiesz o Krwawniku, poza ułamkowymi domysłami z pism szaleńca i zawołanymi kłamstwami, które Krwawnik ci szepcze?

Drżącymi rękami wyciągnęła palimpsest. W dłoniach miała najpotężniejszą broń, jaka pozostała dla obrony ludzkości.

– Wiem, że mi nie uwierzysz. Ale może poznasz prawdę dzięki tej księdze!

Podawała mu manuskrypt. Twarz Kane'a wyrażała zainteresowanie pomieszane z powątpiewaniem.

– Kane, Krelranie nie byli panami kryształu! Byli niewolnikami Krwawnika!

Zabij ją! Zniszcz ją wraz z jej księgą kłamstw!

Kane skrzywił się, gdy ten rozkaz zagrzmiał w jego czaszce. Pierścień na jego pięści łaskotał, palił, pulsował z zabójczą siłą zwiniętego węża. I być może właśnie z powodu desperackiej wściekłości wrzeszczącej na niego, już się nie wahał. Wyszarpnął starożytny tom z jej dłoni. Spojrzał na niego przelotnie, a potem skupił się na prawie zatartym piśmie.

Puszczę z wolna ogarniała noc. Dribeck powrócił z obozowiska Świątyni z twarzą pobrużdżoną i pobielaną od tego, co tam ujrzał. Dziwacznie oświetlony pagórek był jedną fantasmagorią wijących się postaci i płaczących inkantacji. Na jego zboczach czaił się przeraźliwy strach, a rosnąca siła zakłęb Gerwein wirowała w umierającym półmroku, ciskając czarnymi błyskawicami. Krzyki tych, które leżały wyciągnięte na ołtarzu Shenan, brzmiały jak żałobne wołania zagubionych nocnych ptaków, mroziły w żyłach krew swą rozpaczą, podobne raczej do pieśni pogrzebowej niż jęku przestachu.

Dribeckiem wstrząsały dreszcze. Nie chciał myśleć o rosnącym stosie bladych, zimnych ciał.

– Cokolwiek z tego wyjdzie – zwrócił się do Crempry – Gerwein nie wyciągnie żadnych korzyści ze swojej magii. Czy zwróciłeś uwagę na twarze ludzi? Tylko lęk przed Krwawnikiem powstrzymuje ich przed wycięciem w pień całej tej bandy czarownic! Jeśli przetrwamy i wrócimy do Selonari, Świątynia będzie omijana przez wiele lat. Wszystkie te brudne czary, obojętne Krwawnika czy Shenan, obrzydły całemu krajowi. Po tej nocy Gerwein nie znajdzie wdzięczności w żadnym sercu, za to piersi pełne nienawiści!

– Ciemności nie nadchodzą – zauważył Crempra. – Światło piekielnego księżyca Shenan

ogarnęło nasz obóz, a Kranor-Rill stoi w mętnych płomieniach szmaragdu i szkarłatu. Popatrz, jak to światło pulsuje coraz jaśniej!

– Już w tej chwili potęga Krwawnika musi być bliska szczytu – rzekł Dribeck pozbawionym nadziei tonem. – Gerwein obawia się, że jej magia tu nie wystarczy. Do tej pory zaklęcia powinny były zwabić Morze Zachodnie na naszą ziemię. Ale Krwawnik odpiera czarnoksięski przyptyw. Teraz jej wezwania stają się bardziej nasilone, potężniejsze, niż może sobie pozwolić. Moc Krwawnika nieustannie im się sprzeciwia, utrzymuje pływy w ich naturalnym rytmie. Jeśli jej magia nie potrafi wyczerpać mocy Krwawnika, przemoc jego nieustępliwego oporu, będziemy musieli zaatakować Arellarti siłami ani trochę nie cudowniejszymi, niż siła naszych prawic dzierżących miecze. Shenan tylko wie, w jaki sposób możemy odnieść sukces, jeśli przeraźliwa potęga jej magii nie zdoła pobić Krwawnika!

Popatrzył na groblę z niepokojem.

– Nadal żadnych wiadomości od Teres?

Asbraln potrząsnął głową. Dribeck gorzko westchnął.

– Była naszą największą nadzieją, choć myśl, w jakim jest niebezpieczeństwie, przyprawia mnie o mdłości.

Po raz setny w ciągu godziny wyrzucał sobie w milczeniu gniewne słowa przy ich pożegnaniu. Dziewczyna go obchodziła, temu nie mógł już zaprzeczać nawet w głębi duszy. Jej wyzywająca niezależność przyciągała go tak, jak mężczyznę przyciąga nieopanowana samodzielność dzikiej i nieposkromionej istoty. Wiedziała, ile ryzykuje, ale z własnej inicjatywy podjęła tę niebezpieczną wyprawę. A on okazał się tak bezmyślny, że obraził jej odwagę, próbował ją ochronić jak jakąś drżącą dziewczkę dworską, która przy pierwszym cieniu niebezpieczeństwa zaczyna zawodzić i czepiać się swego opiekuna.

– Do Arellarti musi być dobre dwadzieścia mil jazdy – rozważał na głos. – Powinna już do tej pory powrócić.

Setki nieprzyjemnych, fantastycznych myśli przelatywały mu przez głowę. Nawet jeśli jeszcze żyje, to zwycięstwo zaklęć Gerwein w niewidzialnej bitwie nauki i czarnoksięstwa przyniesie Teres zgubę w zniszczonym mieście, o ile nie uda się jej uciec na czas. Ale przecież wiedziała, jak ryzykowna jest jej misja.

– Jadę za Teres – oświadczył ktoś głosem Dribecka. Crempra gapił się na niego z otwartymi ustami.

– Muszę wiedzieć, co się z nią stało – wyjaśnił kulawo. – Tak czy inaczej trzeba zbadać obronność miasta. Magia Gerwein nie skutkuje.

– Do diabła, kuzynie – parsknął Crempra. – To wyślij zwiadowcę! Nie ma sensu pozbawiać się życia. Ktoś musi nami dowodzić.

– Nie wygląda, by memu życiu przeznaczone było długie i spokojne trwanie, jakkolwiek by na to patrzeć – odparł zdecydowanie Dribeck. – Więc je zaryzykuję w taki sposób.

– Jeden człowiek się nie przebije. Raczej mały oddział kawalerii – zaproponował Crempra.

Dribeck spojrział na niego ostro.

– Być może. Wezmę około pięćdziesięciu ludzi na najlepszych koniach. Postaram się dotrzeć tam i z powrotem, zanim... no, zanim noc przyniesie jakąś potworność.

Crempra fatalistycznie wzruszył ramionami.

– Zdaje mi się, że nawet z tą kostką potrafię jeździć konno nie gorzej od innych. Być może będę miał okazję raz czy dwa użyć łuku, zanim zostaniemy wyrżnięci co do nogi.

Dribeck zaskoczony popatrzył na kuzyna.

– Przecież to ty przechwalasz się roztropnością w bitwie. Musisz zostać, by objąć dowództwo w wypadku, gdybym nie wrócił.

– A czym tu warto dowodzić? I kto mnie posłucha? Nie, kuzynie, ja nie cierpię na twój przymus posiadania władzy. Ktoś inny może wziąć na siebie tę odpowiedzialność, a ja będę korzystał z przyjemności, których on znękanym nie pokosztuje. Jeśli jesteś zdecydowany poprowadzić samobójczy rajd na Arellarti, pojedę z tobą. Nim wszyscy zginiemy, przynajmniej rzucę okiem na fortecę naszego nieprzyjaciela. Czy zdajesz sobie sprawę, że Teres jest jedyną osobą, która naprawdę widziała Arellarti?

Ze swego łóża zaniepokojony Asbraln pomrukiwał, że się do nich przyłączy. Ale gdyby popróbował wsiąść na konia, jego rana na udzie otworzyłaby się, więc Dribeck stanowczo temu się sprzeciwił, równocześnie nie przestając dziwić się zdecydowaniu, kryjącym się za zwykłą nonszalancją kuzyna.

– Każę ludziom wsiadać i odjeżdżamy natychmiast – powiedział Dribeck, zastanawiając się, czy znajdzie ochotników do wyprawy. Ponieważ pozycja była tak czy inaczej nie do utrzymania, być może znajdują się w dostatecznej liczbie ludzie chętni do udziału w rajdzie komandosów.

– Pogalopujemy – oświadczył. – Wjedziemy, zobaczymy, co tam się dzieje, i wrócimy. Jeśli Gerwein się nie powiedzie, przeprowadzimy piechotę i maszyny oblężnicze. Teraz brak na to czasu i nie będę tego ryzykował wobec możliwości nagłej powodzi. Być może uda nam się wrócić. Jeśli nie... Asbraln, podejmiesz decyzję. Ivocel jest zdolnym dowódcą i pochodzi z dobrego domu; jest najwyższym rangą oficerem, jaki ci pozostał. – Z roztargnieniem zdał sobie sprawę, że problem przyszłych rządów w Selonari najprawdopodobniej nie będzie go dotyczył, a prawdę powiedziawszy także nikogo innego.

– Niektórzy przez długi czas podawali to wątpliwość – zauważył z dumą Asbraln, gdy jego pan wypadł w wieczorny półmrok – ale bez wątpienia w jego żyłach płynie krew mężczyzny!

Crempra z wysiłkiem próbował wtłoczyć obandażowaną nogę do buta.

– Cholernie głupi powód, by tak sądzić! – powiedział z grymasem. – Tylko dlatego, że nagle robi coś nieoczekiwanego i chce utracić życie bezmyślnie ryzykując. Jeśli takie masz pojęcie o bohaterstwie, to znaczy, że nigdy się nad tym nie zastanawiałeś.

Asbraln parsknął. – Nie ma żadnego bohaterstwa w wiecznym podążaniu za kalkulacjami przebiegłego umysłu. Człowiek musi się pokusić o coś nielogicznego, jeśli ogień płonie w jego sercu. A ty czemu jedziesz z nim?

Crempra zaśmiał się niewesoło i nie odpowiedział.

Gdy Kane wreszcie zamknął książkę, jego twarz była dziwnie pobrużdżona. Dłonie miał spokojne, ale najwyższego wysiłku woli wymagało powstrzymanie ich od szarpania w ślepej złości. Tylko w jego błękitnych oczach płonął lodowaty ogień nieopisanej wściekłości.

Nie było już wątpliwości. Napomknienia i złe przeczucia, tłumione przez nieustanny szepot Krwawnika, nagle przebiły się na powierzchnię jego zmaconych myśli. Nawet gdy zmuszał się do czytania i zrozumienia palimpsestu, rozpaczliwe rozkazy Krwawnika, wrzeszczącego w jego mózgu, nalegały, by nie czytał dalej, by zniszczył książkę, starając się pomieszać jego myśli w chwili, gdy zaczynał pojmować prawdę. Niezliczone racjonalne argumenty mówiły mu, aby zignorował przeczytane. Zatrute myśli, udające jego własne. Gdyby Kane nie był przekonany o autentyczności manuskryptu, zarówno jego dokładność, jak gorączkowe wysiłki kryształu, próbującego przeszkodzić mu w rozpoznaniu jego prawdziwej roli, wystarczyły jako dowód.

– Alorri-Zrokros nie był wszechwiedzącym – mruknął Kane nieswoim głosem. – Albo też moja

kopia zawierała pewne fatalne nieścistości.

– Teraz już znasz prawdę – szepnęła Teres, zastanawiając się, na co przyda się to zwycięstwo. – Nie jesteś Panem Krwawnika! Jesteś jego niewolnikiem! Okłamywał cię od chwili, gdy tak chętnie przywróciłeś mu życie, być może nawet wcześniej. Oszukiwał, byś wykonywał jego wolę już wówczas, gdy leżał bez sił. A on w tym czasie knuł tajemne plany, by zniewolić całą ludzkość dla zaspokajania ohydnych apetytów jego szatańskiego gatunku! Myślałeś, Kane, że będziesz władcą światowego imperium, ale twoją rolą byłaby tylko funkcja naczelnego poganiacza niezliczonych niewolników. Spowodowałaś zmartwychwstanie monstrualnego zła, które cała moc starszych bogów nadaremnie próbowała zniszczyć! Uczyniłeś się najnędzniejszym zdrajcą w całych dziejach ludzkości!

Z głębi piersi Kane'a wyrwał się warkot, a Teres skurczyła się ze strachu przed ślepą furją, wyglądającą spod jego brwi. Minął ją i runął przed siebie, a jego twarz była maską obłąkańca, który poznał przekleństwo swego obłąkania. Przerazona siłą, jaką wyzwoliła, Teres skoczyła za nim, nie zwracając uwagi na kilka płazów, spoglądających w przerażeniu.

– Krwawniku! – ryknął Kane, wpadając do centralnej kopuły. – Krwawniku! – Jego nienawiść była tak wielka, że nie mogła jej powstrzymać chłodna, telepatyczna rozmowa.

Przestrzegalem cię, byś ją zniszczył. Czy znalazłeś przyjemność w twym przebudzeniu?

– Ktoś zostanie zniszczony, nim dzień pociemnieje – warknął Kane, skradając się ku tablicy sterowniczej.

Zaprzestań tego bezmyślnego buntu, Kane! I cóż z tego, że twoja nic nie znacząca duma została skruszona? I tak jesteś dla mnie użyteczny. Służ mi dalej z wolnej woli, a moja potęga przyniesie ci wszelkie bogactwa i rozkosze, jakich pożądasz.

– Nie będę niewolnikiem ani boga, ani szatana, ani też potwora stworzonego przez nieziemską naukę! Uczyniłeś ze mnie głupca, Krwawniku! I za to cię zabiję, pomimo to, że twoje kłamstwa przyrzekały mi potęgę większą od boskiej!

Dosyć, Kane! Teraz już nie możesz mi zaszkodzić! Opanuj swój nędzny gniew, nim zmusisz mnie do działania!

– Twój niewolnik już kiedyś zwrócił się przeciw tobie! Potrafię cię zniszczyć tymi samym rękami, które przywróciły cię do życia!

Wtedy byłem zbyt słaby, by powstrzymać jego zdradziecki atak! Teraz żadna ręka nie potrafi się obrócić przeciw mnie!

– Znam ograniczenia twojej mocy! Jestem kluczowym ogniwem twojej zwyrodniałej siły życiowej! Nie możesz mnie zniszczyć, nie niszcząc samego siebie, ale ja nie potrzebuję ciebie, by żyć! – Dotarł do półkřęgu tablicy.

Głupcze! Czy sądzisz, że nie potrafię wymusić posłuszeństwa tak nędznego niewolnika jak ty?!

– Za późno na twoje kłamstwa! – Ręka Kane'a dotknęła kryształowego pokręćła.

Ból! Ból nie do wytrzymania wybuchnął jak krzyk we wszystkich nerwach jego skręconego ciała. Kane usłyszał, że krzyczy bezsłownym wrzaskiem męki, który wyrwał się nieproszony z jego storturowanego gardła. Przez nieskończenie długi czas ból przeorywał jego bezradne ciało, wbijając rozpalone do czerwoności zęby w każdy atom jego istoty.

Niejasno zdał sobie sprawę, że to się kiedyś i jakoś skończyło, czując rozgrzane kamienie pod swym skurczonym ciałem. Echo wypełniło płonąca kopułę. Przypuszczał, że był to dźwięk jego krzyku. Tortura ustała, pozostawiając mdlące wspomnienie w jego wstrząśniętym ciele. Podbiegła Teres. Oszołomiony zawołał, by się nie zbliżała. Zignorowała to.

Choć nie mogę ci wyrządzić krzywdy fizycznej, teraz już wiesz, że potrafię ci sprawić wiele

bólu, nieznośnego bólu, który nie cofnie się nawet, gdy twój służalczy mózg nie będzie już niczym więcej niż bezduszną bryłą pulsującej galarety! Nosisz okowy niewolnika na ręce, Kane, i jesteś moją własnością. Kontynuuj ten daremny bunt, a ja uderzę w twoją duszę taką męką, że twój umysł spali się i rozpadnie. Lepiej będziesz mi służył, jeśli poddasz się mej potędze, ale nawet bezduszne narzędzie może posłużyć ręce mistrza, dopóki nie znajdzie się lepsze. Gdy nadejdą moi bracia, przekonasz się, że nie jesteś niezastąpiony. Pomyśl o tym, zamiast rozmyślać o bezowocnym buncie.

A teraz zabij tę dziewczynę, nim przysporzy mi dalszych niewygód!

– Idź stąd, Teres! – wychrypiał Kane z duszą przejętą nieugaszoną nienawiścią. – Krwawnik cię zabije!

Uklękała przy nim, próbując podnieść go na nogi, ale kolana ciągle się pod nim załamywały. Choć nie знаła w ogóle myśli Krwawnika, ze słów Kane'a wyczuła, że powstał między nimi konflikt; rozumiała, że jakiś wstrząs nie do wytrzymania podciął mu nogi, gdy chwycił dźwignie sterowania.

– Nie zostawię cię tutaj! – obiecała, nie wątpiąc w swoje zdecydowanie.

– Uciekaj, do diabła! To ty jesteś w niebezpieczeństwie! – Wstał, opierając się na tablicy sterowniczej.

Czy mam cię zmusić do posłuszeństwa? Nieważne, inni niewolnicy zastosują się do moich rozkazów. Czarnoksiężski atak moich wrogów staje się właśnie coraz bardziej uporczywy. Daremna próba, ale złości mnie marnowanie sił na odpychanie ich gorączkowych wysiłków. Gdy tylko dotrę do mych braci i będę mógł poświęcić uwagę tej nieprzyjemności, zamierzam unicestwić źródło oporu.

Namysł się dobrze nad twoją lekcją, niewolniku. Jeśli zapomnisz o tym napadzie złego humoru i będziesz mi dobrze służył... przekonasz się, że jestem łaskawym panem. Opieraj się, a i tak będziesz mi służył, ale bez przyjemności dla żadnego z nas. Kiedyś mogłeś zerwać swe więzy, mój błaznie, ale teraz już nie ma w twoim świecie siły zdolnej mnie pokonać!

Szydercze myśli umilkły.

– Kane! – szepnęła Teres. – Rillyti!

Do błyszczącej kopuły weszło dziesięć, może więcej płazów. Nagie miecze w pletwiastych dłoniach nie pozostawiały wątpliwości co do ich intencji. Teres poczuła rozpacz, bo przeciw tym monstrualnym napastnikom jej prawica mogła wygrać tylko parę chwil życia.

Ostry syk i Kane stał z mieczem w dłoni.

– Biegnij między te dwie kolumny instrumentów – warknął, wskazując kierunek. – Tam będziemy mieć zabezpieczone tyły i boki, a ropuchy będą musiały atakować od czoła!

Pomknęli w stronę pałających instrumentów i w tej samej chwili Rillyti rzucili się na nich. Kane odepchnął Teres za siebie, przechwycił broń pierwszego napastnika i wyszarpnął ją z dłoni ropuchy z nieopisaną wściekłością, wzmacniającą jego rękę. Głowa stwora rozpękła się jak szczapa drewna, a klinga Teres rozpruła brzuch drugiego.

– Cofnij się! – wrzasnął Kane. – Nie ośmielą się mnie zabić! To o ciebie im chodzi!

Teres rzuciła mu przekleństwo.

– Potrafię zabijać własne żmije! A oni tak się rozszaleli, że mogą cię rozrąbać na pół niecelnym cięciem!

To by mogło rozwiązać parę problemów, pomyślała nagle. Właśnie teraz... szybkie pchnięcie w plecy Kane'a! Wiedziała jednak, że nie potrafi tego zrobić. Nie w chwili, gdy walczył z jej mordercami, niezależnie od tego, jak wiele znaczyłaby jego śmierć. Z niepokojem przypominała sobie nieprzewidziane skutki jej próby odcięcia pierścienia z krwawnikiem i zaczęła wątpić, czy

Kane'a można zabić zwykłą stalą.

Rillyti, wzmagając atak, próbowali obalić Kane'a własnym ciężarem. Nie wolno im zabić mężczyzny, ale dziewczyna musi umrzeć, a ponieważ on ją osłaniał, natarcie było źle wykonane. Już kilku z nich padło na śliską podłogę, świadcząc o skuteczności ludzkich mieczy. Inni cofnęli się, by opatrzyć spływające krwią rany. A nad walczącymi blask Krwawnika pulsował coraz jaśniej, w miarę jak demon zrodzony przez obcą naukę walczył z siłami czarnoksięstwa, przywołanymi na jego zgubę.

Natarcie nagle ustało. Teres omal nie upadła obok Kane'a, gdy skoczyła za cofającym się napastnikiem. Zostawiwszy zabitych, mieszkańcy błota człapiąc opuścili kopułę.

Twoja pieszczoszka może sobie żyć, póki nie będę miał czasu, by rozprawić się z nią tak, jak na to zasługuje. Paru jej towarzyszy jedzie w stronę moich bram, ale stąd nie powróci. Możesz odzyskać moje łaski niszcząc tych nierozważnych intruzów... Nie? Więc zostań nadąsany. Inni moi niewolnicy rozprawią się z nimi.

Moc ich czarów zbliża się do granic, w jakich mogą nią władać, lecz morza nadal posłuszne są mojej woli. Nie mam teraz czasu na takie drobne rozgrywki. Zbliża się moment, w którym gwiazdy przyjmą optymalną konfigurację... A wtedy moi bracia połączą się ze mną, a ja z nimi! Gdy nadejdzie pora, te irytujące czary znikną jak zdmuchnięty pył!

– Kane! Co się dzieje? – spytała Teres, gdy płazy wycofały się z ataku.

Kane wyjaśnił.

– Dribeck wysłał oddział kawalerii przeciw Arellarti. Musi to być mała grupka, bo Krwawnik pchnął w zasadzkę na nich tylko resztki armii Rillytich. Kryształ jest zbyt zajęty innymi sprawami, by poświęcać uwagę tak błahej groźbie.

– Czy możesz użyć pierścienia? Zniszczyć Rillytich lub skierować ich przeciw Krwawnikowi?

Kane potrząsnął głową.

– Niemożliwe. Ponieważ Krwawnik jest źródłem siły pierścienia, nie mogę go skierować przeciw żadnemu celowi, gdy kryształ odmawia.

– Czy możesz zrobić cokolwiek, by to powstrzymać?

– Czegoś spróbuję... Poczekam na okazję! – obiecał. Wściekłość w jego oczach świadczyła o jego zamiarach.

Iskrząca się światłość stała się jaśniejsza niż kiedykolwiek, paliła oczy. Nawet matowe kamienie murów pulsowały płynnym światłem.

– Gwiazdy są we właściwych pozycjach – warknął Kane. – On woła braci, poszukuje swej rasy w pustyni za gwiazdami! Czy czujesz, jak przez klejnot przepływa bezmierna energia? Krwawnik sięga w swych poszukiwaniach zarówno poprzez czas, jak przestrzeń! Teraz jego siła łamie prawa fizyczne wszechświata!

Już nie dba o ukrywanie tajemnych zakątków swego umysłu. Teraz je widzę, znam ukryte myśli tego nikczemnego stworu. Oto jest! Gigantyczne laboratorium, gdzie formuje się Krwawnik i jego bracia... gdzie się rodzą! Broń niegodziwej, obcej nauki obraca się przeciw swym twórcom! Tu są myśli, których nie potrafię pojąć... Nie śmiem!

W nieznośnej jasności jego wykrzywiona twarz wyglądała jak okropna maska.

– Szybko, Teres! – ostrzegł. – To miejsce jest zbyt niebezpieczne! – Nie czekając na jej zgodę, Kane chwycił ją za ramię i wypchnął z kopuły, jakby była drobnym dzieckiem.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, na jego twarzy odmalowało się coś więcej niż złość. Jakim okropnościami się przyglądał? – pomyślała z lękiem Teres. Wokół nich całe miasto pulsowało

nienaturalną jasnością.

– Czy potrafisz umrzeć z własnej ręki? – zapytała niepewnym głosem.

Kane roześmiał się okrutnym warczeniem, przypominającym jego zwykły nastrój.

– Zapewne Krwawnik próbowałby powstrzymać moją rękę. Zastanawiam się, ile moich działań ostatnio pochodziło z mojej własnej woli. Naprawdę nie wiem... Jak uważnie pilnuje swego niewolnika! Ale nie umrę, zanim nie umrze kryształ... umrze ze świadomością swej klęski!

– Jeśli ty nie będziesz żył, Krwawnik stanie się bezsilny – zauważyła sarkastycznie Teres.

– Być może przez chwilę. Ale nie zamierzam poświęcać życia, jeśli uda się tego uniknąć! –

Popatrzył jej w oczy. – A może zamierzasz mnie zabić?

Zadrżała.

– Wiem, że nie potrafię... nawet dla ocalenia ludzkości! Ale gdybym wiedziała, że zmieniłeś zdanie, że będziesz dobrowolnie służył Krwawnikowi za ochłapy, jakie ci rzuci...

– Nie będę służył innemu panu, niż ja sam! – wypluł słowa Kane. – Ludzkość niewiele dała mi powodów, bym czuł lojalność wobec tego gatunku. Ale żadna istota nie posłuży się Kane'em jak swym pionkiem, i nie zbierze owoców swej gry!

Zbliżyli się do bramy. Teraz rosnąca aureola światła zmieniała noc w południe. Kane nagle zamarł nieobecny myślami, słuchając...

...bezgłośnego wrzasku przerażenia!

Krwawnik sięgnął poza gwiazdy. Pulsując przyływem energii kosmicznej, zawołał braci. Zawołał tych, którzy dzielili z nim nienaturalne urodzenie w odległych tysiącleciach. Tych, którzy tworzyli pełną sieć jego osobowości. Którzy walczyli u jego boku w dawnych, rozpaczliwych wojnach. Którzy mieli czekać przez całe wieki, by raz jeszcze połączyć się w zjednoczonym istnieniu. Czekać na dopełnienie doskonałej sieci...

Krwawnik szukał... i niczego nie znalazł! Krwawnik zawołał... i nie otrzymał odpowiedzi. Przy płomiennym pulsowaniu ogromnej, krystalicznej siatki Arellarti, Krwawnik gorączkowo przeszukiwał korytarze przestrzeni między-wymiarowej. Nie było nic.

Krwawnik był sam.

Nadeszło zrozumienie, że jego bracia leżą zmieszani z pyłem zapomnianej od tysiącleci wojny.

I to zrozumienie przyniosło... obłąd!

Jego nieludzki umysł został zbudowany na logice symetrii, wypełnieniu się geometrycznej doskonałości. Gdy wstrząsnęła nim wiadomość, że pozostał sam, niekompletny, niedoskonały – niewyobrażalny pierwiastek kryształowej istoty, popadł w chaos. Przez głębie jego siatki popłynęła nie kontrolowana siła w chwili, gdy obłąkany umysł Krwawnika cisnął we wszechświat szalejące energie.

Nawet Teres usłyszała jego wariacki wrzask, a Kane zachwiał się jak uderzony maczugą. Przerażone beczenie rozległo się z otaczających miast bagien i Teres dostrzegła szarpiące się w bagnie ropusze kształty, uciekające w panice. Aureola murów wzmogła pulsowanie aż do oślepiającej nawałnicy nakrapianej purpury i zdawało się, że cała ziemia płonie iskrzącym się ogniem.

– On zwariował! – wrzasnął Kane, chwytając się w bólu za głowę. – Reszta z jego gatunku nie żyje i dusza Krwawnika wpadła w amok! Rzuca się z bezmyślną wściekłością węża z odciętą głową... nadal niebezpiecznego, ale ślepego na atak swego wroga!

Uwiązany Gwellines stanął dęba, rżąc głośno ze strachu przed przeraźliwym światłem. Z dziką siłą Kane powstrzymał jego wierzganie, by Teres mogła dotknąć ogiera i jakoś go uspokoić. W jednej chwili Kane podniósł jak piórko zaskoczoną dziewczynę i wrzucił na siodło. Brama była

ciągle otwarta.

– Goń przed siebie, Teres! – rozkazał. – Teraz w Arellarti czeka już tylko śmierć! Pędź do lasu i jeszcze dalej! Ty i inni możecie jeszcze uciec! Krwawnik i ja nie skończyliśmy tej gry!

– Nie odejdę i nie pozwolę ci umrzeć! Gwellines uniesie nas oboje!

– Nie będzie czasu! Krwawnik wpadł w krwawy szal, a czarnoksiężstwo czeka na zdobycze w Arellarti! Ten chaos jest moją jedyną okazją, by zniszczyć demona, którego uwolniłem! Spróbuję uciec poprzez projekcję międzywymiarową, na nic innego nie będzie czasu!

Schwycił ją za rękę.

– Jeśli będzie dla nas jakieś jutro, czy pójdiesz ze mną, Teres?

Spojrzała w jego pełne rozpacz oczy i słowa, które chciała wypowiedzieć, uwięzły jej w gardle.

– Kane, kiedyś mogliśmy mieć wspólne życie. Nawet teraz nie potrafię się wyprzeć pociągu, jaki do ciebie czuję. Ale zbyt wiele zdarzyło się między nami, zbyt wielka powstała przepaść, aby miłość mogła ją przekroczyć.

Kane odął szyderczo wargi. Wpatrzył się w jej twarz i ujrzał tam ból.

– Słowa, które słyszałem aż nazbyt często! Goń, wilczyco! Jeśli chcesz, zwiąż swój los z Dribeckiem lub z kimkolwiek, kogo ci kaprys podyktuje. Sądzę, że nie zapomnisz Kane'a. A teraz jedź, zanim zguba cię dopadnie! Bo tej nocy musi zginąć albo Krwawnik, albo Kane!

Uderzył dłonią Gwellinesa i ogier wyskoczył przez otwartą bramę. Pomknął po stopionej grobli, unosząc w wyciągniętym galopie swego desperacko uczonego jeźdźca. Teraz z Arellarti wypełzała nieziemiska groza i bojowy rumak czuł, że trzeba jak najszybciej uciekać.

Teres ledwie zdołała powstrzymać wierzchowca wpadając na oddział Dribecka. Ludzie ciągle byli jeszcze pod wrażeniem tego, że napaść zaczajonych Rillytich w połowie ataku zmieniła się w paniczną ucieczkę.

Gdy Dribeck ujrzał Teres, mknącą ku nim przez krwawoczerwony potok światła, poweselał od nieoczekiwanej ulgi.

– Zmusiliśmy ropuchy do ucieczki! – ryknął z pełnej piersi, gdy Gwellines stanął dęba wśród tryskających spod kopyt iskier.

– Zawracaj! – ostrzegła Teres, nim mogła wydobyć z siebie dalsze słowa. – W Arellarti nie możemy nic zrobić. Kane zwrócił się przeciw Krwawnikowi i wśród nocy toczą wojnę demony!

Wszystkie jego marzenia obróciły się w koszmar, a powab przygody okazał się pajęczą siecią grozy. Potęga, obiecująca mu panowanie nad gwiazdami, była kłamstwem, mającym zakuć go w łańcuchy bezdusznego niewolnictwa. Gdy tak zginął szaleńczy sen, zastąpiła go wściekłość, a lodowata potęga jego furii była jedynym, co nie pozwalało mu popaść w obłąd.

Kane wszedł do kopuły i ciężkim krokiem zbliżył się do podium. Oszalały kryształ poznał go i przeczuł jego zamiary. Zapłonęła nad nim trzeszcząca kula szmaragdowego płomienia – samobójczy szal skorpiona, który zabija sam siebie, jeśli zapędzi go w pułapkę wróg, któremu nie potrafi stawić czoła. Kane podchodził bliżej, nie zwracając uwagi na klujące sploty.

Krwawnik ciągle jeszcze walczył z siłami magii Shenan, odpierając czary pomimo kosmicznego szaleństwa, wyjącego w jego nieludzkim umyśle. Niejasno zdawał sobie sprawę z obecności Kane'a i zbierał swe umęczone siły do obrony. Ale jego złamana potęga nie była już nieodparta.

Kane usłyszał, jak widmowy głos kryształu mamrocze w jego umyśle. Tysiące argumentów próbowało odwrócić kierunek jego kroków. Tysiące obietnic kusilo duszę. Biły w niego ohydne groźby, w szaleńczym chaosie pomieszane ze słodkimi obietnicami.

Na to wszystko nie zwracał uwagi.

Pojawił się więc niewidzialny ból, ale tym razem był już do wytrzymania. Kane zachwiał się, zagryzł wargi, aż pokryła je krwawa piana, lecz nie poczuł w nich bólu, bo tamten był większy. Nie wrzasnął. Czarna siła jego nienawiści, jego wściekłości, jak tarcza osłoniła jego umysł, odrzucając i spalając wyciągnięte macki bólu, próbujące złamać jego ducha.

Poruszył wargami, wypluwając przekleństwa w tuzinie języków, wykrzykując wyzwania zranionemu potworowi, którego szaleńcze uściski dławiły go, szarpały palącym bólem. Przez fale męki, jak zrozpaczony pływak, który nie chce umierać, Kane zmusił swe uginające się nogi do posłuszeństwa i krok po kroku niosły go do przodu.

Zorza energii otoczyła go wieńcem, gdy padł na kamienny półkrąg i chwycił za wystające dźwignie, by się podtrzymać. Teraz ból nie był już tylko psychiczny, bo bijące na oślep szpony Krwawnika ryły poczerńnięte pręgi na jego skórze. W krwawym szaleństwie kryształ bił we własne ciało. Jego wściekłe wycie mroczyło umysł Kane'a, łamało łańcuch myśli, gdy silił się przypomnieć sobie kolejność zadań, jakie miał do wykonania.

Kane oparł się bezwzględnemu atakowi. W jego umyśle spoczywała wiekowa wiedza tajemnic metapsychicznych, jego duch stał się niepokonany dzięki stuleciom nieustannej walki o przeżycie. Żaden człowiek nie mógłby się oprzeć potędze kryształu Krwawnika, nawet tak zranionej jak teraz. Ale gniew Kane'a był więcej niż ludzki. W nienawiści znalazł siłę.

Uderzył pięścią w wystającą dźwignię. Krwawnik wrzasnął z bólu i nagłego lęku.

Kane nie przestawał uderzać zakrwawionymi kłykciami, wepchnął cały szereg metalowych prętów głęboko w kamienny półkrąg. Drugą ręką chwycił kryształowe wypukłości i ranił sobie palce o powoli obracające się ceramiczne pokrętła.

Przeszył go wstrząs tak potworny, że chwycił dźwignie na podium, by nie zwalić się na podłogę. Pierścień z krwawnikiem tak palił jego ciało, jakby całą dłoń miał zanurzoną w płynnym żelazie. Zacisnąwszy zęby zwalczył omdlenie, wiedząc, że niesiona przez niego ulga oznaczałaby tylko śmierć. Niepewnymi z bólu ruchami przestawiał dźwignie i pokrętła na płonącym półkręgu. Zmusił się do zablokowania urządzeń sterowniczych, przeciążenia obwodów monolitycznych.

Teraz blask Krwawnika stał się godnym, oślepiającym płomieniem, rażącym jego zamglone spojrzenie. Męka pulsowała w nim w rytm płonących fal żaru. Gorąco nie było złudzeniem. Przy dotknięciu kamienie parzyły ciało. Cała siatka energetyczna Arellarti płonęła nie kontrolowaną energią, wznosząc się jak rozpalony stożek wulkanu nad parującym moczarem.

Kane zablokował sterowanie zewnętrzne, rządzące kolosalnymi energiami, wysysanymi przez Krwawnik z kosmosu. Makabryczny twór starszej nauki schwytny został w pełny strumień mocy, którą się karmił. Jak koło młyńskie bez hamulca, pochwycone niewyobrażalną powodzią, Krwawnik wpadł w sidła wiru energii, która wyrwała się spod kontroli, stłoczyła bez możliwości odpływu; szalejącej siły, która chciała rozedrzyć go na atomy.

Pod jego dymiącymi butami kamienie zadrżały. Kane usłyszał odległy ryk, grzmot przebijający się przez skomlące wycie Arellarti, jakby jakiś niewyobrażalny sztorm przewalał się przez ciemności za płonącym miastem.

Głupcze! Twoja zdrada zniszczy nas obu!

Była to ostatnia zrozumiała myśl, jaką Kane miał usłyszeć od Krwawnika. Rozpaczliwie przesuwał pokrętła i dźwignie sterujące siłami projekcji między wymiarowej. Bez względu na swój morderczy obłęd, Krwawnik musiał usłuchać poleceń nastawni – bo choć posiadał złośliwą duszę, został zaprojektowany przez swych twórców jako maszyna. Ale czy zechce usłuchać? Czy będzie mógł teraz, przy wszystkich uszkodzeniach, jakie spowodował Kane?

Miażdżący ryk zguby przybliżał się szybko, a Kane wiedział, że ta nikła szansa to wszystko, co mu pozostało. Czy będzie dość czasu, by mściwy Krwawnik przeniósł go do pobliskiego miejsca? Choć groziło, że może umrzeć w uścisku rozpadającego się kryształu, albo wędrować bezcieleśnie przez przepaść międzywymiarową, Kane zaryzykował.

Raz jeszcze otuliły go spirale iskrzącej się energii. Kane został przeniesiony przez krystaliczne przejście poza naturalny czas i przestrzeń...

Nagle uwolnione od nieprzeniknionej bariery, która tak skutecznie odpierała ich czarodziejski przyływ, wody Morza Zachodniego runęły w głąb lądu jak przez przerwana tamę ogromnej wysokości.

Córki Shenan na pagórku jęknęły w nagłym przestraszu, bo ze zniknięciem oporu Krwawnika, potęga ich najniebezpieczniejszych czarów wyrwała się spod kontroli. Wybuchnąwszy za nie istniejącą już przeszkodą, czarodziejskie siły powróciły na pagórek, uderzając ze wzmożoną potęgą, daleko przekraczającą obliczenia.

Nie był to widmowy przyływ, który miał ować fortecą nieprzyjaciela, słuchając ich zniewalającego wezwania. Fala prawdziwego przyływu, przekraczająca wysokością sto jardów, wpadła przez wielką rozpadlinę Ogona Węża i popędziła przez gnijącą ziemię, uderzając jak pięć mściwych bogów!

Ludzie w lesie uciekli w przerażeniu na wyższe miejsca, by uniknąć magicznego przyływu, który miał zniszczyć poza swymi starożytnymi brzegami.

Z nieodpartą siłą góra wody rozdzierała drżące moczary. Jadowite stworzenia, karłowate drzewa, dławiące liany, niezgłębione kurzawki, wszystkich przeklętych mieszkańców Kranor-Rill pożerała szalejąca fala.

Gdy uderzyła w przegrzane kamienie Arellarti, nastąpił gigantyczny wstrząs, który zdawał się rozdzierać ziemię. W leżącym za bagniskiem lesie zatrzęsły się drzewa, pochyliły, odwróciły korzeniami ku gwiazdom. Biegących ludzi potężny wstrząs cisnął o ziemię. Przerażone spojrzenia rzucane wstecz ujrzały wybuch szalejącej supernowej.

Wewnątrz swej prawie stopionej kopuły Krwawnik rozprysnął się na miliardy odłamków płonącej energii.

Spiętrzona fala przepłynęła obok pagórka rozpylonego kamienia, a noc znów ogarnęła ciemność, rozświetlana tylko gwiazdami. Jak palący odmęt antyseptyku morze sięgnęło w głąb, a potem cofnęło się, pozostawiając za sobą oczyszczony kraj, wolny od zła gnijącego tu przez wieki.

EPILOG

Była wiosna następnego roku. Teres obudziła się przed świtem, odczuwając dziwny niepokój. Wracają stare sny, a widma nie zasypiają. Sen nie przychodzi, gdy wspomnienia nie chcą zblaknąć.

Cicho, by nie zbudzić śpiących, wykradła się ze swej komnaty. Gwellines też był niespokojny, a gdy go siodłała, zarzął w przyjaznym pozdrowieniu. Za rozjaśnianymi świtem bramami Selonari pokłusował na południe.

Nadszedł poranek, a po nim ciepłe południe. Las jaśniał świeżą wiosenną zielenią. Myśli Teres płynęły swobodnie i beztrosko, gdy jechała wśród drzew. Wiatr miał ciepły, czysty smak. Cieszyła się świeżością pory roku, jak obudzony duszek leśny.

Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, gdy dotarła do celu. W niezwykłym nastroju, jakby odbywała pielgrzymkę, zsiadła z konia i zbliżyła się do krzywego kręgu kamieni, gdzie niegdyś rozstała się z Kane'em. Wspomnienia napłynęły jeszcze silniej, a jej spojrzenie stało się ciepłe. Dziwne, że chwile szczęścia stawały jej w pamięci równie uparcie, jak wspomnienia lęku. Nieodparta ciekawość przywiodła ją tu, na miejsce, gdzie oba te uczucia stopiły się w jedno.

Zaczęła się przechadzać, a jej szeroko otwarte oczy czegoś szukały. Pod jej stopami cicho trzeszczały zeszłoroczne liście, rozpadając się na kamienistej ziemi. On by tu przyszedł...

Nagle schyliła się, zauważywszy matowo połyskujący przedmiot, na wpół pogrzebany w zasypanym liśćmi wgłębieniu w kamieniach, gdzie cisnęła go pogardliwa ręka.

– Jasny Ommemie! Wiedziałam! – zawołała Teres ze śmiechem radości.

Pokręciła w palcach pierścień z krwawnikiem. Jego klejnot był teraz martwy, pierścień ważył tyle, co pusta muszla. Biały metal pokryty był wżerami i zniekształcony, krwawnik nieprzejrzysty i zryty tysiącem pęknięć, jakby został wystawiony na jakieś piekielne gorąco i niesłychane ciśnienie.

Gdy zacisnęła dłoń, pierścień z krwawnikiem rozpadł się jak zetlała kość.

Spis treści

<u>STRONA TYTUŁOWA..</u>	<u>1</u>
<u>PROLOG..</u>	<u>4</u>
<u>I. ŚMIERĆ PRZY OGNISKU..</u>	<u>7</u>
<u>II. WIEŻA NAD OTCHŁANIĄ CZASU..</u>	<u>12</u>
<u>III. DYPLOMACJA W SELONARI.</u>	<u>18</u>
<u>IV. OBCY PRZYNOSI DARY..</u>	<u>22</u>
<u>V. GNIJĄCY KRAJ.</u>	<u>34</u>
<u>VI. GDY BUDZĄ SIĘ STARSI BOGOWIE..</u>	<u>44</u>
<u>VII. KAPŁAN PRZYBYWA DO BREIMEN..</u>	<u>65</u>
<u>VIII. ŚMIERĆ WE MGLE..</u>	<u>78</u>
<u>IX. GROMADZĄ SIĘ ORŁY WOJNY..</u>	<u>88</u>
<u>X. OBCY POWRACA..</u>	<u>90</u>
<u>XI. BURZOWE CHMURY WOJNY..</u>	<u>93</u>
<u>XII. TROFEA ZWYCIĘSTWA..</u>	<u>106</u>
<u>XIII. KŁY WILCZYCY..</u>	<u>114</u>
<u>XIV. UCIECZKA W KOSZMAR..</u>	<u>126</u>
<u>XV. PAN KRWAWNIKA..</u>	<u>136</u>
<u>XVI. GDY ŚMIERĆ ZOSTAJE ZDEMASKOWANA..</u>	<u>156</u>
<u>XVII. JAKI RODZAJ CZŁOWIEKA...</u>	<u>165</u>
<u>XVIII. WILK UKŁADA PLANY..</u>	<u>172</u>
<u>XIX. SNY W ARELLARTI.</u>	<u>176</u>
<u>XX. NOC KRWAWNIKA..</u>	<u>179</u>
<u>XXI. NIE BYŁO ŁEZ W SELONARŁ..</u>	<u>186</u>
<u>XXII. PODZIEMIA ŚWIĄTYNI.</u>	<u>192</u>
<u>XXIII. GIGANCI NA CIEMNYM NIEBIE..</u>	<u>197</u>
<u>XXIV. SPADA OSTATNIA MASKA..</u>	<u>220</u>
<u>XXV. GDY UMIERAJĄ SZALEŃCZE SNY..</u>	<u>227</u>
<u>EPILOG..</u>	<u>246</u>